

Tytuł: "Ostatnia z rodu"
Autor: Paweł Jasienica

Tom

Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1990

Tłoczono drukiem punktowym dla
niewidomych w Drukarni PZN,
w Warszawie,
ul. Konwiktorska 9.
Pap. kart. 140 g kl. III_Ba1

Przedruk z wydawnictwa
"Czytelnik",
Warszawa 1988

Pisał A. Galbarski,
korekty dokonały:
K.Kruk
K.Kopińska
Wstęp

Anna Jagiellonka, ostatnia z
wielkiego rodu, przeszła do
historii z całym bagażem cnót

zacnych, ale - mówiąc otwarcie - nudnych i nieefektywnych. Utrwaliła się w naszej pamięci jako stara panna gustująca w haftach, zapadająca raz po raz na neuralgię, skłonna do płaczliwych narzekań i popisująca się przesadną, niemal irytującą pobożnością. Kiedy wreszcie machnęła się za męża, miała lat przeszło pięćdziesiąt. I, ot, nowy powód do niby życzliwych westchnień. Stara żona więcej wzbudza współczucia niż najstarsza panna. Czytając o cnotach Anny Jagiellonki, każdy normalny człowiek współczuł Batoremu. Nic więc dziwnego, że król, któremu tron dostał się wraz z półwieczną cnotą - chętnie wymykał się z domu... Wizerunek Anny Jagiellonki przekazany i rozpowszechniony przez historiografię uproszczoną

prezentuje się niezbyt zachęcająco. W zestawieniu z Batorym postać przekwitłej królowej staje się smętnym cieniem jagiellońskiej wielkości. A Jasienica powiada: Nie, było zupełnie inaczej. Pod maską bigotki, skromnisi i mazgajowatej panny kryła się duma, siła charakteru i wielkie zdolności. Jasienica powołuje się przy tym na świadectwo skandynawskiego dziejopisa, który Annę Jagiellonkę nazywa Katarzyną Medycejską Wschodu Europy. Wywód Jasienicy jest tak sugestywny, że obala ugruntowane opinie i poglądy. Pod piórem Jasienicy rośnie postać "ostatniej z rodu", odzyskuje wymiary jagiellońskie i królewskie barwy...

Gdyby nie Jasienica, na Annę Jagiellonkę nie spojrzalibyśmy wcale. Bo za stara, bo bigotka, bo żyła w czasach jak na mój gust zbyt odległych. Jasienica

ma jednak dar skracania odległości. Wiek szesnasty wydaje się równie bliski, jak miniony tydzień. Nikną progi epok i bariery rozgraniczające stulecia. Autor znosi granice dzielące przeszłość od terażniejszości i dlatego czytelnik czytając eseje historyczne czuje się jak u siebie w domu. W tym momencie przypomina się pytanie, jakie zadaje sobie po każdej niemal książce Jasienicy. Co zdecydowało o sukcesie?

Stanisław Zieliński
"Nowe Książki", 1965

Sic fata volunt
Izabella Jagiellonka

Modlitewnik

W Muzeum Brytyjskim znajduje się książka nabyta swojego czasu za sumę siedemdziesięciu czterech funtów szterlingów. Otrzymały je osoby raczej przypadkowe, odlegli spadkobiercy, wcale nie będący krewnymi pierwotnego właściciela. Malarz, który ozdobił pergamin owej niewielkiej księgi, nie wziął żadnej zapłaty. Dzieło swe ofiarował swojemu monarsze jako bezinteresowny wyraz hołdu. Był mnichem z Mogiły. Nazywał się Stanisław Samostrzelnik. W dziejach sztuki polskiej zajął miejsce zaszczytne.

Mowa tutaj o modlitewniku króla Zygmunta Starego, którego wiernie sportretowana postać dwukrotnie występuje na miniaturach, wykonanych pędzlem brata Stanisława. Specjaliści, Feliks Kopera i Stanisław Dobrowolski, zwracają uwagę przede wszystkim na artystyczne zalety zarówno obrazów właściwych, jak ornamentów. W

tym szkicu wolno jednak zainteresować się dodatkami, które nie mają nic wspólnego ze sztuką, a wzbogaciły książkę już bez wiedzy jej twórcy.

Właściciel, król Zygmunt I Stary, dokleił kartkę, na której własnoręcznie wypisywał coś w rodzaju metryk ostatniego pokolenia rodu Jagiellonów. Uwieczniał imiona oraz daty narodzin swych dzieci. Pisał po łacinie. Później kreśliły na tejsze karcie pióra dwóch innych osób, używających języka włoskiego. Tylko pierwsza z nich jest znana historykom, tożsamości drugiej wolno się jedynie domyślać. Obie, kolejno, notowały dnie zgonów trzech królowych, małżonek

Jagiellońskich, z których jedna, najstarsza, była również matką Jagiellona. Kronikarski czy też kancelaryjny porządek wymagałby co prawda wyszczególnienia nie trzech, lecz czterech kobiet. Później się okaże, dlaczego spis nie jest pełny.

Zygmunt Stary otrzymał wspomniany modlitewnik w roku 1524. Tylko królowa Katarzyna oraz zmarły w dniu swych narodzin królewicz Olbracht przyszli na świat później. Wcześniejsze metryki były więc pisane z pamięci, która nie zawiodła monarchy. Daty są ścisłe, dodatkowe wiadomości wiarogodne.

I skądinąd wiemy, że królowa Anna, obdarzona później przez historię tytułem Infantki, ujrzała światło dzienne w Krakowie, 18 października 1523 roku. Ojciec jej powiadomił nas ponadto, iż stało się to, "gdy była godzina trzynasta".

Kontury tła

Żadna banda, a snadź i
cygańska, nie jest w takiej
niedbałości, a snadź jest w
lepszym opatrzeniu, niżli sławne
a zacne to państwo nasze.

Mikołaj Rey z Nagłowic

W roku 1506 historia
wewnętrzna Polski stanęła w
miejscu na lat z górą
pięćdziesiąt.

Zygmunt Wojciechowski

Żyły trzy pokolenia
Jagiellonek polskich - córki
Władysława Jagiełły, Kazimierza
Jagiellończyka i Zygmunta
Starego. Piętnaście istot, z
których cztery zgasły w
niemowlęctwie lub w
dzieciństwie. Krótki rachunek
pomiął nieprawie potomkinie
Zygmunta oraz jego bratanicę.
Anna, córka władcy Czech i
Węgier, Władysława

Jagiellończyka, zrodzona z Anny
de Foix_Grailly hrabianki de
Fandalle, do polskich królewien
zaliczona być nie może. Odegrała
znaczną rolę w dziejach tych
krajów, których korony dźwigał
jej ojciec.

Pierwsze pokolenie naszych
Jagiellonek było tragiczne.
Elżbieta Bonifacja, córka
Jadwigi, żyła trzy dni. Podanie
głosi, że świeże jeszcze zwłoki
noworodka włożono do trumny
matki. Otwarty w roku 1949
sarkofag królowej nie
potwierdził prawdziwości tej
wieści - ani jej zaprzeczył. W
przeciągu pięciu i pół stuleci
kruche szczątki mogły szczeznąć
bez śladu, zjednoczyć się z
wypełniającym grób prochem.
Jadwiga, córka Anny Cillejskiej,
dożyła w panieństwie dwudziestej
pierwszej wiosny. Podejrzewano,
że zmarła od trucizny, zadanej z
rozkazu macochy. Ojciec, król

Władysław II, nad mogiłą nie płakał. Miał już wtedy synów.

Drugie pokolenie Jagiellonek służyło historii łonami. Dzięki nim wszystkie dzisiaj panujące domy monarsze w Europie zaliczają Kazimierza Jagiellończyka do swych przodków po kądzieli. Litewsko_polski ród królów w jednej tylko swej ojczyźnie wygasł przedwcześnie. Innym dynastiom znakomicie żywot przedłużył.

Drugie pokolenie Jagiellonek tworzyło więc historię łonami. Dopiero niektóre przedstawicielki trzeciego, a zwłaszcza przedostatnia jego latorośl, uzyskały okazję zabłyśnięcia siłą umysłów i charakterów. Tak się po prostu złożyło, okoliczności, i to wyłącznie złe okoliczności, uchyliły furtki. Bo uzdolnień, może nawet talentów, i poprzednio nie brakowało. Najstarsza córka Kazimierza, Jadwiga, była czymś w rodzaju literatki. Spisała dzieje rodu

swego męża. Dokonała tego po niemiecku, którego to języka wcale nie znała, wychodząc za mąż do Bawarii.

Pisanie książek i samodzielna działalność nie zaliczały się do głównych zadań królewien. Przede wszystkim należało oddać rękę temu z większych lub mniejszych panujących, kogo ojciec, brat oraz ich doradcy upatrzyli, pomni nie na sentymenta wcale, lecz na zyski polityczne. Nie zawsze było łatwo wystarać się o ślubny kobierzec lub przyjąć cudzą propozycję wstąpienia nań. Przysłowiowe sianie rutki nieraz długo trwało. Najlepiej to uzmysłowi zwyczajne zestawienie imion oraz wieku ich nosicielek. Tak więc, jeśli chodzi o córki Kazimierza Jagiellończyka -

Jadwiga poszła za mąż mając lat osiemnaście, Zofia oraz Anna po piętnaście, Barbara osiemnaście, a Elżbieta trzydzieści dwa. Zygmunt Stary wyswatał Jadwigę w dwudziestej drugiej wiosnie jej życia, Izabellę w dwudziestej, przyszłości dwu pozostałych zabezpieczyć nie zdażył. Zofię wydała do Brunszwiku Bona. Królowna miała wtedy trzydzieści cztery lata. Katarzyna skończyła trzydzieści sześć, zanim Zygmunt August zgodził się na kandydata o jedenaście zim młodszego od oblubienicy. O wieku i matrymonialnych przygodach Anny będzie się jeszcze obszernie rozprawiać.

Te dwa małżeństwa Jagiellonek, które przypadły szczególnie późno, były niedobrane, komiczne nawet w sposób tragiczny, wywarły na dzieje wpływ bezpośredni i znaczny.

Rozmaicie mogły się układać losy królewien. Przyrodnia siostra Anny, pierwotna w tym pokoleniu Jadwiga, poślubiwszy elektora brandenburskiego Joachima II, zerwała właściwie z ojczyzną. Stała się rządzą, zapobiegliwą gospodynią

niemiecką. Najstarsza z sióstr rodzonych, wydana na Węgry Izabela, na dobre zapisała się w rocznikach historii. Władowała w Siedmiogrodzie. Jej osoba oraz postęпки wiele znaczyły w rachubach Polski, cesarza i sułtana. Gdyby śmierć nie zabrała przedwcześnie jej syna, może tron polski objęłaby po Jagiellonach madziarska dynastia Zapolyów. Byłoby logiczne, gdyby po bezdzietnym wuju, Zygmuncie Auguście, odziedziczył koronę rodzony siostrzeniec, Jan Zygmunt. Ale młodszy wyprzedził starszego w zaświaty. Zofia, księżna Brunszwiku, snuła się

tylko na marginesach wydarzeń burzliwych bezkrólewi. Miała w Polsce znajomości i wpływy, wspierała siostrę, posiadała prawo do jednej trzeciej spadku po matce i bracie - dlatego coś znaczyła.

Była mężatką, żoną udzielnego księcia Rzeszy Niemieckiej, lecz w listach tytułowano ją stale: Miłościwa Królewno. Godność najwyższa nie mogła ustąpić miejsca niższej. Nawet ślub kościelny dokonać tego nie był władny. Podobnie Katarzyna, najmłodsza z Jagiellonek. Pozostawała królową tak długo, aż jej małżonek - dotychczas zaledwie księżę Finlandii - nie wstąpił na tron Szwecji. Wtedy dopiero pozbyła się - od lat już matka - panieńskiego tytułu. Została królową. Córkę pomazańca dożywotnio opromieniał blask berła. Mogła tylko pójść w górę, sama zostając monarchinią, nigdy w dół.

Kwestia tytulatury feudalnej to jakby klucz do jednego z szyfrów historii. Życie królewien mogło się układać rozmaicie, ale możliwości wpływu ich osób na dzieje były zawsze wielkie. Każda z tych kobiet urodziła się przecież w zaklętym kręgu władzy. Dotyczyło ich prawo monarsze, wsparte

majestatem wiary. One były przedstawicielkami, ba! - samym wcieleniem tradycji państw i narodów. Dzięki nim trwały dynastie. Uparte, mistycyzmem nacechowane przywiązanie tłumów do własnej krwi królewskiej należało do głównych czynników, tworzących te stare dzieje. Na sceptycyzm, nawet na cynizm wobec owych sentymentów pozwalali sobie tylko najmożliwsi - przynajmniej w Polsce. Szlachecki i plebejski

ogół dochowywał wierności swym
panom, samej idei monarszej.
Imponderabilia czasami
przeważają. Zdarzenia, o których
opowie ta książka, o niejednym w
tej sprawie zaświadczą.

Wraz z królową rodziła się
zagadka losu. Odpowiedzieć na
nią mogło tylko życie. Nie
nadający się do przewidzenia
przebieg wydarzeń, układ
konkretnych okoliczności
rozstrzygał, czy potencjalne
możliwości urzeczywistnią się
jakkolwiek, na dobre lub złe.

Annie Jagiellonce długo
przyszło czekać na okazję. I
wyzyskać ją w sposób,
przekraczający granice
wyobraźni. Lecz gdyby jej brat
postępował nieco bardziej
logicznie, kobieta, którą pewien
skandynawski dziejopisarz zowie
Katarzyną Medycejską Wschodu
Europy, pozostałaby w historii
cieniem. Bładym, cierpiętniczym
i nudnym.

Badacze, którzy pisali o
Annie, zgodnie stwierdzają, że
jej dzieciństwo i młodość są
właściwie niewidoczne. Wzrastała
na dworze krakowskim,
błyszczącym wtedy pełnią
Renesansu, lecz nie wyróżniała
się wcale. Zygmunt Stary
powiedział raz o swych córkach,
że z mowy i obyczaju są tyleż
Polkami, co Włoszkami. Dyplomaci
papiescy zachwycali się później
jej biegłością wysłowienia w ich
ojczystym języku. Ale i to nawet

nie stanowiło rzadkości w Polsce
ówczesnej.

Kiedy Zygmunt Stary żyć
przestał, syn i następca jego,
Zygmunt August, otrzymał od
obecnych w kraju królewien list
kondolencyjny i wiernopoddańczy,
zakończony tak: "Waszej
Królewskiej Mości powolne sługi,
siostry a sieroty - Zofia, Anna,

Katarzyna".

Trzy skromnie uszeregowane imiona, zbiorowy, zdyscyplinowany - chciałoby się rzec - podpis. On właśnie najlepiej maluje stan rzeczy, panujący po żeńskiej stronie dworu krakowskiego. Tak samo posłusznie szły królowy przez życie, równie potulnie i cicho zasiadały podczas narad rodzinnych i uroczystości państwowych za plecami matki... dopóki przebywała w Polsce.

Żyły w jej cieniu.

Przyćmiewał je brat, koronowany już za życia ojca, powszechnie uznawany za dziedzica i pana. Nie zdołałby przytłumić ich indywidualności rodzic, który na starość do tego stopnia ociążał, że podczas narad senatu głosu mu się nawet wydawać nie chciało. Gestem dłoni objawiał monarcha swą wolę - jeśli nieruchawość i bezwład nazwać tak w ogóle można. Bezwzględnie górowała nad córkami macierz.

Gdy zabrakło już męskich przedstawicieli Jagiellonów, a oczy ogółu zaczęły się obracać na Annę, pewien szlachcic pisał do Brunszwiku, że chętnie by uznano królowę za panią, "by jedno nie była jako matka". Ale - dodawał od siebie autor pisma - "kto baczny jeno jest", ten żałuje, że królowa Bona "i do tego czasu" krajem nie rządzi.

Nie było pewnie zbyt słodko żyć w cieniu Bony. Za silną indywidualność miała wielka Włoszka. Zygmunt August wyłamał się przy pierwszej sposobności,

a w późniejszych jego postępkach odczytać wprost można żądę zemsty moralnej za dawną przymusową uległość. Syn dochodził jej na matce w sposób nieraz całkiem niepiękny,

pozwalał sobie na grube
nikczemności. Córka? Ta poszła w
ślady rodzicielki. Na zawsze
nauczyła się rzeczy dla Bony
najważniejszych. Poznała, co
znaczy władza, jak się jej używa
i do niej dąży. Pokorna i cicha
z pozoru, z lada powodu
zalewająca się łzami i
rozwodząca żale, nie żywiła
wątpliwości, że dłonie
niewieście równie dobrze jak
męskie nadają się do berła.

Trzydzieści trzy lata przeżyła
Anna w cieniu matki. Następnym
trzydzieści obok brata, lecz
wcale nie zawsze w posłuchu,
nieraz w ostrym z nim zatargu.

Więcej niż dwie trzecie swego
długiego żywota spędziła
Jagiellonka na ustroniu
historii. Gdyby się nawet dało
wyśledzić i opisać wszystkie jej
uczynki z tego okresu,
powstałaby relacja długa, lecz
jałowa. Ile czasu można słuchać
o wyhaftowanych szatach
kościelnych, miłosiernych
uczynkach oraz o podróżach z
Krakowa do Niepołomic, Radomia,
na Mazowsze, a nawet do samego
Wilna? W archiwach Uniwersytetu
Jagiellońskiego przechowała się
notatka o tym, jak to w roku
1583 senat akademicki zastąpił
drogę wychodzącej z kościoła Św.
Anny królowej pani i uroczyste
zaprosił ją w progi uczelni.
Władczyni obejrzała sobie
księgozbiór, po czym ją
"marcepany i konfetty, i cukry
częstowano". Opowieść, utkana z
tego rodzaju szczegółów, nie
byłaby zbyt atrakcyjna. Są w
historii sprawy wiecznie żywe, a
obok nich takie, o których
wspominać można od czasu do
czasu, lecz zawsze oględnie, aby
samego dziejopisarstwa nimi nie

utrubić.

Przez czterdzieści dziewięć

lat była Anna z pozoru
rekwizytem, a w istocie zagadką
przyszłych losów, jako osoba
zrodzona w purpurze monarszej.
Zamiast więc tropić jej
działania podczas owego
półwiecza, rzućmy lepiej okiem
na kraj podległy władzy
Jagiellonów.

Ustalmy z góry, że nie
będziemy się spierać i urażać o
daty pochodzenia poszczególnych
wiadomości. Chodzi przecież o
wizerunek, raczej o kontury
wizerunku sceny, na której się
rozegrało całe życie Anny. W
Rzeczypospolitej nic się w
przebiegu tych kilkudziesięciu
lat radykalnie nie odmieniło -
oprócz porządku dynastycznego i
uprawnień monarszych, ale o tym
będzie jeszcze obszernie mowa.
Kontrreformacja zaczęła brać
górną dopiero u samego schyłku
dni sędziwej damy, której
dzieciństwo i młodość pamiętały
ostre dekrety Zygmunta Starego,
zwrócone przeciwko nowowiercom,
a kobiece lata - okres
najpiękniejszej tolerancji.

W zasadzie jednak - doba Anny
Jagiellonki to czas wzrostu. Co
kiełkowało, kiedy przychodziła
na świat, to rozkwitło do dnia
jej zgonu.

* * *

Pod jednym względem stan
rzeczy panujący w kraju
jagiellońskim sprowokuje do
zazdrości każdego, nawet
największego wroga starzyny.
Rzeki ówczesne! Płynie sobie
król z Krakowa do Warszawy,
nuncjusz wędruje wodą do
Gdańska, liczne statki kursują
Narwią i Sanem, na jarmark w
Warce zjeżdżają ludzie nie tylko
ładem, lecz i Pilicą - nikogo to
nie dziwi. Magnat sprowadza z
Niemiec wymyślny wasąg, zręczni
rzemieślnicy krakowscy zaraz go
kopiują i odsyłają królowej do
Warszawy Wisłą. Taniej to i

lepiej, bo pojazd ani się
zabłoci, ani roztrzęsie. Zjazd
przedelekcyjny odbywa się nad
Wieprzem, który miejscowy
starosta świeżo uporządkował i
oczyścił kosztem publicznym. Po
zakończeniu zebrania "szopę",
czyli drewniany gmach obrad
senatu, rozbiera się na części,
ładuje na komięgi i wysyła do
Warszawy wodą. Nie dotarła tam,
bo nadzwyczajnie suche lato
obniżyło poziom rzek. Dopiero to
zdarzenie uznano za wyjątkowe i
skrzętnie odnotowano w
rocznikach.

Specjalna "komisja zesłana na
oszacowanie robót przez
Wawrzyńca Krzywczyckiego
wykonanych dla czyszczenia rzeki
Bugu", wsiadła w czółno i
dokładnie wszystko obejrzała.
"Wywrócone w wodzie - zapisała -
z obu brzegów wielkie leżą
drzewa, które gdyby tak się
zostać miały, wszelki by spław
wkrótce ustać musiał". Na razie
jednak członkowie komisji -
sędzia i podstarości chełmski -
zwiedzili z uznaniem jedną i
drugą "wśród grobli służę dobrze
urządzoną, przez którą nawet
przy małej wodzie statki w górę
i na dół przechodzić mogą", a
także "wygodny most dla
przejeżdżających". Pragnąc
wynagrodzić pana Krzywczyckiego,
który pilnie pracuje, "aby
brzezi od impetu wody
zabezpieczyć", radzi komisja na
pobór cła przy słuzach mu
"pozwolić", a to w takim
stosunku: od statku towarami
naładowanego po groszy
dwadzieścia, od komięgi po
piętnaście, od "tratfy" zaś po
dziesięć.

Działo się to wszystko w roku
1576 w okolicach Włodawy, z
czego prosty wniosek, że nie
tylko koło Krakowa, Warszawy i
Gdańska rzeki ówczesne żyły.
Ryby sprzedawano wtedy na
sztuki, lecz także i na wozy, za
bardzo tani grosz.

Kraj nad tymi wodami, średnio przeważnie urodzajny, żywił jednak swym ziarnem "całe prawie Niderlandy króla Filipa". Wyspa Spichrzów w Gdańsku już wtedy służyła za wielki i pilnie przez srogie psy strzeżony skład zboża. Nikomu nie wolno było wchodzić tam nocą. Poczynając od Krakowa aż do Warszawy prawy zwłaszcza brzeg Wisły gęsto porastały jabłczane i gruszkowe sady. Dalej na północ - w Prusach Królewskich - wokół Torunia, Fromborka i Gdańska dojrzewały wiśnie, orzechy i pigwy. Winogrona też rosły w Polsce, lecz nadające się przede wszystkim do jedzenia. Napój z nich przyrządzany wykrzywiał usta przyjezdnym Włochom.

Bywali oni częstymi gośćmi w Rzeczypospolitej, wielu na stałe się w niej osiedlało. Opinie ich wypadały na ogół zgodnie: do najtrudniejszych zadań w tym północnym kraju zaliczano sprostanie polskim wymaganiom w dziedzinie jedzenia i picia. Gdyby Herkules żył - czytamy w sprawozdaniu z legacji pewnego kardynała, późniejszego papieża - i poradził sobie z ucztami sarmackimi, bez wątpienia uznano by to za kolejną z jego prac bohaterskich. Jeden Polak zje za pięciu Włochów! - teza powszechnie przyjmowana za prawdziwą.

A oto "rachunek expensy codziennej w podróży z Krakowa do Warszawy", odbytej lądem przez legata Stolicy Apostolskiej, jej nuncjusza i wielu prałatów. Orszak, składający się przeważnie z Włochów, a więc z ludzi o słabych apetytach, liczył około trzystu osób i dwustu pięćdziesięciu koni. Dzień w dzień musiano im dostarczać na

koszt króla: dwa woły, po siedem
cieląt i baranów, sześć wieprzy,
czterdzieści osiem kapłonów,
siedemdziesiąt sześć kurcząt,

pięćdziesiąt gołębi, sześć
ozorów, dwadzieścia sześć gęsi,
pół wieprza solonego,
sześćdziesiąt funtów masła,
dwadzieścia beczek piwa, trzy
baryłki wina, trzy indyki lub
pawie, po dziesięć dzikich
kaczek, kuropatw i przepiórek,
sześć bażantów, sto dwadzieścia
"ptaszków małych", cyranek
trzydzieści, "sarn, jeleni i
innej zwierzyny, ile było
potrzeba". Wylizanie zostało
przerwane. Nie będzie się mówić
o serze, miodzie, chlebie i tak
dalej. Przejdźmy do jarzyn: kosz
cebuli, pietruszki pół kosza,
grochu kosz, tyleż rzepy,
sześćdziesiąt głów kapusty,
"pasternaków sto", ogórków
solonych słoje, "sałaty, ile
potrzeba"... oliwy funtów sześć.

W piątki, soboty i wigilie
obowiązywał post: cztery duże
szczupaki, dwanaście średnich i
czterdzieści mniejszych, sześć
karpi, różnych gatunków ryb
dwadzieścia funtów, pstrągów i
śledzi po dziesięć funtów,
"łososi, ile można było dostać",
cert dwanaście, sześćdziesiąt
linów, "ryb ordynaryjnych dla
ludzi, ile potrzeba, wina, piwa,
miodu jak wyżej, ile potrzeba".
Podobnie "owoców, ile potrzeba".
Wylizanie i tym razem nie
zostało ukończone. Nie mówiło
się na przykład o krupach ani o
furażu dla koni.

Buchalteria ówczesna wolna
była od uciążliwej
drobiazgowości. "Ile potrzeba" i
na tym koniec. Błogostan trwał
długo. Kiedy u schyłku XVII
wieku goniec moskiewski "od Cara
Jego Mości przybieżawszy" stanął
w Warszawie, dano mu potrzebną

żywność, między innymi "słoniny sztukę sporą".

Wracajmy jednak do podróży Włochów, jednej z wielu zresztą. Wędrówka z Krakowa do Ujazdowa, gdzie się orszak na krótko zatrzymał, trwała jedenaście dni. Droga wiodła przez

Proszowice, Wiślicę, Kunów, Iłżę, Radom, Warkę i Piaseczno. Autor diariusza ani razu się nie poskarżył na jakiegokolwiek braki. Dwaj dworzanie królewscy wyprzedzali kawalkadę i odpowiadali za wszystko. Na każdym postoju było co jeść i pić - w przepisanej ilości. A nie obeszło się wszak bez przyjęć, urządzanych przez kler i dostojników. W Warce na przykład podali dominikanie na stół "niezmiernej wielkości jesiotra", świeżo pewnie ułowionego w Pilicy. Poczęstowano również przybyłych znanym w całej Polsce piwem wareckim. Było białawe, "szczypiące, z koloru i smaku dość podobne do wina". Współzawodniczyło z nim w sławie piwo gdańskie - ciemne, czarne prawie, zawsze przyprawiane korzeniami.

Rzeczpospolitą ówczesną śmiało można uznać za kraj w żywność zasobny.

Na głód i pragnienie cudzoziemcy się nie uskarżali. Dziwiło ich za to, że pościel trzeba było stale ze sobą wozić. W dzień zasiadali w karocach na spakowanej w tłumoki, co wieczór służba musiała je rozwiązywać. Był to stary obyczaj szlachty polskiej, nieustannie uwijającej się po kraju z odwiedzinami lub w interesach. Gospód w mniejszych osiedlach brakowało. Każdy ziemianin witał z otwartymi gościnnie ramionami, służył dachem, stołem, ławą,

strawą i napojem, lecz nie
pościelą. Tę każdy musiał mieć
własną. Służba szlachecka, bez
uwagi na płeć, sypiała pokotem
po stodołach, na którym to
obyczaj - narzekali
obcokrajowcy ze stanu duchownego
- cnota cierpi. Mało jest w
Polsce skromnych niewiast. Bo
gdybyż przynajmniej szli do tych
odryn trzeźwi...

Z tego też ostatniego powodu

światne wierzchowce szlachty
polskiej bywały przeważnie
znarowione. Zbyt często
dosiadali ich podchmieleni
jeźdźcy. A szkoda - pisano - bo
takich koni, jak w tym kraju,
nie znajdziesz nigdzie. Sam król
świeci przykładem, ma w swej
stadninie rumaki arabskie,
tureckie i perskie. Radziwiłł
sprowadza dla niego ogiery z
archipelagu greckiego, które
krzyżuje się z klaczami pięknej
rasy miejscowej. Do każdej pary
wierzchowców królewskich jest
specjalny masztalerz.

Jako o ciekawostce wspomnieć
warto, że w stajni Stefana I
znajdował się ciemnogniady koń
turecki z gwiazdą na czole,
wabiący się nazwiskiem własnego
pana. Zwał się po prostu Batory.
Na inne wołało się Iwaszko,
Wojda, Balago, Pukfres albo -
Podskarbi i Oboźny. Widocznie
noszący te tytuły dostojnicy nie
obrażali się, podobnie jak sam
król.

Normalnie jednak szlachta
zachowywała się dość krewko.
Pomiędzy rokiem 1544 a 1550 - w
samej tylko Koronie bez Litwy -
popełniono czterdzieści zabójstw
po kościołach, u dworu i na
sejmikach oraz dwieście
czterdzieści siedem podczas
kłótni. Rozbojów zdarzyło się w
tym czasie trzysta osiem. Było
to ponure sześćdziesiąt lat, schyłek

niemrawych rządów Zygmunta
Starego i burzliwy początek
panowania jego syna, o którym
pisał nuncjusz Alojzy Lippomano:
"Przywiązany, równie jak jego
przodkowie, do Litwy, mało dba o
Polskę, w której dlatego
wszystko źle się dzieje.
Namnożyło się gwałtów, mordów,
rozbojów, które bezkarnie
uchodzą".

W ćwierć wieku później inny
nuncjusz, Wincenty Laureo,
narzekał na zbyt chłodną krew
Polaków, który to mankament
przypisywał zamiłowaniu do piwa.

W żaden sposób - biadał - nie da
się zachęcić tej szlachty do
wojny domowej. Zauważmy, że
mniej więcej w tym samym czasie
Jan Zamoyski nazywał opozycję
krajową, wrzaskliwą i
buńczuczną, "polskim piwem".
Kancelarz był człowiekiem
Zachodu, tam się wykształcił i
poznał temperamenty podlewane
winem. Krótko przebywał w Polsce
król Henryk I z domu Walezjuszy,
znany w historii Francji jako
Henryk III. Podczas jego pobytu
w Krakowie co rano pachołkowie
grodzcy podnosili z ulic po
kilka trupów, jeśli nie
polskich, to francuskich.

Na ogół jednak biorąc, relacje
cudzoziemców o Polsce ówczesnej
sprawiają dodatnie wrażenie.
Malują obraz dość pogodnymi
barwami. "Ze wszystkich narodów
zaalpejskich - twierdzi Fulwiusz
Ruggieri - Polacy są może
najlepsi, mianowicie szlachta
grzeczna, uprzejma i, jak się
rzekło, gościnna".

W gniewie i zwadach bywała
straszna, batogami hojnie
szafowała, lecz wyrafinowanego
sadyzmu mniej w niej może było
niż gdzie indziej. Co prawda
Jan Zamoyski w charakterystyczny
sposób odpowiedział królowi

szwedzkiemu, który pogardliwie odrzucił wyzwanie na pojedynek, twierdząc, że ze szlachetką mógłby się bić tylko na kije. I u nas - odpisał kanclerz - istnieją kije, którymi kaci sprawnie się posługują. Nazywają się... pale. Niemiec Reinhold Heidenstein opowiada jednak, że kiedy na Wołoszczyźnie nawlekano na pal pewnego burzyciela i okrótnika, obecni przy tym Polacy patrzyli ze wstrętem, u siebie takich rzeczy niezwykajni. A może - dodajemy dla ostrożności - niezbyt jeszcze otrzaskani z rodzajem karni, którą w stuleciu XVII uznano za normalną, zwłaszcza dla Kozaków.

Nierządnicę, niekiedy przynajmniej, skazywano wtedy na dość osobliwą pokutę.

Dawało się delikwentce nóż i wsadzało ją do kosza, uwiązanego u pochylonego nad wodą żurawia. Miała do wyboru - albo wisieć pomiędzy niebem a ziemią, albo przeciąć powróż i skapać się publicznie. Utonąć nie mogła, bo wybierano miejsca płytkie. Zwyczaj ten, przyjęty od Niemców, przestrzegany bywał w Wielkopolsce, zwłaszcza w chłodnej porze roku.

W Krakowie przeznaczonych na ścięcie zbrodniarzy tracono pod pręgierzem przed kościołem Mariackim. Władze nie protestowały, jeśli rodzina grzebała później ciało na cmentarzu przy tejże świątyni. Przed nią także palono na stosach skazanych na ten rodzaj kary.

A skoro już jesteśmy w Krakowie... Mniejsza o to, jak wyglądał w chwili narodzin Anny Jagiellonki, czyli w październiku 1523 roku. Szczęśliwym zbiegiem

okoliczności rozporządzamy za to opisem miasta dokonany w roku jej zgonu - 1596. Przez te siedemdziesiąt trzy lata jedynie pożary i epidemie mogły zaszkodzić stolicy. Raz tylko osmałiła jej mury krótkotrwała i niezbyt groźna wojna, domowa raczej niż z wrogiem zewnętrznym.

"Miasto Kraków nie jest zbyt wielkie, formy prawie okrągłej, w godzinie je obejść można. Otaczają je mury i baszty, okolne fosy, gdy potrzeba, napełnione być mogą wodą. Jest bram dziewięć nie bardzo odległych jedna od drugiej. Domy wewnątrz są wszystkie z kamienia lub cegły, lecz po większej części kryte gontami". Specjalni stróże chodzą nocami po ulicach, obwołując czas i strzegąc od ognia. Pilnie wypatrują go również "płatni trębacze",

którzy przez całą dobę regularnie co sześćdziesiąt minut z wieży kościoła Najświętszej Maryi Panny "obracają się na wszystkie strony miasta" i obwieszczają godziny tym obywatelom grodu, którzy akurat nie mogą spojrzeć na zegar, umieszczony na tejże wieży, ani dosłyszeć jego bicia. "Wynalazek piękny - pisze Giovanni Paulo Mucante, sekretarz i magister ceremonii przy boku legata, kardynała Henryka Gaetano - przypominający śmiertelnym, jak szybko lecą godziny dni naszych". Ponadto jeszcze "cokolwiek przed blaskiem zorzy odzywa się ze wszystkich wież Krakowa słodka muzyka fletów i innych instrumentów dętych, witająca, iż tak rzekę, wschodzącą zorzę, a raczej wielbiąca Tworcę zorzy, słońca i wszech rzeczy". Nic więc dziwnego, że w tak bogobojnym mieście wielu

mieszkańców zrywa się przed
świtem i spieszy do kościołów.

Rynek Główny - czyli
"niezmierny plac
czworograniasty", większy od
sławnych włoskich - sprawiałby
imponujące wrażenie, gdyby nie
był cały zapchany kramami kupców
i drewnianymi budami
najrozmaitszych rzemieślników.
Nabyć tam można wszystko - od
szkła po cytryny. Obok - ile
dusza zapragnie - ogrodowizny,
owoców, mięsa wszelakich
rodzajów i gatunków, żywych
cieląt, karmnego drobiu, bitej
zwierzyny. Jest bardzo czysto,
bo uboju na rynku dokonywać nie
wolno. Dostarcza się gotowe
mięso, zawija je w "piękne
szmaty", a sprzedaje
"niezmiernie tanio".

Łatwo w Krakowie o najbardziej
luksusowe wyroby z całej Europy,
które wraz z innym zagranicznym
towarem sprowadza się z Gdańska
wodą. "Nie rozumiem - powiada
Włoch - żeby było drugie miasto

tak obficie zaopatrzone we
wszystko, jak Kraków, i
sprawiedliwe jest tu dawne
przysłowie, iż gdyby nie było
Rzymu, tedyby Kraków był Rzymem".

Miał on wtedy około dwudziestu
tysięcy mieszkańców, był więc co
najmniej o połowę mniej ludny od
Gdańska. (Jeszcze w sto lat
później Berlin liczył sześć
tysięcy; po skasowaniu przez
Ludwika XIV tolerancji
religijnej przybyło mu dokładnie
drugie tyle - samych
protestantów francuskich,
których potomkowie rychło stali
się Niemcami).

Nie można uznać ówczesnego
Krakowa za miasto czysto
polskie. Oprócz nacji stale
zamieszkujących Rzeczpospolitą -
więc Polaków, Litwinów, Rusinów
i Żydów - pełno tam było na

stałe osiadłych kupców
angielskich, francuskich,
flamandzkich, włoskich,
tureckich, perskich i
moskiewskich. O wrosłych w
stolicę Niemcach trzeba
wspomnieć osobno. W roku 1536
specjalna uchwała sejmowa
wprowadziła kazania polskie do
kościół Mariackiego. U Św.
Wojciecha pod sam koniec
stulecia XVI jeszcze czasem
usłyszeć można było niemieckie.
W roku 1539 wydrukowano ciekawy
podręcznik, takie sobie
"rozmówki polsko_niemieckie".
Treść książeczki mówi za siebie
- dziełko przeznaczone było dla
kobiet. Zajęci handlem mężowie
siłą rzeczy znać musieli język
miejskowy. W wieku XVI Niemcy
krajowi polszczyli się szybko.
Podręcznik dla kobiet znakomicie
przyśpieszał ten proces.

Wawel podobał się magistrowi
Mucante. O wiele mniej go
zachwyciły ulice krakowskie.
Były brukowane, owszem, ale tak
wielkimi i źle do siebie
dopasowanymi głazami, że trudno
było chodzić pieszo, jazda zaś
karetą stanowiła męczarnię -

przynajmniej dla Włochów. Na
niektórych zresztą ulicach bruk
znajdował się tylko po bokach,
pas środkowy zajmowały
przepastne bajora.

W jatkach miejskich, jak się
już wspomniało, panowała wzorowa
czystość - higieny w ogóle było
mało. Czytając zapiski ówczesne
stale dowiadujemy się o
ucieczkach przed "powietrzem".
Zaraza ciągle gdzieś kogoś
płoszy, przepędza z miejsca na
miejsce. W Polsce epidemie są
zjawiskami tak częstymi, iż
rzadko się zdarza, by wszystkie
prowincje kraju naraz były od
nich wolne - głosi jeden z
diariuszy podróżniczych. - I

dlatego może właśnie -
roztropnie dodaje autor - pomory
nie sprawiają tu tych okropnych
skutków, jakie się ogląda na
przykład we Włoszech.

Na wieść o nadciąganiu
"powietrza" Kraków zazwyczaj
pustoszał. Zamykano sklepy i
warsztaty, przestawano nawet
wykupywać weksle. Szlachta i
bogatsze mieszczaństwo uciekali
na wieś, w co bardziej głuche
strony. Od moru cierpiało przede
wszystkim pospólstwo. Magistrat
najmował grabarzy i przybierał
ich w czarne oponcze z białymi
krzyżami. Krążyli ulicami i
usuwali zwłoki.

Razu pewnego Zygmunt August
zaprosił Mikołaja Radziwiłła do
Knyszyna, gdzie spędzał miodowe
miesiące swego trzeciego stadła.
Mam nadzieję - pisał do
podczaszego - że przebywasz w
okolicy wolnej od zarazy; na
wszelki wypadek zatrzymaj się
jednak opodal na jakie "dwie
niedziele dla okurzenia".

Pomór odpędzało się wtedy
dymem. Kto tylko mógł, ten
układał przy swej siedzibie i
podpalał stosy suchych liści
dębu i popiołu. Zarządca
wiejskiej rezydencji królewskiej
musiał chyba trzymać ich sterty
całe - na wszelki wypadek. Dwór

ustępował przed "powietrzem" z
Krakowa prosto do Niepołomic,
które zaraz spowijały się chmurą.

Członkowie legacji kardynała
Hipolita Aldobrandini,
późniejszego papieża Klemensa
VIII, nie żywili wątpliwości,
kto ponosi odpowiedzialność za
trapiące Rzeczpospolitą choroby.
To Żydzi "niechlujni i plugawi
przez same nieochędństwo, ba!
nawet samym tchnieniem mogą stać
się przyczyną morowego powietrza
i wszelkiej innej zaraźliwej
choroby tam, gdzie mieszkają".

Krajowcy inaczej pewnie rzecz ta
rozumieli, skoro - ku zgorszeniu
członków legacji - Żydzi
"wszędzie w Polsce nie noszą
żadnego znaku, ani ich można
odróżnić od innych obywateli,
tylko z twarzy nie obmytej wodą
chrztu świętego".

W roku 1538 dekret Zygmunta
Starego narzucił Żydom żółte
czapki, kasując stare
postanowienie Władysława
Jagiełły, które nakazywało im
przyszywać do odzienia koła
czerwone. Za Zygmunta Augusta
wszystko to poszło w tak
gruntowne zapomnienie, że pewien
dyplomata nie mógł się
powstrzymać od okrzyku
zdziwienia: a cóż to za
kraj taki, w którym Żydzi nie
tylko nie różnią się od
chrześcijan strojem, ale
paradują z szablami!

Spostrzeżenie powyższe
dokonane zostało we Lwowie.
Oddaliliśmy się więc od Wisły, a
tymczasem logiczny spraw
porządek wymagałby raczej
posuwania się z jej biegiem. Nad
Wisłą bowiem wznosiły się
miasta, na które przede
wszystkim należało chociaż okiem
rzucić.

W chwili narodzin królowny
Anny Warszawa nie leżała w
granicach Korony Polskiej.
Dopiero w trzy lata później
Mazowsze zostało do niej
włączone. Pierwszą warszawską

czynnością znanego nam już
magistra Mucante był hołd,
złożony zwłokom tejże Anny,
królowej wdowy, zmarłej niedawno
w stolicy Rzeczypospolitej
Obojga Narodów. Na skraju miasta
obejrzał sobie Włoch "piękny
most z potężnych balów", długi
na tysiąc sześćset "kroków
zwyczajnych". Odczytał na jego
baszcie bramnej napis łaciński,

głoszący, że most ten
niezmiernym kosztem przez króla
Zygmunta Augusta rozpoczęty,
dokończyła i umocniła "Anna
Jagellonia, Poloniae Regina,
Magnorum Regum Coniunx, Soror,
Filia..."

Właśnie w roku 1596 Zygmunt
III ostatecznie przeniósł
stolicę z Krakowa do Warszawy.
Wcześniejszy już awans
zawdzięczało jednak miasto także
i Annie. Ostatnia "gałązka"
dynastii Jagiellonów
przyzwyczaiała po prostu kraj do
ogładania się na dawną siedzibę
książąt mazowieckich. Spędziła w
niej ze trzy czwarte swego
długiego żywota.

Dziś, kiedy Starówka
Warszawska podniosła się z
popiołów w zabytkowym kształcie,
nie sposób bez wzruszenia czytać
notatki sprzed lat bez mała
czterystu. Szczupłe miasto -
pisze Mucante - całe obwiedzione
podwójnym murem z niewielkimi
basztami. Rynek dość obszerny,
szczelnie obudowany "pięknymi
domami" z cegły, które tym się
odznaczają, że są wszystkie
jednakiej prawie wysokości. Na
zewnątrz murów, przez które
prowadzi pięć bram, leżą o wiele
obszerniejsze i "dość piękne",
aczkolwiek błotniste,
przedmieścia - wśród nich Nowe
Miasto, całe niemal z drewna.

Kardynałowi Gaetano oraz
prałatom wyznaczono trzy
kamienice w Rynku, które "lubo
wielkie w porównaniu z drugimi,
przecież w skutku tak małe, iż
we ich trzech sposobem włoskim

jednego wygodnego domu urządzić
by nie można". Legat musiał się
zadowolić izbą, przedpokojem,
który mu służył za salonik, oraz
alkierzykiem, gdzie obiadował.
Prażatom przydzielano pojedyncze
pokoje. Dworzanie oraz służby

tłoczyli się po kilku w jednym pomieszczeniu. Kucharze kardynalscy gotowali strawę wprost na Rynku, pod wystawionymi ad hoc budami. Miejscowi doradzili im pewnie ten sposób, stosowany z reguły przez wszystkich przyjeżdżających do stolicy senatorów i posłów. Rynek warszawski, polskim obyczajem zatłoczony kramami kupców i rzemieślników, musiał dodatkowo pomieszczać klecie kuchenne.

Gospód w Warszawie nie było, bo wszystkie domy spełniały ich funkcje. Z rozkazu królewskiego mieszczenie musieli ustępować swych mieszkań przybywającym na sejmy oraz na inne okazje dostojnikom i szlachcie. Dla siebie zatrzymywali sławetni tylko nieliczne izby. Z czasem dopiero miały poza murami stanąć pałace magnackie, nadając Warszawie jej charakterystyczne piętno.

Zamek Królewski uznał Mucante za "wspaniałą i wygodną", położenie zaś całego grodu za piękne. Zachwycił go zwłaszcza rozległy widok: "Rzeka Wisła płynie u spodu myjąc mury miasta, mętą, gliniastą wodą oblane, za Wisłą wesołe odkrywają się pola i smugi". Tuż blisko rośnie mnóstwo ładnych sadów, a gruszki podwarszawskie są stanowczo smaczniejsze od krakowskich.

Bruki za to równie złe jak pod Wawelem, miejscami błoto sięga koniom po brzuchy. Przyszło specjalnie prosić marszałka Zebrzydowskiego, by kazał oczyścić ulice przed wjazdem legata. Pogoda, która nastąpiła nareszcie po długotrwałych

deszczach, ułatwiła zadanie.

Szkoda wielka, że Giovanni Paulo Mucante nie puścił się

Wisła aż do jej ujścia. Dopiero by pojął, jakie głupstwo palnął, uznając Kraków za Rzym miejscowy.

Gdańsk wkroczył już wtedy w trzecią fazę swego rozwoju dziejowego. Na początku był wcale znacznym, aczkolwiek całkowicie drewnianym, miastem słowiańskim. Spalony przez Krzyżaków, w cieniu ich przepotężnego zamku wyrósł z czasem na jedną z największych nad Bałtykiem metropolii handlowych. W roku 1454 mieszczaństwo zrównało z ziemią burg komtura. Stanąwszy po stronie króla Polski, poddali się jego wcale niestrasznej władzy. Od razu uzyskali tak rozległe przywileje i swobody, że miasto ich stało się wewnątrz monarchii autonomiczną republiką, zarządzaną przez miejscowych arystokratów pieniądza. Teraz dopiero nastąpiły dla Gdańska złote czasy. Zawijały doń setki okrętów o kolorowych żaglach. Przybijały do nadbrzeży nie burta, jak teraz się dzieje, lecz wysoko zadartą, rzeźbioną i malowaną rufą. Kotwiczyły jeden przy drugim. Wąskie, pięknie zdobione frontony kamienic patrycjuszowskich powtarzały niejako na suchym lądzie widoki portowe. Najwyższy i największy na ziemiach polskich kościół stał w Gdańsku, wieża ratuszowa bodła niebo, wielopiętrowe domy mieszkalne pięły się w górę. Miasto tworzyło zwartą, wyniosłą, z daleka widoczną bryłę. Było przecież portem. Jego zewnętrzny wygląd winien był ułatwiać żeglarzom to, co pewien marynarz i wielki pisarz zarazem określił jako "zaoczenie lądu". (Joseph Conrad "Zwierciadło morza").

Z chwilą dobrowolnego poddania

się Polsce miasto zmieniło herb.
Nad dwoma krzyżami pojawiła się
królewska korona. W XVI stuleciu
coraz rzadziej pokazywała się
bandera gdańska w przystaniach
Europy. Czasem można ją było
zobaczyć aż w Lizbonie, jednakże
większość statków,
przybijających do nabrzeży
Motławy, należała do
cudzoziemców z szerokiego
świata. Gdańszczanom już się nie
opłacała fatyga żeglugi.
Wygodniej było na miejscu
zgarbiać zyski z pośrednictwa w
wywozowym i przywozowym handlu
Rzeczypospolitej. I rozwijać
rzemiosło, obsługujące potrzeby
szlachty polskiej. Na tym
właśnie polega trzecia faza
rozwoju miasta. Za dni Anny
Jagiellonki dobrobyt jego rósł
nieustannie, krzywa wszystkich
statystyk szła w górę, co trwać
jeszcze miało przez długie
dziesięciolecia po jej zgonie.

Czy było pasożytem miasto,
które obronną ręką wyszło z
zatargu, nawet z wojny z dwoma
królami Polski - bratem i mężem
Anny? Bądźmy ostrożni z
zarzutami. Gdańszczanin ówczesny
był poddanym monarchy polskiego,
lecz patriotą przede wszystkim
gdańskim. Fortunę wielonarodowej
metropolii uznajmy lepiej za
niezrównany miernik możliwości
materialnych, jakie miała przed
sobą wieloplemienna
Rzeczpospolita. To ona przecież
wywoziła tędy swe zboże i
drewno, miód, skóry, mięso,
kopaliny, wełnę i wszelki w
ogóle produkt dorzecza Wisły.
Dla niej wyładowywano nad
Motławą jedwabie, kobierce,
sukna - nawet cytryny i
pomarańcze, które w świeżutkim
stanie docierały później drogą
lądową aż do Wilna.

Za rządów siostrzeńca Anny
król szwedzki narzucił haracz
handlowi gdańskiemu. Pieniądze,
które zdarł, poszły na
sfinansowanie jego udziału w

niemieckiej wojnie
trzydziestoletniej. Zaplecze
Gdańska miało przeważnie
charakter rolniczy, ale zyski
płynęły zeń ogromne.

"Nie ma podlejszego niewolnika
niż kmić polski" - twierdzili
jedni cudzoziemcy. "Na Litwie
lud w nędzy dźwiga kajdany
niewoli" - dorzucali drudzy.

Dzisiejsi historycy powiadają
nam, że do późniejszego dna było
jeszcze daleko. Tu i ówdzie w
Koronie wieśniacy cieszyli się
wcale znacznym dobrobytem,
miewali bogaty inwentarz,
pożyczali nawet szlachcie
pieniądze. Z reguły obecni byli
na rynku wewnętrznym, nabywali w
miastach i miasteczkach,
rojących się od rzemieślników.
To chłop stwarzał popyt... a
mówiąc najprościej kupował buty,
zrobione przez szewców, których
tuziny i kopy liczyło sobie
każde osiedle. Wareckiego i
gdańskiego piwa pewnie nie
pijał, lecz na wodzie chyba nie
poprzestawał, bo z czegoś by
wtedy żyły legiony piwowarów,
figurujące w spisach podatkowych?

Ale coraz cięższe jarzmo
znosił, opierał się stosunkowo
słabo. Wiek XVI znał wielkie
bunty chłopskie, lecz nie u nas.
Polscy poddani - piszą
pamiętnikarze - dostawszy baty,
co zdarza się aż nazbyt często,
miewają zwyczaj dziękować
pokornie.

Niedawno temu wydano nareszcie
sławną "Liber chamorum"
Waleriana Nekandy Trepki. Gdyby
nie mizerny nakład, szersza
publiczność mogłaby bez
przeszkód zapoznać się z
dziełem, obrazującym jedną z
najgorszych klęsk dawnej Polski.
Złośliwy a zajadły autor
pracowicie spisywał nazwiska
bezczelnych plebejów, którzy
oszukańczo wpychali się w

szeregi stanu szlacheckiego.
Rozpaczwał nad tym zjawiskiem.
Całkowicie podzielał jego

uczucia, lecz z innego zupełnie
niż on powodu.

Trepka znał dobrze lub nieźle
Małopolskę i Ruś Czerwoną, o
pozostałych dzielnicach miał
słabe pojęcie. Poszukiwał w
ramach czterech zaledwie
dziesięcioleci, a książka jego
zawiera dwa tysiące pięćset
trzydzieści cztery pozycje,
jakby hasła encyklopedyczne.
Każde z nich opowiada co
najmniej o jednym wypadku
"awansu społecznego" wbrew
prawu, niektóre o wielu takich
faktach.

"Liber chamorum" odnosi się w
zasadzie do pierwszej połowy
XVII wieku, ale wcale to nie
przeszkadza wyzyskaniu jej
treści tutaj. Mówi się w książce
i o potomstwie cyrulika Anny
Jagiellonki, i o jej osobistym
znajomym, Łukaszu Górnickim,
łyku z Oświęcimia, szlachcicu
fałszywym, i o zbyt pewnych
siebie sługach króla Stefana.
Sam autor urodził się zresztą za
jego czasów, w roku 1584 lub
następnym. Ciągłe się powoływał
na obwarowujące klejnot
szlachecki ustawy, wydane w
dobie, której poświęcone są te
stronice. A najważniejsze, że
jeśli w XVII stuleciu łatwo było
wśliznąć się pomiędzy herbowych,
to w wieku XVI jeszcze chyba
łatwiej.

Cóż za życiorysy wyszperał i
krótko, lecz zawsze jadownicie
popisywał pan Walerian! Jakże
blado w porównaniu z nimi
wyglądają powieści kryminalne.

Różne drogi prowadziły z
nizin społecznych w świat
przywileju. Licznych plebejuszów
wypromowali na szlachtę sami
magnaci. Dobrotliwy pan Ligęza

wszystkich swych famulusów
przemianowywał na "ski". Można
pan Lubomirski wypchnął w górę
dziesiątki sług. Inni tak
wspaniałomyślni nie byli. Woleli
tylko mieć w swych dobrach
"urzędnikami" chłopów, a nie

panów braci. I oto pourzędniczył
sobie trochę jeden i drugi
obrotny syn kmięcy, a już
"kilkaset złotych w skrzynce
prędzej miewał niż pan kopę w
szkatule". Jak zawsze na
świecie, pieniądze daleko i
wysoko wiodły. Wystarczyło
pokręcić się trochę koło szaraka
spod Oświęcimia, fundować mu i
dać nieco podarków, a wielmożny
z wiehczami w butach
odwdzięczał się urzędowo
potwierdzonym pismem o uznaniu
pokrewieństwa. Zaopatrzony w
taki dokument prostak z Korony
brał za żonę zbiedniałą
kniaziównę z Litwy.

Łatwo było w Rzeczypospolitej
zostać zamożnym człowiekiem.
Ustawy sejmowe zabraniały
mieszczanom nabywania ziemi, a
Nekanda Trepka opowiadał o
czeredach plebejów, kupujących
"spłachcie" i wsie nawet.

Można też było awansować
dzięki pracy umysłu. Pojechał
ktoś za granicę pańskim
pachołkiem, powrócił biegłym
znawcą kilku języków, obtartym w
świecie bywalcem. I już nie
spadł do poprzedniej kondycji,
pozostał wśród panów.

Najbardziej uderzającą cechą
opowiadań Nekandy jest srogość,
brutalna bezwzględność, zupełny
amoralizm postępowania wielu ich
bohaterów. W górę za wszelką
cenę! Ci ludzie wszystko by
zrobili, byle się wyrwać z
poddaństwa. Krew, mord,
nikczemność też dobre, gdy wioda
do herbu. Masztalerz ze
Szczekocin bierze za żonę

szlachciankę, która zaszła w
ciążę z własnym ojcem. Dostaje
tysiąc dukatów i rusza w świat
po szczęście. Inny morduje
wracającego z wojny żołnierza,
mającego "na koniu sakwy
nałożone zdobyczą bogata ze
stolicy moskiewskiej", wywozi
trupa nocą "precz od miasta na
gościniec", potem zaś ofiarowuje
królowi kilka tysięcy "o list na

ślacheństwo". Jeszcze inny kijem
przepędza starych rodziców, bo
już zaczął się wspinać i chce
zerwać więzy przeszłości. Był i
taki - niejeden pewnie - co
zagrożony zdemaskowaniem i ruiną
wolał popełnić samobójstwo niż
wracać, skąd wyszedł.

Co strona w tej książce, to
oszustwo, przestępstwo lub
zbrodnia.

Opryszki i hochsztaplerzy
mogli w innych nieco warunkach
wyrósnąć na przywódców wystąpień
zbiorowych. Płynną w
rzeczywistości granicę szczelnie
w teorii zamkniętego szlacheństwa
co roku przekraczały setki
najbardziej rzutkich mieszczan i
chłopów. Drogi łatwe kuszą i z
reguły potężnie demoralizują. Po
cóż organizować przeciwko
dworowi wieś, kiedy można w
pojedynek wyrwać się lub wymknąć
z niewoli? Ryzyko mniejsze,
rezultat nieskończenie
pewniejszy. Najbardziej hardzi i
twardzi, tacy, co się nie
chcieli pogodzić z poniżeniem,
odchodzili. Pozostawali na wsi
przeważnie potulni, tacy, co dla
świętego spokoju dziękowali za
baty.

Nekanda zapewnia, że synowie
kuźników niemal z reguły
"szrowowali się" z powodzeniem
na szczebel ziemiański. Klęska!
Dzieci wolnych majstrów
fabrycznych, element społecznie
jak najbardziej obiecujący,

dezerterowały zamiast przewodzić plebsowi.

Potomek królewskiego grabarza mógł zostać rotmistrzem, chłopowicz pułkownikiem, łyczek z Kujaw trafić do senatu Rzeczypospolitej. Pan Nekanda Trepka, który rozpaczał nad niedostatecznym obwarowaniem szlachectwa, ani pojmował, że opiewa najlepszą gwarancję jego przywilejów. Płynne granice stanów to były po prostu otwarte wentyle. Wydobywało się przez nie na wierzch to, co

najbardziej kipiało. Okoliczność błogosławiona dla ustroju społecznego, zapewniająca mu trwanie w bezruchu. W XVII stuleciu przywódcami buntów chłopskich bywali u nas przeważnie drobni, lecz autentyczni, nie fałszowani szlachcice.

U schyłku żywota przybyło Annie Jagiellonce nowe zmartwienie. Pustoszały jej mazowieckie włości. Starsza pani nakazywała nawet swym ekonomom oględność w postępowaniu z ludem, sądząc widać, że jedyną przyczyną odpływu jest ucisk. Myliła się gruntownie.

Po unii lubelskiej, kiedy Kijowszczyzna, Wołyń i Podole zostały przyłączone do Korony, lunęły w tamtą stronę istne żywe potoki. Obcy obserwatorzy pisali o wyludnieniu się rozległych połaci Polski właściwej. Nad Dniepr i Dniestr waliły dziesiątki tysięcy... indywidualnych przedsiębiorczych, nie lękających się nowości i ryzyka.

Możliwość wkręcenia się między szlachtę pozbawiła lud polski wielu silnych jednostek. Od jednego zamachu dokonany rozrost terytorialny Korony zabrał mu ich masy. Największe w dziejach Rzeczypospolitej powstanie

ludowe wybuchnąć miało wkrótce
właśnie tam, dokąd one poszły.

Patrzmy nadal na Polskę
ówczesną oczyma inteligentnych
cudzoziemców.

Ich opinie o naszych osiedlach
dość ściśle zależały od pory
roku, na którą przypadło
zwiedzanie. Siołom i
miasteczkom, na własne
nieszczęście przedstawiającym
się w listopadzie, zawsze
dostawało się sporo cierpkich
słów.

Budulec to przeważnie drewno.
Wewnątrz murów takiej Wiślicy
mało ceglanych domów. Całkowicie
ich brakowało w ówczesnym
Bytomiu, leżącym już nie w

Polsce, lecz w granicach
cesarstwa. Tam tylko ratusz był
z cegły. Będzin, brudny i cały
niemal drewniany, zamieszkiwał
lud ubogi. Olkusz natomiast
wydał się podróżnym "jak na
polskie miasteczko" wcale czysty
i wesoły. Obfitował w bardzo
piękne domy. W jednym z nich
kardynał Aldobrandini znalazł
kwatere znacznie wygodniejszą od
tej, jaką dano w Warszawie jego
poprzednikowi, kardynałowi
Gaetano. Ani porównania z
Bytomiem, gdzie legat musiał z
własnej kieszeni zapłacić za
wstawienie drzwi, okien i pieca
do przyznanej mu izdebki.

Olkusz musiał być rzeczywiście
przyjemnym osiedlem, skoro
pozyskał tyle komplementów.
Włosi bawili w nim w najgorszej
porze roku - od 24 października
do 26 listopada.

Dziwny kraj! - pisał jeden z
ich rodaków - sam to widziałem,
że zimą powierzchnie wód
tamtejszych ścinają się w
szkliwo twarde jak marmur, po
którym ludzie mogą bezpiecznie
chodzić, a wozy jeździć. Uwag
tego rodzaju w relacjach nie

brakuje. Nie znajdujemy za to biadań nad losem istot, którym wypadło żyć w tak okrutnym klimacie. Bystry obserwator zauważy, owszem, nędzarkę brnącą boso przez śnieg. Na ogół jednak sprawozdania tchną zrównoważonym spokojem: domy ogrzane, ludzie ubrani dostatnio. Dopiero w XVIII wieku cudzoziemcy załamia ręce na widok bytu krajowców.

Otoczone na italską modłę zasadzonymi ogrodami siedziby wielmożów wydają się czasem gościom aż rozkoszne, chociaż niekiedy też bywają z drewna. Miejski pałac biskupa krakowskiego obszerny jest i piękny, ale duchowny wysokiej rangi nie może w nim, rzecz jasna, oczekiwać tych wygód, do jakich nawykł u siebie, we Włoszech. Wydaje się, że ta

ostatnia uwaga stanowi jakby syntezę całokształtu licznych sprawozdań: oczywiście gorzej, bardziej prymitywnie, o piętro niżej niż w kulturalnych krajach Zachodu, lecz wcale nie barbarzyńsko ani po nędzarsku. Barwnie nawet i wcale interesująco. A innym razem w sposób zasługujący na prawdziwy szacunek. Szkół nie brak - stwierdzają autorzy diariuszy. - Są wszędzie - w każdej mieścinie i niemal w każdej wiosce. (W wiosce kościelnej, dodajmy dla ostrożności i w zgodzie z prawdą).

Kraj zwiedzany przez nuncjuszków i opisywany przez ich sekretarzy zwano potocznie Polską. Nie odpowiadało to rzeczywistości. Ojcu i bratu Anny podlegały dwa państwa - Polska i Litwa - złączone osobą wspólnego panującego, dwuwiekowym współżyciem, interesami zwłaszcza w polityce zagranicznej - oraz typem

kultury, który, od wielu stuleci utwierdzony w Koronie, za jej pomocą i pośrednictwem coraz mocniej brał we władanie Wielkie Księstwo. Dopiero trzy ostatnie lata życia i rządów Zygmunta Augusta upłynęły w zmienionych warunkach. Stworzona w roku 1569 w Lublinie Rzeczpospolita Obojga Narodów posiadała wspólny parlament oraz - w teorii - politykę zagraniczną, ale jak najdalsza była nie tylko od praktyki, lecz nawet od zamiarów likwidowania historycznej i rzeczywistej odrębności Litwy. Wielkie Księstwo nie utożsamiało się z Koroną, pozostało sobą.

Kiedy zmarł ostatni z Jagiellonów i przyszło obrać nowego króla, ukazało się poświęcone tej sprawie pismo anonimowe, zatytułowane: "Rozmowa kruświcka o najjaśniejszym bezkrólewiu północy" (de nobilissimo Septemtrionis interregno).

Uczestniczyły w dyskursie dwie osoby: Piast_Kołodziej oraz Gość. Ten ostatni wspominał dawne czasy, kiedy to jego szanowny rozmówca wstąpił na tron gnieźnieński. "Łacno było naówczas jednemu narodowi - wywodził - w jednym pogaństwie będącemu pana sobie obrać, acz to i tam bez burd i trudności być nie mogło. Ale teraz, gdy w Rzeczypospolitej jednej i królestwie wspólnym siedzi Polak, Litwin, Rusak, Prusak, Żmudzin, Inflant, Podlasianin, Wołyńczyk, Kijowianin, żadnej drogi nie widzę, żeby ze swego narodu pana obrać mieli... bo Litwin nie będzie chciał Polaka ani Polak Litwina, Prusak żadnego z nich... jeżeli Prusacy biskupa i starosty Polaka nie chcą, jako króla mają chcieć?"

Głównym obrońcą i zazdrosnym

stróżem autonomii Prus
Królewskich - więc Gdańska,
Elbląga, Malborka, Torunia - był
wtedy ród Działyńskich.
Członkowie jego w domu mówili
zawsze po polsku, ale w sejmiku
prowincjonalnym złamali
odwieczny zwyczaj kraju,
składając przysięgę po łacinie.
Niemczyznę odrzucali. Biskup
Polak, którego Działyńscy nie
chcieli, to był Marcin Kromer,
sławny pisarz, Małopolanin z
Biecza. Zarzucano, że nie może
rządzić w Lidzbarku Warmińskim
(który nazywał się wtedy
Heilsbergiem), ponieważ nie
posiada pruskiego indygenatu i
jest z pochodzenia Niemcem.

Warto było pozwolić sobie na
dygresję, by uzmysłwić, jak
wielki absurd kryje się w
mniemaniu, że unia lubelska
skasowała odrębność Litwy. Ona
tylko udoskonaliła stan rzeczy
poprzednio istniejący, tworząc
solidną federację narodów.
Nacjonalizmy XIX i XX wieku
zepchnęły w zapomnienie to, co
było cechą charakterystyczną i
chlubą przeszłości. Ludzie XVI

stulecia cenili wielość w
jedności, nie chorowali na
"ponurą manię unifikowania".

Latem 1553 roku poseł
cesarski, Jan Lang, stanął wobec
niemiłej konieczności. Zygmunt
August wraz ze świeżo poślubioną
małżonką wybierał się na Litwę,
wypadało mu towarzyszyć,
zwłaszcza że młoda królowa była
cesarską córką. Ambasadora wcale
nie pociągał kraj, "w którym
więcej jest zwierza niż ludzi".
W liście do swego mocodawcy
wymownie więc opisał
uciażliwości i trudy podróży, od
której bardzo pragnął się
wykręcić.

Mało tam na Litwie miast i wsi
- donosił. - Podczas postoju

najlepsze domy przeznaczają się dla króla i królowej, podlejsze chałupy zajmują zaraz wielmożni, reszta orszaku musi rozbijać namioty, koczować. "Nie są też Polacy na tyle grzeczni, by obcym ustąpić miejsca" (widocznie lechicka uprzejmość, którą tak zachwalał nuncjusz Ruggieri, miała określone granice). Lang na pewno jednak przesadził twierdząc, że podczas podróży przez Litwę nie tylko trzeba mieć wszystko własne i wozić ze sobą, lecz często "mieczem kwaterę wywalczać". Prawdę za to zawiera pewnie inna wiadomość. Przed wyruszeniem na taką wyprawę co śmielsi dworzanie zawczasu prosili króla, by im pozwolił albo jechać przodem, albo podążali dobrze z tyłu.

Odliczmy ze dwadzieścia pięć procent na biadania stroniącego od fatygi dyplomaty - reszta też będzie wyrazista. Wielkie Księstwo i w dziedzinie cywilizacji, i kultury reprezentowało poziom o wiele niższy niż Korona. Dyplomacja papieska stale marzyła o pchnięciu Rzeczypospolitej do wojny z Turcją, nuncjusze zwracali więc pilną uwagę na

siły państwa Jagiellonów. Litwa - donosili do Rzymu - może wystawić znacznie mniej wojska niż Polska, i to siedzącego na lichszych, słabszych i niższych koniach. Jedynie stacjonowana tutaj artyleria jest mocna, liczy około stu osiemdziesięciu dział ciężkich i mnóstwo mniejszych. Zygmunt August ściąga bowiem na Litwę armaty z całego państwa, na co mocno sarkają Polacy, niezadowoleni z ogałacania ich własnych granic.

Rzeczpospolita najsłabszą ze swych ścian przypierała do

najcięższej problematyki. Wilno już od dwóch przeszło stuleci walczyło z Moskwą o zebranie wszystkich ziem ruskich, tracąc coraz większe obszary i ważniejsze pozycje. Dom Habsburgów bardzo pragnął zagarnąć Wawel i ostatecznie umocnić w ten sposób swą przewagę w Europie. Knuł i spiskował jak mógł, lecz do wojny się nie kwapił. Musiałby uderzyć na Koronę, kraj ludny i względnie zasobny. Pomagał więc sobie, stwarzając Rzeczypospolitej dodatkowe trudności - od wschodu właśnie.

Nie same tylko działa ciągnęły za Zygmunta Augusta z Polski na Litwę. W roku 1533 - a więc za czasów jego ojca - urzędującymi burmistrzami i rajcami w magistracie wileńskim byli:

Hrehory Meka, Hawryło Olichworowicz, Mikuła Seskowicz, Adaszko Siemianowicz, Juria Niestuka i Wasil Chwietkowicz. Na marginesie księgi, która nam przechowała ich imiona, widnieje notatka z XVII wieku. "Ruś wszystko bez Lachów". Ale już 18 listopada 1552 roku wydano w Wilnie wilkierz miejski po polsku. Nakazywał on, że "to wywołanie albo ahtowanie ma być przez ławniki odpowiedziano po polsku i po litewsku, i po rusku, aby wszyscy, którzy by słuchali, rozumieli".

Nigdy żaden koroniarz nie osiągnął godności wojewody wileńskiego ani się nawet o nią nie ubiegał. Żywioł polski płynął za to obficie na niskie piętra hierarchii społecznej, przynosząc ze sobą fachowość. Zygmunt August kazał starostom dbać o sprowadzanie z Korony majstrów biegłych w rozmaitych kunsztach i sam ich ściągał, kiedy tylko mógł. Za jego rządów

stanęła w Wilnie na Pióromoncie pierwsza na Litwie huta szkła, którą założył przybysz z Polski, Marcin Palecki (przodek, być może, pierwszego prezydenta socjalistycznej republiki litewskiej, Justasa Paleckisa). Przełożonymi wileńskiej uczelni jezuickiej, przetworzonej przez Stefana I na uniwersytet, byli Jakub Wujek z Wągrowca oraz Piotr Skarga z Grójca. Napływowy element polski zdecydowanie pomagał Wielkiemu Księstwu w podciąganiu się do tego poziomu, który w znających świat dyplomatach budził na ogół uznanie, wywoływał niekiedy pobłażliwy uśmiezek, lecz nie biadania i rozpacz.

Na razie jednak zadania się piętrzyły, a ich pomyślne rozwiązanie było kwestią spokojnego czasu, to znaczy zabezpieczenia Rzeczypospolitej przed ruiną wojenną.

Poczynając od roku 1569 państwo dzieliło się urzędowo na dwie prowincje: Koronę Polską i Wielkie Księstwo Litewskie. Dopiero w 1593 roku ustawa sejmowa o "porządku ze strony Niżowców" wymieniła nazwę kraju, który, wchodząc w skład Korony, posiadał własne oblicze i jak najpoważniejsze dane na odegranie roli trzeciego równouprawnionego członka Rzeczypospolitej. Konstytucja wprowadziła miano tej ziemi do nomenklatury oficjalnej. Została jednak wyprzedzona przez wytrawnego polityka, posła

weneckiego Hieronima Lippomano, który już w roku 1575 pisał o Ukrainie jako o osobnej prowincji państwa. Utożsamiał ją przy tym z księstwem kijowskim. Za jednym zamachem nazwał kraj i wymienił jego stolicę. Musiał zdawać sobie sprawę, że

Naddnieprze to coś jakościowo
odmiennego od Nadwiśla czy też
dorzeczy Niemna, odrębna
osobowość dziejowa.

Reinhold Heidenstein
pozostawił nam krótki opis
Ukrainy, datujący się z czasów
późnych, bo z dni panowania
Stefana I. Jest to relacja dość
naiwna, świadcząca, że autor
słabo znał historię, ale przez
swoją realizm wprost wstrząsająca.

Kijów, "kiedy wybudowany był,
jak dawno trwa, czy nie sięga aż
czasów Kolchidy i Eneasza, nie
wiadomo; zakryła wszystko daleka
przeszłość i obojętność
historyków". Tyle tylko zdołał
zasłyszeć autor, Niemiec z Prus
Książęcych, że książęta kijowscy
panowali niegdyś tym ziemiom,
gdzie leży Moskwa, oraz innym po
Morze Czarne i Dunaj. Pamiątki
minionej chwały to przede
wszystkim mur wokół obszaru,
który ongi zajmowało miasto, a w
nim brama "dawnej struktury",
pozłocista, wysoka na dwie kopie
rycerskie. Dużo zniszczonych
świątyń obrządku greckiego.
Sobór Św. Zofii przetrwał, lecz
w jakimże stanie! "Cały
mozaikowaty, na kształt
kościółów konstantynopolskich i
weneckich, strukturą i
wytwornością żadnemu z nich nie
ustępuje". Przysionek i kolumny
imponują marmurem, porfirem i
alabastrem, lecz dachu brak.
Nabożeństwa odbywać się nie mogą
i kościół niszczeje, "choć go
wszyscy najezdniccy oszczędzali z
powodu jego okazałej piękności".
Przy cerkwi Św. Andrzeja bytuja
mnisi prawosławni. Z dawnej
wspaniałości pozostał chór,
wykładany mozaiką, oraz wieża,

której wygląd przypomina tę
złocistą łuskę, jaką królowa
Anna kazała niedawno pokryć
kaplicę wawelską, grobowiec jej

ojca i brata.

Miasto nie korzysta już z zabytkowych murów obronnych. Przeniosło się niżej, przywarło do rzeki "i ani podobne do starego Kijowa". Prowadzi jednak zyskowny handel, korzystając ze znakomitych dróg wodnych - Desny i Dniepru. Częstymi gośćmi bywają w nim kupcy moskiewscy, rzadkie futra nabyć od nich łatwo.

"Nad miastem góruje zamek drewniany, ale niewart nawet nazwiska zamku. Zaniedbany zupełnie, prawie cały spróchniał".

Za czasów Stefana I wojewoda kijowski kazał odnowić i wzmocnić mury obronne Perejasławia, mające milę obwodu. Nadał również prawa miejskie mieszkańcom. U zbiegu Trubierzy i Illicza widnieje inny wał, "wyraźnie świadczący, że zamek stał tu kiedyś". Książę Ostrogiński nie odbudował go jednak.

Uwagę Heidensteina zwróciło wielce oryginalne ukształtowanie Białej Cerkwi, z której zamku oko ogarnia wielki obszar stepu. Miasto szerokie na trzy strzelania z łuku, długie jest prawie na pół mili i całutkie opasane wałem. Konieczne to, bo "kiedy Tatarzy Czarnym Szlakiem ciągną, Biała Cerkiew pierwsza na drodze im stoi". Dopiero Biała Cerkiew! Nic dziwnego, że ordy docierały w ludniejszą stronę Rzeczypospolitej jednocześnie z wieścią o sobie.

Zazwyczaj przejezdni cudzoziemcy nie zapuszczali się zbyt daleko i mało który z nich Kijów widział. Województwom południowo_wschodnim przyglądali się raczej od strony Podola i Lwowa, zwanego przez nich stolicą "Roxolanii", czyli Rusi

Czerwonej. Wystarczyło jednak i tego widoku...

"Podole posiada obszerne i żyzne pola - pisze słynny dyplomata, Antoni Maria Graziani - z lekka tylko odwrócona ziemia przyjmuje ziarno i więcej już nie tykana obfite plony wydaje. Żyzność tak wielka, iż jedno ziarno pięćdziesiąt rodzi. Powiadają, że dosyć jest tylko potrząsnąć kłosy, by bez żadnej uprawy aż do trzeciego roku mieć żniwo. W tych niezmiernych okiem równinach nie poruszona pługiem ziemia tak bujną trawę wydaje, iż człowiek łatwo w niej ukryć się może. Zapach trawy tej rozchodzi się daleko; tak jest tuczną, iż trzody, którymi się mieszkańcy więcej niż rolnictwem zajmują, odganiane z paszy być muszą, aby się nie przekarmiły. Cały ten kraj pełen jest miodu. Ten bez żadnego starania pszczoły po lasach składają, nawet po jamach ziemskich".

Ludzie tutaj "zboża nie więcej sieją, jak do użycia potrzeba. Na Podolu i Rusi wiele znajduje się jezior i sztuką zrobionych stawów i sadzawek, niemałe są z nich przychody, zdaje się bowiem, że wody obfitością walczą z ziemią. Największe i najlepsze są szczupaki. Solą je i sąsiedzkim narodom z wielką korzyścią sprzedają. Ci, co blisko własne stawy mają, oddzielają rodzajami ryby, aby się nie mieszały. Łowią najwięcej w zimie..." niewodami spod lodu, sposobem po dziś dzień praktykowanym.

"Najżyźniejsze atoli Podola równiny, ciągnące się ku Czarnemu Morzu, nie zamieszkane, głuchej pustyni wystawują postać. Barbarzyńcy snują się po nich ustawnie, nie uprawiają ich, gdyż zboża nie ma gdzie wywieźć. Nie tak szczęśliwi jak mieszkańcy innych Polski prowincji, którzy Wisłą, Niemnem, Dźwiną płody swe do

Bałtyckiego Morza spławiają".

Uwagi te spisano w schyłkowych latach panowania Zygmunta Augusta. W czasach późniejszych Korona Polska dopomogła Ukrainie zaludnić się gęściej i rozwinąć gospodarczo.

Wspomniało się już o odpływie mas ludzkich znad Wisły w stronę Naddnieprza. Dodajmy jeszcze, że przybysze w interesie własnym stapiali się z ludem miejscowym, przyjmowali jego język, często nawet wiarę.

Sejm Rzeczypospolitej nie potrafił rozwiązać nowej problematyki politycznej. Okazał się niezdolny do przebudowy dwoistego państwa na troiste. Na Ukrainie doznała klęski i załamała się historia trzech narodów.

Antoni Maria Graziani zanotował ważne spostrzeżenie, dotyczące autochtonicznej ludności Naddnieprza i Naddnieprza: "Rusini prócz nabożeństwa i zwykłych modlitw żadnych innych nauk ni kazań nie mają, a to dlatego, aby lud nie zastanawiał się nad tajemnicami, lecz ślepo wierzył. Z tej to przyczyny lud wiary greckiej nie znający innych języków, nie wdający się w dysputy, nie współkujący z obcymi, uporzyciwiej nad innymi przy wierze swej stoi".

Autor tych inteligentnych rozważań, jak mógł, tak popierał w Rzeczypospolitej kontrreformację. Reakcja katolicka miała już wkrótce oderwać od Ukrainy całe jej rdzenne możnowładztwo, przerobić je na szczególnie znieawidzoną odmianę Lachów i głęboko zrazić do Polski lud.

Prosto z Rusi Czerwonej pociągnął Graziani do Piotrkowa. Obróćmy i my na zachód, bo wymaga tego wewnętrzna logika niniejszego szkicu.

Jak pamiętamy, spośród
pomniejszych miast polskich

szczególnie Olkusz podobał się
wędrującym przez Polskę Włochom.
Nic dziwnego, żył przecież ze
swych kopalń, a srebro olkuskie
taki nuncjusz Ruggieri uznawał
za najprzedniejsze w Europie -
mniejsza o to czy słusznie. W
roku 1551 Zygmunt August
obdarzył tamtejsze kopalnie
nowym statutem. Nakazał też
wydźżyć dwa kanały odwadniające
- Bonikowski i Bielecki -
ciągnące się aż do wsi
Bolesławice. Jeszcze przez
okrągły wiek było wszystko w
Olkuszu nieźle, a przynajmniej
jako tako. W grudniu 1655 roku
generał szwedzki M~uller pognął
miejscowych górników pod
Częstochowę, gdzie wyginęli z
rąk obrońców, ryjąc aprosze
minowe. Zabrakło rąk do pracy w
kopalniach, system odwadniający
zmarniał.

Względny dobrobyt
Rzeczypospolitej Obojga Narodów
przepadł w katastrofach
wojennych. Dzieje Olkusza mogą
więc posłużyć za symbol. Państwo
popadło w nieszczęście, ponieważ
w porę nie potrafiło nie tyle
wytworzyć, co skupić
dostatecznej siły materialnej i
trzymać jej w gotowości. Karol
Gustaw nie dlatego uderzył na
Polskę, że się ujął za
romansowymi krzywdami
Radziejowskiego. Widział nad
Wisłą i Niemnem łatwy łup,
konieczny do utrzymania
wybującej ponad skandynawskie
możliwości potęgi szwedzkiej.

W relacjach nuncjuszków i
innych osób o Polsce XVI wieku
jedno ciągle powtarzające się
spostrzeżenie razi i wydaje się
wprost nieprawdziwe. Ten
obszerny kraj - twierdzą obcy -
jest niemal pozbawiony twierdz.

Właściwie istnieją tylko trzy:
Malbork, Lwów i Kamieniec
Podolski, warowny samą naturą
miejsca. A przecież w całości i
krasie stały wtedy dziesiątki
zamków Kazimierza Wielkiego,

tych samych, których ruiny
zachwycają dziś turystów na
"Szlaku Orlich Gniazd", na
Podkarpaciu, w Wielkopolsce, nad
Wisłą. Co było twierdzą za
ostatniego Piasta, za dni
ostatniego z Jagiellonów być nią
przystało. Popasając w Iłży
zachwycał się Mucante cudnym
widokiem na niwy, smugi, bukowe
i świerkowe lasy. O samej zaś
warowni biskupa krakowskiego
napisał: "Zamek na kształt
fortecy, są w nim i działa". Za
prawdziwą fortecę tej budowli
nie uznał.

Pod Pskowem wojska Stefana I
stanęły wobec potężnych murów z
kamienia, w których działa
polskie, litewskie i węgierskie
bez zbytniego trudu czyniły
wylomy. Za to wewnątrz
szturmujący natykali się na
podwójny szereg palisad, między
które obrońcy nasypali ziemi aż
do szczytu. To była dopiero
prawdziwa przeszkoda. Przy
starożytnych basztach Pskowa
sterczały bastiony z belek,
zabezpieczone też ziemią.
Umieszczone wewnątrz działa
kryły kurtyny ścian ogniem
bocznym i wiązonym. Mury innych
zamków pokryto zawczasu grubą na
dwadzieścia i więcej stóp
warstwą darni, w której więzła i
gasła znaczna część "kul
ognistych" króla Stefana.

Kazimierz Wielki nie tylko
wznosił liczne fortece, lecz
także zaopatrzył swe państwo w
działa, wyprzedzając w tej
mierze samych Krzyżaków. Od jego
czasów technika artyleryjska
poczyniła postępy tak wielkie,

że dawny system obrony stałej został po prostu zdegradowany, niemal przestał się liczyć. Rabsztyn czy Olsztyn (w powiecie częstochowskim) mogły sprostać wymogom małej wojenki, jak w roku 1587. W wojnie rzeczywistej musiałyby ulec.

Szlachta polska - piszą obcy obserwatorzy - szczyli się tym,

że jej piersi, a nie fortece zasłaniają kraj. Konne hufce koronne przedstawiają się imponująco, litewskie gorzej. Piechoty co kot napłakał, i to pośledniej. Artyleria dobra. Większość jej stacjonuje na Litwie.

Wojska stałego było w olbrzymiej Rzeczypospolitej śmiesznie mało. Już Kazimierz Jagiellończyk stwierdził doświadczalnie przed stoma laty, że wojować skutecznie można tylko żołnierzem zaciężnym.

W roku 1560 nuncjusz apostolski, Bernard Bongiovanni, doznał szczególnego faworu monarchy. Zygmunt August pokazał mu swój skarbiec. Tego rodzaju zaprosiny stanowiły dowód wyjątkowego zaufania.

Wszedł więc nuncjusz do obszernego pokoju, w którym stał duży - "od ściany do ściany" - stół. Znajdowało się na nim szesnaście pudeł o jednakowych wymiarach: dwie piędzi na półtorej. Cztery z tych skrzyń, o zawartości ceny dwustu tysięcy szkodów złotych, to nadesłany królowi z Neapolu dar matki, Bony. Cztery inne, warte pół miliona przeszło, Zygmunt August sam kupił. Jest w nich - między innymi - rubin Karola V, kosztujący osiemdziesiąt tysięcy, medal diamentowy tegoż cesarza, mający rozmiary hostii, oraz wiele innych cudeniak. W ośmiu pozostałych kasetach

mieszczą się klejnoty "starożytne". Na przykład czapka pełna szmaragdów, rubinów i diamentów, warta trzysta tysięcy sztuków złotych. Mniej więcej taką właśnie sumę pozostawił po sobie w spadku król Zygmunt Stary.

"Widziałem, słowem - pisze oficjalnie Bongiovanni - tyle klejnotów, ile w jednym miejscu zgromadzonych znaleźć nie spodziewałem się, z którymi weneckie i papieskie, które

także widziałem, nie mogą iść w porównanie". Zygmunt August dlatego nie lubi pokazywać swych zbiorów, aby Polacy nie dowiedzieli się, ile pieniędzy na nie wydał.

Oprócz wyżej opisanych kosztowności, bezużytecznie spoczywa w skarbcu królewskim piętnaście tysięcy funtów srebra pozłacanego. Są to wysokie na chłopa zegary z figurami, "organy i inne narzędzia, świat ze wszystkimi znakami niebieskimi, miednice, naczynia ze wszystkimi zwierzętami ziemskimi i morskimi". Nie brakuje oczywiście złożonych czasz, ponieważ zgodnie z tradycją senatorowie świeccy, biskupi i wyżsi urzędnicy obdarzają nimi króla przy nominacjach.

Widział dalej Bongiovanni trzydzieści siodeł i rzędów na konie "tak bogatych, iż niepodobna widzieć gdzie indziej bogatszych". Nie to zadziwia, że są ze złota i srebra, "wiedząc, że należą do takiego króla". Trudniej uwierzyć, iż "są arcydziełami sztuki". Podobnie rzecz się ma ze zbrojami. Nuncjusz obejrzał ich dwadzieścia, z czego cztery uznał za "przedziwnej roboty". Jedna z nich była inkrustowana

srebrem i rzeźbiona. Pokrywające ją obrazy przedstawiały kiedykolwiek odniesione zwycięstwa pod Moskwą. Na pozostałych widniały inne przewagi oręża polskiego.

Zachowane szczęśliwie rachunki dworu Zygmunta Augusta stwierdzają, że wśród zatrudnionych i płatnych przez króla artystów pierwsze miejsce brali muzycy. Tworzyli istną międzynarodówkę. Z Polaków byli tam tak wybitni, jak Mikołaj Gomółka i Wacław Szamotulski. Dalej szli Włosi, Niemcy, Flandryjczycy oraz po jednym Czechu i Węgrze, którym był sam

Bekwark. Zaraz po muzykach figurowali złotnicy, niemal wyłącznie Niemcy i Włosi. Niektórzy z nich musieli się zobowiązać, że dla nikogo oprócz Zygmunta Augusta pracować nie będą. Trudził się więc dla niego (za sześćdziesiąt florenów rocznie, nie licząc dodatków) "Jacobus Italus, incisor gemmarum", czyli Jan Jakub Caraglio, złotnik, medalier i wyrzynacz gemm. Jan Herman de Monte Mariae, "pictor seu potior sculptor ferri" - malarz, czyli raczej rzeźbiarz żelaza - przez kilkanaście lat ozdobił broń oraz zbroje...

Nie koloryzował zatem nuncjusz Bongiovanni. Pisał do Rzymu prawdę. I dlaczego by właściwie miał ją podrabiać? Wytrawny, inteligentny dyplomata, zdawał sobie sprawę, że raporty o stanie skarbcza królewskiego dotyczą głównego nerwu polityki. Najniesłuszniej w świecie uważamy Napoleona za autora twierdzenia, że do prowadzenia jej potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Już w średniowieczu królowie Francji

głosili to hasło, uczciwie
powołując się zresztą na mędrców
starożytności, jako na
właściwych twórców sformułowania.

Na zakończenie raportu Bernard
Bongiovanni jał się zastanawiać,
czy król polski ma pieniądze.
Chyba nie - konkludował. Zygmunt
August "jest dotychczas raczej
rozrzutnym niż hojnym".
Powydawał wiele na klejnoty, są
więc teraz trudności, gdy trzeba
wyłonić znaczniejszą sumę.

Cesarz Karol V - władca, "w
którego państwie słońce nie
zachodziło", czerpiący ze
skarbów Meksyku i kraju Inków -
sprzedawał drogocенności,
jakeśmy się przed chwilą
przekonali. Trudno zaiste płacić
landsknechtom diamentowym
medalem lub pojedynczym rubinem,

choćby i najwspanialszym. W
średniowieczu mawiało się, że
"król Francji jest zawsze
gotów", to znaczy ma kiesę dość
zasobną, by utrzymywać drużyny
najemne. Skarbcowi Zygmunta
Augusta patronował Kijów -
"ostrogiem otoczony dosyć
nikczemnym", a od rzeki żadnego
opatrzenia nie posiadający.

Bongiovanni obliczał w
szkudach złotych, w monecie
rozpowszechnionej na Zachodzie.
W Polsce zaczęła się ona
ukazywać dopiero za Zygmunta
Starego. Dotacja papieska dla
Batorego, przeznaczona na wojny
wschodnie, miała wynosić
dwadzieścia pięć tysięcy szkudów
złotych miesięcznie. Grzegorz
XIII, który ogromnie dbał o
szkolnictwo, przeznaczał co roku
dwieście tysięcy na katolickie
zakłady wychowawcze w całej
Europie. Równało się to, mniej
więcej, czterem milionom
dwunastu tysiącom franków -
według kursu sprzed pierwszej
wojny światowej. Tyleż więc - co

najmniej - warte były cztery pudła kosztowności, подарowane Zygmuntowi Augustowi przez znienawidzoną matkę. Za cztery inne zapłacił król przeszło dwa razy drożej. W jego czasach moneta stała mocniej niż w kilkanaście lat później, za Grzegorza XIII.

Posłuchajmy jeszcze, co Bernard Bongiovanni napisał o Polsce dnia 29 sierpnia 1560 roku: "ogromne królestwo, teraz prawie opuszczone od swego króla, na co wszyscy dobrzy bardzo się żalą".

Znamy i z pokolenia na pokolenie powtarzamy powiedzenie Stefana I, że nie chce być królem malowanym. Bardzo interesujące, skąd się Węgrowi wzięły te słowa. Bo na szesnaście lat przed objęciem przezeń władzy w Polsce Bongiovanni pisał o Zygmuncie Auguście: "król czynny, nie

malowany, mógłby wiele dokazać, ale terażniejszy, lubiący nade wszystko spokojność, nie tylko unika trudów... ale nawet odkłada ile może sejmy", które dawniej zwoływano co roku. Sejmy walne koronne to była wtedy taka elita parlamentarna, na jaką nigdy już później Polska nie miała się zdobyć. Izba żądała wzmocnienia skarbu i władzy, ustroju i szkolnictwa, uparcie radziła o "poprawie Rzeczypospolitej".

Pewna okoliczność wymownie świadczy o znaczeniu tej Rzeczypospolitej w krajobrazie politycznym Europy - poczet dyplomatów papidskich, jaki się przez nią przewinał. Jeden nuncjusz inteligentniejszy od drugiego - obserwatorzy uważni i bystrzy, majstrowie w swoim rzemiośle. Dziwne wrażenie sprawia lektura ich sprawozdań.

Tak to z pozoru wygląda, jakby
następca przepisywał, kopiował
wprost pewną tezę poprzednika.
Oddajmy na chwilę głos
Juliuszowi Ruggieri, niech on
nam powie, o co chodzi: "Ci
królowie mają w istocie większą
władzę, niż się zdaje na pozór,
i ta tyle jest obszerną, ile
zręcznie i umiejętnie użyta".
Decydują wszak o składzie
senatu, mianują na wszelkie
godności w państwie. - Tak
brzmiała opinia najlepszych
praktyków politycznych, jacy w
Europie XVI wieku w ogóle żyli.

Sekretarze kancelarii koronnej
gromadzili niemałe dostatki,
pobierając od klientów prywatne
opłaty za czynności urzędowe.
Zgodnie ze zwyczajem,
rozjeżdżający się do domów
senatorowie posyłali im dary. W
kancelarii tej pracował przez
czas pewien Andrzej
Patrycy Nidecki, wybitny
intelektualista, jeden z
najznakomitszych filologów,
jakich Polska wydała. W
testamencie napisał całkiem

otwarcie o stosunkach
finansowych z bankierskim domem
Sonderinich z Krakowa: "ale się
zawždy w rok pospolicie
rachujemy, część płacąc a część
stracając za to, co się im też w
kancelaryi służy w ich
potrzebach". Takie panowały
podówczas obyczaje. W dobie
zawierania unii lubelskiej
kanclerzem wielkim koronnym był
Walenty Dembiński. To on
właśnie, czytając senatorom rotę
przysięgi na akt ostatecznej
ugody, rozplakał się ze
wzruszenia i kartę upuścił ("aż
pan marszałek wielki dokonał").
Długoletnie urzędowanie
doprowadziło go do znacznego
majątku. Dopiero Jan Zamoyski,
sam tego chciwy na pieniądze i

wszelkie inne dobra, zmienił
stosunki panujące w kancelarii
koronnej. Zatrudniał tam ludzi
materialnie niezależnych.

Było skąd czerpać środki i na
cele państwa w tej
Rzeczypospolitej, w której rosły
bajeczne fortuny magnackie, lud
zaś wcale jeszcze nie popadł w
nędzę. Zabrakło za to troski
obywatelskiej - na samej górze.
Nie znać w dziejach ówczesnych
ręki gospodarza. "Spokojność i
unikanie kłopotów" - oto
wytyczne "działania" dwóch
ostatnich Jagiellonów. Nie
wstydzmy się wymieniać imienia
polityka, który pchnął Zygmunta
Augusta do czynu, do zgody z
sejmem i do załatwienia sprawy
unii. Ów mąż opatrnościowy
zwał się Iwan Groźny. Gdyby nie
zdobył Połocka i nie zagroził
śmiertelnie Litwie, nie byłoby
pewnie ani częściowej naprawy
skarbu, ani unii lubelskiej. "W
roku 1506 historia wewnętrzna
Polski stanęła w miejscu na lat
przeszło pięćdziesiąt" - napisał
profesor Zygmunt Wojciechowski w
swej książce o Zygmuncie Starym.
Ruszyła z martwego punktu w roku
1563, który stanowi datę upadku
Połocka.

Leżała Rzeczpospolita pod
bożym słońcem rozległa, zasobna
i krwista, a rozgrodzona na wsze
strony niczym obejście
niedbałego chłopca.

Słusznie piszą historycy o
"uwstecznieniu" ustroju
społecznego oraz gospodarki -
nic to jednak postaci rzeczy nie
zmienia. Nie tylko z tych
objawów wynika katastrofa,
skoro nie popadły w nią państwa
tak zacofane, jak Moskwa carska
czy Turcja. Było skąd czerpać
środki i w Polsce, i na Litwie.
Z Ukrainy u samego schyłku
stulecia popłynąć miały inne

jeszcze niezmierne bogactwa,
lecz nie do koronnej kasy. Żadne
najpiękniej rozkwitłe siły
wytwórcze same przez się mocy
państwowej nie wyłonią,
organizacji służb publicznych
nie usprawnią. Ludzie muszą to
zrobić, świadomie i ciężko
pracując. Losy państwa od tego w
znacznej mierze zależą, czym
zajmuje się władza: skupianiem
istniejących środków czy też ich
marnotrawstwem, rozpraszeniem.
Przez decydujące dziesięciolecia
XVI wieku władza
Rzeczypospolitej trudniła się
niestety tym ostatnim.

Nie potrafiła później
Rzeczpospolita obronić granic,
bo ich zawczasu nie podparła.
Zdołała za to dokonać istnego
cudu: szalonym wysiłkiem swoich
obu narodów oczyścić z wojsk
wrogich całutkie swe terytorium,
już - zdawało się - na dobre
podbite, a ponadto omal nie
odzyskać od dawna utraconego
Smoleńska. Czy należy po raz
trzeci powiedzieć o siłach,
które istniały, lecz których
nikt w porę nie skupił?

Historycznym zadaniem tej
Rzeczypospolitej była obrona
czegoś jeszcze cenniejszego niż
granice, spokój i dobrobyt
obywateli.

Wśród relacji nuncjuszów,
utrzymanych na ogół w tonie

przychylnym, jest jedna brzmiąca
ostrym dysonansem. 30 maja 1556
roku Alojzy Lippomano tak pisał
do Piotra Contarini, patriarchy
Wenecji: "Jaśnie Wielmożny
Panie! Odkąd podobało się Panu
Bogu posłać mię na moje
zmartwienie do Polski, nie
przestawałem odzywać się
listownie do Jaśnie Wielmożnego
Pana... byś chciał użyć wielkiej
powagi, jaką masz u Ojca
Świętego, aby mnie z tego piekła

uwolnić raczył i do mego
kościół w Rzymie wrócić
pozwolił".

Alojzy Lippomano był pierwszym
w Polsce pionierem
kontrreformacji, zwanej inaczej
reakcją katolicką. Bawiąc
poprzednio w Niemczech doradzał
cesarzowi - na szczęście
daremnie - aby kazał ściąć
publicznie "jako hersztów i
protektorów herezji", elektora
saskiego, Fryderyka, oraz
landgrafa Hesji, Filipa. W ten
sam ton uderzył i w Krakowie,
Zygmunta Augusta wielokrotnie a
"usilnie upraszając, by kazał
stracić osiem albo dziesięć głów
przedniejszych panów" i w ten
sposób oczyścił kraj z
różnowierstwa. Król nie
usłuchał, a poddani rychło się
dowiedzieli o podszeptach
nuncjusza. Odtąd - pisze
Lippomano - "wszystkie usta są
przeciw mnie otwarte, wszystkie
uszy dla mnie zamknięte,
wszystkie umysły na mnie
oburzone... Niech wie Ojciec
Święty, że mu dalej w jego
interesach skutecznie służyć nie
mogę, dla wielkiej nienawiści,
jaką ściągnął na siebie".

Pod bezpośrednią presją
nuncjusza prymas Mikołaj
Dzierzgowski wdrożył proces o
zbrodnię rytualną. Polkę,
oskarżoną o kradzież hostii,
ścięto. W Sochaczewie oraz
Płocku spalono trzech Żydów,
którzy mieli ową hostię pokłuć
szpilkami, a wyciekającą krew

zużyć jako lekarstwo dla świeżo
obrzezanych niemowląt. Zygmunt
August przebywał wtedy daleko -
aż w Mejszagole. Dowiedziawszy
się o sprawie, przysłał ostry
rozkaz przerwania dochodzeń,
uwolnienia kilku nadal
więzionych Izraelitów oraz
ukarania winnych (nie powiedział

jednak otwarcie, kogo za winnego uważa). Rozmawiając później z prymasem miał oświadczyć, że nie jest tak głupi, by uwierzyć, iż z przeklutej hostii krew popłynie. Tak przynajmniej utrzymywali polscy protestanci.

Ponura sprawa przyniosła dziwny skutek. Zamiast sprowokować pogrom, wywołała powszechne oburzenie na nuncjusza, którego życie znalazło się pono w niebezpieczeństwie. Tak przynajmniej on sam twierdził.

To przyzwoity naród, ci Polacy - pisał w jakiś czas potem Graziani - u nich przysięga sądowa rzeczywiście stanowi dowód prawdy. Trochę się jednak ta staropolska cnota popsuła, a to wskutek nadmiernej pobłażliwości względem heretyków.

Emil G. Leonard, autor wydanej w 1961 roku trzytomowej "Histoire g~en~erale du protestantisme", opowiada o rozmaitych ideach, skazanych na bytowanie w konspiracji, które stopniowo zanikały nie mogąc się przyczynić do rozwoju myśli współczesnej ani zostawić w niej śladów. Uniknął tego antytrynitaryzm. Znalazł kraje, gdzie mógł się swobodnie wypowiadać i urzeczywistniać w dziedzinie religijnej oraz społecznej. To się stało w Europie wschodniej, gościnnej dla wszystkich nowatorów. W Polsce, na Litwie i na Węgrzech.

Opinia nowoczesnego uczonego brzmi przychylnie. Całkiem inną melodię słyhać w wywodach Grazianiego, zgorszonego świadka:

"Na oścież w tych czasach stała Polska cała nie tylko swawoli własnych mieszkańców, lecz i postronnych nawet, którzy w niej znajdowali bezkarność.

Ktokolwiek bowiem czy za
przewinienie, czy za szkodliwe w
religii mniemanie z ojczyzny
swojej był wygnanym, uciekał do
Polski jak do pewnego
schronienia. Każdy znalazł tam
którego ze szlachty, co go
broniał, wspierał, zachęcał.
Znalazłeś więc w Polsce
nowatorów z Włoch, Francji i
Niemiec, którzy bezkarnie
przedawali marzenia swoje,
nauczali, kazali."

Monarcha zaś tego
intelektualnie rozpasanego kraju
przechowywał w swej wileńskiej
bibliotece dedykowane sobie
utwory wszelkich nowinkarzy
polskich i zagranicznych, jacy
tylko żyli na kontynencie. Od
dawna już nie ma księgozbioru
Zygmunta Augusta. Rozproszyły go
wojny. Ale jeszcze przedtem -
należycie oczyścili z dzieł
wolnomyślnych duchowi
spadkobiercy Lippomana, którzy
zdobyli w końcu u nas rząd dusz.

Szkoda się stała nie tylko w
Polsce, że państwo jagiellońskie
zaniedbało samo siebie umocnić.

Raz jeszcze sięgnijmy do
relacji biskupich. Nuncjusz
Ruggieri, który tak piękne
świadczenie wystawił polskiej
uprzejmości i uważał Lechitów za
najlepszych chyba spośród
zaalpejskich narodów, zaraz
potem dorzucił następujące
uwagi: "Lubo pojętni, nie
wschodzą w głębsze poznanie
rzeczy, łatwiej się uczą tego,
co już odkryto, niżeli sami
zadają sobie pracy, aby co
odkryć w naukach lub sztukach, i
nie starają się przyjąć w
czymkolwiek do doskonałości,
może dlatego, że są zbyt oddani
wygodnemu i wesołemu życiu, że
są zajęci wojskowością i
rolnictwem lub że są skłonni do

pieniactwa i lubią protegować

przyjaciół".

Opinia, trzeba przyznać, wystawiająca świetne świadectwo inteligencji swego autora. Ale i to prawda, że zauważone przez nuncjusza mankamenty już się zaczęły przełamywać, ustępować pola nowym zjawiskom. Naród, który przez długie stulecia brał tylko kulturę z Zachodu, od XV wieku poczynając zaczął sam uczestniczyć w twórczości na dobrym, nawet na najlepszym poziomie. Otwierał przed Europą nowe horyzonty w dziedzinie geografii, etnografii, astronomii, matematyki, filologii, historii, pojęć prawnych, polityki. Miał znakomitych artystów i publicystów. Już naprawdę odkrywał siebie między innymi odkrył kontynentowi. Nigdy przedtem ani potem nie cieszyła się Polska tak dobrą opinią wśród sfer kulturalnych Europy. Od przebiegu dalszych dziejów zależało, czy okoliczności sprzyjać będą rozwojowi tego, co świeżo osiągnięto.

Zdarzyło się za Anny Jagiellonki, że na zjeździe sejmowym, gdzie omawiano bardzo ważne sprawy, pewien szlachcic wyrwał się trochę od rzeczy, wbrew opinii rozumnej większości. Nazywał się on, ten szlachcic, Jan Kochanowski. Innego - pisze sarmacki pamiętnikarz - wyśmiano by i zakrzyczano. Ale że to był znakomity poeta polski i udatny naśladowca łacińskich - dano spokój. Tylko marszałek izby, Mikołaj Siennicki, osobistość wybitna, powiedział coś zjadliwego, lecz krótko.

Szlachta koronna ceniła już widać nie samych tylko rębaczy.

Kraj otwierał się ku nowościom, w zacofaniu nie grzęzła. A jednocześnie cechował go ten rodzaj tradycjonalizmu, jaki porównany

być może chyba tylko z do dziś trwającymi obyczajami Wielkiej Brytanii, gdzie speaker Izby Gmin musi zasiadać podczas obrad na worku z wełną. Przywiązanie do form upamiętniających własną, w przeciągu wieków odbyta drogę dziejową, było w Rzeczypospolitej nad podziw mocne. Dalsze rozdziały tej książki dostarczą po temu licznych dowodów, wystarczy więc wspomnieć tutaj tylko o niektórych rzeczach.

Kiedy król zjeżdżał do stolicy, zawsze witali go najpierw mieszczanie kazimierscy, a dopiero potem krakowscy. Nie zapomniano bowiem, że krakowianie "przeciwko panom swoim się buntowali". Za ostatniego Jagiellona pamiętano więc jeszcze o wydarzeniach z czasów Łokietka. W senacie polskim pierwsze miejsce po biskupach brał kasztelan krakowski. Po nim dopiero zasiadał wojewoda tej dzielnicy, zresztą na zmianę z poznańskim, najwyższym dostojnikiem prastołecznego regionu. Tego porządku rzeczy żadna siła naruszyć nie była w stanie i rzeczywiście nie naruszyła aż do rozbiorów. Dzisiejsi historycy nam wyjaśniają, że dopiero w roku 1249 kasztelan Michał Jastrzębczyk wysunął się przed wojewodę Klemensa z Ruszczy, co zresztą wynikało z polityki księcia Bolesława Wstydlivego. W XVI wieku takie wyjaśnienie odrzucono by z pogardą. To Bolesław Krzywousty na zawsze pozbawił wojewodów krakowskich pierwszego miejsca, ponieważ piastujący tę godność Wszebor stchórzył na polu bitwy! Władca spostponował go za to dodatkowo, posyłając mu w darze wrzeciono, kądziel i skórkę zajęcza. Co się raz stało - odstać się już nie mogło.

Żaden senator nigdy by się nie

ośmielił pojawić na obradach bez szabli przy pasie. Taki zwyczaj panuje u wszystkich narodów wolnych, mianowicie u Franków - wyjaśniano (co w niczym nie przeszkodziło jakoś zgodnie na noszenie szabel przez Żydów, którzy jako żywo nic nigdy nie mieli wspólnego z Frankami). Debatom senatorów mogli się przysłuchiwać ich synowie - aczkolwiek dostojęstwa nie były dziedziczne - posłowie oraz sekretarze królewscy. Nikt z tych osób nie miał jednak prawa usiąść.

Gdy występowało pospolite ruszenie, przodem szło zawsze województwo sieradzkie. Każde z województw miało po jednym chorążym, tylko sieradzkie i łęczyckie po dwóch. Od czasów Kazimierza Jagiellończyka starostwo sandomierskie - jedyne w całej Polsce - nie mogło być zastawiane ani obciążane zapisami.

Święcie przestrzegająca tradycji szlachta łatwo podówczas zmieniała nazwiska. Zamoyscy, zwali się poprzednio "z Łaźnina", czyli Łaźnińskimi. Jako Zamoyscy zaczęli się podpisywać dopiero synowie nabywcy (Starego) Zamościa, Tomasza. Dziejopisarz Bielski mógł równie dobrze przejść do historii jako Wolski. Za jego czasów zwano go i tak, i tak, miał bowiem dwie wioski - Biała i Wolę.

Liberalna wobec nazwisk tradycja nieugięcie strzegła niektórych imion. Od czasu śmierci Jadwigi pierworodna w każdym pokoleniu Jagiellonek musiała nosić jej imię. Pokoleń tych było trzy: Jadwiga Władysławówna, Jadwiga Kazimierzówna, Jadwiga

Zygmuntówna.

Kto zapomni o tradycjonalizmie nowatorskiej Rzeczypospolitej XVI wieku, ten się nie połapie w jej dziejach. Straci z oczu

jeden z bglównych czynników dzieje te tworzących.

Stadła monarsze

Królewna Anna, której długo wypadło czekać na własne wesele, była świadkiem wszystkich ślubów swych sióstr. Z trzech ożenków brata oglądała pierwszy i ostatni. Drugi z nich zawarty bowiem został w tajemnicy.

Miała lat niespełna dwanaście, kiedy 1 września 1535 roku poszła za mąż Jadwiga, siostra przyrodnia. Stało się to zgodnie z dobrymi obyczajami, które zabraniały wydawania młodszych przed starszymi. Uroczystości urozmaicił najazd hospodara mołdawskiego Petryły na południowe pogranicze. Z Krakowa na Pokucie było jednak dość daleko, a Rzeczpospolita przywykła do niespodzianek, sprawianych przez sąsiadów pośledniej nawet rangi politycznej.

Jadwiga była córką pierwszej żony Zygmunta Starego, niezwykle urodziwej Barbary z domu Zapolya, siostry narodowego króla Węgier, Jana. Zazwyczaj miłość rodzi małżeństwo, w danym wypadku stało się odwrotnie. Zygmunt pokochał Barbarę, którą poślubił z powodów czysto politycznych, sprzymierzając się z Madziarami przeciwko Habsburgom. Królowa zmarła w roku 1515, a głębokiemu żalowi wdowca zawdzięczamy Kaplicę Zygmuntowską. Już w dwa lata później przybyły niedawno z Włoch Bartłomiej Berecci, spełniając wolę monarchy,

przedłożył mu plany budowli. Wznoszono ją i zdobiono przez lat kilkanaście. Pierwsze trumny, jakie w niej złożono, mieściły prochy Barbary oraz jej młodszej córki, wcześniej zmarłej Anny.

Urodzona w Poznaniu Jadwiga była więc na wpół Węgierką i nie

zapominała o tym. Młodociana królewna spełniała w Krakowie funkcje agentki madziarskiej. Na jej ręce król Francji Franciszek słał pisma do króla Węgier, Jana. Kiedy wuj, który ją uczynił swą spadkobierczynią, odniósł zwycięstwo nad wojskami Habsburgów, Jadwiga rozgłosiła to zaraz. W kościołach stolicy polskiej uderzono w dzwony, odezwało się dziękczynne Te Deum, po klasztorach oszalałe z radości zakonnice puszczały się w płasy. Polacy ówcześni nie kochali Niemców, także w ich habsburskiej odmianie. Za dobrze wiedzieli, co się dzieje w Czechach, uważanych za naród bratni. Posądzano w Europie Jadwigę o finansowanie węgierskich zaciągów w Polsce, obejmujących nie tylko piechotę i jazdę, lecz nawet artylerię. W rzeczywistości za plecami królewny kryła się życzliwa dla niej, w ostentacyjny sposób dobrze ją traktująca macocha, Bona. To ona przecież miała pieniądze.

Jadwiga wyszła za Niemca, Joachima II Hohenzollerna, syna elektora brandenburskiego i dziedzica tej godności. Takie stadło stanowiło dla Bony przegraną i zostało zawarte wbrew jej woli. Włoszka zwalczała zarówno Habsburgów, jak i Hohenzollernów. Z listów współczesnych wiemy, co miała między innymi do zarzucenia tym ostatnim. Królowa wściekła jest

na ciebie - pisano z Krakowa do księcia Albrechta - za to, że usuwasz z Prus polskich oraz litewskich chłopów, a osadzasz na ich ziemi kolonistów niemieckich.

Wyszędłszy za mąż niemal stale przebywała Jadwiga w Koln pod Berlinem, gdzie się mieściła rezydencja elektorów. Z ojczyzną właściwie zerwała (aczkolwiek upłynęło lat kilka, zanim nauczyła się po niemiecku). A

mogło być zupełnie inaczej. Dotyczące jej osoby plany matrymonialne odznaczały się rozległością. W grę wchodziły następujące mocarstwa i państwa: Austria, Francja, Szkocja, Szwecja, Bawaria, Mantua i Palatynat Renu. W ostatniej chwili, dosłownie na pięć minut przed dwunastą (której to okoliczności nikt przewidzieć nie mógł), Bona zaczęła ją swatać z księciem warszawskim Stanisławem, a kiedy zmarł nagle - z jego bratem, Januszem, ostatnim udzielnym władcą Mazowsza.

Obaj oni zginęli rzekomo od trucizny, zadanej przez Bonę, czy z jej poduszczenia. W rzeczywistości zgony te krzyżowały plany Włoszki. I czy w ogóle zgładzono ich jadem? Czy nie była straszną pomyłką cztery godziny trwająca egzekucja, podczas której nie tyle spalono, co usmażono żywcem dwie kobiety? Obaj książęta prowadzili wesoły tryb życia, a ród ich od pokoleń trapiła gruźlica.

W kilkanaście lat po ślubie uległa Jadwiga nieszczęśliwemu wypadkowi. Podczas polowania złamała nogę i uszkodziła kręgosłup. Mąż odsunął się od kaleki. Resztę życia, czyli pełnych lat dwadzieścia dwa, spędziła królowa_księżna w

osamotnieniu. Zmarła w Neu_Ruppin 7 lutego 1573 roku. Z jej sześciorga dzieci czworo doczekało wieku dojrzałego. Młodsza z córek, Zofia, wyszła za magnata czeskiego, Wilhelma z Rożemberku, który w najbardziej nieoczekiwany sposób został na chwilę poważnie brany pod uwagę kandydatem do korony polskiej. Przyjechał nad Wisłę jako poseł swego suwerena, aby zalecać na tron wawelski Habsburga. Tymczasem jego samego omal nie okrzyknięto, ponieważ był możliwym panem, przyzwoitym człowiekiem i Czechem.

Należałoby teraz mówić od razu o zaślubinach najstarszej z rodzonych sióstr Anny Jagiellonki, Izabeli. Jednakże okoliczności narodzin tej królowej też poniekąd zasługują na uwagę. Przyszła ona na świat 18 stycznia 1519 roku, czyli dokładnie w dziewięć miesięcy po pokładzinach jej rodziców. Stwarza to okazję do małego cofnięcia toku opowiadania, a to w celu przyjrzenia się wspomnianej ceremonii.

18 kwietnia 1518 roku udzielono Bonie w Krakowie dwóch sakramentów - małżeństwa i koronacji (Zygmunt I już od lat dwunastu zasiadał na tronie). Było to naturalnie w niedzielę, bo żaden inny dzień tygodnia na obrzęd koronacyjny się nie nadawał. Tak trwało w Polsce od czasów Bolesława Chrobrego. Bajeczna, niesłychanie wystawna uczta ciągnęła się przez osiem godzin, spełnienie małżeństwa wypadło więc odroczyć do dnia następnego. Dzięki badaniom Władysława Pocięchy możemy się zapoznać z przebiegiem tej naprawdę bardzo dworskiej uroczystości. I zapamiętajmy go sobie. Przyda się, kiedy

dojdziemy do omawiania trzeciego ożenku Zygmunta Augusta.

19 kwietnia wieczorem orszak składający się z wybranych dostojników krajowych i cudzoziemskich ruszył w kierunku sypialni Zygmunta. Królestwo nie szli w parze. On kroczył przodem, co też należało do polskich tradycji. Wygląd komnaty położonej na drugim piętrze Wawelu zaskoczył i zdumiał obcych. Strop zdobiły złote rozety, ściany zaś od góry krańce (czyli to, co my dzisiaj zwiemy fryzem), niżej grube, złotolite opony. Czerwone sukno pokrywało zielony, gładzony kamień posadzki. Zasłony baldachimu oraz wieńczące go kule też były złote.

Zygmunt usiadł na prawym brzegu łoża, Bona na lewym. Pozostałe osoby zajęły krzesła. Służba podała wino i cukry. Przez chwilę trwała rozmowa towarzyska. Na znak mistrza ceremonii goście wynieśli się z sali.

Zygmunt I nie zaliczał się już wtedy do młodzieńców, miał pięćdziesiąt jeden lat. Ludzie Renesansu bywali zazwyczaj koneserami. On sam żył najpierw długo z Katarzyną Telniczanką, która dała mu troje dzieci, potem z pierwszą żoną, piękną Barbarą. Dwudziestoczteroletnia Bona oczarowała go. Nazajutrz stanął przed nią podskarbi, Mikołaj Szydłowiecki, w imieniu swego pana wygłosił orację łacińską i złożył dary. Były to - powtarzajmy za Władysławem Pocięchą - cztery łańcuchy, trzy wisiory ze złota, szafirów, diamentów, pereł, rubinów i szmaragdów, cztery sztuki materii na suknie, jedna z kosmatego złotogłowiu, druga z zielonego aksamitu przetykanego

złotem, trzecia z czarnego
aksamitu ze złotem, czwarta
jedwabna zielona też ze złotem.
Po nabożeństwie w katedrze,
połączonym z odpustem zupełnym,
Wawrzyniec Międzyzyleski,
proboszcz wileński, wręczył
Bonie w imieniu papieża
szkatułkę z drewna sandałowego,
wykładaną klejnotami. Potem
odbyła się uczta, lecz tylko dla
dam, i turniej na dziedzińcu
arkadowym.

Miło głosić wspaniałości,
jakie działy się ongi na Wawelu,
który w XIX stuleciu Austriacy
przerobili na koszary dla swej
piechoty. Niejakie zapowiedzi
smutnego losu brzmią już jednak
chociażby w słowach Ibrahima
Baszy, wygłoszonych do posła
węgierskiego w dziesięć lat po
pięknych zaślubinach, czyli w
roku 1528: "Tatarzy tak
strasznie pustoszą jego (tj.

króla Zygmunta) kraje, iż
istotnie dziwimy się, że w jego
państwie jeszcze ludzie się
znajdują. W latach ostatnich nie
prowadząc z nim wojny, mieliśmy z
jego królestwa więcej niż
pięćdziesiąt tysięcy dukatów
dochodu. Tatarzy bowiem
wszystkich swych jeńców
sprzedają Turkom, iż w dwóch
latach ubiegły dochód z cła w
Kilii i Kaffie powiększył się o
trzydzieści tysięcy dukatów.
Gdybyśmy więc wojska nasze
wysłali do Polski, z pewnością
zdobyłyby to królestwo i wraz z
Tatarami spędzałyby tam zimę i
lato, pustosząc wszystko dokoła.
Nie pamiętam nazwisk, ale
zaczekaj chwilę, a powiem ci, w
które okolice mamy przedsięwziąć
wyprawę". Basza daleko mierzył.
Okazało się, że miał na myśli
Kraków, Piotrków, Opatów i
Radom. Na szczęście były to
tylko pogróżki. Sułtan nie

pragnął wojny z Polską.

Anna Jagiellonka miała już niemal lat szesnaście, kiedy w styczniu 1539 roku asystowała przy zastępczych zaślubinach najstarszej z sióstr rodzonych. Królowna Izabela, owoc pierwszych uniesień miłosnych swych rodziców, poszła za króla Węgier, Jana Zapolyę - czyli za rodzzonego brata poprzedniej żony własnego ojca.

Niesłodko układało się od początku życie pani Madziarów. Przysłani po nią posłowie wjeżdżali do Krakowa szumno i strojnie, ale wśród ulewnego deszczu - w styczniu! - który moczył pióra skrzydeł husarii węgierskiej i psuł efekt. Dano Izabeli wyjątkowo duże wiano, pewnie po to, by podeprzeć jej pozycję w trudnych warunkach Zakarpacia. Małżonka Jagiellonki sułtan bezceremonialnie zwał przy świadkach niewolnikiem, a królestwo jego uważał za swą własność.

Związek z Węgrami był ciężko

wywalczonym sukcesem bony. Chodziło o wzmocnienie stanowiska domu Zapolyów oraz o zwiększenie bezpieczeństwa Polski od strony Turcji. Królowa twardo postanowiła nie wpuszczać Niemców na Węgry i konsekwentnie dążyła do celu. Izabela odegrała rolę pożyteczną, była narzędziem polityki matki.

7 lipca 1540 roku urodziła syna, Jana Zygmunta, w piętnaście dni później została wdową. Celowo propagowana przez Habsburgów plotka różnie mówiła o tym, kto właściwie spłodził wspomniane dziecko. Polska i sułtan bez wahania uznali je za prawego dziedzica Jana Zapolyi. Szlachta węgierska okrzyknęła na polu Rakos kilkumiesięcznego chłopca swym królem, lecz

wystąpił przeciw temu Ferdynand Habsburg, władający zachodnią połacią Węgier i także noszący ów tytuł. W rezultacie ruszył naprzód Soliman Wspaniały, Dawca Praw. Zdobył Budę, osadził tam swego paszę, główny kościół stołeczny przerobił na meczet. Jagiellonka wraz z synem popadła w ręce zwycięzcy, "królewic w pieluchach był do namiotu cesarza tureckiego przyniesiony". Padyszach mianował obydwójce władcami Siedmiogrodu. (W trzydzieści przeszło lat później następcą Jana Zygmunta został Stefan Batory, który mawiał zadzierającym nosa Polakom: nie ja pierwszy przyjąłem tytuł lennika tureckiego, wyprzedziła mnie wasza królowa.)

Kiedy w sobotę 1 lutego 1539 roku Izabela wyjeżdżała z Krakowa, wraz z nią ruszyli Bona i Zygmunt August. Towarzyszyli jej w podróży przez dwa dni. Na samym wyjeźdźnym Stańczyk odezwał się do Zygmunta Starego w te słowa: "Królu, po cóż ty tam tę córkę swą do Węgier dajesz? Być ci jej tu zaś u ciebie: a przeto zbuduj w czas jej kamienicę tu w

Krakowie, żeby miała gdzie mieszkać".

Dobrze przewidział wiekowy już błazen. Izabela pojawiła się później w Polsce. Wystąpi więc jeszcze na kartach tej książki.

Przez osiemdziesiąt dziewięć lat nie oglądał Kraków uroczystości zaślubin młodocianego króla, nie przeżywał chwili, która musiała do głębi poruszać monarchistyczne emocje, w tłumie polskim naówczas powszechne. Tak się po prostu złożyło. Nie było w całej Europie już nikogo, kto by pamiętał rok 1454, kiedy to przed wielkim ołtarzem katedry

stanał Kazimierz Jagiellończyk w
parze z Elżbietą Habsburg
"Rakuszanka", "matką królów".
Jan Olbracht przeszedł przez
życie w stanie kawalerskim,
Aleksander zaślubił Helenę
Iwanównę - Helenę Moskiewkę, jak
się wtedy wyrażano - w dalekim
Wilnie, a Rzym nie pozwolił na
koronację prawosławnej. Zygmunt
I dobiegał czterdziestki, kiedy
pojął Barbarę. Wdzięk młodości
stron obu nie zdołał tego
stadła, a tym mniej ożenku z
Boną. Nowatorski kraj pragnął
odświeżenia form starych,
przewietrzenia Wawelu. Od dawna
na to czekał, mając w pamięci
dzień 1 sierpnia 1520 roku,
kiedy to w oknie zamkowym
ukazała się czerwona wstęga.
Jedną z dworek królowej dawała w
ten sposób znak ojcu,
czekającemu przy osiodłanym
wierzchowcu. Wojewoda Jan
Zaremba cwałem ruszył w drogę na
Toruń. Wzdłuż całego szlaku miał
zawczasu porozstawiane konie.
Wiózł Zygmuntowi Staremu wieść o
narodzinach syna.

W dwadzieścia trzy lata
później Kraków doczekał się
wreszcie pary monarszej w pełnym
tego słowa znaczeniu młodej.
Zygmunt August był już królem,
aczkolwiek rodzic jego żył nadal
i władał. Ostatniego z

Jagiellonów koronowano za życia
ojca. Przychylnym gestem
powitała Rzeczpospolita
człowieka, w którym pokładała
swe najlepsze nadzieje. Taką
samą życzliwość świadczyła mu i
nadal. Po szesnastoletnią
oblubienicę ruszyły do
położonego nad granicą
Oświęcimia dwie największe damy
polskie - rodzone siostry, z
domu Szydłowieckich - Zofia
Tarnowska, kasztelanowa
krakowska, i Krystyna, księżna

na Oleśnicy i Ziembicach.
Orszak, który przeprowadził z
Wiednia do Polski Elżbietę
"Austriaczkę", córkę Ferdynanda
I króla rzymskiego, później
cesarza, roił się od książąt,
biskupów oraz innych
znakomitości. Błyszczał wśród
nich Jerzy Hohenzollern, rodzony
brat Albrechta, który ze
zbytecznej łaski Zygmunta
Starego i kanclerza Krzysztofa
Szydłowieckiego (ojca
wspomnianych dam) panował w
Królewcu, Kwidzynie tudzież w
Działdowie. Ślub odbył się na
Wawelu 5 maja 1543 roku.

Zygmunt August znał dotychczas
Elżbietę tylko z relacji
poselskich oraz z konterfektów,
o które ludzie ówczesni bardzo
dbali i obdarzali się nimi
wzajemnie. Zdarzało się, że
zamawiano jednocześnie po kilka
portretów, po dłuższym namyśle
wybierając na podarek najlepszy.
Nie skłamali ci, którzy
opiewali przed młodym królem
urodę jego przyszłej żony. Nikt
niestety nie poinformował go
zawczasu o jej zdrowiu.
Elżbieta cierpiała na epilepsję.

Królowny Zofia, Anna i
Katarzyna wystąpiły podczas
uroczystości "wspaniale
poprzebierane". Kroczyły za
ojcem, "niesionym w krześle",
tuż za plecami idącej pieszo
matki. Podzielały pewnie jej
nastrój. Ożenek Zygmunta Augusta
był ciężką przegraną Bony, a

tryumfem stronnictwa
habsburskiego w Polsce, którego
pewne filary opłacał Wiedeń
brzęczącą monetą. Nie powiodły
się plany związku
matrymonialnego z Francją,
sojuszniczką sułtana. Zbliżenie
do Habsburgów groziło
powikłaniami od strony Turcji.
Izabela, udręczona panującym na

Węgrzech piekłem, trzymała się w Siedmiogrodzie ostatkiem sił własnych, a jeszcze bardziej - dzięki charakterowi matki.

Podczas wielkich uroczystości koronnych nie wpuszczano tłumy do katedry, która i tak wypełniała się szczelnie mnóstwem polskich, litewskich oraz zagranicznych dostojników. Za to na zewnątrz ciżba poczynała sobie w sposób wymownie świadczący, że wydarzenia ważne dla rodziny królewskiej były takimi również i dla niej. Nie dawała się odsuwać na bok. Tak bardzo lubiła oglądać wszystko z bliska, że przy ślubie Bony na przykład Tatarzy nadworni musieli puścić w ruch nahaje, aby przynajmniej przejście dla pary monarszej oswobodzić. Pomimo to - ze szkarłatnego sukna, którym wysłana była droga z zamku do katedry, pozostały strzępy.

Wesele Zygmunta Augusta dostarczyło mieszkańcom stolicy okazji do oglądania niebywałych sensacji. Magnaci całej Rzeczypospolitej wysadzili się, jak nigdy przedtem. Ich zbrojne poczty, będące raczej hufcami jazdy, stanowiły istny przegląd mód panujących w całej Europie - od Hiszpanii aż po Węgry i Turcję. W rotach Radziwiłłów można było zresztą obejrzeć nawet Murzynów. Wszystkich przewyższył jednak prymas Gamrat. Przywiódł paręset kopii liczący oddział husarii, której srebrne pancerze świetnie odbijały od purpurowych i

złocistych szat. (Był to ten sam Gamrat, o którym agent austriacki miał wkrótce napisać swemu panu: "Arcybiskup z żoną jest na Mazowszu" i któremu osobista swoboda obyczajów nie

przeszkodziła jednak spalić na stosie heretyczki, starej mieszcanki z Krakowa, Katarzyny Malcherowej.)

Majowe zaślubiny musiały wyrzeć pogodne wrażenie na tłumie, nieświadomym politycznych zawiłości. Stary monarcha dożywał swych dni, lecz młody już się był na dobre umieścił obok niego na tronie. Bezkrólewie nie groziło. Wczesny ożenek zdawał się dobrze wróżyć dynastii, władającej od dwu wieków i mającej już tylko jednego przedstawiciela płci męskiej. Droga w przyszłość otwarta... Naradom Rzeczypospolitej miał na niej przewodniczyć najdziwniejszy, najbardziej skomplikowany, naładowany sprzecznościami człowiek, jakiego historia Polski i Litwy w ogóle kiedykolwiek oglądała lub miała oglądać. Owa promienna z pozoru przyszłość zabierała się właśnie do rozczarowania potomnych, a to w związku z kwestią roli jednostki w dziejach. Osobowość Zygmunta Augusta zostawiła w historii niezatarte ślady.

Zgodnie z narodową tradycją - wywodzącą się bezpośrednio z propagandy politycznej Wiednia - zwykło się u nas obarczać Bonę odpowiedzialnością za niewłaściwe wychowanie syna. Jeśli jednak wziąć pod uwagę rezultaty tej edukacji, ujrzy się widok dziwny. Zygmunt August wyniósł z niej wielką kulturę osobistą, horyzonty oraz zainteresowania szerokie, doskonałą znajomość łaciny, włoskiego i niemieckiego języka (wszyscy Jagiellonowie mówili też po rusku, co samo przez się jest zrozumiałe). Odznaczał się

wyjątkowym wprost poczuciem godności własnej i żelazną siłą

woli. Zbyt często pozwalał jej drzemać, kłopotów nie lubił. Ale też w tej mierze był nieodrodnym spadkobiercą własnego rodzica, któremu wprost nie chciało się zdusić do reszty już do ziemi przyduszonego Albrechta Hohenzollerna. Czynna, wścibska, do drobiazgów wtrącająca się matka nie mogła mu przekazać takowych dyspozycji. Zresztą Zygmunt August wykazywał siłę charakteru i wtedy, kiedy nic politycznie nie robił. Potrafił przecież przez bitych piętnaście lat nieugięcie przeciwstawiać się sejmowi, który akurat żądał rzeczy dla państwa zbawiennych. Izbę poselską wypełniali zwyczajni szlachcice, wybrani przez sejmiki ziemskie. Nie lubił tego tłumu wielki pan, przejęty znakomitością własnego rodu. Zygmunt August najchętniej trzymał ludzi na dystans, jeżeli nie musiał postąpić inaczej - nawet obiadował w samotności.

Najzdolniejszym z dynastii Jagiellonów był zapewne ostatni jej przedstawiciel, który nawet się nie zatroszczył o uregulowanie sprawy bezkrólewia po sobie samym. Najskąpiej niewątpliwie obdarzyła natura jego stryja, króla Aleksandra, za którego czasów zapoczątkowano solidną pracę około poprawy ustroju, który powoływał do swego boku najlepszych ludzi w Polsce.

Zygmunt August odznaczał się czułością na wdzięki niewieście, a tryb życia prowadził swobodny. I to także przypisuje się wpływowi rozwiązanego otoczenia matki. Tymczasem Władysław Pocięcha przekonał nas dowodnie, że nader wesołe obyczaje panowały na dworze krakowskim przed przyjazdem Bony, która je raczej ukróciła. Lubiąca się bawić, świetna tancerka, bardzo pilnie strzegła prowadzenia się

swych panien dworskich, dbała o ich stateczne zamażpójścia. Właśnie ze szkoły Bony wywodziły się te młode szlachcianki polskie, które zadziwiały Wiedeń, ponieważ nie pozwalały się obcałowywać podczas płasów. Zresztą - jeżeli matka była lekka, to skąd się wzięły równie cnotliwe córki?

To nie Bona wychowywała stryjów Zygmunta Augusta, Jana Olbrachta oraz kardynała Fryderyka. A przecież większych od nich rozpustników nie znaleźć... chyba że się przypadkiem natrafi na postać ostatniego z Piastów, Kazimierza Wielkiego. Dajmy spokój bajeczkom o staropolskiej cnotcie, złośliwie psutej przez niegodziwych cudzoziemców. Wiadomo przecież, że syfilis (a może świeży szczep tylko) przywlokła do Krakowa jego obywatelka, która wybrała się do Rzymu na odpust. Wątpliwe raczej, czy zaraziła się w Wiecznym Mieście przez podanie ręki osobie chorej.

Elżbieta została młodszą królową Polski, lecz żadna z dam mile dotychczas widzianych przez Zygmunta Augusta łaski jego nie utraciła. Łoże małżeńskie znajdowało się w sypialni króla. Biedna Austriaczka musiała tam sama chadzać, oglądana po drodze przez licznych służących. "Nawet przez kilka nocy kazano jej we własnej sypialni pozostać", później przez miesiąc z górą trwała całkowita separacja - skarżył się poseł austriacki, obwiniając o wszelkie zło Bonę. Tak zupełnie, jakby mogła istnieć na świecie siła zdolna zagrozić chłopcu przystęp do dziewczyny, której chce i do której ma prawo. Na trumnie Elżbiety napisano wkrótce, że zabrała ją "wielka choroba", czyli padaczka. A zanim zabrała - popsuka jej pożycie z mężem. Król czuł wstręt do miotanej

konwulsjami żony. Za wielkim był egocentrykiem, by osobiste odczucia podporządkować obowiązkom swego stanu. Zygmunt August potrafił przerywać dyskusje polityczne uderzeniem dłoni w stół i słowami: "ja tak chcę". Przesadna wierność wobec tej dewizy sprawiła, że najważniejsze dla monarchii sprawy traktowane były jak rzeczy ściśle prywatne. Kaprysy pojedynczego człowieka zgładziły dynastię Jagiellonów.

Razem z Elżbietą przyjechał do Krakowa agent austriacki, niejaki Marsupino, Włoch. Pokazana w dodatnim świetle jego postać występuje w "Królewskim jedynaku" Lucjana Rydla. Obszerne przytoczenia ze sprawozdań Marsupina napotkać można w książkach ostatnio napisanych i wydanych. Zastanawiająca historia! Ordynarny szpieg, po to przysłany do Polski, aby węszyć, mącić, kupować ludzi i na wszelkie sposoby zwalczać kobietę, która była rzeczywistym kierownikiem polityki państwa i zajadle broniła go przed zakusami Habsburgów. Signor Marsupino wie, czego się trzymać, dostał instrukcje, zna zamierzenia swego pana. Wysyła do Wiednia tasiemcowe raporty, opracowane nader kunsztownie. Stanowią one gotowy, po prostu literacki materiał. Tylko czerpać z nich pełnymi garściami i podsycać kampanię oszczerstw, od dawna prowadzoną przez Habsburgów przeciw Bonie. Polscy pisarze darzą signor Marsupina takim samym zaufaniem, z jakim pobożny parafianin odnosi się do swego proboszcza. Marsupino napisał, to znaczy prawda. Nuże cytować co smakowitsze kawałki!

Oto na przykład sławna sprawa

sera parmezańskiego. Bona jakoby to skąpiła go Elżbiecie, więc zawiadomiony przez Marsupina patrycjusz krakowski Boner

posłał na Wawel trzydzieści funtów tego specjału. Zaczęła się burza, mocno ośmieszająca dwór polski, na którym trwa istne śledztwo o kawałek sera. Rzut oka na własny raport agenta wystarczy, by się przekonać, że Bonie nie o ser chodziło, lecz o wykrycie informatora Marsupina: "królowa Jej Mość rozkazała, abym doniósł, kto mi o tym serze powiedział, a ten ukarany zostanie tak, iż nikt już więcej nie odważy się fałszów wymyślać. Ja zaś odpowiedziałem, że tego za nic nie uczynię, albowiem nie jest rzeczą uczciwego człowieka stawać się oskarżycielem czyimś. Obowiązkiem moim jest wszystko słyszeć, wszystko widzieć, wszystkiego dochodzić, co się tyczy mojej służby, ale nikogo ani oskarżać, ani denuncjować". Z wyjątkiem królowej polskiej, rzecz jasna.

Razu pewnego, podczas rozmowy na krużganku wawelskim, Bona rąbnęła Marsupinowi prawdę w oczy: "Powiedziała mi nareszcie, że jestem szpiegiem przysłanym tu przez króla rzymskiego dla wzniesienia rokoszów. Na to odpowiedziałem, że gdyby Jej Królewska Mość sprawowała się tak, jak na dobrą królową przystoi, nie potrzebowałby król Jego Mość pan mój przysyłać mnie tu, a cesarz Jego Mość jeszcze kogoś od siebie dla zapobieżenia takim niegodziwościom". Polscy pisarze przyznają słusność agentowi i nie wątpią, że on naprawdę ośmielił się coś podobnego powiedzieć. Zadanie Marsupina polegało na dostarczaniu Wiedniowi materiału oczerniającego. Teksty

polityczne trzeba politycznie
czytać.

Afera Marsupina zasługuje
jednak na pilną uwagę. Nieźle ta
wspaniała Polska Zygmuntońska
przeżarta była habsburską
agenturą! Kręci się po Wawelu
indywiduum w najwyższym stopniu

podejrzane, nie wiadomo
właściwie, jaką sprawuje
funkcję, bo Elżbiecie nie
brakuje przecież służby
rozmaitych stopni. Szwenda się
więc pan Marsupino i nie sposób
go wyprosić. Smutne, lecz wcale
nie dziwne. Monarcha ociężała i
stary, w dodatku pomny na to, że
matka jego należała do rodu
Habsburgów. Zmarły przed
niewielu laty kanclerz
Szydłowiecki - płatny agent,
informujący Wiedeń o najbardziej
tajnych sprawach Polski.
Sekretarz Zygmunta Starego, Jost
Decjusz, ofiarował cesarzowi
swoje wierne służby. Hetman
Tarnowski przedkładał mu plany
sprowokowania wojny
polsko_tureckiej. Radziwiłłowie
brali z Wiednia tytuły i z
dworem tamtejszym pozostawali w
dobrych stosunkach. Dla
nuncjuszy papieskich, ze
wszystkich sił popierających
zamierzenia Habsburgów, nie było
właściwie w Polsce tajemnic.
Relacje ich najlepiej o tym
świadczą. Jakże tu wyrzucić
Marsupina?

Prawdziwą przeszkodę dla
polityki cesarskiej stanowił
tłum szlachecki, który wiedział,
że panowie z Jastrzębiej Góry
pragną zawładnąć Wawelem, i za
żadną cenę pozwolić na to nie
chciał. Więc szlachta, no i Bona
właśnie, która z Włoch
przyniosła wiedzę o tym, jak się
strzeże arkanów dyplomacji.
Żaden szpieg nie mógł przeniknąć
jej zamierzeń, z której to

przyczyny Wiedeń wynalazł wspomnianą metodę oszczerstw i z powodzeniem ją uprawiał.

W kwietniu 1584 roku jechał do Moskwy Lew Sapieha jako poseł Rzeczypospolitej. Po drodze zasłyszał o zgonie Iwana Groźnego. Nie bardzo ufając wieści, pchnął naprzód wywiadowców, których sam nazwał szpiegami. Nie wiadomo, czy ci zdołali mu donieść, bo: "już

niedaleko od miasta, pierwszej niżlim Moskwę rzekę przejechał, spotkali mnie dwaj przystawowie w kilkuset koni. Ciż mi już opowiedzieli od młodego kniazia wielkiego o śmierci ojca jego... a opowiedziawszy to prowadzili mię aż do dworu poselskiego, w którym mię tak chowają jako jakiego więźnia, bo i w płociech dziurki pozatykano, i straż ustawiczna wkoło dworu w dzień i w nocy..." Metody, trzeba przyznać, dosyć bezceremonialne. Szkoda jednak, że nie stosowano ich i w Polsce - niekiedy przynajmniej.

Gdy nastąpiło u nas pierwsze bezkrólewie i bezpośrednia odpowiedzialność za służby publiczne spadła na szlachtę, skończyły się dla zagranicznych agentów czasy złote. Pilnowano ich dość troskliwie, przekonamy się jeszcze o tym. Dyplomata papieski musiał lasami przemykać od granicy cesarskiej do Sulejowa, na ustronie, gdzie Polacy kazali zamieszkać legatowi. Dróg strzegły bowiem poczty magnackie i oddziały uzbrojonej szlachty. Zadanie ich polegało na łapaniu podejrzanych obcokrajowców.

Matteo Argenti, który w drugiej połowie XVI wieku był zwierzchnikiem sekretariatu szyfrów papieskich, pozostawił pamiętniki. Treść ich szkicuje

ciekawą mapę rozprzestrzeniania w Europie umiejętności tajnego korespondowania. Mistrzostwo dzierżył Rzym. Finezyjnie uprawiano wspomnianą sztukę we Francji, w Anglii, Wenecji oraz we Florencji. Hiszpania stała o wiele niżej. Mało tam szyfrowano i dość niechlujnie. Takie zaś kraje, jak Niemcy, Szwajcaria, a zwłaszcza już Polska i Szwecja, nie miały pojęcia o poważnej robocie. Przychwyconą depezę, bez najmniejszej próby odczytania, wrzucało się tam w ogień doczesny jako rzecz

obmierzłą. W Sztokholmie nakazano w swoim czasie śledzić i przejmować całą korespondencję słynnego Antoniego Possewiny. Rozkaz monarszy wykonano, lecz nie zdarzył się ani jeden wypadek odczytania zdobyczy. Więc albo niszczone listy znakomitego jezuitę, albo machnąwszy ręką odsyłano je adresatom. Najważniejsze fragmenty depeż nuncjatur z Polski były zawsze szyfrowane. Niedbale wprawdzie, bo nic nie zmuszało do zadawania sobie trudu, ale szyfrowane. Papieska służba polityczna reprezentowała dobry poziom, umiała strzec tajemnicy. Nie da się tego niestety powiedzieć o polskiej. Zdobywano się najwyżej na takie szatańskie podstępny, jak przewożenie tajnych listów wewnątrz wydrażonych kopii rycerskich. Tylko na Dzikich Polach niektórzy zagończycy radzili sobie sprawnie. Bernard Pretwicz potrafił na przykład osobiście penetrować obozowiska ordy. Ślązak z pochodzenia, mówił biegle po tatarsku, umiał też dla niepoznaki przebierać się za wojownika z Krymu.

Signor Marsupino nie potrzebował takich kunsztów.

Zdarzyło się raz pewnego, że szlachcic włoski ze zdążającego do Polski orszaku nuncjusza zachorował po drodze i trzeba go było pozostawić. Przybywszy później do Krakowa użalał się na trudy, jakich doznał w Niemczech, gdzie nie mógł się po prostu dogadać, bo bardzo mało osób znało łacinę. W Polsce, w Krakowie i na prowincji, władało nią wielu rzemieślników nawet, co na bajkę wygląda, lecz jest prawdą stwierdzoną przez obcych. Łatwo było Marsupinowi rozmawiać z ludźmi, o przebieraniu się ani tajeniu swej cudzoziemskości w ogóle nie myślał. Rzeczpospolita nie chorowała na ksenofobię.

30 lipca 1543 roku Zygmunt August wyjechał na Litwę, dokąd podążyły za nim "pewne kobiety". Elżbieta pozostała w Krakowie. Przez trzy niespełna miesiące pobytu w Polsce zdołała pozyskać szczerą sympatię... teścia. Zygmunta Starego wzruszyła niedola synowej. Tym łatwiej udał się szantaż. "Królem jestem i księżęciem, a nie mam gdzie z żoną mieszkać" - mawiał Zygmunt August. Zjechawszy w roku 1544 na sejm litewski do Brześcia, stanął kwaterą osobno, poza zamkiem, który zajęli starzy królestwo wraz z Elżbietą. Oświadczył stanowczo, że to się nie zmieni, dopóki ojciec nie odda mu władzy na Litwie. Objął ją w październiku. Stało się zadość uchwałom tajnej narady, odbytej w Piotrkowie o dziesięć zaledwie miesięcy wcześniej. Posłowie austriaccy oraz ich litewscy i polscy stronnicy postanowili wtedy za wszelką cenę i jak najrychlej wprowadzić Zygmunta Augusta na tron wielkoksiążęcy w Wilnie. Awans syna oznaczał klęskę matki.

Brali górę magnaci, od lat
zwalczający działalność Bony na
Litwie, Habsburgom udało się
ważne posunięcie. Ich plan
politycznego podporządkowania
sobie Rzeczypospolitej, nawet
opanowania jej tronu, nabierał
wyraźniejszych konturów.

Wawel pozostał sobą, przycichł
tylko i opustoszał. Był nadal
siedzibą starca. Wdzięk młodości
ulotnił się. Nabrało blasku
Wilno. Ruszyła odbudowa
spalonego przed kilku laty zamku
dolnego. Rosły skrzydła gmachu,
dwór młodej pary wymagał
pomieszczeń, nowe formy życia
wymagał odpowiednich. Stara królowa
związała swój dalszy los z
Mazowszem. Państwowe dobra tej
dzielnicy uznano za jej oprawę,
czyli za zabezpieczenie sum,
które przed ćwierćwieczem
wniosła była do Polski z Włoch

jako swe wiano. Zamek warszawski
coraz częściej gości w swych
murach Bonę i jej trzy
nieodłączne cienie - Zofię,
Annę, Katarzynę.

Jeszcze tylko przez lat
pięćdziesiąt miał Kraków
pozostać oficjalną stolicą
Rzeczypospolitej. Na odmianę
zanosło się wcześniej i w
okolicznościach dosyć mrocznych.

22 października 1544 roku
Elżbieta uroczyście wjechała do
Wilna przy boku małżonka, już od
poprzedniej jesieni całkiem
podbitego wdziękami Barbary z
domu Radziwiłłów, wdowy po
Stanisławie Gasztołdzie. Kultura
osobista Zygmunta Augusta
zrobiła jednak swoje, przykre
historie krakowskie nie
powtarzały się. Król
przestrzegał form. Elżbieta
pisywała do ojca i teścia nawet
o szczęściu małżeńskim.
Niewiasta, zwana przez
współczesnych "aniołem

niebieskim", mogła być
rzeczywiście wyrozumiała -
ambicja też musiała grać rolę.
Zygmunt August zwierzał się
lekarzowi nadwornemu ze wstrętu
do żony. Ona maskowała to
pogodnymi listami, on -
kurtuazją oraz troską o jej
zdrowie.

Za skuteczny środek przeciwko
epilepsji uchodziło podówczaś
kopyto łosia. Najlepiej działało
takie, które zdjęto z żywego
zwierzęcia w okresie rui. Trudno
je było oczywiście uzyskać, ale
czegoż nie dokáže rozkaz
monarchy? Zygmunt III obdarzył
później kardynała Gaetano płatem
skóry zdartym z czoła żywego
tura, stanowiącym również
potężny środek leczniczy.
Nuncjusz przyjął dar z
wdzięcznością. Jeśli chodzi o
kopyto łosia, sporządzano zeń
pierścionki i temu podobne
przedmioty, które osoby chore
nosiły na ciele. Nie zbywało
pewnie na nich i Elżbiecie,

jednak król szukał dla żony leku
jeszcze lepszego. Wiadomo było
powszechnie, iż jest nim
pierścień koronacyjny Wielkiej
Brytanii. Zygmunt August starał
się o wypożyczenie go. Za
pośredników służyli: sekretarz
Bony, Stanisław Górski, oraz
znający na wylot Europę Jan
Dantyszek.

Poeta musiał szczerze sprzyjać
Elżbiecie, która pisywała doń do
Gdańska listy z podziękowaniami
za rozmaite przysługi. Na dwa
tygodnie przed śmiercią wyrażała
mu wdzięczność za często
nadsyłane do Wilna pomarańcze.
Prosiła jednak o jakiś
kwaśniejszy gatunek, "słodkie
bowiem przychodzą nam i skądinąd
(najpewniej z Rygi) i już się
podniebieniu sprzykrzyły".

Zygmunta Augusta nie było w

Wilnie 2 czerwca 1545 roku,
kiedy Elżbieta kreśliła ten
list. Pojechał bowiem do
Krakowa, by odebrać wiano żony.

Sprawa tych pieniędzy wlokła
się dosyć długo, ponieważ
Habsburgowie, wbrew zawartej i
podpisanej umowie, nie wypłacili
od razu wszystkich należnych
sum. Przywiózł je nareszcie do
Krakowa baron Zygmunt
Herberstein, dyplomata wybitny i
od dawna znający Polskę.
Przywiózł w beczkach, a potem
długo musiał wraz z
pełnomocnikami drugiej strony
liczyć i ważyć, bo sztuka
obcinania monet nożem kwitła
podówczas w Europie. Ukończywszy
robotę, pchnięto gońca do Wilna,
by przywiózł od młodej pary
odpowiednie pokwitowanie.
Posłaniec ów wrócił po upływie
dni dwunastu za ledwie. Spieszył
się przecież bardzo. Okazało
się, że Zygmunt i Elżbieta
złożyli na dokumencie podpisy,
lecz zapomnieli o pieczęciach.
Wysłano go zatem po raz drugi.
11 kwietnia było już po
wszystkim. Baron Zygmunt
Herberstein kazał umieścić

odpowiedni napis łaciński na
ścianie izby, w której mozolił
się liczeniem i ważeniem. W dwa
miesiące później Elżbieta zmarła
w Wilnie. Zgodnie z treścią
kontraktu ślubnego sumy
wypłacone przypadają wdowcowi.
Dwór wiedeński rozpaczał. Nie
mógł odzależnić własnej
pochopności.

Pieniądze posagowe zostały
wydane na utrzymanie dworu
wileńskiego. Jagiellonowie
zwrócili jednak Habsburgom to,
co zwrócić mogli, to znaczy
wartość wyprawy zmarłej oraz
darów ślubnych. Razem wzięte,
wynosiło to trzydzieści tysięcy
złotych węgierskich. Zygmunt

Starty zachęcał syna do wielkoduszności. Przypomniał, że swojego czasu zatrzymano w Polsce spadek po Helenie "Moskiewce", małżonce Aleksandra Jagiellończyka. Ale "wyprawy tej cóż było? Oto trzewiki naszywane perłami". Kurtuazyjnie oddano za to Wiedniowi wyprawę jego - Zygmunta Starego - matki, Elżbiety Rakuszanki, która przez lat przeszło pięćdziesiąt była królową Polski. Nie uznano więc sprawy za przedawnioną. Tak właśnie - wywodził Zygmunt Stary - postępować należy. Trzeba się starać o dobre stosunki z domem Habsburgów, "z którego po matce ród nasz wieedziemy".

26 września tegoż 1545 roku dom Habsburgów otrzymał owe trzydzieści tysięcy. Jednakże i on miał pewne wydatki. Przy zabiegach o zamażpójście Elżbiety i oddanie rządów na Litwie Zygmuntowi Augustowi najbardziej się Wiedniowi zasłużył hetman Jan Tarnowski oraz biskup Samuel Maciejowski. Pierwszy z nich otrzymał dwanaście tysięcy dukatów, drugi liczne dary oraz obietnicę awansu na kardynała. Trudno przeliczać złote węgierskie na dukaty i cenę prezentów dla

biskupa. Najostrożniej rzecz traktując uznać wypadnie, że część przynajmniej tych właśnie kosztów habsburskich Rzeczpospolita sama zapłaciła.

Ze śmiercią Elżbiety było tak: 11 czerwca w przeciągu dziesięciu godzin chwyciło ją piętnaście ataków epileptycznych. 15 czerwca zmarła z wycieńczenia. W lipcu poseł angielski słał z Niemiec raport do Londynu. Donosił, że królowa Bona struła swą synową. Habsburgowie sprawnie prowadzili

kampanię oszczerstw.

Notatka o zgonie Elżbiety figuruje w modlitewniku króla Zygmunta Starego. Włoski język zdaje się świadczyć, że autorką jej była Bona.

Zygmunt August "prócz czarnej sukni nie dawał innego znaku żałości" po stracie połowicy. Kto pamięta o jego stałym zamiłowaniu do czarnych ubiorów, ten się zbytnio nie przejmie. "Żył potem król August w Wilnie bez żony, nieco odmienwszy obyczajów" - ostrożnie napisał Łukasz Górnicki. Jakże sprawnym narzędziem potrafi być pióro - chociażby nawet gęsie - w ręku zdolnego człowieka. Ileż można ukryć za jednym zdaniem, które formalnie rzecz biorąc nie zawiera kłamstwa. Na szczęście ocalały pewne świadectwa i profesor Ludwik Kolankowski zdołał wyjaśnić, co się u Górnickiego zmieściło w jednym króciutkim "nieco".

Odnosi się wrażenie, jakby puściły hamulce i życie dworskie na Litwie nabrało niebywałego dotychczas rozmachu. Słabowita niewiasta musiała istotnie przeszkadzać, sama przyzwoitość nakazywała liczyć się z atakami jej cierpienia. Teraz to ustało, przyjęcia, igrzyska i maskarady popłynęły strumieniem. Do najświetniejszych wydarzeń zaliczał się marcowy turniej 1546 roku, urządzony ku czci

księcia pruskiego. Albo wielki festyn na wodzie, czyli na świeżo wykopanych stawach w Wirszupce pod Wilnem. W obu wypadkach gospodarzem był król. Nie dawali się prześcignąć panowie wojewodowie wileński i nowogródzki. Wkrótce po pogrzebie małżonki wdowiec występuje w masce, zagubiony wśród własnych, podobnie

przystrojonych dworzan. Dobre czasy nastały dla wszelkiego rodzaju grajków wędrownych, kuglarzy, wesołków i linoskoczków. "Dwór królewski - pisze Kolankowski - zaroił się od poprzebieranych w zielone szaty i czerwone buciki karłów, sprowadzanych głównie ze Żmudzi, dalej wszelkiej narodowości błaznów (spośród nich najwybitniejszy Niemiec, Kleindinst) i innych osobliwości..." Sensację wzbudzał lew, sprowadzony do Wilna w listopadzie 1545 roku. Miał on osobnego dozorcę, Bernarda, który brał rocznie dwanaście florenów i był zobowiązany do utrzymania i szkolenia w kunszcie pogromcy "chłopca". Kapela nadworna pod batutą Macieja Czermiórki miała bardzo dużo roboty.

Więcej od niej napracowali się jednak sokolnicy, niedźwiednicy oraz strzelcy królewscy. Jedna tylko obława na żubry, urządzona w Białowieży, dała tyle zdobyczy, że trzydzieści pięć beczek zasolonej dziczyzny pojechało do Krakowa, kilkanaście do Poznania. Dotarły pewnie zdrowo - rzecz odbyła się w styczniu 1546 roku. Z jego trzystu sześćdziesięciu pięciu dni król spędził na łowach dwieście dwadzieścia i trzy. Zabawy, urządzane już poza obrębem puszczy Białowieskiej, Bersztańskiej i Rudnickiej oraz lasów rozciągających się wokół Oran, Olkienik, Wigier, Olity, też pochłaniały wiele czasu.

Powierzoną Zygmuntovi Augustowi władzę na Litwie musiał więc w rzeczywistości sprawować ktoś inny.

Kiedy sternicy państwa bujają po puszczech lub obłokach, ratują sprawę dobrzy urzędnicy -

o ile istnieją, naturalnie.
Długoletnie rządy Bony
wyszkoliły fachowców, ludzi
znających swe rzemiosło i
wiernych mu. Teraz młody król
zabawiał się i szalał, a oni
przeprowadzali na Litwie
zbawienną reformę monetarną.
Konieczność jej wynikała z
wydarzeń osobliwych,
zasługujących na omówienie.

Swojego czasu Zygmunt Stary
odrzucał był projekt Bony, która
chciała uzyskać dla małego
jeszcze wtedy syna księstwo
głogowskie. Władał nim Ludwik II
Jagiellończyk, który Czech i
Węgier, rodzony bratanek
monarchy polskiego. Zygmunt
Stary uznał plan żony za
niemoralny. Jego zdaniem nie
wolno było działać na szkodę tak
bliskiego krewnego, członka tej
samej dynastii. Sentymenty
rodzinne nosiły jednak charakter
jednostronny. Od kilku lat w
Świdnicy, czyli w państwie tegoż
Ludwika II, działała mennica
rujnująca skarb polski.
Puszczano ona w obieg tak zwane
półgrosze, łudzaco podobne do
identycznie się nazywających
monet polskich, lecz zawierające
o wiele mniej srebra. Wskutek
takiego stanu rzeczy opłacało
się wywozić z Rzeczypospolitej
lepszy pieniądz, grubo
zarabiając na sprzedawaniu i
przetapianiu go. Nastąpiło to,
co Tadeusz Kałkowski określa
jako "prawdziwą katastrofę
finansową o olbrzymich
rozmiarach". Półgrosze
świdnickie zalały kraj, wyparły
wartościową monetę. Przez
dziesięć lat klęska trapiła
Koronę, a kiedy sejm tamtejszy
nareszcie sobie poradził,

przerzuciła się na Litwę. Złe
półgrosze docierały nad Wilię z
Prus. W roku 1546 ludzie ze

szkoły Bony zabrali się do dzieła. Zygmunt August dał upoważnienie podskarbiemu, Janowi Lutomirskiemu. W dwa lata później półgrosze świdnickie znikły z Litwy. Ściągano je do specjalnych komór skarbowych, działając nader energicznie, łowiąc po prostu tych, co płacili nimi.

Najlepsi nawet urzędnicy są bezradni w pewnych sprawach. Za czasów Bony toczono wojny z Moskwą, lecz budżet zamykał się nadwyżką dochodów nad wydatkami, które szły wyłącznie na cele publiczne. Teraz uległo to radykalnej zmianie. Bilanse roczne wypadały ujemnie. Bujne życie dwoeskie pochłaniało ogromne sumy. Skarb pustoszał, pęczniały za to inne kabzy.

W terminologii politycznej Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego językiem urzędowym był ruski, łatwo napotkać utarty zwrot "kniażata i paniata". Nosiciele pierwszego z tych tytułów, potomkowie dawnych dynastów dzielnicowych, schodzili w cień, tracili na znaczeniu i wpływach, coraz mniej mieli ziemi i poddanych. Nazwisko najstarszych spośród nich, książąt Druckich, miało na nowo rozblysnąć dopiero w XIX stuleciu. Za ostatnich Jagiellonów zwycięsko szli w górę "paniata". Rośli na urzędach państwowych, sprawowanych niemal dziedzicznie, tyli na olbrzymich darowiznach królewskich. Wywodzili się z rdzennych Litwinów, wyznawali katolicyzm, a tylko on aż do roku 1563 zapewniał w Wielkim Księstwie pełnię uprawnień. Gasztołdowie, Radziwiłłowie, Hlebowicze, Kiszkwie, Zabrzezińscy, Kieżgałłowie - to były teraz pierwsze wielkości kraju.

Urzędowali po rusku, na co dzień mówili po polsku, o mowie litewskiej zapomnieli. "Wilk chowany a Rusin chrzczony diabłu się godzi" - głosiła Barbara Radziwiłłówna w liście do matki, pisanym oczywiście w języku Reya. Wielki Konstanty Ostrogski, zwycięzca spod Orszy, to był dla Olbrachta Gasztołda "człowiek nowy, podłej kondycji, Rusin, syn mizernego kniaziowskiego rodu". Fatalnie - powiadał Ludwik Kolankowski - czuli się wśród nowych wielkości ludzie starszej szkoły, reprezentanci tradycji czasów Kazimierza i Aleksandra. Taki na przykład podskarbi, "poważny i skrupulatny pan Iwan Hornostaj, broniący nieraz z trudem w czasie obrad swej brody przed garściami rozżartych, żądnych kluczy do skarbcza adwersarzy". Nawet pierworodny (choć nieprawdy) syn Zygmunta Starego, Jan z "książąt litewskich", nie wytrzymał i zamienił biskupstwo wileńskie na poznańskie. Nad Wartą było spokojniej i o wiele bardziej kulturalnie.

Gnani żądzą majętności i władzy "paniata" parli naprzód z rozpędem swej stanowej młodości i... nieopisanego prymitywizmu politycznego. Jak mogli, tak się sprzeciwiali reformatorskim poczynaniom Bony. Z pozoru bronili Litwy przed władczymi zakusami Korony. W rzeczywistości chcieli dla Wielkiego Księstwa prymatu w Rzeczypospolitej. Ich hasło tak by można streścić: Litwa dla Litwinów, Polska dla Litwinów również, a niekiedy i dla zagranicy także. Chcieli traktować Koronę jako coś w rodzaju jednostki podrzędnej, która ma na każde zawołanie dawać sukurs, sama nic w zamian nie otrzymując. Tak sobie rozumowali i myśleli włodarze Litwy nazajutrz po upadku Smoleńska, a w przeddzień utraty

Połocka. Wojska Wasylów i Iwanów kroili ich kraj niczym masło, od schyłku XV wieku było jasne, że bez wsparcia z Korony Wielkie Księstwo nie sprosta Moskwie. Czarno na białym pisał o tym Jan Długosz, zmarły w roku 1480. Panom litewskim nie przychodziło do głowy, że chcąc mieć pomoc z Korony, trzeba dbać o jej dobro. Trapiło tych ludzi przekleństwo subiektywizmu. Sprawy wymagające szerszych horyzontów, stan rzeczy obiektywny, to było dla nich na razie jeszcze za trudne.

Bona doskonale wiedziała, co czyni, kiedy zajadła sprzeciwiała się wysłaniu syna do Wilna. Nie chciała oddać młodego króla pod wpływ magnatów litewskich. Wolała trzymać go pod własnym i po stokroć miała rację. Nie intuicja żadna, lecz dokładna znajomość położenia kierowała postępowaniem Włoszki.

Najgorętszymi zwolennikami awansu Zygmunta Augusta byli dwaj Radziwiłłowie, bracia stryjeczni o tym samym imieniu - Mikołaj Rudy i Mikołaj Czarny. Postawili na swoim. Kraków pozostał daleko, teraz oni mieli na co dzień króla przy sobie i wśród siebie. Mikołaj Czarny rozpoczął karierę tak dziwną, że myśląc o niej, ludzie ówczesni skłonni byli żegnać się pobożnie czy też spluwać od uroku. W dziesięć lat później ambasador austriacki Jan Lang usiłował wyjaśnić cesarzowi tajemnicę moralnej przewagi Radziwiłła nad polsko_litewskim monarchą. Przecież Zygmunt August we wszystkim, co dotyczyło polityki, religii oraz innych spraw ważnych, słuchał tylko Czarnego, na niczyje więcej opinie nie zważał! Po wszechstronnym namyśle dyplomata cesarski pozbył się wątpliwości: Radziwiłł opętał króla

"incantationibus et prestigiis
diabolicis".

Mikołaj Rudy tak wysoko nie

zaszedł, ale i on na brak
znaczenia uważać się w żaden
sposób nie mógł. Na pewno! Jego
własne, do króla wysyłane i odeń
otrzymywane, listy świadczą o
tym najlepiej. W tym czasie,
aczkolwiek polszczyzna przemogła
już i w literaturze, i w sejmie,
elita panów koronnych
korespondowała pomiędzy sobą
tylko po łacinie, uważając
odmienne postępowanie za dowód
prostactwa. Zygmunt August
pisywał do Radziwiłłów zawsze po
polsku, oni odpowiadali mu w tym
samym języku. Jeden z listów
Rudego kończył się bardzo
oryginalną prośbą: nie pokazuj,
Wasza Królewska Mość, tych pism
moich swym sekretarzom, bo oni
są Polakami, a ja Litwin. Nie po
to się sprawę wspomina, by
wysztytować litewski patriotyzm
Radziwiłła, zasługujący na taki
sam szacunek, co i polskie
sentymenty Reya. Chodzi o żywy
głos świadka. On dowodzi, jak
bardzo skomplikowane były
stosunki wewnętrzne
Rzeczypospolitej. I jakie
wielkie znaczenie miał tron,
zwornik wspólnej budowli,
czynnik z natury rzeczy powołany
do ogarniania szerokich
horyzontów, do harmonizowania
dążeń.

W roku 1544 równowaga
zachwiała się zdecydowanie.
Młody król związał się na złe i
dobre z jedną ze stron, z tą
mianowicie, która miała
horyzonty ciasne, myślała na
sposób zaściankowy. Korona
lepiej ogarniała interesy
całości, przejawiała stanowczo
większą skłonność do kompromisu.

Talent oraz obrotność
człowieka potrafią czasem

rozstrzygać nawet wbrew
zewnątrznym okolicznościom. Z
dwóch Radziwiłłów, noszących
kolorowe przydomki, wyżej
zaszedł Czarny. Więcej szans zaś
miał Rudy. Przecież to on był
rodzonym bratem Barbary.

Zygmunt August poznał ją
jesienią 1543 roku w
Gieranonach. Pojechał tam, by je
objąć jako należny monarchom
spadek po nieboszczyku mężu
Barbary, Stanisławie
Gasztołdzie. Skutków tej wizyty
nie mogła przewidywać ani brać w
rachubę żadna ze stron, od dawna
walczących w Rzeczypospolitej o
prymat. Wojewoda Gasztołd zmarł
w roku poprzednim, licząc
zaledwie trzydzieści pięć lat. A
gdyby pożył sobie dłużej? Los
rzucił na stół dwa atuty, do
których wyłącznie on ma prawo.
Śmierć i miłość. Cenę gry
ponieść miał ogół, historia
wielu narodów.

Nie wiadomo, czy romans
zawiązał się od razu w
Gieranonach, w każdym bądź razie
trwał. Śmierć ponownie wpisała
się w te dzieje. Zgon Elżbiety
otwierał przed Barbarą zawrotne
perspektywy. Jeśli ktokolwiek
był nim doraźnie zainteresowany,
życzył sobie zniknięcia
Austriaczki, to nie Bona wcale,
lecz jej przeciwnicy. Pogłoski
oblatywały Koronę, pod adresem
oblubienicy królewskiej padały
słowa gorzej niż twarde. Nawet
wśród magnatów litewskich nie
wszyscy płonęli entuzjazmem.

Snuł się ten romans przez
królewskie zabawy, zameczki
myśliwskie nad przepiękną
Mereczanką, zagnieździł się w
Wilnie, gdzie siedziba monarsza
niemal graniczyła z pałacem
Radziwiłłów, i w nim właśnie
przemienił w fakt dokonany z
gatunku tych, co posiadają moc

kształtowania dziejów. Pewni ludzie pilnie wszak czuwali nad atutami, które im jakby wprost z nieba spadły.

Obaj Radziwiłłowie zażądali od króla, by przestał pojawiać się w ich domu i kompromitować Barbarę. Kiedy zaś Zygmunt August "krewkości przyrodzonej dłużej zdzierżyć nie mógł i poszedł do niej nocą", oprócz

bohaterki dramatu czekali nań obaj Mikołajowie, a w izbie przyległej ksiądz ze stułą.

Na razie małżeństwo zachowano w tajemnicy. Była to jesień 1547 roku. Zygmunt August musiał jechać na sejm do Polski, Barbara powędrowała do zamku Radziwiłłowskiego w Dubinkach. Przeżyła tam dwa wydarzenia tragiczne. Najpierw poroniła córkę. Kiedy już powróciła do zdrowia, przypadkiem, cudem niemal, uniknęła śmierci. Pewnego grudniowego wieczoru siedziała wraz z bratem i dworzaniem Dowojną w izbie na piętrze. Nagle podłoga zarwała się, runęła w dół. Wszyscy troje zdążyli odskoczyć, ocalić się. Czy na szczęście?

Zygmunt August miał poważne wątpliwości co do przyczyny, dla której "tak prędko i gwałtownie mur ten upadł... dziś wiele złych ludzi, co się radzi przyczyniać..." A może naprawdę ktoś pragnął wyprostować to, co los powikłał?

Król Zygmunt Stary zmarł w Krakowie w niedzielę wielkanocną 1548 roku, 1 kwietnia. Wieść szybko dotarła do Wilna. Zygmunt August natychmiast rozkazał przewieźć Barbarę z Dubinek do stolicy Litwy. Pierwszą czynnością nowego władcy Rzeczypospolitej było uroczyste przedstawienie żony radzie wielkksiążęcej, czyli

senatowi litewskiemu. Padło
zdecydowane żądanie, aby
"oddawano jej cześć jako
królowej i pani". Po ceremonii
Barbara nie powróciła już do
pałacu rodzinnego, gdzie
przebywała w ukryciu po powrocie
z Dubinek. Małżonek wprowadził
ją na zamek, niezwłocznie
wyznaczył dwór osobny i
urzędników.

Trzeba było teraz jechać nad
Wisłę, pogrzebać zwłoki ojca, a
potem stawić czoło szlachcie
koronnej. Nie zapowiadało się to

łatwo, bo i znakomita większość
tamtejszych magnatów stanęła
okoniem. Rozlegał się już głos
Jana Tęczyńskiego, wojewody
sandomierskiego, "żeby chętniej
wolał Solimana Turczyna w
Krakowie oglądać, niż tę mieć za
królową w Polsce". Na dwóch
tylko ludzi mógł na razie liczyć
młody król. Stał po jego stronie
hetman Jan Tarnowski oraz biskup
Samuel Maciejowski - akurat ci
mężowie, którym tak niedawno
Wiedeń płacił za przysługi
dukatami, kosztownościami oraz
obietnicą protekcji w Rzymie.
Strzeżmy się ciasnoty
perspektyw. Przyglądając się
romansowym perypetiom Barbary i
Zygmunta nie poprzestawajmy na
rachowaniu uwikłanych w grę
person litewskich i polskich.
Rzućmy okiem i za kulisy, gdzie
dojrzeć będziemy mogli sylwety
Habsburgów. Zygmunt August
wiązał się wszak na śmierć i
życie z ich stronnikami w
Rzeczypospolitej.

Stadła monarsze (c.d.)

Król pojechał do Polski sam.

Barbara została na Litwie i jeszcze raz poroniła. Młoda para spotkać się miała dopiero we wrześniu.

Nastąpiło to w okolicach Radomia. Zygmunt August przybył na miejsce pierwszy. Czekał, stojąc na wzgórku o kilkadziesiąt sążni od traktu. Szeroki pas czarnego sukna lionńskiego słał się spod stóp królewskich aż do gościńca. Kolaska oczekiwanej dotoczyła się do skraju chodnika. Zgodnie z wolą męża, wyrażoną w specjalnym liście, Barbara miała na sobie szaty czarne. Pośrodku rozesłanej po ziemi kirowej wstęgi spotkały się i powitały dwie w żałobę przybrane postacie.

Obaj Radziwiłłowie wraz z siostrą odnosili się do króla ze skrajną pokorą. Rozpoczynała się wielka gra o przyozdobienie ich rodu koroną. Trudności dawały się przewidzieć. Na pozór tylko one widniały wokół. Biskup Mikołaj Dzierzgowski gotów był mocą swej władzy duchownej "rozdać na podział grzech królewski rozwodu tak, aby na każdego mężczyznę w Polsce trochę przypadło".

Podczas gdy w Piotrkowie grzmiał, piorunował, to znów klękał w kornym błaganiu sejm, Barbara przebywała w Nowym Korczynie. Zygmunt August kazał dworzanom strzec jej dniem i nocą. Szczególnie troszczył się o to, aby jej białogłowy pić nie dawały, "a zwłaszcza z kubków, albowiem jednak ze szklanicy łącniej by się wszystko zobaczyło". Na odwiedzających pilnie zważać, "trzecie oko chować".

W grudniu 1548 roku Barbara przybyła na Wawel. Zamieszkała w komnatach Bony, która wraz z córkami wyjechała do Warszawy. Na progu zamkowym witał parę

monarszą ksiądz Piotr
Myszkowski. Oracja jego
zawierała akcenty krzepiące,
powoływała się na precedensy
historyczne. Wszakże to i
Aleksander Wielki nie wstydził
się niewolnicy poślubić, sam
Abraham sługę za oblubienicę
przybrał.

Barbara nie umiała po łacinie.
Nie potrafiła zresztą wielu
innych rzeczy, przede wszystkim
żyć z ludźmi w zgodzie i
zachowywać się w sposób
taktowny. Była na pozór
prymitywna. I w jej stosunku do
męża musiało być coś rażącego,
skoro Mikołaj Czarny mógł
napisać: "Przebóg też o to
proszę, niechaj inak niżli w
Dubinkach strzeże łaski pana
swego, który się teraz krwawym
potem o nią poci". Nieraz
musiał Zygmunt August długo
wyczekiwać w sieni wawelskiej,
aż się małżonka "wyburda".
Gorzej, że razem z nim wystawał
orszak senatorów koronnych,
mający towarzyszyć młodej parze.
Pojawiali się na Wawelu
rozsierdzeni szlachcice, by
zabierać ze dworu swe córki,
obrażone na "fuki" nowej pani.
Dla nikogo nie miała Barbara
serca ani ucha. Sama zaś
wypychała się naprzód wtedy
nawet, kiedy rozum nakazywał
pozostać w cieniu. Na
miłosierdzie Boże! - pisał Rudy
- niech jej kto wyperswaduje
pomysł wyjazdu przy boku męża do
Poznania, bo Wielkopoleanie tak
kolebkę "paszkwilusami" oblepią,
że przyjdzie specjalną służbę
najmować do zdzierania. Niechże
uważa, i na nią trzeba uważać,
by jej powodzenie zanadto do
głowy nie uderzyło, przez co i
ona, i król dorobią się fatalnej
opinii. "Potem trudno siekierą
wyrąbać, co by się teraz palcy
wyrwać mogło".

Zygmunt August rzeczywiście
pocił się o Barbarę krwawym
potem. Miał przeciwko sobie cały

sejm koronny i większość senatu. Jednakże zwyciężył, dowiódł swych wielkich zdolności oraz siły charakteru. Szkoda tylko, że w tak niesłusznej i szkodliwej sprawie. Magnaci zaczęli się uginać. Wreszcie ten z nich, który przed dwoma laty mieszał Barbarę z błotem i wypominał wszystkich jej trzydziestu kilku kochanków, własnoręcznie podał strzemię królowi. Zygmunt August napisał raz wtedy do Radziwiłła, że na tym zepsutym świecie pieniądze wiele mogą. Pieniądze i coś jeszcze. Sprawa Barbary pozwala ocenić, jak przenikliwymi ludźmi byli nuncjusze, którzy władzę króla polskiego uznawali za rozległą. Był on szafarzem dostojestw i dóbr doczesnych. Skoro wytrzymał pierwszy atak i pasje nieco opadły, ci, którzy mieli najwięcej zarówno do stracenia, jak do zyskania, zaczęli się ostrożnie oglądać i spojierać naprzód. Zwłaszcza to ostatnie było ważne. Król liczył dwadzieścia kilka lat. Z Barbarą czy bez niej - władza na długo miała pozostawać w jego ręku. Mało jest na świecie ludzi wolnych od lęku o karierę. O ileż liczniejsi są tacy, którzy po prostu nie boją się śmierci.

Matka nadal stała przeciwko małżeństwu syna. Za jej plecami córki i coraz szczuplejsze grono osób dostojnych. Gmin szlachecki zdania nie zmieniał, ale bez woli monarchy sejm nie mógł nawet zostać zwołany, nie mówiąc już o powzięciu jakiegokolwiek uchwały. Trzeba było do niej zgody trzech stanów - króla, senatu oraz izby poselskiej.

Parlament obradował jednak. Zygmunt August nie słuchał go, lecz na razie jeszcze nie sabotował. W roku 1550, kiedy

sejm zasiadał w Piotrkowie,
zjechała z Mazowsza Bona wraz z
córkami. Roztasowała się w

pobliżu miasta, we wsi
Gomolinie. Król odwiedził ją
tam.

Ludzie ówczesni lubili przy
każdej sposobności obdarzać się
pierścionkami. Niepodobna
policzyć, ile ich wymienili
Zygmunt i Barbara podczas chwil
rozłąki. Posłańcy wozili je wraz
z listami. Król przewidywał, że
matka może mu wręczyć taki
podarek podczas wizyty. Włożył
więc rękawice. Nie chciał brać
gołą dłonią. Bał się trucizny
działającej przez skórę. Nie
wstydział się napisać o tym w
liście do Mikołaja Czarnego. Ród
Radziwiłłów uważał widać wtedy
za swój własny, matkę zaś za
człowieka obcego i wroga.
Dowodów dbałości o siostry
raczej brakuje.

Zwierzywszy się Czarnemu z
jednego rodzaju podejrzeń w
stosunku do rodzicielki, donosił
Rudemu o innym. Bona przywiozła
z Warszawy do Gomolina
czarownicę, "Wielkiego Ożoga",
którą od dawna miała u siebie.
Służbie królewskiej udało się
pochwyć wiedźmę, "jest już u
nas w klatce, śpiewa dosyć
niemało, owa jest się czemu
podziwować..." Śpiewa - jak
widzimy, przenośni tej używa się
już od stuleci. Odpowiednio
zachęcony człowiek na każdą nutę
zaśpiewa.

Nieszczęsna baba siedziała w
więzieniu sieradzkim, potem w
Brześciu. Trafiła dalej i do
Dubinek, tych samych, w których
ongi przebywała Barbara.
Ostatnia wiadomość o Ożogu
pochodzi z Wilna. Zabierano się
tam "prawo jej uczynić".

Uwięziwszy czarownicę ze
służby matki, sprowadzał Zygmunt

August do Krakowa inne więdźmy,
dbając, aby każda "in arte
incantamentorum bene versata et
perita beła". Mikołaj Rudy
przysłał mu też jedną z Litwy, i
to "z ostrożnością, przy
służebniku swym dosyć

roztropnym, Antonim Łabedzie".
Dwukrotnie zwoływane konsylia
medyków z całego Krakowa nie
wystarczały królowi. Pragnąc
pomóc żonie, przyzywał w sukurs
moce tajemne.

Barbara ciężko chorowała.
Niewątpliwie na ten temat
śpiewała w klatce kobieta, zwana
"Wielkim Ożogiem". Bona
przywiozła ją do Gomolina w
maju czy też czerwcu 1550 roku,
a już grubo wcześniej, bo w
początkach marca, Zygmunt August
słał Mikołajowi Rudemu
następujące wieści:

"Że Jej Królewskiej Mości
zdrowie bardzo zda być
wątpliwem, tak jako i doktorowie
rozumieją, i my też tak baczymy.
Albowiem z onej żywota
twardości, jako to W. M. dobrze
możesz pomnieć, uczynił się
wielki wrzód, który jest bardzo
wysoki, i k'temu już ten
wszystek wrzód tak jest
zmiękczony i tak już zebrał i
prawie miękućki jest, tylko aby
się jeno przepuścił, a iż go
przepuścić trzeba..." Medycy
obawiają się bowiem, "iżby się
ropa z tego wrzoda na wnętrze
Jej M. nie obróciła".

Postanowiono dokonać operacji,
lekarze nie ręczyli jednak za
jej wynik.

Wrzód pękł sam, Barbarze
zaczęło się polepszać. O tyle
przynajmniej, że zdolna była
wytrzymać ceremonię, oznaczająca
dla niej szczyt tryumfu.
Schorowana, owrzodzona, z nogami
spuchłymi jak kłody zniosła
długotrwałe obrzędy koronacyjne.

7 grudnia 1550 roku została królową Polski i Litwy.

Ambicji i siły charakteru nie sposób Barbarze odmówić. 1 kwietnia 1551 roku mążnek jej pisał do szwagra, trącając w strunę optymizmu: "a tak co się dotyczy zdrowia, abo tej choroby Królowej Jej Mości, małżonki naszej, tedy mniemamy, iż za łaską Bożą, ex tempore in

tempus Królowej Jej Mości dobrze lepiej będzie się polepszało na zdrowiu, jakoż się polepsza, bo ten wrzód bardzo dobrze ciecze i już lewy bok wszystek, i ona twardość, która w nim była zginęła, z prawego boku, zasię teraz ropa iść poczęła, febra też dawno nie bywa, wyjawszy teraz, że się mało była ropa w tym prawym boku pozadzierziała, tedy po dwa dni poczęła była febra bić..."

Taki był stan rzeczy 1 kwietnia. W przeddzień - 31 marca - "bita" febrą, ociekająca ropą monarchini przyjęła zakonnika włoskiego, spowiednika Bony, który występował jako poseł starej królowej i jej trzech córek - Zofii, Anny, Katarzyny. Wdowa po Zygmuncie Starym postanowiła uznać synową, pogodzić się z nią, "salutując i pozdrawiając na stolicy tej". Przyjmowała wszystkie warunki, które jej poprzednio Zygmunt August posłał był na piśmie przez tegoż mnicha, już po raz drugi sprawującego poselstwo. Jednała się z synową i to samo kazała uczynić córkom.

Można przypuszczać, że Barbara przyjmowała posła leżąc w łóżku. Nie chciała jednak, aby ceremonia odbyła się bez świadków. W komnacie stał tłum największych dam koronnych, kasztelanów, dworzan. Trwać to musiało dosyć długo. Zakonnik

najpierw przemówił w imieniu Bony i wręczył pismo od niej, potem wygłosił inną orację i znowu oddał list - jako przedstawiciel królewien. Za parę tygodni choroba miała wejść w takie stadium, że zaduch żywcem rozkładającego się ciała wypłoszył z izby nawet służących i sam tylko Zygmunt August doglądał żony.

Łudził się długo. "Znać dawamy - pisał 17 kwietnia - iż po tym wrzodu tego przepuszczeniu królowej Jej Mości na zdrowiu

polepszać się poczęło, i nogi były niepomału popuchły, tedy już jedna prawie in inversum stęchnęła, a druga też już dobrze stęchać poczyna, tyle że podle tego miejsca drugi się był guzik uczynił, gdzie iż się utworzył i z niego jakaś ruda materya ciec poczęła..."

Królowa Barbara umarła 8 maja 1551 roku w samo południe.

Spoczęła w katedrze wileńskiej, przybrana w czarną szatę atlasową, z koroną, berłem i jabłkiem monarszym. Od samego Krakowa aż nad Wilię prowadziła zwłoki prawdziwa procesja żałobna. Wdowiec jechał konno lub szedł nawet tuż za trumną. Zygmunt August tym razem oparł się obu Radziwiłłom, którzy koniecznie pragnęli pogrzebać siostrę na Wawelu, obok sarkofagów piastowskich i jagiellońskich. Król nie chciał złożyć szczątków żony w stolicy Korony Polskiej, wśród ludzi niechętnych nieboszczce: "ponieważ Jej Królewskiej Mości tu niektórzy za żywota wdzięczni być nie chcieli, niechże i po śmierci jej tu nigdy nie widzą ani maja". Pogrzeb lepiej jeszcze niż ślub zaświadczył o miłości Zygmunta do Barbary.

Modlitewnik Zygmunta Starego

milczy o jej zgonie. Księżę tę
odziedziczyła po mężu Bona,
która upokorzyła się wprawdzie
przed synową, lecz kiedy śmierć
zamknęła kwestię, nie uznała
Radziwiłłówny za godną
figurowania w spisie Jagiellonów.

U schyłku tegoż miesiąca
Radziwiłłowie otrzymali na
piśmie wyrażone zapewnienie
dalszej łaski monarszej. Spadek
polityczny po drugim ożenku
królewskim trwał. Był zresztą
rozległy, ważki i obfity w
skutki. Podczas zatargu z sejmem
Zygmunt August zawarł tajny pakt
z Habsburgami, mający na celu
pomoc wzajemną przeciwko własnym
poddanym. Przybyło do Polski

pięć tysięcy piechoty
hiszpańskiej, która stanęła
kwaterami w dobrach koronnych.
Płacić za to należało
natychmiast, doraźnie. Izabela
Jagiellonka musiała wraz z synem
opuścić Siedmiogród, powrócić do
Polski. Stańczyk miał zatem
słuszność, kiedy radził
zawczasu wybudować dla niej
kamienicę w Krakowie.
Bezpieczeństwo Rzeczypospolitej
doznało wyraźnego uszczerbku.
Siedmiogród, zarządzany przez
posłuszną matkę Izabelę, to był
zderzak. Wątpli, to prawda.
Lepszy jednak taki niż żaden.
Sułtan bić się z Polską nie
chciał, gorąco za to pragnęli
tej wojny Habsburgowie. Brak
jakiegokolwiek izolatora od
strony Turcji stanowił
okoliczność znakomicie
sprzyjającą prowokacjom. Na
szczęście Habsburgowie nie
wykonali wszystkich warunków
umowy i Jagiellonka miała
jeszcze powrócić na Węgry.

Na razie, w smutnej wędrowce
do Polski, wyrzyła na korze
przydrożnego drzewa filozoficzną
maksymę: "Sic fata volunt".

Do spadku po drugim stadle
Zygmunta Augusta zaliczyć
również należy konflikt pomiędzy
sejmem koronnym a królem. Wlokło
się to nieporozumienie
rozpaczliwie długo, aż Iwan
Groźny kres mu położyć raczył,
zdobывая Połock. Zawiodły
piękne nadzieje, marzenia o
porozumieniu nowatorskim sejmu z
młodym władcą. Troska
obywatelska zagnieździła się
wówczas w izbie poselskiej, lecz
nie na tronie. Zygmunt August
fatalnie wystartował, zrażając
sobie poddanych uporem w sprawie
niesłusznej. Mimo to - poddani
wyciągniętych do króla dłoni nie
cofnęli. Długo jednak musieli
czekać, aż on im poda... końce
palców.

Stanisław Orzechowski nazwał
cierpienie Barbary "rakiem".

Bracia królowej zastanawiali
się, czy nie należy powiedzieć
lekarzom o z dawna trapiącej ją
"chorobie francuskiej", czyli o
kile. Doszli do wniosku, że tej
kwestii lepiej w listach nie
poruszać. Ostrożność może
przesadna, jeśli się zważy, że
kasztelan poznański Andrzej
Górka z trybuny sejmowej głośno
na ten temat przemawiał. Co
innego jednak oskarżenia ze
strony przeciwnika politycznego,
a co innego stwierdzenie
najbliższych krewnych.

Od dawna nie brakuje domysłów,
że małżeństwo z Barbarą
przyniosło zagładę dynastii
Jagiellonów. Król żył z
kobietą dotkniętą przymiotem
bardzo zaraźliwym i przynoszącym
wszechstronne powikłania.

Zmarł w sile wieku,
schorowany, obolały, istna ruina
człowieka. Był bezdziejny.
Niedługo przed jego zgonem jedna
z kochanek urodziła córkę, ale w
ojcostwo królewskie nikt nie

wierzył.

Dynastia Jagiellonów wygasła w roku 1572. Nie jest wykluczone, że nieodwołalny wyrok na nią zapadł niemal o trzydzieści lat wcześniej, podczas uniesień miłosnych nad Wilią i Mereczanką.

Zastanawiając się nad tragicznymi losami własnego kraju, przejawiamy stanowczo większe zamiłowanie do abstrakcji niż do konkretności. Zachwycamy się dziejami Francji, które dały kontynentowi Europy najpiękniejszy i najbardziej harmonijny twór. Podziwiamy i zazdrościmy, lecz rzadko jakos zastanawiamy się nad tym, że Francja od schyłku X do końca XVII wieku rosła pod rządami jednej właściwie i tej samej dynastii. Najpierw byli to Kapetyngowie głównej linii, potem Walezjusze i Burbonowie, boczne odrośle prawego potomstwa Hugona Kapeta. Trwanie dynastii oznaczało rzecz bezcenną:

ciągłość prawa monarszego, instytucji, urzędów. Państwo odmieniało się z biegiem czasu, i tym lepiej, w bardziej wszechstronny sposób odmieniać się, czyli rozwijać mogło, że sam zwornik budowli trwał. Wiadomo było raz na zawsze, że tylko dziedzic namaszczony w Reims jest prawowitym piastunem władzy. Nie raz jeden słabła ona bardzo, nigdy jednak nie naruszono jej zasady, która w sprzyjających okolicznościach mogła się znowu urzeczywistnić w pełni. Kiedy w roku 1789 rewolucja zachwiała tronem, kraj przeżył chwilę, która dziejopisowie francuscy zowią dołą Wielkiego Lęku. Ale były to już nowe czasy, epoka Oświecenia. Dawniejsze dzieje państw były wprost zrosłe z losami ich dynastii.

Polska w roku 1370 utraciła Piastów. Wiele to kosztowało skarb koronny, bo zabiegając o spadek dla córek Ludwik Węgierski zwolnił właściwie szlachtę od podatków. Od jego czasów przestaliśmy się, prawdę mówiąc, liczyć jako siła zaczepna, gdyż za służbę wojskową poza granicami kraju należało płacić rycerstwu gotowym pieniądzem. Prócz tego - nauczono się u nas targów z własnym monarchą, traktowania go jako czynnika obcego. W 1572 r. wygaśli Jagiellonowie. Pierwsze bezkrólewie po nich naruszyło równowagę ustroju.

Realizm w traktowaniu historii polega także na liczeniu się z interwencjami czynników nieobliczalnych.

Dzieje Czech i Węgier również były tragiczne. Wspólna cecha ich historii oraz polskiej to fakt wczesnej utraty narodowych dynastii. Arpadowie, Przemyślidzi i Piastowie wygaśli w średniowieczu. Ówczesny kryzys Polska przezwyciężyła najlepiej, zrobiła nawet bajeczną karierę.

Zmierzch Jagiellonów zapowiadał nowe przesilenie, tym groźniejsze, że problematyka wielonarodowej i bardzo rozległej Rzeczypospolitej była w najwyższym stopniu skomplikowana. Mocny zwornik stanowił więc kwestię życia lub śmierci.

Zygmunt August owdowiał po raz drugi licząc sobie lat trzydzieści i jeden niespełna. Poddani nie mieli jeszcze powodów do prawdziwej trwogi, aczkolwiek pomału i u nas zaczynały się przybliżać dni Wielkiego Lęku.

Trzy bawiące w kraju królewny wciąż trwały w stanie dziewiczym. Na początku roku

1552 Zofia zapadła w ciężką chorobę. Obawiano się o jej życie, a opinia powszechna przypisywała nieszczęście temu, że panna zbyt "długo za mąż nie szła". Jakoż właśnie wystukiwała Zofii trzydziestka. Anna miała wówczas lat dwadzieścia dziewięć, Katarzyna dwadzieścia sześć, co też wedle ówczesnych pojęć nie było mało.

Przyszłość trzech dziewcząt stanowiła przedmiot narady Bony i Zygmunta Augusta. Działo się to w styczniu roku 1552 w Radomiu. Stara królowa oddaliła z izby wszystkie swe dworki, zatrzymała tylko przyboczną karlicę. Syn tym razem nie miał rękawic. Trzymał za to w dłoni białą chustkę, zamierzając w razie czego przez nią ująć podarunek. W milczeniu wysłuchał podziękowań matki. Ona wręczona sobie pismo rady litewskiej odłożyła na bok nie czytając. Panowała atmosfera napięta, pełna wzajemnego dystansu. Zygmunt August wyrzucał matce brak troski o zamażpójście królewien. Na zimno, bez cienia jakichkolwiek uczuć dokonano przeglądu ewentualnych kandydatów na mężów. Prośbę Bony o pozwolenie na wyjazd do Włoch

król odrzucił, zasłaniając się wolą senatu. Już za życia ojca Zygmunt August sprzeciwiał się stanowczo projektom podróży matki. Obawiał się utracić jej skarby.

Którejś nocy zjawił się w kwaterze monarchy wysłannik Bony, Adam Pilchowski, który po wielu latach dokonać miał żywota jako biskup chełmski. Na razie był dworzaninem. Jego słowa dowodzą, o co Bonie najbardziej wtedy chodziło. Pilchowski zagadnął króla o plany trzeciego ożenku. Podobno majestat zamyśla

o królowie francuskiej? -
pytał. - Jej Mość radzi nie
pomijać w tej sprawie cesarza.

W odpowiedzi król oskarżył
matkę o otrucie obu jego
poprzednich żon. Uczynił to w
zawołowanej formie, lecz w
sposób niedwuznaczny. Mieliśmy -
prawił - "dwie małżonki, które
iż tak prędko zeszły, acz nie my
jesteśmy przyczyną, ale jednak
są ci, którzy do tego przyczynę
dali, iż obydwie ante diem suum
z tego świata zeszły. Przeto
oglądając się na to, aby i
trzeciej k'temu nie przyszło,
nie chcemy więcej innym tego
życzyć, co się za przyczyną
niektórych tym dwiema małżonkom
naszym stało, o czym nie tylko
tu, alić i indziej w ludzkich
uszu dobrze brzmi..."

Takeśmy odpowiedzieli matce -
na piśmie stwierdzał król - ale
nie wiemy, "jako to połknie".

Zygmunt August polował wówczas
w Puszczy Kozienickiej. 20
stycznia na trakcie leśnym
doszło do ponownego spotkania z
rodzicielką, która według
wszelkiego prawdopodobieństwa
umyślnie do niego doprowadziła.
Bona powracała z Warszawy.
Siedziała w kunsztownym, ostatni
krzyk mody stanowiącym wasagu.
Rozmowa była krótka i dotyczyła
tylko zalet wspomnianego
pojazdu. Włoszka wyraźnie
stworzyła okazję do wymiany

poglądów na poruszony przez
Pilchowskiego temat.

Wyczekiwała, aż syn go
podejmie. To się nie stało. Bona
kazała woźnicy ruszyć.

Wszystkie te szczegóły
zawiera nader obszerny list
królewski do Mikołaja Radziwiłła
Czarnego. O trzymanej w dłoni
chustce czytamy tam również.

Niezbyt długo wytrwał Zygmunt
August w zamiarze dożywoźnego

wdowieństwa. 10 kwietnia 1553 roku Mikołaj Rudy otrzymał odeń doniesienie o zapadłej już decyzji. Król pojmie za żonę "dziewkę Króla Jdgo Mości rzymskiego, wdowę księżną Mantuańską, która tylko pięć niedziel za mężem była". Ślub ma się odbyć w pierwszą niedzielę po świętym Piotrze, czyli na początku lipca. Rodzic narzeczonej wolałby jednak termin wcześniejszy.

Tak się do tego nowego związku kwapiono, że ktoś podejrzliwy mógłby snuć daleko posunięte przypuszczenia. Tymczasem narzeczeni nie widzieli się nigdy przedtem. Pośpiech, który zdradzał przede wszystkim dwór wiedeński, dyktowały względy polityczne, a nie obyczajowe.

Zaślubin nie można było urządzić od razu, bo i papież musiał powiedzieć swoje słowo. Nowa narzeczona Zygmunta Augusta była bowiem rodzoną siostrą jego pierwszej żony, Elżbiety Austriaczki. Nosiła imię Katarzyna. Miała lat dwadzieścia, a pierwsze jej stadło trwało nieco dłużej, niż to napisał Radziwiłłowi niezbyt widać ściśle poinformowany Zygmunt August. Nie "pięć niedziel", lecz niespełna cztery miesiące. W lutym 1550 roku małżonek jej, Franciszek III Gonzaga, książę Mantui, utonął w jeziorze Como.

Dyspensa papieska potrzebna była z dwójakiego powodu. Ożenek z rodzoną siostrą zmarłej żony -

to raz. Druga sprawa (chronologicznie rzecz biorąc - wcześniejsza) to pokrewieństwo rodowe. Elżbieta, Katarzyna oraz trzynastoro innych Habsburgów płci obojga rodziło się z Jagiellonki. Z tej mianowicie, która do rządu polskich

królewien nie należy. Anna, córka Władysława Jagiellończyka, króla Czech i Węgier (a więc stryjeczna siostra Zygmunta Augusta), wyszła za mąż za Ferdynanda I i obdarzyła go, jak się przed chwilą wspomniało, piętnaściorgiem dzieci. Z okazałej tej gromadki pochodziły dwie królowe Polski - Elżbieta i Katarzyna, siostrzenice własnego małżonka - oraz pewni pretendenci do naszego tronu, o których jeszcze będzie mowa.

Trzecie małżeństwo Zygmunta Augusta zbywa się zazwyczaj ogólnikami, stwierdzając tylko jego smutną jałowość. Niezbyt to słuszne i warto doprawdy przyjrzeć się perypetiom, zwłaszcza wstępnym.

Na przedwiośniu 1553 roku Zygmunt August ruszył z Wilna na sejm do Polski. Uniwersały, zwołujące parlament, rozesłał ze stolicy Litwy. Były pisane odręcznie, bo czas nie pozwalał dać je pierwiej do krakowskiej drukarni. Król rozmyślał już wtedy o nowym małżeństwie. Mogło go do tego skłonić pewne przeżycie sprzed kilku miesięcy. Dynastia Jagiellonów omal nie szczyła tragicznie już jesienią 1552 roku.

Albrecht pruski podejmował wtedy swego suzerena w Królewcu. Podczas wycieczki pod miasto pokazywał mu "i owce, i płoty, i insze gospodarstwo książęce". Postanowił też popisać się działobitniami. Podobno zdenerwowany nieudanymi próbami puszkarz rozsypał proch, który trafił pod lawetę, zapalił się od lontu i poruszył moździerz w

chwili strzału. Widoczny dla oka pocisk spadł w to miejsce, gdzie stał król ze świtą, która zdążyła uskoczyć. Nie uczynił

tego Zygmunt August oraz młody Wiśniowiecki. Ten "w górę patrzył na kulę, tak kula uderzyła go w wierzch czoła i wyrwała zadnią część głowy z mózgiem, że i na króla mózg strzelił, a tymże pędem konia pod kniazem w krzyż trafiła, że i kniaź, i koń na miejscu zaraz zostali".

Zygmunt August ujął się za niefortunnym artylerzystą. Prosił Albrechta o darowanie mu życia.

Przyjechał więc z Królewca do Wilna bogatszy o nie lada przeżycie. Śmierć zajrzała w oczy ostatniego z Jagiellonów, który mógł wskutek tego z większą niż dotychczas troską spojrzeć w przyszłość. Na przedwiośniu ruszył Zygmunt August saniami do Polski, lecz nagła rozciecz utrudniała podróż. Przyszło przenocować u plebana w Trzebieszewie, potem przez cały tydzień nudzić się w Łukowie. Dalsza droga do Krakowa odbyła się już na kołach. W marcu, porozumiewszy się z "przedniejszymi panami", wysłał król do Wiednia Mikołaja Radziwiłła Czarnego.

Rozmaicie mówiono o misji wojewody. Oficjalnym jej powodem miały być sprawy moskiewskie, a mianowicie plany Iwana Groźnego, o których Zygmunt August następująco się wyrażał: "Przyniesiono nam listy z Rzymu. Jest na co radę brać, bo ksiądz moskiewski u papieża stara się o koronę i obiecuje religię Kościoła Rzymskiego przyjąć, a w tym go cesarz pilnie forytuje". (Cesarzem był wtedy Karol V, król rzymski Ferdynand I, ojciec Elżbiety i Katarzyny oraz trzynaścioro innych dzieci, to brat Karola, a wkrótce już jego następca na tronie).

Wtajemniczeni twierdzili jednak, że Radziwiłł ma przede wszystkim szukać żony dla swego pana, który już się zdecydował na małżeństwo, lecz jeszcze nie wybrał osoby. Zobaczył się więc Czarny z cesarzem, po czym pojedzie do Bawarii starać się o rękę tamtejszej księżniczki. Ambasador austriacki w Krakowie podejrzewał, że o Bawarii rozprawia się dla zamydlenia oczu. Pod pozorem kuracji wybierze się potem Radziwiłł do Włoch, odbędzie konkury polityczne i jako przedstawiciel Zygmunta Augusta zawrze ślub per procura z księżniczką Ferrary, siostrzenicą króla Francji. Dyplomatyczni przedstawiciele Austrii bywali zazwyczaj dobrze poinformowani. Nie rozporządzali jednak dzisiejszymi środkami łączności i z pewnym opóźnieniem dowiadawali się o uczynkach swego mocodawcy.

Mikołaj Czarny przyjechał do Wiednia i na tym poprzestał. Bawarii ani Ferrary nie odwiedził. Łukasz Górnicki, który osobiście w tych sprawach uczestniczył, twierdził, że "pan wojewoda, widząc wdowę księżną mantuańską panią osobliwą i słysząc o wielkich jej cnotach i świętych obyczajach, dał znać królowi, iż podług jego zdania, godną ją byą rozumie korony i łoża małżeńskiego". Zygmunt August pisał jednak do Mikołaja Rudego, że to Wiedeń zaproponował Katarzynę. Do Bawarii pojechał nie Radziwiłł, lecz jego "starszy sługa", Łukasz Podoski. Zobaczył się z księżniczką, ale nie odniósł zachęcającego wrażenia. "Co jeśli szło z przestrogi, którą dano z Wiednia, czyli Pan Bóg tej tam żony królowi był nie obiecał, gadać trudno. Owa Podoski to tylko powiedział, co widział, lecz chwała wszystka przy księżnie mantuańskiej została". Można przypuszczać, że

sługa, nawet "starszy", wolał nie sprzeciwiać się życzeniom chlebobdawcy. Wątpliwe, czy Pan Bóg naprawdę interweniował. Po ziemsku rzecz biorąc, nici trzymał w ręku zaprzyjaźniony z Habsburgami Radziwiłł.

7 kwietnia 1553 roku otrzymano w Krakowie jego raport. Zygmunt August uznał wybór za dokonany i w tym właśnie duchu w trzy dni później pisał do Mikołaja Rudego.

Jeszcze w kwietniu pojechał do Wiednia drugi poseł polski, biskup chełmiński Jan Przerębski. W orszaku jego znajdował się Łukasz Górnicki, autor "Dziejów w Koronie Polskiej" i "Dworzanina". Katarzyna otrzymała od narzeczonego bogaty naszyjnik, zawieszony na sadzonym klejnotami łańcuchu. Włożyła go natychmiast. Na łacińską przemowę biskupa odpowiedziała krótko po niemiecku. Zabrano się zaraz do spisywania umowy ślubnej. 20 maja papież Juliusz III udzielił dyspensy. Można było przystępować do zaślubin per procura.

Rolę pana młodego grał Radziwiłł. Wesele odbyło się niezbyt szumnie, w obecności szczupłego, lecz za to doborowego grona osób. Ferdynand I sam ochoczo tańczył, po czym kierował uroczystością symbolicznych pokładzin. Na jego rozkaz Mikołaj Czarny, tak jak stał, w olśniewających szatach i butach z ostrogami, rozciągnął się na łożu małżeńskim. Katarzyna wstydziła się położyć przy nim. "Pomóż mi, Maksymilianie" - rzekł Ferdynand I, ujmując córkę "w poły ode głowy". Maksymilian - przyszły cesarz Maksymilian II, współzawodnik Stefana Batorego do tronu Polski - wziął siostrę za nogi. Wspólnymi siłami

ułożyli ją przy wojewodzie.

Wszystko to Górnicki widział i

opisał. Dwór cesarski górował nad polskim zarówno ranga polityczną, jak prostactwem. Przypomnijmy sobie tylko pokładziny Bony i Zygmunta Starego.

Po wydaniu na świat dziecka cesarzowa przez dwa tygodnie nie pokazywała się małżonkowi. Tak nakazywał obyczaj. Przez cały ten czas położnica nie myła się i nie zmieniano jej pościeli.

30 lipca 1553 roku odbył się w Krakowie ślub właściwy. Jest to ważna data w dziejach kultury polskiej. Wtedy po raz pierwszy ozdobiono Wawel arrasami Zygmunta Augusta.

Królowa Bona uczestniczyła w długotrwałych i świetnych uroczystościach. Wjechała do Krakowa na specjalnym rydwanie, mając przy boku wszystkie swe cztery córki. Izabela przebywała bowiem w Polsce, podczas uczyty poślubnej zasiadała przy stole wyżej niż matka, na miejscu bardziej poczesnym. Stało się tak, "gdyż królestwo węgierskie przed polskim ma miejsce między królami" - wyjaśnia Górnicki. Bolesław Chrobry ukoronował się w ćwierć stulecia po św. Stefanie węgierskim i wiodącej się stąd tradycji nic odmienić nie mogło. Kraków sam jej święcie przestrzegał pomimo smutnego położenia, w jakim znajdowało się naówczas państwo Madziarów. Pasza turecki nadal rozpierał się w Budzie.

Polska nie znała moskiewskiego "miestniczestwa", zajadłych sporów o kolejność miejsc przy stole carskim, kończących się nieraz wyrzucaniem za drzwi zbyt kłótniowych bojarów. To nie znaczy, że traktowano u nas te sprawy w sposób obojętny. Na

wspomniana ucztę nie przybył na przykład poseł księcia Ferrary, obrażony za chęć usadowienia go z dala od monarchów. Informacji zasięgnął widać zawczasu.

Zawczasu również Bona zażądała

dla Izabeli wyższego miejsca niż dla siebie. Podchwyciła okazję publicznego zamanifestowania praw córki, która opuszczając przed paru laty Węgry musiała w Koloszwarze oddać przedstawicielowi Habsburgów koronę św. Stefana. Teraz arcyksiążę Ferdynand na własne oczy oglądał honory świadczone Izabeli. Bona nie ustępowała łatwo. Sprawy węgierskiej za przegraną jeszcze nie uważała. Stwarzała precedensy, chociażby nawet czysto protokolarnej natury.

Zygmunt August wziął Habsburgom za złe przysłanie do Krakowa Ferdynanda. Spodziewał się obecności jego starszego brata, Maksymiliana. Łukasz Górnicki jeździł na spotkanie Katarzyny, by się dowiedzieć, który z arcyksiążąt przybywa. Przywiózł wieści niepomyślne. Wiedeń przysłał do Polski wielkość drugiego rzędu, tego z Habsburgów, który widoków na tron nie posiadał. Dawało się coś z tego politycznie wyczytać. Zygmunt August nie miał niezadowolenia. Król i arcyksiążę świadczyli sobie nawzajem afronty.

Ludzie zauważyli jednak, że Ferdynand wyraźnie "był serce przyklonił" ku Katarzynie Jagiellonce, najmłodszej z córek Bony. Ostentacyjnie składał jej dary. Królowa Katarzyna próbowała nawet nakłonić męża, aby nie odmawiał swej zgody, od której wszystko zależało. Ale Zygmunt August oświadczył, że młodziej przed starszymi nie

wyda. Zofia i Anna wciąż jeszcze nie miały mężów.

W dziejach trzeciego stadła Zygmunta Augusta jedna okoliczność wprost zdumiewa - tempo załatwienia sprawy. Radziwiłł Czarny wyruszył w swaty - trochę na ślepo - na przełomie lutego i marca. Jeszcze kwiecień, maj, czerwiec i

lipiec... Tego czasu wystarczyło na wyszukanie oblubienicy, decyzje wszystkich zainteresowanych stron, porozumienie się przez konnych gońców, galopujących z Krakowa do Wiednia i Rzymu oraz w odwrotnym kierunku, na dyspensę papieską, intercyzę, zaślubiny per procura, podróż powozami z Austrii do Polski, ślub w katedrze wawelskiej. Na jedno tylko czasu zabrakło. Na poinformowanie Zygmunta Augusta, że jego wybrana, tak samo jak jej starsza siostra, nieboszczka Elżbieta, cierpi na epilepsję.

Zabrakło czasu czy też chęci?

Piszący te słowa uznaje dużą rolę przypadku w dziejach, nie jest jednak skłonny zaliczać do przypadków wydarzeń, o milę trącających premedytacją. Zygmunt August nie wiedział o chorobie swoich dwóch austriackich narzeczonych. Dowiadywał się, gdy klamka już zapadła. Doskonale znali za to tajemnicę Habsburgowie. Wcale nie było tajne, że epilepsja Elżbiety od razu rozkleiła pierwsze stadło króla polskiego. A teraz oto po raz drugi związane go stulą z epileptyczką.

Od początku XVI wieku Habsburgowie konsekwentnie zdążali do objęcia spadku po Jagiellonach. Udało się to im w pełni w stosunku do linii Władysława, panującego w Czechach i na Węgrzech. Polityka

habsburska popisała się wtedy
wyjątkową bezwzględnością i
brakiem skrupułów. Niemieccy
wychowawcy zdeprawowali młodego
Ludwika II, uczynili zeń
pośmiewisko i przedmiot pogardy,
rozwijając ekshibicjonistyczne
popędy króla. Potem wplątano go
w wojnę z Turkami, w której
głowę położył. Władysław
Pociecha, przytacza w swym
pomnikowym studium o Bonie
obszerne memoriały habsburskich
dyplomatów, rozwijające

konkretne plany objęcia
spuścizny po Zygmuncie Starym i
Zygmuncie Auguście. W sejmach
polskich posłowie głośno i
ostrzegawczo mówili o tych
zamiarach. Łukasz Górnicki,
który własnoręcznie spisywał
umowę ślubną Zygmunta Augusta i
Katarzyny, zastrzega się pilnie,
że niczego w tej intercyzie nie
było na temat dziedziczenia
tronu wawelskiego. Całkiem jakby
krzyczał: ja nie winien!
Zrozumieć go łatwo. Sejmy i
szlachta nie chcieli Habsburga
za pana. Mieli przed oczyma
przykład zdeptanych Czech.

W pismach ludzi ówczesnych - i
to różnych narodowości - pełno
wzmianek o istnym "szale"
Niemców, którzy zmierzają do
panowania nad światem i wierzą w
spełnienie swych pragnień. Dom
Habsburgów piastował wtedy
godność cesarską, czyli
przewodniczył Rzeszy
Niemieckiej, władał krajami
austriackimi, Hiszpanią,
Czechami, częściowo Węgrami oraz
Niderlandami, miał mocne pozycje
we Włoszech, czerpał bogactwa z
niedawno odkrytej Ameryki.
Ujarzmienie ogromnej
Rzeczypospolitej dokończyłoby
budowli, rzeczywiście
rozstrzygnęłoby o władaniu
kontynentem. Pamiętajmy, że

cesarze nigdy nie uznali ani
pokoju toruńskiego, który
wywalczył Kazimierz
Jagiellończyk, ani sekularyzacji
Prus. Uważali się za prawnych
panów Gdańska, Elbląga i Torunia
oraz za moralnych wielkich
mistrzów Zakonu Krzyżackiego.
Szczątki jego istniały wszak
nadal. W Rzeszy rezydował mistrz
krajowy, Deutschmeister,
mianowano komturów.

Na tym tle ożenki Zygmunta
Augusta z epileptyczkami
wyglądają nie tyle dziwnie, co
wyraziście. Zmierzch Jagiellonów
przerażał Rzeczpospolitą,
zwłaszcza zaś Koronę. Interesom

Habsburgów odpowiadał jak
najbardziej. Doskonale pasuje do
tła również i fakt przyjazdu
arcyksięcia Ferdynanda oraz jego
zalotów do Katarzyny
Jagiellonki, najmłodszej z
polskich królewien.
Dwudziestosiedmioletnia, dorodna
i hoża panna rokować mogła
piękne nadzieje jako przyszła
matka. Dwudziestoczteroletni
arcyksiążę, ożeniony z
Jagiellonką, rodzoną siostrą
ostatniego króla z tej
dynastii... cóż za widoki!

Bella gerant alii, tu - felix
Austria - nube!

Królowa Katarzyna pełniła w
Polsce funkcję rezydentki
austriackiej. Oficjalny
ambasador był właściwie tylko
jej przybocznym. Oto fragment
pewnego raportu do Wiednia:
"działała ona we wszystkim tak
roztropnie i gorliwie,
popierając sprawę Waszej
Królewskiej Mości (Ferdynanda
I), że nic jej większej nie
sprawia przyjemności, jak
wszelkich dla ich powodzenia
dokładać starań". Później
głoszono, że Austria może sobie
zaoszczędzić wydatków. Nie

potrzeba stałego ambasadora w Krakowie. Królowa Polski doskonale spełnia jego funkcje. Pierwsze jej zadanie polegało na powstrzymaniu Zapolców - Izabeli oraz jej syna, Jana Zygmunta - od powrotu na Węgry. Wkrótce się przekonamy, że działano w tej sprawie bez ceremonii i białych rękawiczek. W przyszłości przyjeżdżający z Siedmiogrodu do Polski posłowie Jana Zygmunta w ogóle nie fatygowali się składaniem wizyt królowej Polski, Katarzynie z Habsburgów.

Pośpiech, z jakim skojarzono trzecie małżeństwo Zygmunta Augusta, ze wszech miar zastanawia. Decydującą rolę odegrał Mikołaj Radziwiłł Czarny, szczytający się tytułem

księcia Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Można go uznać za przedstawiciela litewskiej, a po części także i polskiej magnaterii, stanowczo sprzyjającej Habsburgom. W państwach tych ostatnich nie było demokracji, chociażby herbowej tylko. Arystokrata nie potrzebował udawać równości z jednowioskowym hołyszem. Wielkich panów polskich i litewskich nieznośnie raził motłoch szlachecki i jego reprezentantka, izba poselska, która nie tylko domagała się udziału w stanowieniu praw, lecz ponadto jeszcze żądała wykonania wielu niewygodnych ustaw. Tej na przykład, co zabraniała łączenia w jednym ręku najwyższych godności państwowych. Albo innej, która nakazywała zwrócić skarbowi bezprawnie dzierżone dobra koronne. Hetman Jan Tarnowski odgrażał się, że porzuci niewdzięczny kraj i na stałe się osiedli w państwach cesarza,

który go już wyróżnił tytułem hrabiowskim. Niektóre rodziny polskie rzeczywiście ekspatriowały się, wybierając przychylniejszy arystokracjom klimat habsburski. Dodajmy, że osobiste sentymenty Zygmunta Augusta bliższe były odczuciom wielmożnych niż szaraków. Król, podobnie jak jego ojciec, sprzyjał grupie społecznej najbardziej dla państwa niebezpiecznej, najmniej skłonnej do wierności wobec własnej dynastii. Habsburgowie byli poniekąd przyrodzonymi przywódcami arystokratycznej międzynarodówki. U stopni ich tronów pojawiali się również niektórzy wielcy panowie francuscy, znacznie mniej w tej mierze powściągliwi od polskich.

Zgodność interesów stanowych nie wyklucza jednak konfliktów indywidualnych, nawet bardzo poważnych. Jeden taki zdarzył

się w Polsce wkrótce po przybyciu do nas Katarzyny Habsburżanki.

Początkowo wszystko zapowiadało się dobrze. Listy ambasadora Langa tchnęły optymizmem. Ale już w parę tygodni po ślubie stosunki zaczęły się psuć. Podczas łowów w Niepołomicach Bona wraz z Izabelą nastroiły Katarzynę przeciwko Radziwiłłowi Czarnemu. Wojewoda zanadto już wyrósł. Jego potęga musiała niepokoić nie tylko obie wdowy. Młoda królowa, mająca za sobą szkołę polityczną, a w Polsce samodzielną misję do spełnienia, nie mogła być rada z konkurencji potentata. Słowa tamtych obu łatwo więc wpadły jej w ucho. Radziwiłła zaraz ostrzeżono o niepołomickich rozmowach. "Trzeba uprzedzić złe" - powiedział w gronie osób

zaufanych, lecz ambasador Lang wkrótce się o tym dowiedział. Jego alarmujący list do Ferdynanda pochodzi z dnia 24 sierpnia.

Zaraz też zaczęły się mnożyć rozdźwięki małżeńskie. Zygmunt August odrzucił jakieś prośby małżonki, przez kilka nocy wcale się u niej nie zjawił, nieoczekiwanie - bez uprzedzenia - nie przybył na zapowiadziany wspólny obiad.

W raportach Langa od razu zabrzmiała stara nuta. Jesienią obydwójce królestwo udać się maja na Litwę dla łowów. Jest to pomysł Radziwiłła, który przy okazji, we własnych stronach rodzinnych, jeszcze bardziej wzmoże swe wpływy. Niechże się królowa Katarzyna podczas tej wyprawy strzeże Litwinek, nie przyjmuje od nich niczego do jedzenia i picia. Również i przed mężczyznami ze służby mieć się należy na baczności. I niech się Katarzyna "krzyżem i pobożnością chrześcijańską broni od czarownic i czarów".

Melodia pieśni stara, jak słyszymy. Tylko imię Bony już się w tekście nie powtarza. Teraz czarnym charakterem, potencjalnym trucicielem, jest Radziwiłł.

Wątpliwe jednak, czy wolno go obarczać odpowiedzialnością za niepowodzenia Katarzyny u męża. Decydującą rolę grała jej choroba. Za to rozgoryczone stany koronne miały wiele racji, gdy oburzały się na Mikołaja Czarnego za sam związek, który on przecież skojarzył.

Rok 1554 rozstrzygnął o losie trzeciego stadła Zygmunta Augusta. W kwietniu król przybył z Lublina, gdzie zasiadał sejm, do Parczewa, by odwiedzić przebywającą tam żonę. Katarzyna

bardzo użalała się na osamotnienie, zapadła nawet na zdrowiu ze zgrzyzoty. Podczas wizyty zwierzyła się małżonkowi z ważnej tajemnicy. Była w ciąży. W czerwcu para monarsza razem przebywa w Wilnie. Goniec wiezie do Bony list z wieścią o błogosławionym stanie synowej. Poseł austriacki Erazm Heidenreich zapowiada, że poród odbędzie się w październiku. Na początku owego miesiąca Katarzyna śle z Wilna nowe pismo do Bony. Zawiadamia świekrę o swej pomyłce. Cięża okazała się pozorna.

Zygmunt August nie żywił wątpliwości. Oskarżył żonę o udawanie. W grudniu ostro odpowiedział jej ojcu w sprawie siostry, Izabeli. Stanowczo upomniał się o wiano swej niefortunnej małżonki.

Król miał pewnie rację. Trudno przypisać błąd Katarzyny histerii czy samoułudzie, pobożnym życzeniom. Do podejrzliwości skłania wymowa daty. Rok 1554 omal się nie stał rozstrzygającym w dziejach rodu Zapolyów oraz ich dążeń politycznych. Wygodnie i chytrze było zawczasu nastroić króla

przychylnie. Rozczulony spodziewanym ojcostwem, łatwiej może zniósłby wstrząs, mniej się oburzył.

Jan Zygmunt Zapolya, siostrzeniec Zygmunta Augusta i pretendent do korony węgierskiej, przebywał w Warszawie na zamku. Sułtan nadal uznawał go za władcę Siedmiogrodu, wzywał do powrotu. Od Polski żądał współdziałania, groził podobno wojną. 14 lipca strzelił ktoś w okno komnaty, zajmowanej przez Jana Zygmunta. Zamachowca ujęto. Na badaniu przyznał się, że działał z

ramienia Austrii i za jej pieniądze. Wiedeń oczywiście zaprzeczył temu.

W kilka dni później Izabela opuściła niebezpieczne miasto. Udała się do Piotrkowa, gdzie stanęli przed nią posłowie sułtański oraz wołoski, stanowczo zapraszając ją i jej syna do Siedmiogrodu z powrotem. Izabela roztasowała się w jakimś drewnianym dworzyszczu, jednakże co wieczór, nie żałując fatygi, chodziła spać na zamek, który był murowany. Bała się podpalenia.

W tych okolicznościach naprawdę mądrze było ludzi Zygmunta Augusta i nastrajać go optymistycznie. Podsycanie osobistych nadziei to dobra broń na egocentryków.

List Izabeli, uskarżającej się na piotrkowskie prywacje, zamiast zostać w skrzyni Bony - trafił do Wiednia, gdzie go po wiekach odnaleźli uczeni szperacze. Ukradł pismo dworzanin i rodak starej wdowy, będący jednocześnie szpiegiem austriackim. Nazywał się Jan Alfons Castaldi, margrabia di Cassano. Zapamiętajmy sobie to nazwisko. Przyda się przy lekturze następnego rozdziału książki niniejszej.

Rok 1554 oszczędził więc Zapolyów, ale rozstrzygnął o

pożyciu małżeńskim Zygmunta Augusta, a tym samym o zmięczeniu dynastii Jagiellonów. Sprawa wyglądała zupełnie beznadziejnie. Katarzyna miała dwadzieścia wiosen, mąż był od niej o trzynaście lat starszy. Na ponowne wdowieństwo nie należało zatem zbyt rachować. W jakiś czas później król zwierzał się legatowi z powodów, które go odpychają od łoża małżeńskiego. Epilepsja

wszystkiego nie wyjaśniała. Współżycie fizyczne z rodzoną siostrą pierwszej żony wydawało się Zygmuntowi Augustowi kazirodztwem. A raczej - wydało się... grubo poniewczasie. Jakoś o tym nie pomyślał przed ślubem. Dziwne było w głowie tego człowieka "materii pomieszanie" - najważniejszych zagadnień państwowych z osobistymi kaprysami.

Kraj wkraczać już zaczął w dobę Wielkiego Lęku. Posłowie rozprawiali w sejmie o tym, co przyjdzie począć na wypadek śmierci monarszej. "Której daj Panie Boże długo czekać" - dorzucał każdy ceremonialnie i najzupełniej szczerze. (Zauważmy przy okazji, że słowa "Pan Bóg" podane tu zostały według ortografii nam współczesnej. W XVI wieku pisano inaczej: bóg z dużej, pan z małej. Logikę takiego postępowania pojąć łatwo. Bóg to imię własne. A pan? To tak jak pan kasztelan, pan wojewoda czy pan starosta - żeby niewczesnych poufałości ze Stwórcą uniknąć).

Zaledwie trzydzieści cztery lata liczył sobie Zygmunt August, gdy klamka zapadła. Jego wszystkie trzy ożenki wyglądają na pułapkę losu. Bohaterem wydarzeń był jeden człowiek. W potrzask dostała się historia Obojga Narodów. Jeden człowiek, lecz taki, co dożyłotnio piastował władzę najwyższą.

O królowej Katarzynie

wspominać się dalej będzie od wypadku do wypadku, jak to podyktuje chronologia. Habsburżanka grała odtąd w Rzeczypospolitej rolę przeszkody, zagrządzającej przyszłość. Funkcję agentki austriackiej pełniła nadal, w miarę możliwości, sprawnie.

Z racji tych obowiązków musiała się żywo interesować sprawą wyjazdu świekry. Jak się wkrótce przekonamy, Habsburgom poczynania i losy Bony wcale, ale to wcale nie były obojętne. Obchodziły one także cały bez wyjątku ogół w Rzeczypospolitej. Ogłoszono bowiem dekret królewski, że kto by dopomógł starej wdowie opuścić kraj - utraci cześć, jeśli jest szlachcicem, gardło, jeżeli należy do plebsu. "My nie widzimy innej drogi - pisał syn Bony do Radziwiłła - jakoby się temu inaczej zabezpieczyć miało, jeno iżby Jej Mość prawie w kleszcze była wzięta; a iżby tylko Jej Mość we wszystkie poczciwości będąc opatrzona, sobie siedziała, nic o niczym nie wiedząc".

Bona zaopatrzona była, owszem, we "wszystkie poczciwości". Dzięki własnej znakomitej gospodarce nagromadziła wszak w Koronie i na Litwie majątek tak znaczny, że przez dziesięciolecie całe po jej zgonie interesowały się nim pierwsze potęgi europejskie. Było, zaiste, z czego czerpać w Rzeczypospolitej...

Zrzekłszy się posiadanych w kraju nadań, uzyskała wreszcie Włoszka prawo wyjazdu z ojczyzny przybranej do właściwej. Musiała jednak przedtem wydać za mąż przynajmniej jedną z trzech dziewiczych córek.

Jesienią 1555 roku zjawiło się w Warszawie swadziebne poselstwo Henryka II, księcia Brunszwiku. Był to mąż lat dojrzałych już dojrzałych. Miał ich

sześćdziesiąt siedem i dawno owdowiał. Ruszył w konkury do Zofii Jagiellonki, która akurat znowu ciężko zachoworała. Poselstwo zamyślało o wyjeździe,

kiedy Bona poradziła mu podróż do Wilna i naradę z królem. Bo jeśli Zofia w tej chwili nie może, to czemu nie ma jej zastąpić Anna? Hetman Jan Tarnowski oburącz się uchwycił tej myśli: "dla króla Jego Mości lepiej będzie, bo mniej wydatków i zachodu, gdy dwie siostry a nie więcej w domu zatrzyma" - wywodził z rozbrajającą szczerością. Jednak Zygmunt August odmówił zgody, a Zofia w porę wyzdrowiała.

Układ małżeński zawarto w Wilnie 30 listopada. 29 stycznia 1556 roku wyruszyła Zofia z Warszawy na zachód. Mniejsza o to, jak wyglądał i z kogo się składał jej orszak. Ważne, że błyszczała w nim gwiazda najpierwszej wielkości. Towarzyszył królowi Andrzej Frycz Modrzewski. Takie czasy nastały, że na dworze polskim napotkać można było intelektualistów europejskiej i wiecznej sławy. Renesans osiągnął już u nas pełnię rozkwitu.

Tylko trzy dni po wyjeździe Zofii spędziła Bona w Warszawie. W wigilię opuszczenia miasta, to znaczy 31 stycznia, wezwała księdza Rafała Wargowskiego i zaprowadziła go do jednej z piwnic zamkowych. Pokazała mu cztery zamknięte skrzynie. W dwu mniejszych mieściły się klejnoty, jak perły i łańcuchy, oraz szaty niewieście. W pozostałych srebra stołowe.

- To dla moich córek - oświadczyła Bona. - Kiedy będą szły za mąż, przyślę klucze, "aby wiedziały, że to ode mnie mają, a nie od króla".

Na zakończenie pokazała księdzu kolebkę srebrną i także "niecki". Oświadczyła, że odda

to królowi, gdy zajdzie

potrzeba.

"Ale tego jeszcze nie trzeba"
- dorzuciła.

Kobieta, oskarżona przez
własnego syna o gotowość
wytrucia dynastii, tała w swym
zamku kołyskę i wanienkę dla
następnego z Jagiellonów.

1 lutego od wczesnego rana
uwijała się Bona po zamku
warszawskim. Krok w krok
chodziły za nią Anna i
Katarzyna, "z odjazdu jej
żałosne i rzewno płaczące".
Królowa była zupełnie spokojna.
Najpierw "obesłała panny" i
zaprowadziła je do
opieczętowanych piwnic.
Twierdziła, że tam się mieszczą
jej rzeczy osobiste oraz
przywileje. Wyjeżdżała do Włoch
tylko na kurację, zamierzała
powrócić. Starosta samborski,
Piotr Boratyński, odrzekł na to
hardo w imieniu obecnych: nie
byliśmy przy pieczętowaniu, nie
wiemy, co jest w lochach.

"Z tym poszła od sklepu do
kościółka z wesołą twarzą, a
królowy za nią bardzo rzewliwie
płacząc. Po mszy szła do pałacu
już z obicia odartego; tam
królowy zastawszy, pożegnała
dwie panienki gorzkimi łzami się
oblewające, nie dawszy im jak
tylko po jednym pierścieniu,
łzy nie wypuściwszy sama stara
z oczu; i szła wsiadać oddawszy
córkę swe panu Jerzemu
Sieżowskiemu, kasztelanowi i
staroście warszawskiemu,
ochmistrzowi ich naznaczonemu,
na co było bardzo żałośnie
patrzeć."

Do karety zabrała tylko
Izabelę, królową Węgier. Anna i
Katarzyna zostały w Warszawie.
Syn bawił na Litwie. Legat
papieski, Alfons Orsini,
odprowadził Bonę o jeden dzień
drogi od stolicy.

- Requiescat in pace! -
wykrzyknął Stańczyk,
dowiedziawszy się o wyjeździe

"włoskiej gadziny", i wyrzucił w górę błazeńską czapeczkę. Utrafił! Wyprorokował! Bona zmarła 19 listopada 1557 roku. Otruł ją lekarz przyboczny, którego przekupił zausznik Habsburgów, Gian Lorenzo Pappacoda. Przed zażyciem jakiegokolwiek środka królowa zawsze kazała medykwowi wypijać połowę. Tym razem eskulap przygotował sobie odtrutkę, ale Pappacoda to przewidział. Nie wypuścił go z izby. Lekarz żył jeszcze przez tydzień, Bona trzy dni. Konała w takim opuszczeniu i nędzy, że pić jej dawano z podstawki mosiężnego lichtarza. Przy trumnie zbitej z prostych desek nikt nie czuwał. Drewno zajęło się od dogasających świec i ciało omal nie uległo zwęgleniu.

Generalnym spadkobiercą uczyniła Bona Zygmunta Augusta. Inny testament, sfałszowany, opiewał na korzyść Filipa II, króla Hiszpanii, członka domu Habsburgów. W grę wchodziły księstwa Bari i Rossano oraz wielkie skarby nieboszczki.

Jakaś nieznana ręka wpisała do modlitewnika Zygmunta Starego datę zgonu wdowy po nim.

Na krótko przed śmiercią matki Izabela powróciła na Węgry. Zmarła w Koloszwarcze 20 września 1559 roku. Od tej chwili jej syn, Jan Zygmunt, jał się tytułować "obranym królem węgierskim". Jako Jagiellończyk po kadzieli miał w Polsce wielu zwolenników, którzy chcieli w nim widzieć następcę Zygmunta Augusta. Popularność Madziara doznała jednak w Rzeczypospolitej wyraźnego szwanku, kiedy rozeszły się wieści o okrucieństwach, jakie młody Zapolya popełnia walcząc z opozycją. Zbrodnie polityczne nie popłacały w oczach Polaków. Nie wybaczone ich ani Iwanowi Groźnemu, ani siostrzeńcowi

własnego króla. Epoka

jagiellońska przyzwyczaiła ogół do stawiania władzy określonych wymagań natury moralnej. W kilkanaście lat później wieści o Nocy Św. Bartłomieja omal nie utraciły kandydatury Henryka Walezego. Oba narody Rzeczypospolitej na dobre i na zawsze przyzwyczaiły się do tezy, że piastunom władzy wcale nie wszystko wolno.

Wkrótce po wyjeździe Bony Zygmunt August postanowił zaprosić obie siostry do Wilna. Omówił tę rzecz z Mikołajem Czarnym i zastrzegł, że królowny winny zamieszkać osobno i mieć własną kuchnię. Może z jakichś sobie tylko znanych powodów chciał je odseparować od przebywającej tamże królowej Katarzyny. W każdym razie nie wydaje się to dobrze świadczyć o sentymentach rodzinnych, które w rzeczywistości nie były zbyt gorące. Po zgonie Zygmunta Augusta Katarzyna Jagiellonka nie zawahała się napisać do siostry: "Przez te dziesięć lat inaczem nie znała, jeno jakoby mi bratem nie był". A w następnym liście jeszcze dobitniej: "Jego Królewska Mość przeciwko nam siostrom swoim był srogiego umysłu". Wyprzedźmy nieco chronologiczny porządek tego opowiadania. Kiedy zmarł Jan Zygmunt Zapolya, wujowi i ciotkom należał się spadek, który wydobyto z Węgier i przywieziono do Polski. Gdyby nie poseł Zofii Brunszwickiej, z którym należało się liczyć, krajowe Jagiellonki wyszłyby z pustymi rękami, a co najmniej mocno pokrzywdzone. Zygmunt August wziął swoją część schedy i zapragnął ponadto podziału reszty. Domniemywano się, pewnie nie bez racji, że pieniądze są

mu potrzebne dla kobiet, których w jego otoczeniu wcale podówczas nie brakowało. Ludzie Renesansu odznaczali się chciwością i mocno bezwzględną troską o

kariery indywidualne. Król był i w tym względzie nieodrodnym dzieckiem epoki. Zresztą nie on jeden w swym rodzeństwie.

Wydaje się, że brak starania o los sióstr nie pozostał bez wpływu na ich długotrwałe panieństwo. Bo kandydaci na małżonków zgłaszali się. Już w roku 1548, zaraz po zgonie Zygmunta Starego, Albrecht pruski zabiegał o Zofię, Joachim brandenburski o Annę. Odmówili wtedy senatorowie, bo obaj kandydaci byli luteranami. Istniało poza tym zobowiązanie, przyjęte przez obu Zygmunatów, ojca i syna. Królewien polskich nie można było wydawać za mąż, nie zasięgnąwszy rady cesarza Karola V. Nie warto wymieniać wszystkich kolejnych konkurentów. Wystarczy przypomnieć radomską rozmowę z 1552 roku. Bona mówiła wtedy o własnych pertraktacjach z księciem pruskim, który miał - zdaje się - służyć za pośrednika, nadmieniła, że król szwedzki właśnie owdowiał i sztokholmskie stosunki kupców gdańskich mogą się przydać, nie zapomniała o dwóch arystokratkach włoskich. "Myśmy to tak na dalszą naszą deliberacją zwłaszcza aż do sejmu odłożyli" - stwierdził Zygmunt August, którego przede wszystkim interesowała finansowa strona zagadnienia. "Tośmy też wskazali, że tych tam Książąt mała majątność jest, za które miały być rajone". A jaką część wiana da z własnej szkatuły matka?

Z trzech Jagiellonek, które

tak długo oczekiwały w Warszawie
na mężów, natura upośledziła
średnią. Portret Zofii ogląda
się z przyjemnością. Widnieje na
nim osoba z kategorii tych,
które w czasach znacznie
późniejszych bywalcy kawiarni
określać zaczęli metaforą: mała
czarna. Ciemne włosy, także

bystre oczy, twarz okrągła.
Właścicielka tych efektów nie
musiała być zanadto skłonna do
nastrojów posępnych. Odgaduje
się wprost postać szczupłą i
zwinną, refleks szybki.
Katarzyna była przystojna,
wyższa chyba od sióstr i, jak
się już rzekło - dorodna.
Nadawała się w sam raz do
reprezentacji monarszej. Mocna
była z niej kobieta i pod
względem fizycznym, i
charakteru. Z jej pociągłej
twarzy wзира spokojna
nieustępliwość, wspierana
wdziękiem niewieścim.

W obliczu Anny jakby się
odrodziły rysy praszczura
Jagiełły, który urodą niestety
nie grzeszył. Czoło tak wysokie,
że ozdobiona koroną właścicielka
jego wydaje się łyśa. Oczy
trochę skośne. Usta wąskie,
zacięte. Twarz niemal trójkątna.
Podbródek wydłużony i spiczasty.
Wzrok uważny, niezbyt ufny,
taksujący ludzi. Sportretowana w
sztywnych szatach koronacyjnych
wywiera wrażenie wręcz trupie.

Anna zdawała sobie sprawę z
własnej brzydoty. Kazała
zasłaniać firanką swą podobiznę,
zawieszoną na Wawelu.

Lecz gdyby konterfekty
przepadły, a dochowały się tylko
spisane słowa tych, co ją znali,
sławiono by pewnie urodę
królewny. Zadziwiające, ale
jeden pamiętnikarz po drugim
dawał jej jeśli nie dziesięć, to
piętnaście lat mniej, niż miała

w rzeczywistości. Z tego też powodu upatrywano w niej przyszłą matkę kolejnej polskiej dynastii nawet wtedy jeszcze, kiedy to już żadną miarą nie mogło nastąpić. Listy Anny pełne są narzekań na choroby, z których najbardziej - jak się zdaje - trapiła ją newralgia. Jednocześnie zagraniczny dyplomata odmładza ją o dziesięć wiosen i uznaje za "świeżą i czerstwą".

"Jest miernego wzrostu, płeć ma białą, jak prawie wszystkie Polki, jest bardzo przyjemna i mówi wybornie po włosku... Ludzka i uprzejma jak żadna w świecie królewna" odznacza się licznymi zaletami, dla których nawet heretycy ją szanują - zapewnia prawowierny Wenecjanin, Hieronim Lippomano.

Komu wierzyć, malarzom czy opisywaczom? Osobowość Anny Jagiellonki była, jak się wydaje, tak bogata, że trzeba się przede wszystkim strzec spłaszczenia jej wizerunku. Brzydkie rysy twarzy nie wykluczały wdzięku. Bigoteria, skromność, zamiłowanie do płaczliwych narzekań maskowały dumę, siłę charakteru i wielkie zdolności.

Ale spróbujmy przyznać rację samym tylko malarzom. Szpetota królewny wcale jej nie skazywała na staropanieństwo. Monarchowie żenili się nawet z osobami ułomnymi, jak to przytrafiło się rodzonemu siostrzeńcowi Anny. Nie każdemu tak szczęście sprzyja, jak Władysławowi Jagielle, któremu wraz z koroną dostała się najpiękniejsza kobieta w Europie. Urodę Jadwigi mógł psuć nieco jej ogromny wzrost. Innych mankamentów nie miała.

Z dwóch Jagiellonek, które

szczególnie długo rutę siały,
jedna była nieładna, druga
przystojna. Nie piękno czy brak
takowego rozstrzygnęły. Sprawili
to ogólny układ okoliczności
zewnętrznych, nie nadający się
do przewidzenia i wzięcia w
rachubę zawczasu. Każda z obu
sióstr mogła we wczesnej
młodości wynieść się do Włoch
czy do Niemiec. Zostały w
Polsce, a katastrofalne ożenki
brata nieoczekiwanie nadały ich
przyszłym zamążpójściom
znaczenie bardzo duże. Gdyby
Zygmunt August miał syna,
postacie obu królewien

zagubiłyby się w mroku i tłoku
historii. Wygasanie Jagiellonów
wysuwało naprzód dwie niezamężne
Jagiellonki. Żadne prawo tego
nie przewidywało, bo tron polski
dziedziczny nie był. Lecz nie
paragrafy dyktują dzieje.

W szóstym dziesięcioleciu XVI
wieku sprawy Rzeczypospolitej
zaczęły się kształtować w
sposób, który musiał żywo
obchodzić liczne dwory
europejskie. Było już niemal
pewne, że władca rozległego i
zasobnego państwa nie zostawi
dziedzica. I oto są do wzięcia
dwie trochę już leciwe siostry
monarsze. Kto pojmie
kórákolwiek z nich, ten wzmocni
swe widoki jako kandydat na
Wawel. Przecież nawet poseł
Iwana Groźnego oglądał w Wilnie
obie królewny. Pozwolono mu
popatrzeć przez okienko, bo
pokazu nikt urządzać nie chciał,
ale to nie osłabia wymowy faktu.
Nie tylko car zresztą zdradził
nagle zainteresowanie obu naraz
siostrami, z których każda miała
w żyłach krew polsko_litewskiej
dynastii oraz... prawo do części
skarbów Bony.

Ten wynikły z niepowtarzalnego
konkretu kolejny konkret

zdziałał, że w wewnętrzna historię Rzeczypospolitej włączyła się Szwecja. Skandynawskie królestwo musiało obchodzić Kraków i Wilno jako czynnik zewnętrzny. Leżało wszak nad tym samym morzem, do którego wpadają Wisła i Niemen, z którego żyły Gdańsk i Elbląg. Ton szwedzki w wewnętrznej polsko_litewskiej grze pojawił się dzięki ludziom, ozdobionym purpurą monarszą.

W niezbyt odległej przyszłości dwór warszawski, wbrew woli olbrzymiej większości szlachty Rzeczypospolitej, poparł roszczenia Dymitra Samozwańca do czapki Monomacha i władzy na Kremlu. To nie leżało w naturze rzeczy i stać by się w żaden

sposób nie mogło, gdyby na tronie polskim nie zasiadał Szwed, który, pragnąc odzyskać dla siebie i katolicyzmu Sztokholm, liczył na poparcie Moskwy... in spe katolickiej.

W szóstym i siódmym dziesięcioleciu XVI wieku o aferze "Dymitraszki" nikt śnić nie mógł. Moskwa była państwem od wieków współzawodniczącym z Litwą o ziemie białoruskie i ukraińskie. Przybył ponadto nowy przedmiot sporu. Były nim Inflanty, które na zasadach autonomii poddały się Rzeczypospolitej, Litwie i Polsce pospołu. Szwecja stała się pożądanym sojusznikiem w walce z Iwanem Groźnym. Ale i ona miała swoje apetyty. Szczególnie interesowała ją Estonia.

Liczyła Szwecja ówczesna jakiś milion mieszkańców, była krajem całkiem podrzędnym, zabitym deskami od świata. Wyznaczani do Sztokholmu dyplomaci wykręcali się zazwyczaj od tej misji. Woleli już podróż do Moskwy.

Riksråd, czyli senat szwedzki,
rekrutował się spomiędzy
dwudziestu rodzin magnackich,
które nasi Tarnowscy czy
Górkowie niezbyt chętnie
uznaliby za równe sobie.
Historyk fiński Henry Biaudet
powiada, że w XVI stuleciu
szlachta szwedzka dzieliła się
na kategorie, a to wedle ilości
kawalerzystów, których własnym
kosztem wysyłała na wojnę. Było
tych kategorii wiele, wymienimy
więc tylko trzy. Czterysta
dziewięć rodzin zbroiło po
jednym żołnierzu. Familii
wystawiających dwóch wojowników
było trzydzieści pięć. Pięć
najmożniejszych rodów mogło się
zdobyć na wyekwipowanie od
jedenastu do dwudziestu
jezdnych. Prymas Piotr Gamrat
pokazał na weselu Zygmunta
Augusta dwustu przeszło
kapiących złotem husarzy. Już za

Zygmunta Starego Gasztołdowie
musieli własnym sumptem dawać na
każdą wyprawę czterystu
sześćdziesięciu sześciu konnych,
Radziwiłłowie sześciuset
dwudziestu i jeden.
Najpotężniejszymi panami
Rzeczypospolitej byli nie oni,
lecz Ostrogscy. Kiedy na tronie
jej zasiadł Szwed, arcybiskup
Karnkowski powiedział mu raz w
obecności całego senatu: "Aż
nie wiesz, żeś jest (teraz)
większej zacności jak ojciec
twój, który, jak mi powiadają,
że tylko chłopom panuje. Pomnij,
co ów śp. król nasz Stefan
mówił: poskromię ja kiedyś tych
królików szwedzkich i przepiszę
im spokojnego zachowania się
warunki".

Skalisty kraj łąsy był na
zboże polskie, dostarczane z
naprzeciwka, czyli z Gdańska.
Jeszcze bardziej kusiły go
uprawne ziemie Inflant,

stanowiące dlań pożądaną
spichlerz, mogący wyżywić
znaczna ilość ludzi.
Rzeczpospolita zaś interesowała
szwedzkie rudy żelaza, które
stanowiły już wtedy jedno z
głównych źródeł dochodów skarbcza
sztokholmskiego. Tak wyglądało
tło wzajemnych stosunków obu
państw, zanim losy ich władców
nie zwięzły się w dziwny
kłębek.

Władza podówczas Szwecja
dynastia całkiem świeżej daty.
Rodowa tarcza Wazów nie miała
jeszcze czasu obrosnąć patyną.
Zasiadał na tronie założyciel
tej dynastii Gustaw Erikson, od
roku 1523 zwany się Gustawem I.
Jego rodzic, Eryk Johansson,
został zamordowany trzy lata
wcześniej podczas "krwawej
łaźni" sztokholmskiej, która
miała dopomóc Chrystianowi
duńskiemu do utrzymania unii
kalmarskiej, jednoczącej od
końca wieku XIV Danię, Szwecję
oraz Norwegię. Jak widzimy,
zwolennicy polityki

"federacyjnej" stosowali
sposoby, do których
Rzeczpospolita Obojga Narodów
ani razu się nie uciekła. Unia
polsko_litewska jest w ogóle
unikatem w Europie. Zawarta i
utrzymana bez nadużywania siły
przetrwała stulecia i została
zniszczona przemocą.

Plany Chrystiana duńskiego
doznały niepowodzenia, unia
kalmarska istnieć przestała.
Gustaw I władał państwem
samodzielnym. Nazwisko nowej
dynastii pochodzi od jej herbu.
Możemy go oglądać na jedynej
szczęśliwie ocalałej bramie
zamku warszawskiego, na
Bielanach pod Warszawą i tam
wszędzie w Polsce, gdzie
przetrwały budowle, wznoszone
przez Zygmunta III, Władysława

IV i Jana Kazimierza. Rzeczownik "vasa" znaczy w języku starszwedzkim: snopek.

Wiele rodzin arystokracji szwedzkiej przewyższało wiekiem i dostojnością nową dynastię, która wśród monarchów europejskich uchodziła za dom parweniuszy. Wazowie marzyli o spokrewnieniu się z kimkolwiek spośród odwiecznych pomazańców. Na propozycje czynione Habsburgom Wiedeń nie raczył w ogóle odpowiadać. Należy pamiętać o rodowym kompleksie Wazów, bo nie pozostał on bez wpływu na wydarzenia.

W 1561 roku dwaj królewicze szwedzcy ruszyli w konkury do dwóch polskich królewien. Nie zrażała ich różnica wieku, w dodatku postępowali wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy, na krzyż - jeśli się tak wyrazić wolno. Starszy, Jan, ksiązę Finlandii, ubiegał się o Katarzynę, która miała o jedenaście lat więcej niż on. Młodszy, Magnus Ostrogocki, pragnął poślubić Annę. Wybranka liczyła sobie trzydzieści dziewięć wiosen, zalotnik dwadzieścia.

Dla połapania się w zawiłościach trzeba koniecznie rzucić chociażby okiem na domowe stosunki dynastii szwedzkiej. Gustaw I zenił się trzy razy. Ostatnie jego małżeństwo, jako bezdzietne, pomińmy. Z pierwszej żony, księżniczki saskiej na Lauenburgu, miał syna Eryka, który przeszedł nie tylko do historii. To on przecież jest bohaterem dramatu Jana Augusta Strindberga "Eryk XIV". Drugiemu ożenkowi Gustawa Opatrzność pobłogosławiła siedmiorgiem dzieci. Synowie to Jan, Magnus oraz najmłodszy Karol, ksiązę Sudermanii. Dzieje Polski i

Litwy pamiętają go dobrze, nie zapomnijmy i my. Z córek warto wspomnieć o jednej, mianowicie o Cecylii. Kiedy jej bracia uderzali do polskich królewien, ona omal nie wyszła za posła Rzeczypospolitej do Sztokholmu, Jana Tęczyńskiego. Krewni magnata, którzy z nim razem przyjechali do Szwecji, nie zapłonęli entuzjazmem, odradzali mu pośpiech. Nic dziwnego, że znaną z romansowych skłonności Cecylię oczarował młody Tęczyński, bohater wierszy Jana Kochanowskiego. Potomek świetnego rodu reprezentował najwyższy polor europejski. To on mógł imponować Wazom, a nie odwrotnie.

W roku 1560 Eryk został królem Szwecji, jako XIV władca noszący to imię. W swoim rodzie był dopiero drugim pomazańcem, ale w tradycji monarszej liczyli się wszyscy Erykowie. Także i Zwycięski, mąż rodzonej siostry Chrobrego, Świętosławy, tej samej, która żywcem spaliła dwóch nazbyt natrętnych zalotników.

W sądach historyków o Eryku XIV napotkać można absolutne skrajności, co dokładnie pasuje do charakteru samego bohatera. Człowiek niepoczytalny, wariat prawie - mówią jedni - tyran i

okrutnik. Intelktualista - replikują inni - monarcha o demokratycznych skłonnościach, kochany przez lud. Jak się zdaje, do prawdy dojść można nie tyle drogą godzenia przeciwnostw, co zebrania ich do kupy. Eryk był zdolny, rozmiłowany w muzyce i literaturze, plebsowi sprzyjał, nie cierpiał arystokracji i gnębił ją. Niepowodzenia od razu wtrącały go w depresję. W porywach wściekłości lub

rozczerwienia popadał w stan zbliżony do obłąkania. Czy wariat, to kwestia. Nienormalny na pewno. Z tym oczywiście zastrzeżeniem, że okrucieństwo uchodziło podówczas w Szwecji za zwyczajny stan rzeczy.

Był taki czas, kiedy król Eryk sam zamyślał o spokrewnieniu się z Jagiellonami. Potem sprzyjał projektom braci przyrodnich, wieszował nawet Janowi widoków na spadek po Zygmuncie Auguście. Lecz kiedy latem 1562 roku obaj królewicze wyruszyli drogą morską do Polski, nagle zmienił zdanie. Jan w towarzystwie Tęczyńskiego wylądował w Gdańsku i czekał na brata, po którego wysłał okręt. Jednakże Magnus, kandydat do ręki Anny Jagiellonki, nie przybył. Na wyraźny i groźny w dodatku rozkaz Eryka XIV skapitulował. Zawrócił z drogi.

Sytuacja uległa niepomysłnej odmianie. Nie było wiadomo, czy Zygmunt August zgodzi się wydać młodszą siostrę, gdy widoki na zamążpójście starszej znikły.

We wrześniu 1562 r. król spotkał się z Janem w Kownie. Świadczyli sobie nawzajem grzeczności, obdarzali się cennymi pierścieniami, ale do decyzji nie doszło. Postępowanie Eryka komplikowało sprawę, bardzo wiele ważył też wzgląd na ceremonialny obyczaj. Sekretarz koronny, ksiądz Piotr Myszkowski, starał się przekonać

króla. Wskazywał, że nawet w rodzinie Habsburgów zdarzały się przykłady pomijania względów starszeństwa. "Nie zaniechał i tego ukazać, iż nie nowina królom polskim jeździć za morze i tam stanowić króle" - w czym można dosłuchać się ciekawej aluzji politycznej. Spokrewniony z Jagiellonami Jan

stałby się groźnym
współzawodnikiem Eryka - nawet
do tronu Szwecji. "Może i do
tego przyjsć - wywoził dalej
Myszkowski - że na morzu będą
polskie okręty, a zatem pruska
ziemia i miasta nad morzem w
kleszcze by ujęte były, a król
duński ciszej by siedział, niż
teraz siedzi". Przestałby -
należy rozumieć - dowozić
statkami broń i sprzęt wojenny
do Narwy, zdobytej przez Iwana
Groźnego.

Zygmunt August jeszcze się wahał.
Łukasz Górnicki, świadek tych
czasów, zapewnia, że wątpliwości
rozproszyła osoba najbardziej
zainteresowana. W obecności Anny
Jagiellonki król zapytał
Katarzynę, czy chce wyjść za
Jana. Odpowiedziała, że "inszego
stanu niż ten, w którym jest
teraz, nie pragnie".

Do rozmowy wtrąciła się Anna:

"A wszakże Wasza Królewska
Mość przede mną przyzwoliła, a
cóż po inakszej mowie teraz?"

Widocznie siostry już przedtem
między sobą rzecz omawiały.
Następne zdanie Anny zwrócone
było do brata:

"Przyzwoliła, Miłościwy Królu,
nie racz Wasza Królewska Mość
więcej pytać."

Anna z własnej woli ustępowała
miejsca młodszej.

Ślub odbył się w Katedrze
wileńskiej, 4 października 1562
roku. Udzielił go Walerian
Protassewicz Szuszkowski,
"gorliwy a święty biskup
Litwin", jak go zwali
współcześni, ruski szlachcic z
województwa mińskiego. Weselisko

trwało tydzień i było bardzo
huczne. "Wszelakie krotchwile i
uczciwości się działy, przy
których turniejach tak srogie
potkania bywały, że się sami
srodze poobrażali i konie pod

sobą pozabijali", co przyjęto za złą wróżbę dla młodej pary.

Królewicz Jan postawił na swoim, osiągnął pierwszy, bardzo cenny szczebel. Marzeniem jego życia było zdobycie dla siebie lub potomstwa korony Jagiellonów (trzydzieści lat o tym roił, aż się doczekał spełnienia snów, gdy już przestały go kusić). Dlatego właśnie wymógł na ojcu nadanie w lenno księstwa Finlandii, zanim jeszcze Eryk otrzymał swój udział. Z tej także przyczyny narażał się bratu, a nawet zrobił rzecz sprzeczną z interesami samej Szwecji. Pod zastaw kilku zamków w Inflantach pożyczył Zygmuntowi Augustowi znaczną sumę pieniędzy.

Teraz nie chciał tracić czasu i pozostawać w Rzeczypospolitej, do czego zapraszał go szwagier. Wybór drogi do Finlandii stanowił jednak nie lada zagadnienie. Zygmunt August radził jechać przez Prusy i dalej statkiem. Szwed lepiej znał sprawy morskie. Była już późna jesień, a uważano podówczas, że Bałtyk przez sześć miesięcy w roku nie nadaje się do żeglugi. Podróż lądem nastroczała inne niebezpieczeństwa. Wojna toczyła się na pełnych obrotach, należało się strzec wojsk szwedzkich. "Pstre knechty" króla Eryka dawno zajęły już Rewel i szereg innych miast w Estonii. Jeszcze groźniejsze były pułki Iwana Groźnego. Jeden z nich, pięciotysięczny, otrzymał rozkaz pochycenia Katarzyny Jagiellonki i dostarczenia branki na Kreml. Car wcześniej od Jana zabiegał o jej rękę, której mu odmówiono. Groźny nie nawykł do

ceremoniowania się z kobietami, o czym dzieje jego sześciu czy

ośmiu małżeństw aż nazbyt
wymownie świadczą. Jedna z żon
carskich zakończyła żywot w
stawie, nazajutrz po ślubie.

Zdecydowano się na drogę
lądową, przez Inflanty. Przed
wyruszeniem z Wilna król
rozmawiał z siostrą. Wybrał w
tym celu oryginalne miejsce,
mianowicie "izbę czarną", czyli
czeladną. Widocznie chciał mieć
świadków. Znalazł się wśród nich
i Łukasz Górnicki, który
niestety zasłyszany dyskurs
nadmiernie streścił. Rozmowy
"ten sens był: iż jeśliby co na
królową przypadło, żeby Jego
Królewskiej Mości nie winowała;
na co królowa cudną dała
odповідź, a przy rozmowie nie
było książe".

O milę od miasta czekał
rozbity namiot, pod którym
zasiadł do obiadu król w
towarzystwie młodej pary oraz
dworek Katarzyny. Razem z nią
ciągnął bowiem do Finlandii
orszak polski. Jeszcze nie od
razu pożegnał Zygmunt August
siostrę. Przewidywał pewnie, że
widzą się po raz ostatni, i
żywiej w nim zagrały stłumione
zazwyczaj uczucia rodzinne.
Jechali razem w kolebce.
Królewicz Jan towarzyszył im
konno. Chwila rozstania odbyła
się "nie bez płaczu" Katarzyny.

Niepodobna rozstrzygnąć, czy
kronika Górnickiego istotnie
tchnie w tym miejscu posępną
atmosferą, czy też o odczuciu
czytelnika decyduje wiedza o
tym, co później zaszło. Dziwna
rozmowa w izbie czeladnej,
smutek pożegnania to jest akurat
ton właściwy, trafna zapowiedź.
Zaczynał się w naszych dziejach
rozdział szwedzki, z którego nie
miało wynikać dla
Rzeczypospolitej nic, ale to
zupełnie nic dobrego.

Już w Parnawie, gdzie stali
żołnierze Eryka XIV, dowiedziała

się Katarzyna Jagiellonka, co ją czeka. Obrabowano przybyłych tak, że dwór księstwa musiał aż do Rewla iść piechotą, w ciągłym niebezpieczeństwie ze strony konnych oddziałów moskiewskich. Chwila ulgi nadeszła, gdy Jan stanął w Finlandii. Nie trwała długo. Eryk XIV ogłosił na przyrodniego brata wyrok śmierci, obległ go w Abo i uwięził. 24 sierpnia 1563 roku niefortunna na razie para została osadzona na zamku Gripsholm. Królowie zaofiarował Eryk powrót do Polski z dworem i honorami albo spokojne mieszkanie na uboczu, z dala od męża. Katarzyna odmówiła stanowczo. Była Jagiellonką. Nie mogła ani wracać do kraju, jak pierwsza lepsza, ani odstępować człowiekowi, któremu oddał ją brat, król.

W Gripsholmie wyznaczono początkowo księstwu jedną niewielką izbę. Dwór ich oddzielono. Polska służba poszła do więzień i na odosobnienie do klasztorów, szwedzka na tortury i śmierć. Katarzyna powiła na zamku w Gripsholm dwoje dzieci. Najpierw Izabelę, która zmarła, zanim rodzice odzyskali wolność, a 20 czerwca 1566 roku Zygmunta. Nie mając płótna na pieluszki, musiała matka kupować od strażników ich stare koszule.

Dziwne wrażenie odnosi się zawędrowawszy, w ślad za historią, z Polski "Złotego Wieku" do Szwecji XVI stulecia. Zupełnie tak, jakby z kraju zamieszkanego przez ludzi normalnych trafił człowiek raptem do domu wariatów. Widocznie w Szwecji ówczesnej znano trunki mocniejsze od polskiego piwa.

Pod oknami zamku więzienia odbywały się egzekucje stronników Jana. Po pewnym czasie ten ostatni zażądał od brata posłuchania. Pozwolono mu w tym celu opuścić Gripsholm, ale

tylko w asyście dwóch służących, bez żony, drogę zaś do Sztokholmu przystrojono w odpowiedni sposób. Musiał Jan przejeżdżać tuż pod szubienicami i obok słupów, na których wisieli jego polityczni przyjaciele lub ćwierci ich ciał. Podczas rozprawy jeden z sędziów plunął w twarz księciu Finlandii.

Zarzuty postawione Janowi były jednak całkiem wyraziste. Brat króla Szwecji sprzymierzył się i spokrewnił z jego wrogiem, pożyczył mu pieniądze. Nie wolno wątpić, że związek z Jagiellonami otwierał przed Janem widoki nie tylko na spadek po nich, lecz również wzmacniał go jako konkurenta Eryka.

(Zygmunt August przyznawał się w listach do "spisków i konfederacji".) Tłem wydarzeń był rozpoczęty już wtedy zatarg o Estonię - jeden z najbardziej absurdalnych w dziejach Rzeczypospolitej. Na nic jej ta Estonia potrzebna nie była. Jeśli się konsekwentnie chciało przymierza ze Szwecją przeciwko Moskwie, to należało raczej zabiegać, aby kandydat na sojusznika usadowił się w części Inflant, sam osobiście stanął carowi na drodze. To by dopiero uczyniło zeń rzeczywistego współnika. W ówczesnym postępowaniu Rzeczypospolitej wprost widać skutki nieodobrej szkoły politycznej, która wraz z Jagiellonami przyszła na Wawel. Dążenie do posiadania jak największych obszarów to nie jest mądra wytyczna postępowania. Kilometry kwadratowe nie są największym skarbem historii. Umiejętność rezygnowania z nadmiernych zdobyczy bywa czasem dowodem mistrzostwa politycznego. Spór

ze Szwecją jeszcze bardziej komplikował i tak już w najwyższym stopniu skomplikowane położenie Rzeczypospolitej.

Miała ona na karku Habsburgów, Hohenzollernów, Turków, Tatarów oraz Iwana Groźnego. Teraz pakowała tam sobie jeszcze i Wazów.

Zygmunt August bolał nad "utrata" Rewla. Ale we własnym jego liście do Zofii brunszwickiej czytamy, że sami "Rewlanie, rotę królewską z miasta wypędziwszy... szwedzkiego króla pstre knechty do miasta wprowadzili".

Uwięziwszy Jana i zadarłszy z Zygmuntem Augustem, Eryk XIV ustawił się również w pozycji całkiem niedorzecznej. Zawarł coś w rodzaju przymierza de facto z dziedzicznym wrogiem Szwecji, z carem moskiewskim. Rewel, założony ongi przez jednego z Rurykowiczów i zwany Juriewem, Iwan Groźny uważał za swoją ojcowiznę. Pomimo koniunkturalnej współpracy traktował króla Szwecji wrogo i w najwyższym stopniu pogardliwie. Habsburgowie uważali Wazów za parweniuszy. Cóż dopiero Iwan Groźny, który poważnie twierdził, iż ród jego wywodzi się bezpośrednio od Juliusza Cezara oraz Oktawiana Augusta.

W sprawie inflanckiej ani Zygmunt August, ani Eryk XIV Napoleonem się nie okazał.

Jeszcze jedno państwo rościło sobie pretensje do Inflant, Dania, która miała tam posiadłości, zanim jeszcze pokazali się nad Dźwiną koloniści niemieccy i kawalerowie mieczowi. Wszakże ona również przyznaje się do tytułu założycielki Rewla. W miejscu, gdzie stoi miasto,

Waldemar II Zwycięski wygrał w roku 1219 bitwę z Estami. Podczas boju spaść miała wtedy z nieba chorągiew, po dziś dzień stanowiąca narodowy sztandar Danii - czerwony prostokąt przekreślony białym krzyżem.

Z historycznych wspominków

oraz aktualnych apetytów duńskich wyłonił się... nowy, i to wytrwały kandydat do ręki Anny Jagiellonki. Zwał się tak samo jak królewicz szwedzki, który zawrócił z drogi do Gdańska - Magnus. Od przedmiotu swych pożądań młodszy o lat siedemnaście.

Już w roku 1559 brat, Fryderyk II duński, kupił dla niego wyspę Ozylię oraz pewne inne terytoria. Polityczny rozkład dziedziny kawalerów mieczowych, zwanych u nas niekiedy Krzyżakami inflanckimi, osiągnął pełnię, co umożliwiałało wszystkie wyżej i poniżej wspomniane kombinacje. W roku 1560 Magnus zajął nabyte obszary, a ponadto jeszcze pozyskał za pieniądze biskupstwo rewelskie, sam będąc protestantem. Spowodowało to z jednej strony zatarg ze Szwecją, z drugiej zaś skłoniło do prób sprzymierzenia się z Polską. Chcąc to osiągnąć, najlepiej było spowinowacić się z Jagiellonami. W roku 1562 zaczynają się więc konkury, mające potrwać lat siedem. Pojawiają się na Litwie poselstwa Magnusa, on sam odwiedza rozmaitymi czasy Wilno i Grodno. Mikołaj Radziwiłł Czarny czyni księciu nadzieje, lecz Zygmunt August ciągle decyzję odkłada. Jakoś nie może się niczego konkretnego dowiedzieć o "wolej i umyśle" siostry. W gruncie rzeczy chciałby ją wydać nie za królewicza, lecz za króla

duńskiego, ale na to wcale się nie zanosì.

Jeżeli wierzyć Katarzynie Jagiellonce, Magnus nie zaliczał się do osób zbytò pociągających: "Naprzód jest biskupem, a tego przestrzegać nie chce, drugie, iż go Pan Bóg nawiedził i nie ma jednego oka i ubogi pijanica".

Anna była niezwykle pobożna. Hieronim Lippomano zapisał, że

nigdy pod żadnym pozorem nie opuszczała nabożeństw, u siebie w Warszawie stałe chodziła na jutrznię, "od czego miała w łapacu swoim okno wychodzące do kościoła". Umartwienia rujnowały jej zdrowie, przyprawiały o choroby. Wielce oryginalnym wydarzeniem byłoby jej małżeństwo z protestantem, który kupił biskupstwo katolickie.

Ostatnie ślady zabiegów Magnusa pochodzą z roku 1569. Niczego nie wskurawszy w Rzeczypospolitej, zmienił książę front o całe sto osiemdziesiąt stopni. W roku 1570 Iwan Groźny obwołał go królem Inflant i uczynił swoim lennikiem. W trzy lata później dał mu za żonę własną siostrzenicę, Marię, księżniczkę ze Starycy. (Car żył jeszcze, kiedy jego kuzyn i poddany, "król" Magnus, pokornie upraszał w Rydze Stefana I o zatwierdzenie go we władaniu Ozylią.)

Wybiegliśmy nieco naprzód, mącąc chronologiczny porządek opowiadania. Trzeba więc teraz powrócić do jesieni 1562 roku. Wyprawiwszy siostrę do Szwecji, ruszył Zygmunt August z Wilna na zachód, do Polski. Czas był po temu najwyższy. Już od trzech lat prawie Korona na oczy nie oglądała własnego monarchy i narzekała na to coraz mocniej. A tocząca się na północy wojna o

Inflanty wymagała wsparcia z jej strony. Wszyscy jasno widzieli i stwierdzali w pisanych wtedy dokumentach, że Litwa sama nie poradzi. Na sejmie piotrkowskim król pojawił się w stroju u niego niezwykłym. Miał na sobie zwyczajne szlacheckie ubranie. Takie same szaty wdział jego dwór. Zygmunt August nareszcie zaczynał rozumieć, że trzeba się dogadać ze szlachtą. W przekonaniu tym utwierdził go ostatecznie Iwan Groźny, który w parę miesięcy później ukoronował swe dawniejsze sukcesy zdobyciem

Połocka.

Historia wewnętrzna Polski ruszyła z miejsca, w którym nieruchomo stała od przeszło pół wieku. Sejm piotrkowski spełnił część zadań stronnictwa reform. Odjęto magnatom - lecz tylko w Koronie! - niektóre dobra ziemskie, dzierżone wbrew prawu, jako tako uporządkowano skarb, jedną czwartą część dochodów królewskich przeznaczono na wojsko stałe. Odbywało się to niestety już podczas wojny. Trzeba było natychmiast łątać wyrwy, poczynione przez Iwana Groźnego, koronnymi środkami hamować jego postępy na Litwie. Sejm musiał ponownie zastawić część dopiero co odzyskanych majątków. Do kasy wpłynęło pół miliona florenów, które poszły na doraźne potrzeby wojenne. Przysłowie "wtenczas do pokuty, gdy śmierć na ramieniu" okazało się mądre. Rozumny był także sejm, który od samego początku panowania Zygmunta Augusta wołał o reformę.

Anna Jagiellonka wyjechała z Wilna wraz z bratem, lecz do Piotrkowa nie trafiła. "Król porozdzielał swoje kobiety - pisze Julian Bartoszewicz - żonę osadził gdzie indziej, gdzie

indziej siostrę, a sam przez to był wolniejszy". Ściślej to precyzuje fragment listu prymasa Jakuba Uchańskiego: "Królowę Annę Jejmość raczył Jego Królewska Mość zostawić w Warszawie, królową Jejmość w Radomiu, chwała Bogu dobrze zdrowe".

Należy powiedzieć jeszcze coś niecoś o losach królowej Katarzyny z Habsburgów. Nastąpiło to, na co jej pożycie małżeńskie od kilku już lat było właściwie skazane - separacja. Zygmunt August nie odwiedzał żony ani jej do siebie nie wzywał. Jadąc na Litwę nadkładał drogi, omijał Radom szerokim łukiem. Skąpił pieniędzy na

utrzymanie. Pojawiły się pogłoski o zamiarze otrucia Katarzyny "w wiśniach". W Pradze arcyksiężęta naradzali się nad losem siostry. Po śmierci ojca, cesarza Ferdynanda I, posłali nawet szwagrowi zaproszenie na osobiste spotkanie. Zygmunt August zaciął się. Zagadano w Polsce o rozwodzie.

U schyłku 1564 roku zjechał z Rzymu legat. Był nim Franciszek Commendone, na razie jeszcze biskup. Kapelusz kardynalski przysłano mu do Polski. Przyjął go w katedrze warszawskiej, a pisemne gratulacje cesarza były znacznie serdeczniejsze od powinszowań Zygmunta Augusta.

Ostatni z Jagiellonów nie należał do ludzi płochliwych, ale Commendonego się uląkł. "Commendone, inquisizione! nie będzie z tego nic w Polsce!" - miał podobno później wykrzyknąć. Nieustępliwy był jednak tylko na odległość. Legat, jeden z najwybitniejszych bojowników kontrreformacji, miał umysł wielkiego formatu i charakter ze stali. Ugiął króla... do

pewnych granic tylko. Zygmunt August oświadczył, że nie myśli o rozwodzie, ale żyć z żoną nie będzie. Pomimo całej swej nieustępliwości, Commendone zalecał oględność. Nie pragnął powtórzenia się w Polsce historii angielskich. Obawiał się, że rozgoryczenie narodu, który nie chciał stracić dynastii, spadnie na Rzym. Wcale mu nie było tajne, że prymas Jakub Uchański gotów nie oglądając się na papieża udzielić monarsze rozwodu, usamodzielnąć Kościół polski i sam stanąć na jego czele.

Kardynał odwiedził Katarzynę w jej radomskim wygnaniu. Rozmawiali spokojnie, aż pierwsza wzmianka o rozwodzie wywołała wybuch płaczu królowej. Commendone bez zastrzeżeń opowiedział się po jej stronie,

moralnie wsparł ją całym swym autorytetem.

W lutym 1565 pojawiło się w Polsce poselstwo austriackie, obarczone zadaniami rozległymi i wcale interesującymi. Miało ono zatroszczyć się o uformowanie w Rzeczypospolitej stronnictwa habsburskiego i pilnie doglądać kwestii następstwa po Zygmuncie Auguście. Co się tyczy Katarzyny - za wszelką cenę zapobiec rozwodowi i zażądać... wyjazdu królowej z Polski. Wiedeń wolał zostawić Zygmunta Augusta samego, lecz w więzach małżeńskich. To właśnie, co rzeczpospolitą przerażało, planom Habsburgów odpowiadało w pełni.

Na czele poselstwa stał Andrzej Dudycz, arcybiskup Pięciu Kościołów i członek tajnej rady cesarskiej, humanista wybitny. Z pochodzenia był Węgrem, Włochem po matce. W Polsce rozwinął ożywioną i

wszechstronną działalność. W sierpniu 1566 roku w korespondencji ze Stanisławem Orzechowskim występował jako zdecydowany obrońca celibatu księży. 28 kwietnia roku następnego wystosował do swego mocodawcy, cesarza Maksymiliana II, list tej treści: Najjaśniejszy Panie, ożeniłem się. Wybranką jego serca była Regina Straszówna, dwórka królowej Katarzyny. Dudycz prosił o uwolnienie od obowiązków posła, stwierdzał, że chce zamieszkać z żoną w Polsce na głuchej wsi, i oświadczał ponadto, iż od dawna uznaje celibat za rzecz zdrożną.

Papież wyklął Dudycza, sejm polski go nobilitował, a Jan Kochanowski ("cichy ksiądz między mnichy") uczcił jego ślub wierszem. Syn eks_arcybiskupa zginął w Moskwie 31 maja 1606 roku jako kanclerz Dymitra Samozwańca. Cesarz przyjął zresztą w przyszłości Dudycza

ponownie do służby dyplomatycznej. Owdowiawszy, ożenił się pan Andrzej powtórnie. Tym razem z Elżbietą ze Zborowskich, wdową po Janie Tarnowskim. Szedł w górę wyraźnie.

Stwierdza się często, że Zygmunt August nie chciał czy nie umiał pójść w ślady Henryka VIII angielskiego i sam sobie rozwodu nie udzielił. Król wykazał w sprawie politycznej mniej przebojowości niż Andrzej Dudycz w prywatnej. Składający się z protestantów przeważnie sejm koronny nobilitował eks_arcybiskupa. Poparłby na pewno własnego pana.

Na rozkaz męża królowa Katarzyna opuściła Radom i zatrzymała się w Wieluniu, gdzie czekała dalszych rozkazów. 8

października 1566 roku wyjechała z Polski na zawsze. Osiadła w klasztorze w Linzu.

Pułapka zatrzasnęła się. Zygmunt August został w Polsce sam, bezdzietny i żonaty.

"Kilka lat przed śmiercią królewską, gdzie się jeno zjechało kilka ludzi duchownych, świeckich, bądź to senatorów, bądź szlachty, nawet kupców, nigdy nie chybiło, aby nie mieli o przyszłym interregnum mówić, a to z wielką bojaźnią i struchleniem" - przytacza Artur Śliwiński słowa Andrzeja Lubienieckiego, do których dodaje opinię Reinholda Heidensteina oraz Jana Dymitra Solikowskiego, ogłoszone zaraz po zgonie ostatniego Jagiellona: "Dziwna obawa i troska o losy kraju ogarnęła umysły wszystkich" - "Nowy stan rzeczy przeraził Polskę".

Można uznać, że doba Wielkiego Łęku po wyjeździe Katarzyny rozpoczęła się na dobre. Coraz mniej było złudzeń.

Tymczasem królowa Anna mieszkała w Warszawie. Nie były to dla niej czasy zbyt wesołe.

Przekroczyła już czterdziestkę, zdrowie się psuło. Przez miesiące całe dręczyły ją ataki newralgiczne, trwające bez przerwy po dziesięć godzin. Lewa połowa twarzy tak puchła, że oka nie było widać. Obawiano się utraty wzroku. Jeśli wierzyć jej narzekaniom, dostatków na zamku warszawskim było coraz mniej, w końcu nędza zajrzała w oczy. Brat niezbyt się troszczył o siostrę, potrzebował pieniędzy dla innych osób.

Biadań z tego powodu nie brakuje, trzeba ich jednak słuchać z pewną dozą nieufności. Ubolewanie na ubóstwo należało do obyczajów Renesansu. Stale

się na nie uskarżali nawet tacy, co latami obrastali w beneficja i zostawiali sążniste testamenty. Najwybitniejsi intelektualisci nie wstydzili się natręctwa, graniczącego z żebraniną. Charakterystyczna dla epoki troska o kariery indywidualne pozbawiała niektórych ludzi poczucia przyzwoitości.

Zygmunt August zjeżdżał dość często do Warszawy, którą lubił. Zamek ożywiał się wtedy, jednak nie w tym stopniu, jaki dyktuje wyobraźnia. Cudzoziemcy ze zdziwieniem przyglądali się ówczesnemu dworowi monarchy. Był on liczny, kosztował znaczne sumy. Oprócz pobierających pensje najemników najrozmaitszych specjalności, należało doń również wielu młodych i zasobnych szlachciców, magnatów nawet. Ci nie otrzymywali zapłaty, pełnili służbę honorowo. Wolno im było za to utrzymywać na koszt króla pewną liczbę sług osobistych oraz wierzchowców. Było niemal regułą, że zamiast dziesięciu czy ośmiu rumaków miał taki pan tylko pięć, resztę końskiego strawnego chował do kieszeni.

Ilekróć Zygmunt August ruszał w podróż, setki osób liczący

orszak przedstawiał się imponująco. Gdzie się ten dwór podziewa, kiedy król mieszka w którymś ze swych zamków? - dziwili się cudzoziemcy. - Nie widać go wcale.

Obserwowali zjawisko, które było ubocznym wprawdzie, lecz ważnym dla kultry wynikiem niefortunnych ożenków ostatniego Jagiellona. Przecież to był dwór samotnego mężczyzny, żonatego starego kawalera. Brak pani domu powodował obumieranie życia towarzyskiego. Działo się tak

akurat wtedy, kiedy sporo było w Polsce ludzi europejskiego pokroju, a umysły świetne też się zdarzały, i to nierzadko. Dom monarszy - zamiast się stać jeśli nie salonem dla filozofów i literatów, to przynajmniej głównym w kraju ośrodkiem kształcenia form i ogłady - wegetował. Urzędowano tam, robiono kariery, urządzano łowy i zabawiano się doraźnie.

Otoczenie Anny Jagiellonki to już był typowy dwór starej panny. Smutek, rozgoryczenie i nuda wieją z jej listów. Korespondowała królowa przede wszystkim z siostrami. Trudniej jej było o wieści od Katarzyny, pororozumiewaniu się z Zofią nic nie stało na przeszkodzie. Czynnym pośrednikiem był referendarz koronny, Stanisław Sędziwój Czarnkowski, notoryczny agent habsburski.

Od czasu zamążpójścia Zofii Anna odnosiła się do niej ze wzmożonym respektem. Święcie przestrzegany obyczaj nakazywał pannie czcić białogłową. Dobrze już zasiedziała w Niemczech księżna brunszwicka starała się trzymać rękę na pulsie spraw polskich. Pamiętała zresztą nie tylko o polityce i kwestiach majątkowych. Przysyłała siostrze zamówienia na szaty, które kazała sobie szyć nie w Krakowie, lecz w Poznaniu. Widocznie krawcy tamtejsi byli

takimiż mistrzami, jak warszawscy szewcy. Przecież wieki całe liczą już przysłowia: "Do Warszawy po buty, do Krakowa po żonę" oraz "Warszawski trzewik, toruński piernik, wódka gdańska i panna krakowska najlepsze w Polsce". Tradycja krawiectwa poznańskiego zerwała się widać. Nie uwieczniło jej żadne porzekadło.

Obie siostry zgodnie zarzucały bratu brak troski o los wciąż więzionej w Szwecji Katarzyny.

Rok 1567 to przełomowa data w życiu najmłodszej z Jagiellonek. Początkowo zapowiadał się wprost strasznie. W lutym Szwecja zawarła formalny układ z Moskwą. Senat wprawdzie go nie ratyfikował, ale nie przeszkodziło to carowi w stanowczym wysunięciu innego żądania. Iwan Groźny domagał się wydania mu Katarzyny Jagiellonki, będącej właśnie w ciąży. Orszak z saniami, bo było to w zapusty, czekał na granicy Finlandii, bojarzy Naumow i Woroncow przybyli po królową do Sztokholmu. Przyciśnięci do muru Szwedzi próbowali się wykręcać, wskazywali, że król polski ma jeszcze jedną siostrę, wciąż pozostającą w stanie dziewiczym. Ale Iwan Groźny chciał tej kobiety, której mu Rzeczpospolita odmówiła. Szwedzi ustąpili w końcu, Katarzyna miała być oddana posłom moskiewskim.

Ocaliła ją depresja umysłowa, w jaką pod wpływem klęski zapadł Eryk XIV. Najęte przez Danię pułki knechtów niemieckich pod wodzą Daniela Rantzau wtargnęły daleko w głąb Szwecji, wojując po swojemu, to znaczy nieludzko pustosząc kraj. Król załamał się, ogarnęły go nastroje graniczące z obłąkaniem.

Zabobon i legenda zaraz zrobiły swoje. Przy snującym się na oślep po górach Eryku widziano "czarnego chłopca",

który coś mu do ucha naszeptował. To znów w kościele pojawiała się mara ni to proroka, ni to wieszczka, miotająca apokaliptyczne napomnienia. Ale i to, co stało się naprawdę, wygląda na baśń. Napływające do

Polski relacje na pewno były odpowiednio upiększone, nie sposób jednak wszystkiemu zaprzeczyć.

We wrześniu 1567 roku poselstwo moskiewskie doznało ostatecznego rozczarowania. Eryk XIV uwolnił Jana i Katarzynę z Gripsholmu. Ponadto jeszcze - w jakimś nieprzytomnym porywie skruchy - nie tyle zaproponował bratu tron, co błagał o wstąpienie nań. Upokarzał się podobno, klękał i padał niedawnym swym więźniom do nóg. Usadziwszy ich do uczty, sam chciał stać w pokorze przed stołem. Podobne hołdy składał małemu Zygmuntowi, który go przy okazji miał uderzyć. Szczegół ten, podany w liście Doroty Osieckiej, przybocznej karlicy Katarzyny, wydaje się wątpliwy, a tym samym osłabia prawdopodobieństwo pozostałych nadzwyczajności. Przyszły król Polski liczył sobie podówczas około piętnastu miesięcy. Rączka mógł machnąć, lecz chyba nie w intencji wymierzenia sprawiedliwości monarszej.

Faktem jest, że Jan wolność odzyskał. Tym samym opozycja szwedzka, składająca się przeważnie z arystokracji, otrzymała przywódcę.

4 lipca 1568 roku Eryk XIV poślubił Karin Maansdatter, swą wywodzącą się z gminu kochankę, kobietę w całym tego słowa znaczeniu dobrą, z którą miał już dzieci. Wkrótce ukoronował ją, ogłaszając syna następcą tronu. We wrześniu tego samego roku utracił berło i znalazł się w więzieniu. Obalił Eryka bunt arystokracji, której przywodził Jan oraz jego młodszy brat,

energiczny i zdolny Karol Sudermański. Szlachta szwedzka od razu wzięła odwet na

przeciwnikach. Kanclerz Eryka, wyniesiony przezeń z nizin społecznych Göran Persson, został powieszony za ręce i zamęczony.

Zdetronizowany uchwałą senatu Eryk żył do roku 1577, zajmując się w więzieniu, między innymi, literaturą. Rodzina była początkowo z nim razem, ale ostatecznie rozdzielono ich, ponieważ Karin urodziła jeszcze dwóch synów, a mnożenie się potomstwa eks_króla uznano za zjawisko niepożądane. Eryk zmarł od trucizny. Domieszano mu jej do grochówki.

Od roku 1568 Szwecja miała więc nowego króla, Jana III. Na odwrócenie przymierzy nie trzeba było długo czekać. Walczący z Moskwą Zygmunt August zyskał w Szwecji sojusznika, Dania stała się jego wrogiem.

Katarzyna Jagiellonka została oczywiście również ukoronowana. W jej listach, wysyłanych do Polski, pojawiają się odtąd kwestie polityczne. Zwracała się do brata także z prośbą, by powściągnął swych słynnych kaprów, którzy napadają na wybrzeża Finlandii, dopuszczają się gwałtów, grabieży i okrucieństw.

Jednym z pierwszych aktów Jana III, jako króla Szwecji, był rozkaz dokładnego przekopania ogrodów królewskich w Sztokholmie. Poszukiwania trwały przez cały czas jego panowania i nie dały oczekiwanych rezultatów. Chodziło o skarby, które Eryk XIV kazał tam podobno zakopać już podczas oblężenia Sztokholmu przez buntowników. Jan III, jak wszyscy w jego rodzie skłonny do porywów pasji, szalał, obiecywał złote góry, groził kaźniami. Namysłano się, czyby nie wziąć na męki samego Eryka, bo to był najlepszy

sposób wybadania prawdy.
Katarzyna pisała o tym do Zofii
brunszwickiej, dodając, że
osobiście brzydzi się tym
pomysłem. Jagiellonowie nie byli
krwawi.

Eryk uniknął tortur, lecz
trudno rozstrzygnąć, czy należy
to przypisać wpływowi królowej.
W każdym razie stało się po jej
myśli. Dodajmy od razu, że syn
Katarzyny, Zygmunt, nie
odziedziczył po ojcu, stryju i
dziadku skłonności do szału i
okrucieństwa. Był spokojny i
dobrotliwy nawet. W spadku
dostał mu się za to upór żmudzki
do kwadratu.

Zdaje się, że Eryk XIV
naprawdę kazał zakopać swe
skarby. Tuż przed kapitulacją
Sztokholmu wydobyl je nadzorca
ogrodów pałacowych, Jan Allard,
Francuz w służbie szwedzkiej.
Wygrzebał, przywiózł na
kontynent, lecz nie
przywłaszczył. Wspomni się
jeszcze o nich.

Najwcześniejszymi zwiastunami
dobrej nowiny byli oczywiście w
Polsce kupcy gdańscy. Któż,
jeśli nie oni, miał pierwszy
wiedzieć, co się dzieje za
morzem? Przywozili jednak
pogłoski ustne. Posłańcowi,
który dostarczył do Warszawy
list Jana i Katarzyny, Anna
Jagiellonka ciepłą ręką dała
łańcuch, zdjęty z własnej szyi.
Zaraz też kazała śpiewać w
katedrze Te Deum, otrzymane
dokumenty przepisywać co
rychlej, wieść kopie do Zofii i
innych osób. Radosna wiadomość
przyszła akurat w czasie choroby
czy też rekonwalescencji po
atakach. Musiała chyba pomóc.
Wstrząsy nerwowe leczą czasem
newralgię.

Można wątpić, czy fiasko
zabiegów Magnusa Holsztyńskiego
o jej rękę zmartwiło królową
Annę. Nie mogły jej być chyba
tajne opinie, jakie wygłaszano
na sejmie lubelskim w roku 1569,

tym właśnie, który doprowadził do unii rzeczowej, złączenia się Polski i Litwy w Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Zdaniem Józefa Szujskiego panowała wtedy powszechna zgoda, że o losie tronu rozstrzygnie osoba Anny. Kto ją poślubi, ten zostanie królem.

W oryginalny sposób interesował się jej przyszłością Iwan Groźny. Zachwalając kandydaturę własną lub syna, sam się do ożenku z Anną nie śpieszył. Obiecywał za to zatroszczyć się o nią i wyszukać małżonka naprawdę godnego. Dyplomaci moskiewscy potrafili bowiem wytykać Zygmuntowi Augustowi, że poniżył własny ród, wydając Katarzynę za takiego chudopachołka i prostaka, jak Jan Szwedzki.

Dwory zagraniczne zaczęły badać w Polsce grunt wokół osoby królowej. Pewne oznaki zainteresowania zdradziła Francja, były całkiem konkretne propozycje wydania Anny za młodego księcia pruskiego, figury mocno powiązane z dworem wiedeńskim rozmawiały z nią bezpośrednio. Plotkowano w kraju, że już się układa warunki małżeństwa z arcyksięciem Ernestem. Polscy stronnicy Austrii namawiali cesarza, aby zawczasu pozyskał rękę Anny dla arcyksięcia Karola. Jasna rzecz, iż wszyscy kandydaci na ewentualnych mężów mogliby być jej synami. Wspomniani zaś arcyksiężęta, jako (po kądzieli) potomkowie Jagiellonów, występują na tablicy genealogicznej w rubryce wnuków jej pokolenia.

W 1570 roku Jan III przysłał na dwór polski portret swego czteroletniego syna, Zygmunta. Wymowa tego gestu była niedwuznaczna. Szwecja, jej

władca i arystokraci zgłaszali królewicza do spadku po wuju. Jan ani na chwilę nie rozstawał

się z tą myślą, co się przejawiało w oryginalny sposób, gdy przyszło do kształcenia Zygmunta. Nauczycielem jego został Inflantczyk, Arnold Grothusen. Król sam naszkicował zasadniczy program pedagogiczny: "Educabic filium meum in spem utrisque regni" - wychowasz mi syna na pana obu królestw. Oznaczało to przymus udziału w nabożeństwach zarówno katolickich, jak protestanckich. Królewicz miał się stać w sprawach wiary jakąś obojnacką naturą. Winien był w przyszłości zadowalać i Sztokholm, i arcywierne Rzymowi Mazowsze. Jan III pilnie nadzorował wykonania własnego rozkazu. Zbił syna po twarzy, kiedy królewicz wzdragał się słuchać kazania luterańskiego. Porwał się z rapierem na Grothusena, gdy ten - sam będąc protestantem - powstrzymał ucznia od udziału w mszy. Usiłowania zawiodły. Zygmunt całą duszą przywarł do katolicyzmu, został jego wyznawcą najwierniejszym z wiernych. Już w Szwecji upodobał sobie pewnych duchownych, z którymi później przybył do Polski. W pierwszym rządzie spowiednika, Bernarda Gołyńskiego, zwanego ojcem Pakoszem. "Jeszcze w dzieciństwie i młodziuchny będąc i dorastając, zamiłował sługi swe królewic szwedzki" - kazał znacznie później w Wiślicy Piotr Skarga. Jako czternastoletni chłopiec chciał szwedzki następcę tronu uciekać do Polski, od czego ledwie go powstrzymali jezuici z Antonim Possevino na czele.

Jan III przysłał portret syna

do Warszawy, gdzie od stycznia 1570 roku Zygmunt August osiadł na dobre. Stan jego zdrowia wykluczał podróże. Do tego wkrótce doszło, że króla nie można było nawet w lektyce wynosić z izby na świeże

powietrze. Znadto cierpiał.

Pobył brata na zamku nie umilił Annie Jagiellonce życia. Następane dwa lata miały stać się okresem ciężkiej próby dla jej ambicji osobistej. Obcy ludzie dziwili się i biadali: jakże to tak, w tym samym zamku, gdzie stale mieszka królowa Anna - w jednym łóżku Zuzanna, w drugim Zajączkowska, w trzecim Giżanka, i czwarta jeszcze, i piąta... Przesada niewątpliwa, nie da się udowodnić jednoczesnego pobytu wszystkich pod tym samym dachem, ale i tego, co naprawdę było, wystarczy.

Nie znamy nazwiska pierwszej spośród tych metres królewskich, które zwróciły na siebie uwagę ogółu i mogły wyrzeć wpływ na politykę. Zmarła w roku 1570 podobno. Została pochowana w niewiadomym miejscu i w tajemnicy. Zgon jej miał jakoby to wtrącić króla w depresję. Zygmunt August mówił o abdykacji i zamiarze poświęcenia się stanowi duchownemu. Tron polski objąłby w takim razie arcyksiążę Karol, ożeniony z Anną Jagiellonką. Nuncjusz popierał te plany, sam wybierał się do Wiednia dla ułatwienia pertraktacji.

W przeciągu dwóch lat nadeszły wtedy do Polski dwa brevia papieskie, rozwiewające wszelkie nadzieje. Rzym stanowczo odmawiał udzielenia rozvodu. W tym samym czasie Olbracht Łaski napisał: "Król, im się bliższym śmierci czuje, tym bardziej o następstwo się troszcząc, myśli

o małżeństwie, z którego mógłby mieć potomka". Jan Cyrus, poseł austriacki, opat kościoła Św. Wincentego we Wrocławiu, wyrażał się jeszcze dobitniej: król ożeniłby się z żebraczką, gdyby mu dała syna.

Rozpacz po zgonie nieznaney nie trwała zbyt długo. Wysunęły się teraz na plan pierwszy dwie jeszcze wybitniejsze czy też

obrotniejsze niewiasty.

Anna Zajączkowska była dworką królowy. Zgłosił się o jej rękę niejaki Mikorski, szlachcic, podsunięty przez starostę Andrzeja Szpota. Chodziło o wyłudzenie zgody rygorystycznej Jagiellonki na wyjazd Zajączkowskiej z Warszawy. Zamysł się powiódł. Oszukana królowa rozchorowała się poważnie ze zmartwienia, Zajączkowska zaś osiadła na zamku Bugaj pod Witowem, otoczona przepychem monarszym. Podobno otrzymała w darze nawet szaty Barbary Radziwiłłówny. Dawna dworka mściła się teraz na swej pani, której była ulubienicą. Annę Jagiellonkę spotykały z jej strony rozmaite złośliwości. Ludzie z trwogą oglądali się na Bugaj. Nikt nie mógł zaręczyć, czy nie odegra on roli drugich Dubinek. Podłoga nie zarwała się pod "Zajacem". Może dlatego, że nikt nie był pewien, kogo bardziej należy się lękać - jej czy Gizanki.

Warszawski ród Gizów doczekał się córki imieniem Barbara, od wczesnej młodości przysparzającej rodzinie zmartwień. Toteż oddano ją na wychowanie zakonnicom, bernardynkom. Stamtąd właśnie zdołał ją wydobyć dworzanin królewski, Mikołaj Mniszech, działający w porozumieniu z kupcem żydowskim, Egidzym.

Gizanki nie wywieziono na
prowincję. Osiadła na zamku
warszawskim. Tylko cienka ściana
drewniana oddzielała jej
apartamenty od komnat,
zajmowanych przez Annę
Jagiellonkę. We wrześniu 1571
roku Barbara powiła córkę. Nikt
nie wierzył, że król jest jej
ojcem, lecz dla Zygmunta Augusta
narodziny dziecka stanowiły
potwierdzenie wróżb. Pewien
lekarz cudotwórca, nazwiskiem
Mizokakus, przepowiadał mu
wszak, że doczeka roku 1573,

ponownego małżeństwa i potomka.
W dowód łaski królewskiej
Gizanka otrzymała dwadzieścia
tysięcy czerwonych złotych
brzęczącą monetą.

Oto fragment listu Anny
Jagiellonki do siostry: "Ta zła
białogłowa, co ją Król Jego Mość
w zamku chowa, co miała
dziewkę, ale uczciwszy uszy,
podobność z kim innym miała, nie
z nim, bo tam bywa, kto chce u
niej za ścianą drewnianą. Sługa
mi mówił, iż to słychać dobrze,
kiedy tam mówią i to szczenię
płacze jawnie. Wszyscy ją widzą,
kiedy w oknie siada z
dziecięciem. Do niej chodzą,
karteczki piszą o przyczynę.
Teraz po śmierci księdza
krakowskiego księdzu
podkanclerzowi imię wszystkie
zjednała. Jest to zły,
niecnotliwy ksiądz..."

Mowa o podkanclerzym
Franciszku Krasieńskim, który za
protekcją Gizanki został
biskupem krakowskim,
przeskakując niższe szczeble
hierarchii kościelnej. Miał
zupełną rację Julian
Bartoszewicz, kiedy twierdził
przed stu laty, że nagła kariera
Krasieńskiego dowodzi, jak
wielkiej deprawacji uległy
obyczajne polityczne za rządów

Zygmunta Augusta. W swoim czasie Barbara Radziwiłłówna poparła pewnego duchownego i uzyskała dlań od męża nominację na biskupa krakowskiego. Piastował tę godność przez dwadzieścia cztery godziny. Senat zaprotestował bowiem gwałtownie i postawił na swoim. (Za Zygmunta Starego tenże senat omal nie skreślił z listy swych członków dostojnika, który poślubił dawną kochankę królewską, matkę Jana "z książąt litewskich" oraz dwu córek, wydanych za wielkich panów.) Teraz Krasiński dzięki protekcji jednej z wielu metres monarchy otrzymał infułę krakowską i

utrzymał ją bez trudu.

Przysłowie ludowe: "ryba od głowy cuchnie", w tym wypadku trafiło w sedno. Władza odpowiada za moralność społeczeństwa.

Można było wtedy dostać w Polsce zawrotu głowy, ponieważ nie było pewne, która z dam jest groźniejsza. Pojawiła się bowiem jeszcze i Zuzanna Orłowska, dawna miłośnica królewska. I ona także otrzymywała dary w pieniądzech, których na cele państwowe notorycznie u nas brakowało. Rozeszły się pogłoski, że Ostafi Wołłowicz przywiezie z Litwy duchownego protestanckiego, a ten udzieli monarsze rozvodu i da ślub. Nie zważając na chłody styczniowe, legat Commendone gnał do Polski ponownie pchnawszy przodem Grazianiego. Po drodze zboczył do Linzu i odwiedził królowę Katarzynę. Zygmunt August wyszedł z zamku na spotkanie kardynała zgięty, wsparty na lasce.

W marcową noc 1572 roku goniec z Wiednia przywiózł do Warszawy niespodziewaną wiadomość. 28

lutego zmarła Katarzyna. Zygmunt August po raz trzeci owdowiał.

Królowa kazała zwrócić mu wszystkie kosztowności, jakie odeń otrzymała kiedykolwiek. Wyjątek czyniła dla dwu pierścieni - zaręczynowego i ślubnego - które przeznaczala siostrze męża, Annie i Katarzynie. Jemu zaś posłała agrafę z cyfrą "Z. A."

Cesarz Maksymilian II żądał, aby zwłoki Katarzyny spoczęły na Wawelu. Ona sama życzyła sobie leżeć w Pradze, u stóp matki. Aż do roku 1614 ciało znajdowało się w Linzu.

Modlitewnik Zygmunta Starego zawiera wiadomość o zgonie trzeciej żony jego syna. Jest to ostatnia już notatka widniejąca na kartce, wklejonej do dzieła Stanisława Samostrzelnika. I tym

razem, podobnie jak przy nekrologach Elżbiety Austriaczki oraz Bony, pisano po włosku. Anna Jagiellonka doskonale znała ten język. A może to ona sama zajęła się uzupełnieniem spisu, odziedziczywszy po matce książkę, w której poprzednio kreśliły dłonie jej rodziców? Powierzenie tej czynności płatnym skrybom nie godziłoby się pewnie z wrodzonym królewnie poczuciem majestatu.

Ponowne wdowieństwo ostatniego z Jagiellonów mogłoby się stać deską ratunku dla dynastii - Zygmunt August nie ukończył jeszcze pięćdziesięciu dwóch lat - gdyby nie stan zdrowia monarchy. Nic nie pomogli magowie, wiedźmy i baby, zawiodły zaklinania, inkantacje oraz kąpiele w stągwiach z zaczarowaną wodą, odprawiane o północy. Król dogorywał, lecz codziennie domagał się od dworzan kobiety.

Na początku 1572 roku zebrał

się sejm, który nic nie uradził i rozszedł się bez rezultatu. Wpłynęła na to ogólna sytuacja, ale też groza zbliżającego się do Warszawy moru. Zygmunt August nie zawstyczył się żądać od izby pieniędzy na "opatrzenie potomstwa". On, właściciel skarbów, które zdumiewały nuncjuszy, człowiek rozdający kochankom dziesiątki tysięcy talarów i złotych.

- My o żadnym potomstwie nic nie wiemy. Racz się Wasza Królewska Mość ożenić, wtedy będziemy rozmawiać - odpowiedziano mu urągliwie.

W takim oto nastroju rozjechali się do domów posłowie ostatniego sejmu jagiellońskiego. W kilka miesięcy później ci sami ludzie i cały ogół szlachty stanęli wobec zadania nieprawdopodobnie trudnego. Musieli ująć w artykuły ustrój państwa, określić sposób funkcjonowania

władzy najwyższej i jej uprawnienia. Winni byli umieścić to wszystko w jednym akcie, obowiązującym na przyszłość. Był rok 1572. Jak wiadomo, układać i wydawać rozumne akty konstytucyjne nauczył się świat w dwa wieki później. Konstytucja Stanów Zjednoczonych powstała w roku 1787, Konstytucja 3 Maja i pierwsza ustawa zasadnicza Republiki Francuskiej są nieco młodsze.

Aż do zgonu Zygmunta Augusta Rzeczpospolita Obojga Narodów przypominała w pewnej mierze Wielką Brytanię. Pod tym mianowicie względem, że ustrój określały rozmaite akty prawne wydawane w przeciągu wieków, w miarę potrzeby i rozwoju stosunków wewnętrznych. Wszystko razem spajał obyczaj i potężna tradycja, która z samej zasady

elekcyjności tronu czyniła formalność tylko. Wygaśnięcie Jagiellonów położyło temu kres. Należało uchwalić i opisać, jak ma funkcjonować państwo. Atmosfera moralna, w której zabierano się do dzieła, znaczyła ogromnie dużo. Zygmunt August pozostawił po sobie rozczarowanie, nieufność, uczucie niesmaku.

Testament króla zawierał słowa wspaniałe. Napisano w nim, że o pożytek Rzeczypospolitej "wedle największej możności naszej, przez wszystkie wieki panowania naszego staranieśmy czynili, jej dobro i zdrowie (Bóg świadek) nad swoje przekładając". A w listach współczesnych przeczytać można i takie opinie: "Dobrze, że się to kurewstwo skończyło".

Testament ten, datowany 6 maja 1572 roku, na wyjeździe z Warszawy wręczył król siostrze. Pogodził się z nią wtedy, już po raz drugi zresztą w przeciągu kilku ostatnich miesięcy. Poprzednio pojednał ich nuncjusz, a dowodem życzliwości Zygmunta Augusta miała być jego

obecność na weselu jednej z dworek Anny. Zgoda nie trwała długo. Przeszkadzała osoba i kariera Giżanki.

Tym razem nie było jej w Warszawie. Król wygadał się był przed Janem Chodkiewiczem, że zamierza udać się z nią do Knyszyna i tam wziąć ślub, korzystając niejako z litewskiej opieki. Wątpliwa to by była kuratela. Chodkiewicz doniósł o wszystkim senatorom i kilku z nich zebrało się we Włocławku na naradę u biskupa Stanisława Karnkowskiego. Postanowiono, że jeśli nie uda się odwieść króla od niepoczytalnego zamiaru, przyjdzie Giżankę uwięzić, zamknąć i czekać na werdykt

sejmu. Z kolei Zygmunt August przewąchał, co się święci. Wyprawił więc wybraną do Tykocina i sam ruszył w ślad za nią.

Na podwórze zamkowe zajechał powóz dziwnego rozmiaru i kształtu. Miał dziesięć kroków długości, a zaprzężony był w szesnaście koni. Jego zawieszona na pasach pudło mogło pomieścić dziesięć albo piętnaście osób. Wehikół ten wykonali rzemieślnicy krakowscy. Do Warszawy dotarł Wisłą.

Dworzanie umieścili w wozie łoże monarsze, złożyli w nim Zygmunta Augusta. Jedni ulokowali się wokół, inni dosiedli koni. Podobna do konduktu kawalkada z wolna ruszyła. Było to 23 czerwca 1572 roku. 7 lipca król zmarł w Knyszynie.

Łudził się widocznie aż do końca. Giżankę z Tykocina zabrał, w ostatnich dniach życia obdarzył ją ponownie, tym razem trzynastoma tysiącami dukatów, nie licząc danych w dożywocie majątków ziemskich. Nie powstrzymało to jej od uczestnictwa w obrzydliwym rabunku mienia królewskiego, rozpoczętym, zanim jeszcze ciało

ostygło.

Tak więc Zygmunt August zeszedł ze świata, do ostatniej chwili troszcząc się o potomka, o następcę. Słyszeliśmy dopiero co głos świadka: ożeniłby się z żebraczką, gdyby mu dała syna. Nie chciał zostawić po sobie opustoszałego tronu.

Był to tak dziwny rodzaj troski, że naprawdę warto przyjrzeć mu się bliżej, próbując coś pojąć. Zygmunt August troszczył się o własną krew, o własny ród, więc o siebie samego także, lecz nie o

państwo jako byt samoistny. W przeciwnym razie nie zostawiłby po sobie politycznej próżni, coś by rozporządził, przynajmniej wyznaczyłby kogoś do pilnowania i prowadzenia spraw najbardziej pałacowych. Nic z tego wszystkiego nie wykonał. A przecież umarł fizycznie tylko zrujnowany, lecz w pełni świadomości. Przytomny był do końca.

Rzecz wygląda na ponurą anegdotę, lecz odpowiada prawdzie. W Stambule bardziej konsekwentnie rozmyślano o przyszłości korony polskiej niż w Warszawie. Nie ma wątpliwości - w roku 1569 sułtan i jego doradcy postanowili, że tron Jagiellonów winna odziedziczyć dynastia francuska. Jest za to całkiem sporne, kogo właściwie Zygmunt August pragnął widzieć swoim następcą - Habsburga, Walezjusza czy Iwana Groźnego. Można postawić trzy różne tezy i bronić ich po kolei.

Postępowanie Zygmunta Augusta zdaje się zdradzać myśl następującą: po mnie panować ma mój syn, a jeśli go zabraknie, to wszystko mi jedno.

Ludwik XV nigdy nie wygłosił słów: "Après nous le déluge". Z powodzeniem za to mógłby je wygłosić kto inny... znacznie wcześniej. I jeszcze jedno powiedzenie francuskie pasuje do Zygmunta Augusta: państwo to ja.

W charakterze tego człowieka skrajny egocentryzm wspierała wyjątkowa siła woli. Prawda to, ale cechy osobiste nie wystarczą do wyjaśnienia zagadki. Zdaje się, że mamy do czynienia ze skutkami oddziaływania zjawisk historycznych o największym znaczeniu. Jagiellonowie w ogóle nie przeszli przez szkołę europejskiego średniowiecza. A była to uczelnia elementarna

może, lecz na pewno
niezastąpiona.

Zamiast teoretyzować,
zaczniemy od konkretnego. Tym
bardziej warto tak postąpić, że
dzieje Polski dostarczają
przykładów jakby umyślnie
dobrych.

Kazimierz, nazwany później
Wielkim, wstępował na tron mając
dokładnie tyleż lat, co Zygmunt
August, lecz w odróżnieniu od
ostatniego Jagiellona wzbudzał w
szlachcie raczej trwogę niż
błogie nadzieje. Opinię miał
wyjątkowo nieciekawą, unurzana w
krwawym błocie. Jako królewicz
uwiódł na Węgrzech, czy też
nawet zgwałcił, szlachciankę
tamtejszą, Klarę Zach.
Dowiedziawszy się o tym, ojciec
dziewczyny porwał się z mieczem
na parę monarszą, bo ciotka
Kazimierza, królowa Elżbieta,
ułatwiła podobno miłemu
siostrzeńcowi to dzieło.
Nieszczęsny zamachowiec, zanim
zginął, ciał w ramię swego
suzerena, Karola Roberta,
odrabiał Elżbiecie palce u dłoni.
Zapłaciła za to cała rodzina
Zachów. Torturowano ludzi,
ścinano ich, rozwieszano ćwierci
ciał po rynkach miast. Klarze
obcięto nos i wargi. W tym
stanie obwożono ją po Węgrzech,
dla postrachu. Miecz Felicjana
Zacha nie zagroził właściwemu
winowajcy. Kazimierz w porę
wrócił do Polski, dokąd
schronili się niedobitkowie z
rodziny Klary. Władysław
Łokietek żadnemu z nich nie

odmówił azylu.

Miał Kazimierz i inne grzechy
na sumieniu. Wspominało się
tylko najcięższy. Wstępując do
grobu, Łokietek trwożył się o
przyszłość, nie był wcale
pewien, czy syn zdobędzie
posłuch i szacunek. Koronacja

odmieniła Kazimierza w tym
wszystkim, co dla króla
najważniejsze. Nie uleczyła go z
bajecznej rozpusty ani z
okrucieństwa, dziedzicznego
zresztą w rodzie Piastów, ale
jakby zaprzęła w jarzmo
obiektywizmu. Nigdy już potem (a
pewnie i przedtem) nie miała
Polska równie troskliwego
gospodarza. Kazimierz wstąpił na
tron prawem dziedziczenia, a
potem wiernie, mądrze i chytrze
służył własnemu dziedzictwu,
krajowi. To była służba, żaden
inny termin się nie nadaje. Coś
przerobiło łobuza na wielkiego
monarchę.

Wnuczka Kazimierza,
dwunastoletni król Polski,
Jadwiga, w roku 1386 porwała się
nocą z toporem na furtę
wawelską, którą próbowała
wyrąbać... od strony własnego
zamku monarszego i katedry.
Chciała ujsć na zewnątrz,
powrócić do świata, który
dotychczas był jej własnym, żyć
nadal wśród ludzi zachodniego i
rycerskiego obyczaju. Wawel miał
się bowiem stać dla Jadwigi
więzieniem. Był już postanowiony
jej ślub z Jagiełłą, człowiekiem
trzy razy starszym od niej i
najzupełniej obcym wszystkiemu,
co królowna węgierska, potomkini
królów Francji, kochała.
Powstrzymał Jadwigę podskarbi
koronny, Dymitr z Goraja.
Jakimiż argumentami wytracił jej
siekiere z ręki? Bo siły na
pewno nie użył. Musiał mówić o
obowiązkach stanu monarszego. O
powinnościach nałożonych przez
sam fakt urodzenia w purpurze,
zaprzysiężonych w chwili
koronacji. Jadwiga uznała

słuszność wywodów podskarbiego.
Włożyła kark w jarzmo
obiektywizmu i pozostała mu
wierna do zgonu.

W roku 1548 posłowie używali wobec Zygmunta Augusta argumentów identycznych z tymi, jakimi Dymitr z Goraja przekonał Jadwigę. Tłumaczyli, że postępowanie samowolne, ożenek z miłości, a nie z politycznego wyrachowania, poniża święty stan monarszy. Nic nie pomogło. Zygmunt August przedkładał indywidualne uczucia i upodobania ponad powinności "króla pomazanego", członka dynastii, więc rodu, którego sens istnienia polegał na władaniu społecznością, czyli na trosce o jej dobro.

Europejskie średniowiecze widziało w jednostce ludzkiej część grupy społecznej i tej właśnie mądrości uczyło. Człowiek nie był jeszcze wtedy indywidualnością pełną, należał - tak, należał! - do stanu, klanu, gminy miejskiej, szczepu czy plemienia, a za ich niezbędnym pośrednictwem do formującego się narodu.

Olgierdowiczowie, zwani u nas Jagiellonami, przyłączyli się do wspólnoty chrześcijańskiej Europy u schyłku średniowiecza, kulturalnie dojrżeli aż w dobie Renesansu. Dopiero synowie Kazimierza Jagiellończyka, wśród nich ojciec Zygmunta Augusta, upodobnili się pod względem obyczaju do monarchów Zachodu. Renesans podniósł człowieka, uznał w nim indywidualność, nauczył ją cenić. Ale niczego nie budował na gołym korzeniu. Lepiej kształcił pokolenia już dobrze wyposażone w pojęciowy i moralny spadek po przodkach. Szkoła chrześcijańskiego średniowiecza, jej dorobek raczej, który przetrwał, w jakiej takiej mierze zabezpieczał ludzi przed przekleństwem subiektywizmu.

Odnosi się wrażenie, iż Jagiellonom brakowało elementarnej edukacji, którą inne dynastie otrzymały. Oni od razu zaczęli od średniej, co musiało zrodzić po prostu... partactwo. Przecież sama ich polityka dynastyczna była jakby niefrasobliwa, jakże różna od solidnej roboty Habsburgów. Tamci wiedzieli, że pragnąc skutecznie ubiegać się o rozmaite korony, trzeba gdzieś w jednym miejscu mocno stać na nogach, mieć punkt oparcia. Jagiellonowie i Litwę puścili trochę samopas, i o Koronę słabo się troszczyli.

Zygmuntem Augustem historia Polski może się chlubić i jednocześnie powinna się go czasami wstydzić. Ogromna kultura, szerokie horyzonty, szlachetna tolerancja, a w sprawach dotyczących ciągłości ustroju postępowanie wręcz bezmyślne, nieodpowiedzialne w najwyższym stopniu. Ten człowiek jakby nie znał pojęć zupełnie podstawowych. Do roli, którą odziedziczył, do odegrania której na świat przyszedł, jednak nie dorósł.

Ostatni Piast z łoża śmierci słał pieniądze księdzu, który wykańczał zamek obronny we Włodzimierzu wołyńskim. Ostatni Jagiellończyk, znajdując się w tej samej sytuacji, obdarzał talarami pannę Giżankę. Bezkrólewie po Kazimierzu Wielkim trwały trzy dni. Po Zygmuncie Auguście - przeszło półtora roku, i z jego winy. Społeczność szlachecka bardziej dbała o przyszłość niż król, który marzył jedynie o przekazaniu tronu własnemu synowi.

Czas nie zawsze i nie we wszystkim przynosi postęp. Niekiedy to, co przychodziło chronologicznie później, bywało gorsze. Jagiellońska sztuka polityczna odróżniała się od

piastowskiej między innymi prymitywizmem. Zadania o wiele bardziej rozległe, jakościowo wyższe, bo dotyczące spraw państwa wielonarodowego - wykonanie niedołączne, powierzchowne i lekkomyślne. Unia polsko_litewska była dziełem wielkim. Zawiedli ludzie powołani do jej zabezpieczenia i rozwinięcia stworzonych przez nią możliwości.

Jagiello przyniósł na Wawel nawyki myślowe i metody postępowania wyrobione przez dawniejszą historię Litwy, która wszystkie swe siły obracała na wojny zdobywcze. Tak zupełnie jakby rozszerzenie władania oraz granic stanowiło wartość samą w sobie. W XIII wieku Ludwik IX odwojował na Anglikach duże obszary, lecz zawierając pokój zwrócił im całe niemal atlantyckie wybrzeże Francji wraz z portem Bordeaux. Z obawy przed niesprawnością nie chciał brać za wiele od razu. Wolał solidnie wykonać to, co rzeczywiście leżało w jego mocy, ciąg zaś dalszy pozostawić następcom. W zbliżony poniekąd sposób potrafił postępować Kazimierz Wielki, który formalnie pogodził się z utratą Śląska i Pomorza oraz szanował udzielną Mazowsza. Nie ma niestety ani śladu tej finezji w politycznych poczynaniach Jagiellonów. Ich dynastyczne ambicje do niemożliwości pomnożyły zadania państwa i tak już po unii przerosły.

Polska przyrosła sercem do litewskiej dynastii, lecz bez pełnej wzajemności. Jagiellonowie aż do końca pozostali rodziną, która zrobiła bajeczną karierę, i o nią przede wszystkim dbała. W postępowaniu Zygmunta Starego stanowczo za wiele familijnych sentymentów, budowanych kosztem

Korony. Zygmunt August wdał się pod tym względem w ojca, a nie w

matkę, która, będąc Włoszką, umiała jednak dbać o obiektywne interesy kraju, któremu panowała. Ostatni z Jagiellonów utożsamiał ponadto dobro rodu ze swoim własnym.

U samego schyłku życia Zygmunta Augusta przytrafił się pewien wypadek, który jaskrawo udowadnia, że prymitywizm w myśli, mowie i uczynkach stanowił charakterystyczną cechę kraju macierzystego Jagiellonów. Było to na wiosnę, a w każdym razie w cieplej już porze roku 1572. Legat Commendone wraz ze swym przybocznym Grazianim udał się na Litwę. Pewnego dnia obaj Włosi wyjechali z Wilna powozem na spacer. Trochę się od miasta oddaliwszy, wysiedli, pozostawili całą służbę przy zaprzęgu, sami zaś podążyli piechotą do zawczasu wyznaczonego lasku. Spotkali się tam z Mikołajem Krzysztofem Radziwiłłem "Sierotką" oraz z Janem Chodkiewiczem, którzy również przybyli pieszo, samowtór, bez dworzan. Zaprzysiężono tajemnicę. Rozmowa dotyczyła nieuchronnie zbliżającego się końca dynastii, bezkrólewia oraz kandydatury na tron. Obaj Litwini byli zdecydowani działać bez oglądania się na Koronę. Wprawdzie unia lubelska, licząca sobie dopiero trzy lata, nakazywała obierać króla wspólnie, lecz żaden z dwóch magnatów tym się nie przejmował. Chcieli powołać na tron Polski Ernesta Habsburga. Byli niemal pewni, że powtórzy się stara historia - koroniarze pogodzą się z faktem dokonanym, wpuszczą na Wawel tego, kogo Litwa

samowolnie już wybrała swym panem. Czyż nie tak było w roku 1506, kiedy szło o osobę Zygmunta Starego? Został wielkim księciem, co automatycznie zapewniało mu awans na króla

Polski. Gdyby jednak tym razem Korona stanęła okoniem i nie pozwoliła Litwie rozstrzygnąć jednostronnie, nie należy się cofać. Raczej zerwać unię niż ustąpić.

Włosi przyjechali do Rzeczypospolitej między innymi po to właśnie, by popierać kandydaturę habsburską. Słuchali więc mile, lecz nie wszystkiego. Byli politykami z prawdziwego zdarzenia, to znaczy, liczyli się ze stanem rzeczy obiektywnie istniejącym. Zdawali sobie sprawę, że zerwanie unii natychmiast wtrąci zarówno Litwę, jak Polskę w ciężkie przesilenie i zdegraduje oba te państwa. Postanowiono pozostawić kwestię rozumowi, czyli uznaniu cesarza (który, jak się okazało, wcale nie był skłonny do naruszania unii, myślał to samo co Commendone i Graziani. Ludzie na pewnym poziomie umysłowym są w niektórych sprawach z reguły jednomyślni: dwa razy dwa zawsze jest dla nich cztery).

Jan Chodkiewicz nie odrzucał więc myśli o zerwaniu unii. W rok po rozmowie z Włochami przyszło mu gnać do Krakowa, na Wawel, i zabiegać tam o pomoc zbrojną. Iwan Groźny zgromadził znaczne siły i znowu zagroził Litwie. Ciekawe, dokąd by Chodkiewicz pojechał, gdyby wielkie Księstwo rozwiódło się z Polską? Wiedeń do wojowania z Moskwą się nie kwapił.

Sejm koronny od dawna, od dziesięcioleci już gwałtował o dokończenie unii w sensie ustalenia warunków wzajemnego

związku stron równych. Wskazywał między innymi, że Litwa przywłaszczyła sobie "przodek w obieraniu" władców, co może doprowadzić do niedobrych rezultatów. Konspiracyjna rozmowa w lasku podwileńskim świadczy, jak wielką miał rację... zawczasu.

29 grudnia tegoż brzemiennego

w wypadki 1572 roku wyruszył z Litwy na wschód Michał Haraburda, kasztelan miński. W końcu lutego oraz na początku marca rozmawiał w Nowogrodzie Wielkim z samym Iwanem Groźnym. Chodziło o nie lada kwestię - o kandydaturę cara lub jego syna, Teodora, na tron Rzeczypospolitej. Mniejsza o to, jaki był istotny cel poselstwa, wysłanego przez radę litewską. Być może chciała ona tylko łądzić Iwana, by go powstrzymać od wojny. Najważniejsze są oświadczenia Groźnego. Na pierwszy rzut oka sprawiają one wrażenie kapryśnych i nieobliczalnych: ja sam za stary, a syn za młody, zresztą on nie dziewczka, by mu wiano dawać... Ale kto uważnie przeczyta sprawozdanie Haraburdy, ten pojmie sens dążeń cara.

Iwan wcale się do panowania w Polsce nie śpieszył. Najbardziej mu zależało na rozerwaniu unii i objęciu władzy nad samą Litwą. A gdyby to się stać nie mogło: "tedy lepiej, jakośmy tobie mówili, żebyście wzięli na państwo, na Koronę i Wielkie Księstwo Litewskie, cesarskiego syna", to znaczy Ernesta Habsburga.

Żądanie przyjęcia katolicyzmu Groźny zdecydowanie odrzucił. Nawet wstąpiwszy na Wawel - prawił - "wierze naszej kościoły, nam w naszych zamkach

i dworzec, kamienne i drzewiane
wolno stawić, i metropolit i
władcy stanu duchownego nam
czcić, wedle naszego obyczaju
arcybiskupów i biskupów nam
czcić, po ich zakonu i ich
obyczaju". Tego rodzaju warunki
były nie do przyjęcia dla
Polski. Stawiając je, car
przemawiał do prawosławnego
słuchacza. Michał Haraburda nie
był katolikiem. Tak samo nie
byli nimi wtedy ani Ostrogscy,
najpotężniejsi magnaci w

Rzeczypospolitej, ani
Wiśniowieccy. Oceniając te
pertraktacje strzeżmy się błędu,
polegającego na utożsamianiu
wielonarodowej i
wielowyznaniowej
Rzeczypospolitej z jedną tylko
jej prowincją - z Polską
właściwą. Iwan Groźny przy
innych okazjach wyraźnie mówił,
że chce rozszerzyć swe władanie
po Białą Wodę, czyli po Wisłę.
Ziem położonych bardziej na
zachód nie pragnął.

Car łaskawie pożegnał
Haraburdę. Podał mu rękę do
ucałowania, zaprosił, a
właściwie "kazał być" na
obiedzie. Kiedy nazajutrz poseł
już siadał na wóz, zjawili się
trzej bojarzy, świadkowie
poprzednich rozmów. "Bożej mocy
car, wielki książę Iwan
Wasiłowicz - rzekli - kazał
tobie mówić: będzie li chciało i
jedno Wielkie Księstwo Litewskie
jego hospodarskiego panowania,
on panem na Wielkim Księstwie
być chce, tak jako tobie
oznajmił; a spokojnie Wielkie
Księstwo Litewskie z Koroną
Polską pogodzi hospodar. A
k'temu powiedz panom Radom (gdy
się oni ku dobrej rzeczy
skłonia)" - niech suchają wieści
od Tatarów i natychmiast
przekazują nowiny pogranicznym

województw carskim.

Ostatnie słowo rozstrzyga,
zwłaszcza jeśli jest wsparte już
prawie rozkazem.

Iwan pragnął posiadać Litwę.
Gdyby zaś to okazało się
niemożliwe, chciał widzieć na
Wawelu Ernesta Habsburga, z
którym dogadałby się pewnie
łatwo w sprawie ustępstw
granicznych - kosztem tej samej
Litwy. Miał wszak do
zaofiarowania przymierze
przeciwko Turkom, czy pozór
takowego.

Jak widzimy, dążenia
polityczne, z których dwaj
Litwini spowiadali się w lasku

podwileńskim dwom Italczykom,
nie zmartwiłyby zbyt Iwana
Groźnego. Habsburg na Wawelu,
naruszenie unii - i jedno, i
drugie zgadzało się w zasadzie z
jego dalekosiężną strategią.
Moskwa była dziedzicznym wrogiem
Litwy, lecz nie Polski. Pisząc o
prymitywizmie, który cechował
politycznych przywódców
Wielkiego Księstwa, ma się
niestety rację. Oni chcieli
dominować w Rzeczypospolitej,
jak właściwie dotychczas było.
Na równouprawnie się nie
godzili, aczkolwiek Litwa, a nie
Korona, stale potrzebowała
pomocy.

Kardynał Commendone postanowił
niezwłocznie zawiadomić cesarza
o przychylności magnatów
litewskich dla Habsburgów i
wezwać go do energicznej akcji.
Pragnął dokonać tego osobiście i
już wyruszył z Krakowa w drogę,
lecz niedaleko ujechał. W Tyńcu
dośćigła go wieść o zgonie
Zagmunta Augusta. Legat pozostał
więc u benedyktynów, najbliższej
nocy potajemnie wyprawiając do
Wiednia Grazianiego, który
pędził, jak tylko mógł, i dobrze
się sprawił. Doradzał przede

wszystkim szybkość działania.
"Powtórzyłem - pisał w diariuszu
- że w kraju do bezkrólewów nie
przyzwyczajonym wszystko od
pośpiechu zawisło, że jeśli
rzecz pójdzie w zwłokę, zuchwali
nabiorą śmiałości, pomnożą się
przeciwieństwa, w kraju
zwłaszcza, gdzie imię
niemieckie, a najbardziej
Rakuszanów jest w nienawiści".
Należało natychmiast wyprawić do
Polski uroczyste poselstwo,
zaopatrzyć stronników
habsburskich w pieniądze i
dokonać zbrojnej demonstracji,
gromadząc pułki we Wrocławiu.
Cesarz słuchał wszystkiego
"chciwie i z uwagą", a potem
przez pięć dni wzywał
Grazianiego do siebie, wypytując
o szczegóły. Maksymilian II nie

był w gorącej wodzie kąpany.

Wracając do Polski doznał
Graziani wielu trudności. Czasem
otwierał sobie drogę pieniędzmi,
ale w zasadzie polegać musiał na
własnej chytryści. Przemykał
chyłkiem ścieżkami, przez bory i
manowce. Dróg i traktów strzegły
bowiem "roty polskie", które nie
tylko zatrzymywały cudzoziemców,
"lecz przetrząsały ich bez
litości". Szlachta koronna
wykonywała starą myśl, niezłomne
przekonanie swego sejmu, że
podczas bezkrólewia największym
złem będą intrygi zagranicy.
Wszakże sejm w roku 1559
zmierzał do wydania ustawy,
przetwarzającej przyszłą elekcję
w prawdziwe conclave.

Wielki Lęk objął kraj w
posiadanie i zrodził skutki
dodatnie. Na wieść o śmierci
królewskiej przedmioty zbytku
raptownie spadły w cenie,
ogromnie podrożała broń i
wszelki w ogóle sprzęt wojenny.
Szlachta samorzutnie zbroiła
się, siadała na koń. We

wszystkich województwach
zawiązała konfederacje, mające
na celu ochronę ładu, ustanowiła
sady "kapturowe", które my dziś
nazwalibyśmy doraźnymi.

Ponieważ szczegółowe omawianie
przebiegu bezkrólewia nie należy
do zadań tej książki, należy
przytoczyć opinię najświeższej
daty, czerpiąc ją z wydanego w
roku 1963 studium Andrzeja
Tomczaka "Walenty Dembiński,
kanclerz egzekucji":

"W ciągu wielu miesięcy
bezkrólewia po śmierci Zygmunta
Augusta społeczeństwo
szlacheckie doskonale zdało
egzemin ze swej dojrzałości
politycznej. Bo choć nie obyło
się bez sporów, kłótni, tarć,
przecież nigdzie nie
przekroczyły one granicy,
nigdzie nie doprowadziły do
zbrojnych zamachów i krwi
rozlewu".

Optymistyczna opinia może

wtrącić w rozpacz. Kraj, mający
takich obywateli, wcale nie
musiał popaść w nieszczęście. To
społeczeństwo nadawało się do
współpracy z władzą i samo jej
chciało. .nv

O rękę Francuza

Wieść o zgonie brata zastała
Annę w miejscu jej stałego
pobytu, w Warszawie. Tam też ci
dworzanie, którzy nie zhańbili
się rabunkiem mienia
królewskiego, przysłali ocalone
kosztowności. Stanowiły one
część zaledwie prywatnych
dostatków jagiellońskich. Sporo
rozkradziono w Knyszynie.
Podczas późniejszego śledztwa
wspomniano o całych skrzyniach,
cichcem wywożonych z zamku
nocami. Ale i to nawet, liczone
razem z poprzednimi podarunkami
dla metres, dopiero naruszało
skarbiec, do którego całkowitego

opróżnienia było jeszcze daleko.
Główne swe zasoby umieścił
Zygmunt August w zamku
tykocińskim. Stróżem ich uczynił
rotmistrza Bielińskiego,
kazawszy mu złożyć przysięgę
wierności. Stary żołnierz
dotrzymał słowa. Pilnował nader
troskliwie. Nawet osobom
urzędowym niełatwo było później
zajrzeć do komór w Tykocinie.

Mowa ciągle o majątku
ruchomym, od złota i gotowych
pieniędzy poczynając, na
drogocennych futrach i słynnej
stadninie Zygmunta Augusta
kończąc. A przecież pamiętać
jeszcze trzeba o rozległych
dobrach ziemskich, no i o spadku
po Bonie - księstwach włoskich
tudzież sumach neapolitańskich.

Prawo dziedziczenia
przysługiwało trzem osobom -
Zofii, Annie, Katarzynie. Tylko
średnia z sióstr przebywała w
kraju, co znakomicie wzmagało
jej szanse. Panowie i szlachta
bardzo niechętnie by patrzyli na
wywożenie skarbów jagiellońskich
z granic Rzeczypospolitej.

Anna została jedną z
najbogatszych w Europie panien
na wydaniu.

Trzeba było wspomnieć o jej
majątkowości, bo odegrały one
pewną rolę w rzeczywistości, a
jeszcze większą w niektórych
późniejszych sądach. Słyszysz się
czasem i czyta, że bogactwa
Jagiellonki rozstrzygnęły o jej
karierze. Tezy takie wyglądają
na przesadnie zmaterializowane
pojmowanie dziejów. Niemłodej
królowie dostał się również
spadek inny, niewymierny i
niewidzialny. I on znaczył
najwięcej.

Według litery prawa Anna była
osobą prywatną. Nie istniała w
Polsce godność następcy tronu,
Jagiellonowie byli królami

obieralnymi. Pragnąc ułatwić zawarcie unii ostatecznej, Zygmunt August zrzekł się władzy dziedzicznej na Litwie. Niczego z prerogatyw monarszych przekazać by siostrze nie mógł, gdyby nawet chciał.

Zgon ostatniego Jagiellona obdarzył ostatnią Jagiellonkę tytułem Infantki. Niepodobna orzec, kto pierwszy powiedział lub zapisał słowa: Infans regni Poloniae - sama Anna czy któryś ze szlachty. Nie było głosów protestu. Kraj zamiłowany w podkreślaniu swego republikańskiego charakteru, w oficjalnych aktach nazywający się Rzeczpospolita, wrogo ustosunkowany do godności hrabiowskich i książęcych, kraj ten przywłaszcza sobie tytuł używany tylko w Hiszpanii oraz Portugalii. O nic nie pytając, zapożycza się u najbardziej ceremonialnych i zhierarchizowanych dworów Europy. Dziwna republika, co bez skrupułów sięga do samego matecznika monarchizmu.

W Madrycie i Lizbonie nazywano infantami dzieci królewskie młodsze od następcy tronu. W Polsce i na Litwie takowego

wcale nie było. Nasza Infantka, ostatnia przedstawicielka dynastii, wstępowała nie w materialne, których brakowało, lecz w moralne prawa dziedzica.

Wspominało się poprzednio o tradycjonalizmie nowatorskiej Rzeczypospolitej. Wszystkie przytoczone dotychczas dowody błędą wobec najważniejszego, który pada dopiero teraz. Rola Anny Jagiellonki zaświadcza, jak bardzo cenił kraj swoją własną historię, jak pragnął ciągłości, a bał się jej zerwania. Rzeczpospolita Obojga Narodów to monarchia w każdym calu. Ród

królewski był dla niej wartością natury moralnej.

Wiadomość o zgonie pana silnie widać wstrząsnęła prymasem Jakubem Uchańskim, skoro spowodowała w jego mózgu przebłysk myśli genialnej. Arcybiskup postanowił zabrać Annę z Warszawy do Knyszyna, zawezwać tam wszystkich senatorów i przy zwłokach Zygmunta Augusta, w obecności jego siostry, w obliczu majestatu śmierci i wygasłej a nadal żywej dynastii - ułożyć i ogłosić warunki, czas oraz miejsce elekcji. "Nowy stan rzeczy przeraził Polskę", a w pomysłach Uchańskiego był patos, dostrojony do wielkości chwili. Ludzie przeżywali dramat, byli zarówno aktorami, jak autorami jego wątku. Koncepcja reżyserska mogła rozstrzygnąć o wyniku najważniejszego aktu.

Gdyby się stało zadość żądaniu Uchańskiego - napisano w kilka miesięcy później - "już bez ochyby do tego czasu i pan obran był, i pogrzeb odprawion, i koronacja, i praktyki by się były nie roztoczyły".

Tradycja zabraniała grzebać zmarłego króla, zanim następca nie postawił przynajmniej stopy na ziemi polskiej. Przeniesiona z Knyszyna do Tykocina trumna z ciałem Zygmunta Augusta najpierw

znalazła się w lochu, schowana tam doraźnie, bo szalejąca zaraza nie pozwoliła na odprawianie uroczystości. Potem stanęła na katafalku w sali tegoż zamku. O tej samej godzinie z rozkazu Infantki huknęły na murach Warszawy wszystkie działa, uderzono po kościołach w dzwony.

Długo, bo aż do lutego 1574 roku, przyszło zwłokom Zygmunta Augusta czekać na pogrzeb w

katedrze Wawelu. Pomysłu Jakuba Uchańskiego nie urzeczywistniono, sprawa elekcji doznała fatalnej odwłoki.

Uchański był to taki prymas, któremu Rzym przypatrywał się z uzasadnioną nieufnością. Arcybiskup zgodziłby się nawet na kościół narodowy i zerwanie z papieżem, byle zachować własne stanowisko i przywileje. W chwili wstrząsu moralnego myślał zapewne tylko o losach kraju, troski o własną rolę nie wyrzekając się wcale. Dobro polityki papieskiej mniej mu leżało na sercu. Ale zbyt silnym charakterem ksiądz arcybiskup się niestety nie odznaczał. Nie brakowało zaś w danej chwili ludzi mocniejszych, reprezentujących w dodatku potęgę, z którą osoba bądź co bądź duchowna musiała się liczyć.

Pierwsze bezkrólewie przypało w wyjątkowo złej dobie. Kontrreformacja atakowała ostro, spory na tle religijnym wstrząsały krajem. Przywódcą wojującego i odwojującego straty katolicyzmu był biskup kujawski Stanisław Karnkowski, za którym stał legat Commendone. Karnkowski zażądał zwołania zjazdu nie do Knyszyna, lecz do Łowicza. Tam, w siedzibie prymasa Polski, a nie przy trumnie jej monarchy, miały być ogłoszone warunki elekcji. Biskup chciał podkreślić w ten sposób rolę Kościoła w państwie.

Uchański cofnął się, przyjął

żądanie Karnkowskiego. Myśl znakomitą zastąpił niedorzecznością. Zaweźwał do Łowicza samych tylko senatorów wielkopolskich. Przybyli nawet protestanci, czuli na splendor prastołecznej dzielnicy kraju. Lecz pozostałe ziemie wprost nie uznały zjazdu łowickiego, za

którym nie stało zreszta
żadne prawo, Marszałek Jan
Firlej, protestant, zwołał
urodzonych do Krakowa. Postąpił
przy tym mądrze - zaprosił nie
tylko samych senatorów, lecz i
szlachtę.

Węzeł gordyjski naprawdę
najlepiej jest przeciąć. W
Polsce zaczęto go rozsypywać.
Musiało to długo potrwać, bo
nikt nie wiedział, czego
właściwie należy się trzymać.
Głoszono i taką opinię, że z
chwilą śmierci króla tracą moc
wszystkie urzędy koronne. To
znowu świadczy o znaczeniu osoby
monarchy w Polsce, ale dowodzi
też zamętu pojęć - całkiem
zrozumiałego wobec braku zarówno
precedensów, jak i wskazówek
udzielonych zawczasu przez
władcę, którego właśnie nie
stało.

Anna w ogóle do Knyszyna ani
do Tykocina nie pojechała. Nie
odwiedziła trumny brata.
Warszawski dwór królewny
przybrał żałobę, którą nosić
miał półtora roku przeszło, aż
do dnia pogrzebu. Dwadzieścia
kilkę panien przywdziało czarne
suknie oraz narzucane na wierzch
kapy uszyte z grubego,
najbardziej ordynarnego płótna.
Cudzoziemcy nadziwić się nie
mogli temu strojowi.

Ponieważ pierwotny projekt
Jakuba Uchańskiego spełził na
niczym, los Infantki doznał
ujemnej odmiany. Zamiast
wystąpić od razu w blasku
majestatu, musiała przez czas
pewien odcierpieć za brata,
ponosić kosztą tych gorszych
wspomnień o nim.

Z obawy przed epidemią snuła
się Anna wraz ze swym dworem po
Mazowszu. W Błoniu zapukali do
jej drzwi wysłannicy agenta
francuskiego, który jako osoba

niby prywatna zwiedził Polskę i wybierał się już z powrotem do Paryża. Zapukali - lecz wbrew słowom Pisma nie zostało im otworzone.

Pomysł starania się o rękę Anny podsunął Francuzom przed trzema laty Tawil Sokołku Mehmed pasza, wielki wezyr. Kandydatem na oblubieńca był młodszy brat króla Karola IX, Henryk książę d'Anjou, czyli po naszymu Walezy lub Andegaweński (a w terminologii szlachty mazowieckiej po prostu pan Gawiński). Licząc sobie lat dwadzieścia jeden, nadawał się on raczej na syna niż na męża Infantki, ale pan Claude du Bourg, któremu wezyr myśl wspomnianą podsunął, napisał celnie swemu władcy, że "potęga tak wielkiego królestwa, które wystawia do boju osiemdziesiąt tysięcy dobrych koni, zrobi zawsze siostrę królewską bardzo młodą i pożądaną".

Dla Francji, od dawna wojującej z domem Austrii, była Polska cennym sprzymierzeńcem. Mogła wszak stworzyć Habsburgom drugi front, miała niezłe stosunki z Turcją, przyjaciółką Paryża. Istniały ponadto względy doraźne, rodzinno_dworskie. Karol IX nienawidził brata, będącego pupilem matki ich obu, Katarzyny Medycejskiej. Pragnął się go pozbyć, a królowa wdowa na gwałt chciała awansu i jakiegokolwiek korony dla ukochanego syna. Zabiegi o rękę Elżbiety angielskiej zawiodły, jakoby to z powodu skandalicznego zachowania się Henryka i jego dworzan w Londynie. Nie udały się również swaty w Algierze.

Henryka istotnie warto było z Francji usunąć. Razu pewnego

brat, król Karol, znany furia i

okrutnik, porwał się nań z pugiuałem.

Pierwszy wywiad francuski w Polsce nosił pono charakter dość osobliwy. Po dłuższej nieobecności powrócił do kraju niejaki Jan Krassowski, szlachcic. Był on karłem. Za młodu trafił do Francji, gdzie dzięki dowcipowi i obrotności umysłu stał się ulubieńcem dworu i bogatym człowiekiem. Na starość zapragnął odwiedzić ojczyznę. Podobno to Krassowski właśnie najwcześniej badał grunt, a powróciwszy nad Sekwanę zdał relację.

W lutym 1572 roku, bawiać w słynnym zamku Blois, otrzymał Karol IX doniesienie o fatalnym stanie zdrowia Zygmunta Augusta. Katarzyna Medycejska postanowiła działać. Nie mogło być mowy o oficjalnym poselstwie, należało wyszukać odpowiednio zręcznego agenta, który potrafiłby odegrać rolę prywatnego turysty.

Upatrzono go w osobie Jana Montluc de Balagny, nieprawego syna biskupa Walencji, Jana de Montluc, dyplomaty wybitnego. W nielicznym orszaku pana de Balagny znalazł się, jako sekretarz, Jan Choisnin, autor sporej książki o tej francuskiej peregrynacji nad Wisłę. Utwór jego przetłumaczono na język polski i wydano w Roku Pańskim 1818. Od tej pory żadna prasa drukarska nic z nim nie miała wspólnego.

Relacja Jana Choisnin tchnie entuzjazmem. W Polsce, według niego, jest "miast wiele, dobrych i pięknych". Szlachta "wszelką inną w ludzkości i grzeczności przewyższa". Po wizycie u pewnego ziemianina orzekł imć sekretarz, że "ledwie by można znaleźć we Francji, Włoszech, Hiszpanii równie we wszystko opatrzonemu obywatela". Niektórzy Polacy mówią przy tym po francusku "jak rodowici

paryżanie". Wszędzie panuje sympatia do Francji. (Choisnin upiera się przy tym twierdzeniu, że każde najmniejsze sioło w Polsce miało szkołę. Nie należy mu wierzyć. Szkoły istniały we wszystkich wioskach kościelnych.)

Pan de Balagny zjawił się w Polsce, gdy Zygmunt August jeszcze oddychał, ale przed oblicze umierającego dopuszczony być nie mógł. Oglądali za to w Knyszynie zwłoki monarsze już wspaniale przybrane i spoczywające na katafalku.

Jan de Balagny stanął na wysokości zadania. Pozyskał zaufanie posła austriackiego, opata Cyrusa, który nie tylko niczego nie zwęszył, ale zwierzał się Francuzowi ze swych zamysłów i utrapień.

Balagny wracał przez Gdańsk. Za radą miejscowych, wsiadł w Pułtusku na statek i wodą dostał się nad Bałtyk, zatrzymawszy się na krótko w Płocku. Mocno sobie tę podróż chwalił, bo statek był porządny i we wszystko zaopatrzony. W Gdańsku członkowie rady miejskiej podarowali mu dwnaście flasz srebrnych, zawierających tyleż gatunków wina. Ofiarowywano mu również jeden z sześciu pucharów, które wzbudziły jego podziw. Były bursztynowe, zdobione diamentami, rubinami i perłami, a osadzone na złotych podstawach. Tego prezentu Balagny nie przyjął. Gdańszczanie dlatego tak życzliwie traktowali Francuza, że wszelkie rozszerzenie stosunków z jego krajem rokowało im zyski. Balagny powrócił do domu okrętem francuskim, który akurat odpływał z portu nad Motławą.

Agent wywoził łup bardzo cenny - dobrą znajomość i porozumienie z kanclerzem wielkim koronnym Walentym Dembińskim, z jego dwoma synami, Erazmem i Kaspem,

oraz z innymi jeszcze możliwymi

osobami. Kandydatura Henryka Walezego zakotwiczyła w Polsce.

Jak się już wspomniało, wysłannicy Balagny'ego zapukali w Błoniu do drzwi dworu Infantki, lecz nie stanęli przed jej obliczem. Nie dopuszczono ich. List, który przywieźli, w obecności Anny otworzyli i przeczytali senatorowie. Francuz oświadczał wielki szacunek i prosił o pozwolenie złożenia hołdu osobiście. Otrzymał odpowiedź bardzo grzeczną. Mieściły się w niej wyrazy czci dla króla Francji i kurtuazyjna odmowa przyjęcia wizyty. Okolicznością utrudniającą miała być rzekomo żałoba. W rzeczywistości senatorowie nie życzyli sobie rozmowy Infantki z cudzoziemcami.

Jeden z nich, niejaki Charbonneau, dotarł jednak do marszałka dworu Anny oraz do jej lekarza. Powiedział im, że chodzi o projekt małżeństwa. Dworzanie powtórzyli wszystko swojej pani, omijając strażę senatorskie. Leciwa królowna została więc poinformowana o zamysłach, których urzeczywistnienie dałoby jej tron oraz pozbawiło mocno uprzykrzonego dziewictwa. Spełniłoby więc oba namiętne marzenia Jagiellonki.

Potulna królowna dotychczas się z nimi nie zdradzała. Dumna Infantka okazała wkrótce krajowi, czego pragnie.

Misja pana de Balagny wzorowo spełniła swe obowiązki.

Infantka boleśnie odczuwała bezwzględność senatorów, szczelnie izolujących ją od świata. Dziejopisarze, którzy później opowiadali o tych czasach, nakłonili ucha do jej skarg, wyrażanych w listach. I

Bartoszewicz, i Szujski gorsza
się postępowaniem panów
koronnych. Zdaje się jednak, że
niesłusznie. Anna musiała
odcierpieć za brata. Kraj miał

jeszcze w całkiem świeżej
pamięci samowolę królewską we
wszystkim, co dotyczyło spraw
matrymonialnych i damsko_męskich
w ogóle. Trudno się dziwić, że
nie pożądał powtórzenia się
romansowych historii,
odprawianych kosztem ogółu.
Posunięta w latach dziewica,
spragniona zamażpójścia
arcyposażna panna na wydaniu,
była rzeczywiście niebezpieczną
figurą na szachownicy.
Senatorowie strzegli pola gry
przed posunięciem nieobliczalnym
i nieodwracalnym.

Nader pilnie nadzorowali wtedy
Polacy wszelkich cudzoziemców
oraz własną Infantkę. Położyli
rękę nawet na jej korespondencji
z siostrami. W piśmie przesłanym
tajnie błagała Anna Zofię, by
nie zdradziła, że od niej wie...
o śmierci brata. Niech raczej
księżna brunszwicka udaje
zgorszenie, oskarża siostrę o
obojętność dla tak ważnej
kwestii.

Korespondencja trwała
naturalnie po cichu. Ułatwiał ją
referendarz koronny Stanisław
Sędziwój Czarnkowski, jedna z
najmniej sympatycznych
osobistości owych czasów. W
pewnym jego liście do Zofii
znajduje się zdanie dające wiele
do myślenia: "bo jeszcze czasu
nie ma, abyśmy mieli grozić,
gdyż czym innym trzeba teraz
ludzi sobie sposobić".

Anna gorzko żaliła się na
rodaków koronnych: "co czynię, z
kim mówię, co piszę do kogo,
chcę o tym wszystkim wiedzieć;
komu odpisywać mam, to mi
rozkazują, jak chcą". Boją się

przede wszystkim cesarza, jego okrutności.

A posłowie cesarscy przekroczyli właśnie granicę i znaleźli się w Polsce. Obaj byli Czechami. Maksymilian II wiedział, że naród czeski cieszy się w Koronie znaczną popularnością i uważany jest za

bratni. Chciał wyzyskać tę okoliczność dla swej sprawy. Nie przewidział dwóch rzeczy. Tego przede wszystkim, że jeden z ambasadorów, żonaty z Jagiellonką po kądzieli, Wilhelm z Rożemberku, nieoczekiwanie sam zostanie na czas krótki kandydatem do korony polskiej. W zamęcie elekcyjnym pewien odłam szlachty zapragnął nagle obwołać go swym panem. Druga niespodzianka na tym polegała, że którejs nocy obaj Czesi, podpiszy sobie tego w towarzystwie senatorów koronnych, jęli przestrzegać Polaków przed Habsburgami. Wskazywali na los własnej ojczyzny gnębionej przez Niemców.

Wojewoda sandomierski grzecznie, lecz stanowczo zatrzymał u siebie posłów cesarskich, nie puścił ich do Knyszyna. Na czas bezkrólewia Polska starała się zamknąć swe drogi dla cudzoziemców. Legatowi kazano usunąć się do Sulejowa, żądano nawet jego wyjazdu. Stałym przedstawicielem Rzymu był nuncjusz, legata uznano za osobistość w danych okolicznościach zbyt dużą. Commendone osiadł w Sulejowie, lecz przesadnej lojalności nie wykazał. Nie siedział w opactwie bez ruchu.

Na żądanie senatorów Infantka przeniosła się do Płocka. Cichaczem odwiedził ją tam nocą agent habsburski, członek poselstwa. Był to ten sam Alfons

Castaldi margrabia di Cassano,
który przed laty wykradał ze
skrzyni Bony listy Izabeli
Jagiellonki i dostarczał je
Wiedniowi. Zdołał zmylić
czujność opiekunów królewnej,
biskupa chełmskiego oraz
wojewody z Płocka, i w tajemnicy
przesłać jej kartkę. Pokrywały
ją jakieś dziwne kulfony. Dla
niepoznaki Castaldi zmienił
bowiem charakter pisma. Przyjęty
przez Annę, wręczył jej listy

cesarskie, wyjaśniające
położenie. Posłowie mieli
upoważnienie do układów o
małżeństwo arcyksięcia Ernesta.

Tajemnica się wydała, bo
biskup chełmski coś przewąchał.
Po kraju rozeszły się pogłoski,
że wśród pacholąt z orszaku
poselskiego ukrywa się sam
dziewiętnastoletni Ernest, który
czyha tylko na okazję stworzenia
faktu dokonanego, wzięcia ślubu
z Infantką. Zgromadzoną na
zjeździe w Osieku szlachtę
małopolską przeraziła wiadomość,
że posłowie cesarscy, nikomu się
nie opowiadając, wyjechali z
Dąbrowicy, gdzie przebywali w
pałacu Firlejów. Ruszyli nagle,
przed świtaniem, przemocą
zabrawszy ze sobą człowieka,
który im pożyczył koni.
Rozgłaszali, że jadą do Płocka,
do królewnej. Szlachta
natychmiast pchnęła w pogoń
dwóch kasztelanów, Stanisława
Słupeckiego i Jana
Sienneńskiego. Wysłała ponadto z
protestem do cesarza i z
ostrzeżeniem do zgromadzonych w
Kole Wielkopolan. Działo się to
w początkach października 1572
roku.

Kasztelanowie nie zastali w
Płocku Anny, która nie pytając
nikogo o zdanie przeniosła się
do Łomży, w pobliże Litwy i
Knyszyna. Znalazł się tam i

Castaldi.

Infantka przyjęła obu senatorów wyniośle. Sama do nich początkowo nie przemawiała, czynił to w jej imieniu i obecności biskup chełmski. Żalił się na opuszczenie i niedostatek. Kiedy kasztelanowie oświadczyli, że po to zjechali do Łomży, aby kręcącym się przy Jagiellonce cudzoziemcom "precz kazali", ta przerwała:

"Jednego tego przyjaciela mam, cesarza Jego Mości, którego posłowi, Boże uchowaj, aby się jaka zelżywość przy dworze mym stać miała, niechby to indziej

było".

Rozmowa z samym Castaldim szła jak po grudzie. Zgodnie z życzeniem Anny kasztelanowie traktowali go grzecznie. On się upierał, wyjechać nie chciał. Zdobywał się nawet na patetyczne gesty. Wskazywał na gardło, wołając, że woli je utracić niż opuścić posterunek nie zawiadomiwszy o tym cesarza.

Wyniósł się jednak wkrótce, pewnie na rozkaz swych przełożonych, którzy dalszy jego pobyt w Polsce uznali za szkodliwy. Agent się zgrał, należało go zabrać.

Wziąwszy te okoliczności pod uwagę, nie będziemy się dziwić słowom biskupa Stanisława Karnkowskiego, ogłoszonym w grudniu do Infantki:

"Już widzimy, że Wasza Królewska Mość coś czynisz bez woli naszej. Chcesz nam Wasza Królewska MOść tę koronę stracić dla ciebie. Nie będziesz nam Wasza Królewska MOść obierać pana, byśmy wiecznie zginać mieli, do gardła bronić krwią będziem, a jeśli to obiecanie nam zechcesz uczynić na prośbę naszą, to obiecujemy, że to doznasz, że my tę krew polską

narodu Jagiełłowego opuścić nie będziemy".

Biskup nie rzucał słów na wiatr. Obiecując Annie wierność wyrażał opinię ogromnej większości szlachty. Pomimo wszystkich praktyk i podejrzeń popularność Infantki rosła. Na wiele stronnictw dzieliła się wtedy Polska, lecz niemal każde z nich uznawało konieczność wydania Anny za swego kandydata. Rzeczpospolita naprawdę kochała ród Jagiełłowy. Więcej nawet - patrzyła nań jak na wcielenie swej własnej historii.

W niedługi czas później nie znany publicysta napisał: "Gdy tedy przeciwko prędkiemu a nagłemu upadku prędkiej rady potrzeba, ta jest przed rękami

prosta, łacna a krótka ku domowemu uspokojeniu i zabezpieczeniu wszystkim postronnym niebezpieczeństwom, abyśmy tym nie gardzili, co doma mamy". Należy więc "co rychlej" wybrać i koronować samą Annę, a potem bez pośpiechu i z rozwagą rozejrzeć się za mężem dla niej.

Pomysł ten spełniono w dwa lata później. I byłoby to idealne wyjście z sytuacji, gdyby Infantka liczyła sobie ze ćwierć stulecia mniej. Królowna uskarżała się na brak delikatności i bezwzględność senatorów koronnych, którzy na swych zebraniach debatowali o jej wieku. A cóż mieli robić? Zamykać oczy na rzeczywistość? Na przyszłych losach Rzeczypospolitej ciężko zaważyła data narodzin ostatniej Jagiellonki. Nie ma historii bez chronologii. Znaczą coś nie tylko osoby, lecz także ich metryki.

W październiku 1572 roku zachodnią granicę Rzeczypospolitej przekroczył

koło Międzyrzecza eksceleńcja
Jan de Montluc, biskup Walencji,
oficjalny poseł Karola IX, króla
Francji. Niektórzy członkowie
poprzedniej, pseudoprywatnej
misji jego nieprawego syna
bawili nadal w Polsce i
natychmiast stawili się na
rozkazy ambasadora.

Warto poświęcić nieco uwagi i
miejsca podróży biskupa do
Polski. Choćby dlatego, aby
jaśniej określić ówczesną treść
pojęcia Zachodu, które skłonne
jest jakoś kojarzyć się u nas w
sposób konieczny z wyobrażeniem
stateczności, ładu, kultury i
szacunku dla prawa.

Już samo dobranie personelu
poselstwa sprawiło znaczny
kłopot, a to ze względu na znany
poliglotyzm Polaków. Obliczano
wówczas, że wśród stu ziemian
koronnych znajdzie się
przeciętnie dwóch nie umiejących

po łacinie, włosku lub po
niemiecku. Mową Cyserona można
się było łatwo porozumieć w
nadwiślańskich karczmach także
na głuchej prowincji. Tymczasem
olbrzymia większość szlachty
francuskiej władała tylko
własnym językiem, co nie mogło w
Polsce nikomu zaimponować.

Jan de Montluc mocny był w
łacinie i we włoskim, zręczności
dyplomatycznej wcale mu nie
brakowało. Nie ubiegał się o
stanowisko posła, bo wyznaczone
zadanie uważał podobno za
arcytrudne. Rozkazu jednak
usłuchał i ruszył w drogę.

Z miejsca rozchorował się na
dyszenterię, która zaliczała się
wówczas do chorób ciężkich,
nawet śmiertelnych. Na nic nie
zważając jechał jednak dalej.
Opuścił Paryż dokładnie na
tydzień przed Nocą św.
Bartłomieja, teraz -
zachwyciwszy wieść o niej -

pragnął za wszelką cenę
wprzedzić jej pogłos, posuwać
się tuż przed czołem huraganu
zgrozy lub... entuzjazmu. W
krajach protestanckich ktoś
zechciałby może dochodzić na
biskupie pomsty, w katolickich
prowincjach cesarstwa Montluc
mógł się dostać pod klucz
jako... uciekający z Francji
hugonota. Zanimby się "pomyłka"
wyjaśniła, Polska zdążyłaby
obrać sobie króla.

Największych trudności i
najgroźniejszych przygód
doświadczył poseł w granicach
własnej ojczyzny. Sekretarz
biskupa Verdun, niejaki Macere,
doszedł bowiem do wniosku, że de
Montluc niepotrzebnie żyje na
świecie. Gdyby zeń zniknął,
otworzyłby się awans dla brata
pana Macere, doktora teologii i
nauczyciela dzieci książąt de
Guise. Pomysłowy sekretarz
sfabrykował więc rozkaz Karola
IX, polecający doścignąć
Montluca i zabić go. Mienie
biskupa miało stanowić nagrodę

dla wykonawcy "wyroku".
Gubernator Verdun tak się
przejął wolą monarchy i widokami
zysku, że opuścił łożę boleści,
na którym spoczywał zmożony
chorobą, i ruszył w pogoń.
Montluc został zatrzymany. Tylko
jego własna przezorność i zimna
krew ocaliły mu życie. Gdyby w
porę nie zauważył piechurów,
chyłkiem i z muszkietami w
rękach przebiegających pod
pewien żywopłot nad Mozą, nie
dojechałby do Polski. W Verdun
liczny tłum zbiegł się, by
podziwiać miłe widowisko
wieszania pojmanego zbrodniarza
stanu. Przez tydzień siedział
poseł w tym mieście pod silną,
wzmacnianą na noc strażą. Ledwie
ubłagał o pozwolenie wysłania
gońca do Paryża. Dopiero pisemny

rozkaz Karola IX uwolnił jego własnego ambasadora z francuskiego więzienia.

We Frankfurcie nad Menem czekały nowe impedimenta. Postarali się o nie dowódcy kilku oddziałów najemnych rajtarów, zawodowych żołnierzy, gotowych służyć każdemu panu w dowolnej sprawie - byle za pieniądze. Ostatnio walczyli we Francji po stronie protestanckiej. Teraz w porozumieniu z jednym z burmistrzów miasta zajęli konie posła oraz jego rzeczy, żądając zobowiązania co do zapłaty zaległego żołdu. Weksel miał być wystawiony w imieniu króla, który dopiero co wyrznął w Paryżu protestantów. Ostatecznie wdał się w sprawę senat Frankfurta. Uwolnił Montluca z opresji, zwrócił mu jego własność, lecz bezpieczeństwa poza granicami miasta zagwarantować nie mógł. Rajtarowie - jak sama nazwa wskazuje - byli kawalerią. Próba ucieczki przed nimi nie rokowała powodzenia.

Pozostawało jedno - umówić się z którymś z prześladowców.

Montluc upatrzył więc sobie pułkownika nazwiskiem Krokau czy Krokowski, Niemca z Prus Królewskich, może Polaka. Wojownik ów zażądał za przysługę czterystu tysięcy, po targach obniżył cenę na dwa tysiące, a poprzestał na trzystu talarach pojedynczych. Eskorta nie zaliczała się do troskliwych. Co rano zjawiał się u Montluca rajtar, zawiadamiał o miejscach postojów tudzież noclegu i znikał. Pułkownik nie poczuwał się do obowiązku dotrzymywania posłowi towarzystwa.

Starannie omijając dwory książęce osiągnięto nareszcie

Lipsk. Był to początek października. Wiadomości o Nocy św. Bartłomieja zdażyły już tymczasem przeniknąć aż na Śląsk. Przez Brandenburię podróżowało się spokojnie. 15 października Montluc przekroczył granicę Polski. Od ludzi nic mu tu nie groziło, panowała za to zaraza. Należało biwakować po lasach.

Którejś nocy orszak poselski zajechał do dworu szlachcica nazwiskiem Zaborski, mieszkającego o dwie mile od Poznania. Nie wpuszczono Francuzów pod dach, musieli roztasować się na podwórzu. Rano Zaborski rozmawiał z ambasadorem i wyjaśnił powody swego postępowania. Pokazał mu z daleka swoją progeniturę - osiem cór tudzież trzech synaczków. To wzgląd na ich bezpieczeństwo podyktował pozorną niegościnnosć. Dziedzic bał się zawleczenia "powietrza". Ale nie wytrzymał. Rozczulił się i zaprosił biskupa do domu. Na pożegnanie powiedział mu rzecz bardzo ważną:

- Ekscelencjo, zatrzymaj się co najmniej o dwanaście mil od miejsca obrad stanów koronnych. Bliżej nie podjeżdżaj!

Wiek wcześniej Kallimach zanotował następujące

spostrzeżenie o Polakach: "jeśli patrzeć na ich dążności i chęci oraz niejako znowę w dobieraniu środków działania, trzeba po prostu uznać, że to raczej jest dom jeden i jedna rodzina aniżeli naród".

Dobra tradycja nie uległa jak widać zepsuciu. Szlachciura prowincjonalny udzielił europejskiemu dyplomacie rady wprost zbawiennej. Pojawienie się posła cudzoziemskiego w miejscu obrad przeddelekcyjnych

skompromitowałoby go straszliwie jako bezczelnego natręta. A może nawet jako takiego, co chce imponować potęgą swego pana. Jan Chojsnin, który oczywiście przyłączył się do legacji Montluca, pisze dosłownie tak: "Naród polski bowiem, będąc prawie zawsze niezwykniętym, tak ma umysł wyniosły, że ani gwałtem, ani groźbą nic na nim wymóc nie można".

Od czasów pana Chojsnin naród polski nie raz jeden zwyciężony został. Coś niecoś jednak z dawnych obyczajów przetrwało, o czym zdają się świadczyć dzieje drugiej wojny światowej.

Nie wiadomo, czy biskup de Montluc nie poradziłby sobie i bez pouczenia ze strony Zaborskiego. W każdym razie była to informacja cenna, uzupełniająca wieści przywiezione przez poprzednich wysłanników. Francuzom ogromnie dopomogło ich ostentacyjnie taktowne zachowanie się. Montluc stanął w Koninie, gdzie mu wyznaczono miejsce pobytu, i bez zezwolenia senatu kroku stamtąd nie robił. Działał gorączkowo, lecz zawsze przestrzegał granic przyzwoitości. Ani razu nie pozwolił sobie na taką samowolę, jak posłowie cesarscy, wałęsający się po kraju wbrew woli gospodarzy. Wcale na tym nie stracił. Jego postępowanie wspiera tezę, że z Polakami też można dojść do ładu, ale zawsze

trzeba wiedzieć - jak.

Jednocześnie z poselstwem lub zaraz po jego przybyciu, napłynęły do Polski pogłoski o Nocy św. Bartłomieja, czyli "o rzezi na niegodziwych hugonotach przykładowie spełnionej" - jak się wyraził obecny również nad Wisłą Graziani.

Żadnego wydarzenia nie czczono

w Rzymie równie wspaniale -
zapewnia nas współczesny
historyk francuski, Filip
Erlanger. Na pierwszą,
nieoficjalną jeszcze wiadomość
Grzegorz XIII popadł w entuzjazm
i kazał iluminować Wieczne
Miasto. Z jego polecenia malarz
Giorgio Vasari przyozdobił
ściany Sallae Regiae w Watykanie
wielkim freskiem, na którym
można było oglądać także i sceny
mordowania kobiet. Twarze
wykonawców rzezi miały wyraz
szlachetny. Odbity w Rzymie
medal pamiątkowy nosił na
awersie wizerunek papieża. Na
rewersie widniał anioł z mieczem
i krzyżem porażający tłum
kacerzy. Medal paryski pokazywał
postać Karola IX na majestacie
oraz trzy lilie francuskie,
okolone napisem: "Pobożność
podnieciła sprawiedliwość". Były
wszystkie dzwony rzymskie,
huczały działa, odprawiano
uroczyste procesje. W kościele
Św. Ludwika Grzegorz XIII
odmówił po mszy specjalnie
ułożoną modlitwę:

"Boże Wszchemogący, który
poniżasz pysznych a łaskę
okazujesz pokornym, dzięki Ci
składamy za to, że pomny na
wiarę Twych Sług dałeś im tryumf
tak wspaniały nad perfidnymi
przeciwnikami ludu katolickiego
i błagamy, abyś raczył w
miłosierdziu swym dalej
prowadzić rozpoczęte dzieło ku
chwale Imienia Twego, którego
wzywamy. Wysłuchaj nas w Imię
Chrystusa!"

W Paryżu Karol IX - po drodze
na ratusz - w towarzystwie matki

i dworu z wolna przemierzał
ulice zasłane nagimi ciałami
ofiar. Zanotowano, że panny z
otoczenia Katarzyny Medycejskiej
szczególnie pilnie przyglądały
się pozbawionym ubrania zwłokom

męskim.

W dwa dni po Nocy jezuita Joachim Opser pisał do opata z Saint_Gilles: "Nie zamierzam cię nużyć rozwodząc się nad wydarzeniem równie nieoczekiwanym, jak użytecznym dla naszej sprawy, które nie tylko wzbudziło zachwyty świata chrześcijańskiego, lecz wyniosło go na szczyty wesela... Olbrzymia rzeź! Drżałem na widok rzeki pełnej nagich i okrutnie pokaleczonych trupów... Wszyscy księgarze heretycy, których można było odszukać, zostali zmasakrowani i wrzuceni nago do Sekwany. Ramus, który wyskoczył z e swej dość wysoko położonej sypialni, legł także obnażony na brzegu, przebity licznymi ciosami sztyletów. Jednym słowem - nie ma nikogo (kobiet nie wyłączając), kto nie zostałby zabity lub ranny".

Jeśli ojciec Joachim Opser miał słuszość, Polska ówczesna nie zaliczała się do świata chrześcijańskiego. Wieść o Nocy św. Bartłomieja wzbudziła w niej zgrozę powszechną. Nic w tym dziwnego. Tak zwana "zgoda sandomierska" pomiędzy wyznaniem, z wyjątkiem arian, już istniała, a za kilka miesięcy szlachta Rzeczypospolitej zawrzeć miała konfederację warszawską, która postanawiała w ogóle "dla różnicy w kościele krwi nie przelewać", nikogo o wiarę nie prześladować, na banicję nie skazywać, dóbr nie konfiskować i urzędowi ani władzy w preponderancji takowym "żadnym sposobem nie pomagać".

Echa Nocy św. Bartłomieja omal nie utraciły w Polsce kandydatury francuskiej. Magnat,

oficjalnie wyznaczony Montluowi na towarzysza, mający mu

świadczyć honory domu, wcale nie pokazał się w Koninie. I głośno mówił, czemu tak czyni. Nie chciał się zadawać z rodakiem rzeźników. Graficy i drukarze krajowi mieli pełne ręce roboty. Raz za razem ukazywały się nowe wyobrażenia Nocy, przepojone duchem wręcz przeciwnym temu, którym tchnęły rzymskie freski Vasarięgo. Rysunki pokazywały coraz staranniejsze sceny masakry, coraz wymyślniejsze narzędzia tortur. Nie zabrakło również postaci króla Karola ani jego brata - Henryka. Z ust ich wychodziły słowa nagany dla katów, że nie dość okrutnie spełniają swe dzieło. Najbardziej się oburzały damy polskie. Zalewały się łzami, jakby w Paryżu wymordowano ich rodziny, nie pozwalając w swojej obecności nawet wspominać imienia Henryka.

De Montluc wyłaził ze skóry. Jak mógł, przekonywał, wybraniał swych mocodawców. Zwłaszcza księżę Henryk był według niego czysty jak łza, lecz Karol również. Do tego się ksiądz biskup posunął, że ostentacyjnie unikał praktyk religijnych, od legata stronił jak od ognia.

Razu pewnego przyjechał do Konina Hieronim Bużeński, podskarbi koronny, człowiek powszechnie szanowany za prawość, protestant. Mówiono o nim, że "kto by chciał cnotę malować, a wizerunku nie miał, z Bużeńskiego wzór by brać powinien". Ten w oczy powiedział Montlucowi, że ani trochę nie wierzy przysięgom na niewinność Henryka. Ale da mu kreskę podczas elekcji, jeśli to uzna za pożyteczne dla kraju. Bo Henryk "znajdując się w tym królestwie miałby sam więcej przyczyn lękania się narodu, niż by miał naród do bania się jego srogości, gdyby się chciał

porywać i nastawać na życia i swobody obywatelskie".

Zastanawiająca argumentacja. Wcale podobne rzeczy prawili zwolennicy kandydatury Iwana Groźnego na tron polski. Car jest okrutny - przyznawali - ale u nas, w atmosferze wolności i prawa, zmieni się na lepsze. Czyż nie tak było z Jagiełłą?

Nie sposób odmówić ówczesnym Polakom zaufania do własnej kultury ani dumy z niej.

Wypowiedź Bużeńskiego zawiera między wierszami cenne dane. Pozwola one... nieco skomplikować aż nazbyt uproszczone mniemanie o pierwszej wolnej elekcji w Polsce. To nie tak jednak było, że bystry Francuz przekupił i wystrychnął na dudków głupawych Koroniarzy i Litwinów. Owszem, oszukiwał i korumpował Montluc tego, a nie bez powodzenia. Lecz jest to zaledwie część prawdy.

Już de Balagny spotkał się w Polsce z życzliwością, którą chwalał pod niebiosą. Pan Zaborski udzielił Montlucowi bardzo pożytecznej rady, zanim jeszcze biskup jał się agitacji, roztoczył czary i wdzięki. Francja dieszyła się w Polsce sympatią, arcyważne względy przemawiały na jej korzyść. Nienawidzącej Habsburgów szlachcie uśmiechało się przymierze z dziedzicznym wrogiem Wiednia. Walecjusz w Krakowie oznaczał sojusz z Paryżem. I wzmożenie bezpieczeństwa od strony sułtana. A to z kolei otwierało widoki na gospodarczy rozwój kresów południowo_wschodnich. Nie bez racji najzacieklejszymi wrogami kandydatury austriackiej byli ziemianie z Rusi. Ich obawa przed janczarami wszystkiego nie wyjaśnia.

Legat Commendone złożył był Zygmuntovi Augustowi cały traktat na temat korzyści, jakie przyniesie spław zboża Dniestrem

do Morza Czarnego, gdzie je
hurtem zakupią Wenecjanie. Nie
zdawał sobie sprawy, że coś
poważniejszego od skał w korycie
rzeki przeszkadza
urzeczywistnieniu planu. Sprawa
najistotniejszą była
stabilizacja stosunków
politycznych w tamtej stronie,
na razie dosyć płynnych, skoro
pasące się w stepach trzody
sułtańskie docierały czasem aż
na samo Podole. Pasterze słabo
się podówczas odróżniali od
rozbójników, na których brak też
nie można się było uskarżać w
Dzikich Polach.

Od końca XV wieku zanosilo się
na zbliżenie Krakowa z Paryżem.
Już Jan Olbracht miał się żenić
z księżniczką francuską, ale nie
zdażył. Bona chciała dla
Zygmunta Augusta małżonki znad
Sekwany. Przymierza z
Walezjuszami pragnęło w stuleciu
XVI stronnictwo reform, zwane
inaczej narodowym.

Szlachcie polskiej ogromnie
imponowała starożytność
dynastii francuskiej, wiekiem
niemal równej Piastom. Kto zna
wrosły w serca tej szlachty
instynkt monarchiczny, ten nie
zlekceważy wspomnianego motywu.

Na takiej oto kanwie misternie
haftował biskup Jan de Montluc.
Robota była wprost koronkowa,
temu trudno negocować. Ambasador
króla z Bożej Łaski, okrutnika i
tyrana, w pełni docenił, jakie
znaczenie w kraju ludzi wolnych
ma swobodna publicystyka.
Sprzymierzył się z Janem
Dymitrem Solikowskim,
późniejszym arcybiskupem
lwowskim, pisarzem tęgim.
Zasypywał Polskę jego
rozprawami. Nie było pod nimi
podpisu autora, lecz bez trudu
rozpoznawano styl publicysty,
który zawojował rynek. Szły w

świat i inne utwory, wśród nich
sporządzony przez samego Montluca
"List szlachcica polskiego",
zachwalający w języku włoskim

kandydaturę francuską. Przekład
swej łacińskiej mowy, której
wygłoszenie z pamięci zabrać
miało trzy godziny czasu, kazał
ambasador zawczasu wydrukować.
Choisnin pojechał w tej sprawie
do Krakowa, bo w Warszawie
drukarń nie było. Po dwóch
tygodniach pracy, utrzymywanej w
ścisłej tajemnicy, miał półtora
tysiąca egzemplarzy. W
ostatniej chwili biskup dodał do
tekstu jeszcze pięć stron,
Solikowski przełożył je
natychmiast, a dwudziestu
wynajętych skrybów przez trzy
doby pisało dniem i nocą,
wykonując tysiąc kopii. I cóż w
porównaniu z tym znaczyły
usiłowania innych ambasadorów,
którzy z typowo biurokratyczną
tępotą przygotowali po
trzydzieści dwa egzemplarze
swych oracji każdy? Urzędowo -
po szt uce na poszczególne
województwo w Rzeczypospolitej.
Kiedy rozrzucono po polu
elekcyjnym tekst mowy Montluca,
niezwłocznie i samorzutnie
potworzyło się mnóstwo grup
lektorskich. Jeden z panów braci
czytał głośno, inni słuchali.
Wypowiedzi przedstawicieli
innych dworów wędrowały drogą
służbową. Najpierw pan
wojewoda... a potem szkoda już
było w ogóle fatygi.

Oprócz tego przyjmował Montluc
gości, rozmawiając z każdym, kto
tylko się zgłosił. Odpowiadał na
wszystkie listy, a przychodziło
ich do Konina co dzień około
trzydziestu, co jak na owe czasy
znaczyło bardzo dużo. Przywozili
je gońcy, jeśli nie było tak
zwanej okazji. (Coś w rodzaju
poczty królewskiej istniało już

za Zygmunta Augusta. Zarządzał nią upoważniony przez dwór Sebastian Montelupi. Podkanclerzy Franciszek Krasieński twierdził, iż "listy zawsze na każdy tydzień porządnie przychodzą", król zaś uskarżał się na sposób

dostarczania innych przesyłek: "żadna rzecz po te wszystkie czasy jeszcze nas wcale nie doszła, żeby nie była albo zdarta, albo stłuczona, albo przynajmniej oszarpana, a k'temu każda rzecz oprócz listów nierychło nas dochodzi". Smutny był na przykład los pewnej paczki wymagającej ostrożnego traktowania: "Acz się flaszki obie stłukły, jednak w jednej flaszcze ostało kęs wódki". Korespondenci Montluca nie mogliby zresztą korzystać z usług urzędu Sebastiana Montelupiego, ponieważ była to królewska poczta zagraniczna.)

Biskup sprowadził z Francji dwa portrety Henryka i kazał je wozić po całym kraju, aby "patrzac nań widzieli Polacy, że nic srogiego ani okrutnego w lineamentach jego twarzy nie znajduje się". Szczególnie troszczono się o pokazywanie konterfektów na weselach magnackich, gdzie zjeżdżały się tłumy i bywało wesoło.

Kiedy ambasador francuski roztasowywał się w Koninie, Infantka nadal przebywała w Łomży, ku żywemu niezadowoleniu jej opiekunów. Miało ono wkrótce jeszcze bardziej wzrosnąć, bo Anna kategorycznie odrzuciła żądanie senatorów, którzy pragnęli wyprawić ją całkiem na ubocze - do Łęczycy lub Krasnegostawu. W początkach grudnia ruszyła przez Warszawę do Piaseczna. Żle się jej tam powodziło pod względem

mieszkaniowym i zdrowotnym. Dom był zimny, woda w komorze zamarzała, znowu więc odezwała się newralgia. Twarz spuchła, kości bolały. Blisko jednak było do Warszawy, która podczas nadchodzącej elekcji miała się doraźnie stać rzeczywistą stolicą kraju. Anna stanowczo wolała grać w Piasecznie rolę dobrowolnej męczennicy, niż pojechać gdzieś dalej, gdzie

piece dobrze grzały. Urządzała wypadki do Warszawy, zupełnie nie licząc się z wolą i zdaniem senatorów. Widziała się z legatem Commendone, który też niezbyt wziął sobie do serca zakaz opuszczania Sulejowa.

Praktyki trwały, dostojnicy oburzali się i rozpaczali, Anna zaś z dniem każdym czuła się coraz pewniej. Już w listopadzie klucze od komór tykocińskich znalazły się w jej ręku, w sposób całkiem zresztą legalny i jawny. Zwracając się do stanów koronnych Infantka ciągle przypominała dobrodziejstwa, wyświadczone narodowi przez ród Jagiellonów. Dokładnie to samo czyniły jej przebywające za granicą siostry. Wszystkie trzy Jagiellonki wyprawiały do zjazdów szlacheckich poselstwa, występowały w charakterze samodzielnych sił czy pozycji politycznych. Tak było na przykład podczas ważnych narad w Kaskach. Wioska ta, położona w pobliżu Sochaczewa, dotychczas znana była tylko z tego, że miejscowi chłopcy mieli obowiązek opieki nad się żubrami, których pełno było w lasach sąsiednich. Teraz zebranie w Kaskach oznaczało termin oraz miejsce obioru króla.

W styczniu 1573 roku podczas konwokacji, czyli zjazdu w Warszawie przygotowującego

elekcję, przytrafiły się dwa godne uwagi wypadki.

Przyjechał jakiś młody Niemiec, podający się za delegata posłów szwedzkich, którzy stanęli w Gdańsku. Król Jan III także ubiegał się bowiem o koronę polską. Wysłannik przywiózł listy do Infantki oraz innych osób. Czytając przeznaczony dla siebie, rzuciła Anna okiem na kopertę i stwierdziła, że imię Katarzyny jest tam napisane przez C, a nie przez K. Wydało się jej to podejrzane, zawiadomiła więc

senatorów. Już na wstępnym śledztwie Niemiec przyznał się do fałszerstwa. Poszedł do więzienia pod silną straż. Nazajutrz znaleziono w celi trupa. Winowajca udusił się, popełnił samobójstwo. Ciało jego włożono koźmi po ulicach Warszawy, a pachołkowie ogłaszali wszem wobec zbrodnię denata. Nie wyjaśniono tylko, w jaki sposób zdołał on targnąć się na swe życie, mając związane i ręce, i nogi. Nie wiadomo również, czemu nieszczęsne C znalazło się na kopercie, a nie w tekście listu.

Szwedzkie zabiegi o koronę były sprzeczne z planami Infantki - współcześni od razu zwrócili na to uwagę. Trudno poślubić własnego szwagra, zwłaszcza za życia jego żony. Dziwna i ponura sprawa młodego Niemca nie stwarzała klimatu przychylnego dla kandydatury Jana III. To jedno pewne.

Podczas konwokacji specjalna komisja senatorska przystąpiła do wyświetlania afer, które się działy na dworze Zygmunta Augusta w ostatnich latach, dniach i chwilach jego życia. Powyciągano na wierzch sprawy skandaliczne. Mowa była o

wynoszonych po nocach skrzyniach tak ciężkich, że sześciu ludzi ledwie zdołało pojedyncze udźwignąć. O skryptach dłużnych z podpisami królewskimi. O tym, że konający monarcha "prowadzoną przez drugich ręką podpisywał nadania pięćdziesiąt tysięcy złotych rocznego dochodu czyniące". O ekonomii szawelskiej na Litwie, którą w ten właśnie sposób uzyskać miał jeden z magnatów. Słysząc było echo przetaczających się do prywatnych kabz kroci tysięcy.

"Trzeba by przedniejszych mieszczan Warszawy tudzież Jakuba piwniczego i żonę jego wziąć na tortury, a wiele dowiemy się" - mruknął w pewnej

chwili Żmudzin, Jerzy Bielewicz. Sądził widać, że nie wszystko jeszcze wyszło na jaw.

Na wyraźne życzenie Infantki ukręcono sprawie łeb i nikt odpowiedzialności nie poniósł. W jej imieniu kasztelan Jan Sienneński prosił: "by dla pamiątki króla rzecz cała Mniszchom odpuszczoną była, rzecz cała poszła w niepamięć". Tak się też stało. Królowna stale narzekała na biedę, rachowała się z groszem skrzętnie. Teraz żądała przerwania śledztwa o setki tysięcy.

Dzielnie wtórował Annie Walenty Dembiński. Nie bez wyniosłej ironii potraktował kanclerz żale na dworaków, oskarżonych o sprowadzanie królowi coraz to nowych kobiet i skrócenie mu życia. Słudzy po to wszak właśnie są na świecie, aby "panią przywieść a trzewiki wytrzeć" - oświadczył.

Postępowanie Anny przypisywano jej anielskiej dobroci. Trzeba przyznać, że nasi dawniejsi historycy pisząc o Infantce

wprost prześcigali się w
ckliwości. Dobra, rozmodlona,
nieziemska, urazy wybacząca,
niepomna krzywd... Infantka
prawdziwa była ambitna, bardzo
uzdolniona i niemniej
bezwzględna. Okrucieństwa w jej
postępowaniu nie znać. W tej
mierze Anna nie odszczepiła się
od swej rodziny. Ani śladu za
to owej niechęci do kłopotów
politycznych, która była
nieszczęściem jej ojca i brata.
Odrodziły się w królowie nie
tylko rysy twarzy pradziada,
Jagielli. Odziedziczyła również
po nim chytryść, siłę woli,
żądze osobistego wyniesienia. Po
nim oraz po dziadku, Kazimierzu.
W odróżnieniu od praszczura nie
drżała jednak przed biskupami,
najwięksi panowie koronni nie
imponowali jej ani trochę. Od
dwustu już lat podobni im

wielmoże bywali publicznie
dopuszczani do ucałowania dłoni
jagiellońskich. Z przyklękaniem.

Kiedy panowie zjeżdżali do
Warszawy na konwokację,
przemierzała już Anna
pięćdziesiąty rok żywota.
Dopiero teraz wybiła jej
godzina. Królowa mogła się
nareszcie odegrać za wszystkie
poprzednie rozgoryczenia i
zawody, za gnuśne bytowanie w
cieniu. Nie wydano jej za
żadnego z książąt. Teraz los
otworzył przed nią drogę do
tronu Jadwigi. O tym żadna z
Jagiellonek nigdy ani marzyć nie
mogła. Infantka nie zamierzała
przeszkadzać własnemu szczęściu.

Ukręciła kark śledztwu o
skarby Zygmunta Augusta, bo
grała o najcenniejszy klejnot -
o koronę. Ci, którzy łupili i
kradli w Knyszynie, to byli
dawni dworzanie brata, ludzie
wpływowi, a przynajmniej
powiązani w rozmaity sposób ze

znacznymi personami. Tworzyli koterię. Ciemna przeszłość i wspólne grzechy to niezły cement na tym padole. Stronnictwo dworskie stało przy Annie. Chciało jej, a nie prymasowi, oddać władzę na czas bezkrólewia. Dei Gratia Serenissima Infans Regni Poloniae mogła pójść jeszcze wyżej i uzyskać tytuł gubernaculae regni. Kanclerz Dembiński niczego w Knyszynie nie ukradł, lecz opowiedział się za ułaskawieniem złodziei, za przerwaniem dochodzeń. Był rzeczywistym przywódcą stronnictwa dworskiego i równie dokładnie jak jego protegowana wiedział, co robi. Działał na zimno.

Walenty Dembiński był starym człowiekiem. Zęby zjadł na polityce, za Zygmunta Augusta walczył o egzekucję praw, o reformę, ułożył proujekt ostatecznej unii z Litwą może i mądrzejszy od tego, który

przyjęto w Lublinie. Jednakże nie kanclerzowi, lecz Infantce trzeba przyznać palmę pierwszeństwa za pomysłowość. Wkrótce po opuszczeniu Piaseczna zdobyła się królowa na wyczyn naprawdę niezwykły.

Najpierw jednak o samym powrocie z prowincji.

23 stycznia 1573 roku ci spośród senatorów, którzy jeszcze przebywali w Warszawie, doznali nie lada zaskoczenia. Obradując na zamku dostrzegli raptem przez okna, że na dziedziniec zajeżdża cała karawana. Infantka definitywnie zmieniła miejsce pobytu, przeniosła się do Warszawy. Zamiast się oburzyć i zażądać natychmiastowego opuszczenia miasta, dostojnicy z prymasem i marszałkiem wielkim koronnym na

czele poszli przywitać swą królową. Było to w piątek, a już w sobotę wydała Anna obiad dla tych person, które poprzednio stawić się nie mogły. Przybył główny dotychczas jej przeciwnik, Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski. Byli również Litwini - Ostafi Wołłowicz i Paweł Pac - a wraz z nimi kasztelan czerski Zygmunt Wolski oraz stały rezydent senatu przy osobie Infantki, biskup chełmski Wojciech Starożrebski. Po obiedzie "z tych żaden o swojej mocy nie mógł chodzić". Zborowski tak sobie podochocił, że wyznał, co miał na sercu. Doniesiono mu oto, że Anna zamierza go otruć, a ten sam los czeka wojewodę krakowskiego Firleja oraz biskupa Krasińskiego. Jagiellonka nie oburzyła się wcale. Za dobrą była dyplomatka. "Królowa Jej Mość jako święta panna tedy mu się z tego raczyła sprawować", czyli rozwiała podejrzenia i do domu go "na swych woźnikach odesłała". Niechętni Infantce zmieniali front, lecz nie przez sentymanta

wcale. Podczas dopiero co minionej konwokacji stało się jasne, że tłum szlachecki bierze w zatargach stronę jej, nie zaś senatorów.

W lutym i marcu 1573 roku trwała pod murami Warszawy praca bardzo wysiłona. Infantka własnym kosztem kończyła most przez Wisłę, którego budowę rozpoczął przed pięciu laty Zygmunt August. Szlachta, mająca w kwietniu tłumnie zjechać na elekcję, winna była zastać dzieło już gotowe. W wyobrażeniach ludzi ówczesnych most ten materialnie dopełniał unii - w fizycznym sensie tego wyrazu łączył niejako Polskę z

Litwa.

Tak wyglądał oryginalny argument wyborczy Anny Jagiellonki. (Kiedy w roku 1602 wielka powódź most zniosła, siostrzeniec Infantki nie zdobył się na odbudowę, aczkolwiek Warszawa była już wtedy stolicą państwa.)

Teraz wykończono most w porę, chociaż nie całkowicie. W każdym razie służył on wszystkim przybywającym na pierwszą w dziejach Polski wolną elekcję. Podziwiając jego piętnaście podpór_łamaczy lodu, potężne bele, skuwane żelazem, każdy musiał z wdzięcznością i uznaniem pomyśleć o dziedzicze dynastii, której tron miało się właśnie komuś przeznaczyć. Szczególnej radości doznawała pewnie uboga i liczna szlachta mazowiecka. Ona przede wszystkim zyskiwała na moście, spajającym gościniec z Garwolina do Grójca.

Obóz protestancki upatrywał sobie Bystrycę w województwie lubelskim na teren elekcji. Różnowiercy mocno stali w tamtych stronach, do nowinkarskiej Małopolski też było blisko. Katolicy woleli ultraprawowierne Mazowsze. Na Warszawę pierwszy wskazał podobno legat Commendone, w

zasadzie przychylny kandydaturze Habsburga.

Stanisław Sędziwój Czarnkowski, sługa i zausznik Anny oraz równie wierny stronnik Austrii, doznał niemiłego rozczarowania, kiedy w kwietniu ściągając zaczęły na pole elekcyjne tłumy Mazowszan. Tym to dziwniejsze, że Czarnkowski jako starosta płocki powinien był znać swych podwładnych. Okazało się, iż kandydatura francuska jest wśród nich zadziwiająco popularna.

"Księstwo mazowieckie - napisano podówczas na gorąco - wszystko zdanie swe zgodne na piśmie podali na książę andegaweńskie, brata króla francuskiego, a tam poznać było, że to praktyka była, iż drugi co mówił nie wiedział; a młodszym a chudszy braci swej, aby się nie rozchodzili, jedno aby wrzeszczeli, tedy chowano ich na strawie, dawając im po dwa grosze na dzień, w rzeczy z miłości chrześcijańskiej; ale się to potem inaczej pokazało, dali się zwieść ubodzy sitarze... Zwłaszcza Zygmunt Wolski, kasztelan czerski a starosta warszawski, ten był jego wielką przyczyną, bo o tym otwarciu mawiał i otwarcie się tym chlubił".

Elekcja viritim polegała na tym, że przyjechać i głosować mógł każdy szlachcic, który tego chciał. Wojewoda mazowiecki odmienił nieco ów przepis. Zagroził karą pieniężną każdemu, kto odważy się świecić nieobecnością. Bezprawne zarządzenie odwołano, lecz pole elekcyjne zaroiło się od najbliższej mieszkających panów braci. Stawiło się około dziesięciu tysięcy szlachty mazowieckiej.

Czarnkowski pilnie dopytywał o powody jej zgodnej orientacji profrancuskiej. Mówiono mu w tajemnicy, lecz szczerze, że tak

sobie życzyła Infantka. Zygmunt Wolski był wtedy jej bliskim współpracownikiem, położył znaczne zasługi przy wykańczaniu mostu.

Na zamku Anna przyjęła Czarnkowskiego oziębło. Zresztą starosta już od pewnego czasu wyczuwał dystans. Tym razem królowna zdobyła się na gest, który jej wprawdzie w nic nie

angażował, lecz był w danych okolicznościach dość wymowny. Nie przyjęła portretu Ernesta Habsburga.

Kilka tygodni wcześniej wzięła za to bez skrpułów konterfekt Henryka Walezego. Francuzi dotarli na zamek warszawski, gdzie odnieśli największy ze swych sukcesów propagandowych. Teoretycznie rzecz biorąc, łatwiej było wmówić w szlachtę, że Henryk gotów jest inwestować w Polsce wszystkie swe dochody francuskie, niż przekonać Infantkę, iż księżę pożąda jej właśnie, a nie korony Jagiellonów. Praktyka bywa jednak o wiele bardziej skomplikowana od teorii. "Katarzyna Medycejska Wschodu Europy" uwierzyła w afekt Henryka d'Anjou, młodszego od niej o lat dwadzieścia osiem. Umiała zimno i nieustępliwie prowadzić grę polityczną, wykańczając most zdobyła się na argument wyborczy godny XX stulecia, nie potrafiła dostrzec oszustwa uszytego najbardziej ordynarnym ściegiem pod słońcem. Ona, która doskonale zdawała sobie sprawę z własnej brzydoty i zrujnowanego zdrowia! Chciała koniecznie wyjść za mąż. Znajdowała się już na samiućku proggu klimakterium lub w jego początkowym okresie, o czym wiemy dzięki późniejszej nieco niedyskrecji jej przybocznego lekarza. Najnormalniejsze w świecie zjawisko natury przyrodniczej przypadło w chwili kryzysu politycznego i odegrało

niejaką rolę. W sprawie damsko_męskiej Infantka utraciła przytomność.

"Królowna odważyła się na wiele, na Erneście zaczynając a na Henryku kończąc" - powiada poczciwie Julian Bartoszewicz.

Anna Jagiellonka całym swym wpływem i autorytetem wsparła robotę Montluca. Za mądra była, by wystąpić jawnie i zerwać wszystkie mosty wiodące w stronę Habsburgów. Zagrała jednak przeciwko nim, czym zaskoczyła własną siostrę, Zofię, i dotychczasowych socjuszy.

Biskup de Montluc ogłosił, że Henryk kazał mu starać się o rękę Infantki. Z Francuzami od początku szedł kanclerz Dembiński, który wywarł wpływ na potężny ród Zborowskich, powszechnie uważany za głównego sprawcę sukcesu Walezjusza. Zborowscy z kolei przeciwni na swoją stronę własnego szwagra, Jana Chodkiewicza, za którym poszła Litwa.

Zapomniawszy o niedawnych, bardzo ostrych zatargach z Anną, Wielkie Księstwo uznało jej zaślubienie za niezbędny warunek wyboru Francuza.

Najliczniejszych na polu elekcyjnym Mazowszan spraktykowała przez swoich ludzi sama Jagiellonka, która po mistrzowsku wyzyskała monarchistyczny tradycjonalizm ogółu szlachty.

W chwili rozpoczęcia elekcji pięćdziesięciotysięczny tłum uzbrojonych mężczyzn na klęczkach odśpiewał "Veni Creator". "Przyznać trzeba, że równej wspaniałości widoku nikt nigdy nie ujrzał" - utrzymuje Jan Chojsnin.

Cudzoziemców zastanowiły wtedy dwa objawy. Zjechało pod Warszawę sto blisko tysięcy ludzi, bo trzeba przecież liczyć nie samą tylko szlachtę, lecz i jej czeladź, a zwłaszcza poczty magnackie. Tylko najubożsi

Mazowszanie przywędrowali pieszo, wszyscy inni konno lub w pojazdach, ciągnionych przez

konie. Ciżba ta przez sześć tygodni biwakowała pod miastem i ani razu nie było najmniejszych trudności aprowizacyjnych. Pomimo znanych w świecie apetytów polskich, spyży starczyło dla wszystkich, furażu także. O drugim zadziwiającym zjawisku pisał również Choisin, ale oddajmy na chwilę głos Grazianiemu: "Już też coraz liczniej z całego królestwa zbrojna szlachta przybywać zaczęła i rozłożywszy się pod szałasami w polu rozpoczęła obrady swoje. Nie tylko że wszyscy przy szablach, lecz nadto uzbrojeni w strzelby, łuki i inne oręża, przywieśli nawet i działa, rzekłbyś, iż bardziej do boju niż do spokojnych obrad zgromadzili się i że więcej szło o zawojowanie obcego królestwa, niż o obranie króla dla swego. Nie mogliśmy się wszyscy dosyć wydziwić, jak w tak wielkim mnóstwie, w takiej rozwiązłości, gdzie prawa, powaga urzędników mało co znaczyły, przecież żadne zabójstwo, żadne nawet porwanie się do broni nie zdarzyło się, wszystko się na słownych sporach kończyło, tak dalece naród polski jest dobry i od rozterek domowych daleki".

Ambasador Francji przemawiał 10 kwietnia. Właściwie powinien był to uczynić w przeddzień, lecz w ostatniej chwili zastosował podstęp, przy którym stał twardo, odrzucając naciski senatu. Zachorował dyplomatycznie. Wskutek tego dowiedział się, o czym rozprawiała konkurencja, i dodał do swej zawczasu przygotowanej oracji jeszcze pięć stron kontrargumentów. Była już o tym mowa, że dwudziestu skrybów zaraz zasiadło do przepisywania ich w tysiącu egzemplarzy. Dokazawszy tego wyczynu, Montluc

natychmiast powrócił na drogę
wzorowej układności i
posłuszeństwa. Gdy senat
zażądał wyjazdu ambasadorów, on
pierwszy podrażował, gdzie mu
kazano, czyli do Płocka. W
Warszawie zostawił na kilka
godzin jednego dworzanina, a to
w celu dokonania niezbędnych
zakupów. Sam nie ociągał się ani
chwili.

Poseł cesarski Wilhelm z
Rożemberku przemawiał po czesku.

Olbrzymia większość głosów
padła na Henryka. Obliczanie
ukończono 9 maja, w sobotę.
Dalsze czynności należało
odłożyć do poniedziałku, gdyż
nie godziło się ich prowadzić w
niedzielę Zielonych Świąt.
Zwłoka mogła spowodować
trudności. W obawie przed nimi,
nie zważając na zapadające
ciemności, porwany zapałem
prymas Jakub Uchański
trzykrotnie zakrzyknął...
habemus Regem!

Dosłownie brzmiało to: "Mamy
króla i jest nim ksiązę
andegaweński!"

Nie była to jeszcze właściwa
nominacja. Zanim do niej
doszło, trudności istotnie
wystąpiły. W pewnej chwili tak
zaczęło wyglądać, jakby pole
elekcyjne miało się nagle stać
polem bitwy. Wybór Henryka
oznaczał sukces partii
katolickiej. Zwycięzcy nie
chcieli teraz uznać konfederacji
warszawskiej, żądali usunięcia
artykułu o swobodzie religijnej
z listy warunków przedkładanych
Walezjuszowi. Marszałek Jan
Firlej postawił więc swój obóz
pod broń. Naprzeciwko ustawiły
się szyki papieżników. Legat
Commendone, "od którego
skinienia biskupi i katolicy
zawiśli", wysłał Grazianiego, by
starał się załagodzić spór. "Nie
lękaj się niczego -
odpowiedzieli biskupi - nic z
tego nie wyniknie, dla postrachu
wszystko się dzieje". Do

starcia rzeczywiście nie przyszło, nikomu nawet guza nie nabito. Artykuł o wolności sumień ostał się i ambasador Francji musiał go zaprzysiąc. "Nic nie znaczy prawo, gdy jednomyślnie od wszystkich ogłoszonym nie było" - autorytatywnie orzekł kardynał Commendone, a słowa te padły na wiek niemal przed pierwszym liberum veto w Polsce.

16 maja 1573 roku Henryk I obwołany został królem polskim i wielkim księciem litewskim.

Montluc, który już wcześniej śpiesznie powrócił z Płocka, zaraz zabrał się do osłabiania i wycofywania poczynionych uprzednio obietnic. Przede wszystkim uchylił się od ścisłego zobowiązania, że Henryk poślubi Infantkę. Król sam miał o tej kwestii rozstrzygnąć.

Francuzi oszukali Annę, sprawa od razu złamanych przyrzeczeń nie wygląda ładnie. Lecz właśnie ona dowodzi, jak poważnie traktowała Francja zamiar wprowadzenia swej dynastii na Wawel. W rękawiczkach, grzecznie, ale stanowczo odsuwano na bok przeszkodę. Kobietę, która nie zdołałaby zapewnić polskiej linii Walezjuszów rzeczy najważniejszej - trwania.

Senatorowie nie upierali się zbyt. Poprzestali na ustnym zobowiązaniu skojarzenia stadła. To nie oni, lecz tłum szlachecki uprawiał irracjonalną wierność względem Jagiellonów.

Protestantów mógł też zrażać rygorystyczny katolicyzm Anny.

Poselstwo polskie ruszyło do Paryża. O jego przybyciu opowie nam dziejopis francuski J. A. du Thou:

"Wjechali posłowie w pięćdziesięciu karetach poczwórnych przez Bramę Św.

Marcina. Całe miasto wysypało się na widok ten: ni wiek, ni płeć, ni słabość zdrowia nie

zatrzymały nikogo. Wszystkie okna, wszystkie dachy nawet tak były ludem pokryte, iż obawiano się, by się nie zapadły. Ulice tak były napchane, iż orszak postępował z trudnością. Z podziwieniem patrzyli paryżanie na mężów okazałej postaci, ich szlachetne i nieco dumne spojrzenie, ich powaga, te długie i gęste brody, te sobolowe kołpaki, te miecze ozdobione drogimi kamieniami, buty ze srebrnymi podkówkami, te łuki, kołczany, wszystko dziwiło i zachwycało.

Nie było i jednego pomiędzy nimi, który by płynnie po łacinie nie mówił, wielu tłumaczyło się po włosku i po niemiecku; niektórzy mówili językiem naszym tak czysto i pięknie, iż rzekłbyś, że się raczej nad brzegami Sekwany niż nad Wisłą i Dnieprem rodzili; niemało to zawstydzalo dworaków naszych, którzy nie tylko, że nic nie umieją, lecz nadto nieprzyjaciółmi są wszelkich umiejętności. Jakoż gdy przybyli goście zapytywali ich o co, oni odpowiadali na migi, rumieniąc się od wstydu".

Wiadomość o powołaniu na tron polski zastała Henryka pod murami Rochelle. Królewicz francuski oblegał francuskie miasto, którego bronili Francuzi w niewłaściwy sposób wyznający Jezusa Chrystusa. Głód i zaraza gnębiły fortecę, która odparła osiem zażartych szturmów.

"Król polski nie mógł kompromitować swej powagi pod niezłomnymi murami konającej twierdzy" - powiada Filip Erlanger. Zawarto więc pokój na warunkach, które obowiązywały...

przed Nocą św. Bartłomieja. La Rochelle, Montauban oraz Nîmes otrzymały swobodę wyznania. Ambasador Hiszpanii skarżył się w Luwrze: "jak się to stać mogło, że król arcychrześcijański, oddawszy

Bogu tak wielką przysługę w dniu św. Bartłomieja, teraz zawiera pokój z tymi, co są już nieliczni i nie posiadają wódza?"

A może nie sam tylko wzgląd na kompromitację odciągnął Henryka spod Rochellskiego Bastionu Ewangelii?

Kiedy Jan de Montluc siedział w Płocku wyglądając gońca z pola elekcyjnego, protestanczy zwolennicy Walezjusza złożyli ambasadorowi tak zwane "postulata polonica". Był to ni mniej, ni więcej jak spis żądań polskich do spełnienia - we Francji. Posłuchajmy ich streszczenia, którego przed stu niemal laty dokonał Tadeusz Piliński, autor dobrej książki "Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i elekcja króla Henryka". Nasi różnowiercy domagali się więc powszechnej, nie uznającej wyjątków amnestii dla hugonotów francuskich. Prócz tego - zwrócenia wygnańcom ich dóbr, odszkodowania dla spadkobierców ofiar Nocy św. Bartłomieja, a surowej kary dla morderców. Na tym się spis żądań nie kończył. Król Francji winien był ogłosić w swym państwie tolerancję religijną, zapewnić wolność kultu w tych miastach, które już znajdowały się w posiadaniu protestantów, a ponadto w każdej prowincji wyznaczyć miejscowość, gdzie panowałaby swoboda wyznania wiary.

Montluc zaręczył za wykonanie wszystkich tych warunków, z wyjątkiem ostatniego.

Nasi protestanci uważali, że jeśli Polska ma współżyć z Francją, obowiązująca w Rzeczypospolitej tolerancja nie będzie zabezpieczona, dopóki Paryż nie zmieni swej polityki wewnętrznej. Tak twierdził Tadeusz Piliński. Pogląd jego - niewątpliwie słuszny - wydaje się nie wyczerpywać kwestii. Wspomnijmy rzecz najprostszą w

świecie: ze względów zupełnie zasadniczych dysydem polskim musiało zależeć na poprawie doli współbraci. Nie wolno uważać reformacji za kwestię czysto polityczną czy społeczną. Nie tylko z pozoru chodziło o wiarę. I to obu stronom.

We Francji istotnie nastąpiło pewne złagodzenie polityki wyznaniowej, który to fakt bez najmniejszej wątpliwości możemy przyczynowo powiązać z wcześniej dokonanym wyborem Francuza na tron Rzeczypospolitej. Wielu polskich protestantów dało kreski Henrykowi d'Anjou, który zostawszy u nas Henrykiem I odstąpić spod Rochelle wprost musiał.

Wspomina się często, że w roku 1794 Rzeczpospolita za cenę własnego życia ocaliła Wielką Rewolucję Francuską, ściągając na siebie siły koalicji. W stuleciu XVI, bez żadnych specjalnych ofiar ze swej strony, przyniosła chwilę ulgi protestantom francuskim. Polska wolność promieniowała nie tylko na Wschód. Był taki moment, kiedy zdołała wyrzucić pewien wpływ dobroczynny także na Zachód. Coś jednak znaczyła wtedy Rzeczpospolita w kulturalnym i politycznym krajobrazie kontynentu. Jej własny dorobek w postaci prawa o tolerancji ulepszał historię

powszechną.

10 września 1573 roku w zapchanej ludźmi katedrze Notre_Dame odbyła się uroczystość przysięgi koronacyjnej (powtórzona później na Wawelu). To nieprawda, że wszyscy członkowie poselstwa polskiego niezłomnie bronili artykułu o swobodzie sumień. Przewodniczący legacji, biskup Adam Konarski, Olbracht Łaski i Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka chcieli ten właśnie artykuł pominąć. Jeszcze w

Polisce kardynał Commendone udzielił im po temu zarówno pouczenia, jak błogosławieństwa. Teraz, w Paryżu, pozostali posłowie polscy ostro opowiedzieli się przy prawie. Zwłaszcza Jan Zborowski okazał się nieustępliwy i Henryk tolerancję zaprzysiągł.

Patrzyły na to oczy Francuzów - w trzynaście niespełna miesięcy po Nocy św. Bartłomieja.

Polscy przeciwnicy Henryka pocieszali się tymczasem myślą, że nowy król może wcale nie dotrzeć nad Wisłę. A nuż wybuchną we Francji jakieś zamieszki na tle religijnym... Albo Niemcy zatrzymają Walezjusza i nie przepuszczą go na wschód. Wolno podejrzewać, że niektórzy liczyli na Infantkę. A ściślej - na niechęć młodego człowieka do ożenku z osobą zaledwie o cztery lata mniej wiekową od jego rodzonej matki. Na dotrzymanie warunku o małżeństwie bardzo nalegał referendarz Sędziwój Czarnkowski, przysięgły zwolennik Austrii.

W Paryżu strona francuska zgrabnie potraktowała kwestię. Henryk wyrażał się o Annie w samych superlatywach, wysławiał wierność Polaków względem ich

dynastii, ale przyrzekł tylko nie żenić się bez wiedzy i zgody stanów.

Infantka przebywała w Warszawie i chorowała bez przerwy. Przez całe lato i jesień trapiły ją najrozmaitsze dolegliwości. Do febry "tercjanny" przyłączyły się jakieś komplikacje żołądkowe, bóle i mdłości. Nie mogła jeść, siedzieć, ciągle niemal leżała w łóżku. Przybliżające się klimakterium dawało pewnie znać o sobie. Kobiety z dworu roiły tymczasem o błogim życiu przy boku królowej pani, małżonki Henryka I.

W grudniu, gdy Anna czuła się

już lepiej, stanął przed nią w Warszawie poseł narzeczonego inspe, pan de Rambouillet. Pozorom stało się zadość. Francuz odwiedził przedtem tylko prymasa Uchańskiego, interrexa. Teraz składał hołd Jagiellonce, poprzestając na ogólnikach. Nie miał innej instrukcji, a pamiętał dobrze, że po drodze elektor saski wprost raił mu dla Henryka własną córkę, dziewczynę dwunastoletnią. Małżeństwo z nią otworzyłyby ciekawe widoki polityczne. Oznaczałoby związek z obozem protestanckim w Rzeszy Niemieckiej. A Francja tylko u siebie w domu gnębiła różnowierców. W polityce zewnętrznej robiła coś wręcz przeciwnego.

W diariuszu podróży pana de Rambouillet jedno tylko zapisano o Annie. To mianowicie, że była małego wzrostu. Stanowczo więcej uwagi zwróciły na siebie panny z jej dworu, przybrane w ową dziwną żałobę - zgrzebne kapy na kirowych sukniach. Wisła wydała się Francuzom znacznie potężniejsza od Loary, a Polska zyskała ich uznanie.

Prosto z Warszawy pośpieszył de Rambouillet do Iłży, do biskupa Krasińskiego, "złego księdza".

Niemcy nie zatrzymali Henryka. Zabiegł mu natomiast drogę niezmordowany Graziani. Własne jego słowa najlepiej mogą zaświadczyć o celu tej wyprawy:

"Miło było młodemu królowi, gdy go zapewnił, że władza królewska w Polsce nie była tak ograniczona, jak mu ją wystawiano, że król był głową wszystkiego, wodzem siły zbrojnej, najwyższym sędzią, zawiadowcą dochodów, rozdawnikiem wszystkich urzędów, że w jego imieniu wydawały się wyroki, stanowiły prawa wszystkie. Jedno tylko prawidło zachowaj, królu - przydałem - strzeż się dysydentów, nie czyn

tak jak poprzednik twój, Zygmunt August, który i heretyków, gdy zdatnych, wynosił; ty samym tylko katolikom rozdawaj urzędy, zlewaj łaski twe na nich, a odszczepieńców oddalaj od nich... Niech król Jego Mość we wszystkim spuszcza się na biskupów, niech oni prezydują po wszystkich sejmikach i nie dopuszczają, by niekatolicy posłami byli obierani. Niech król Jego Mość sam z siebie raczy dawać przykłady. Ze wszystkich narodów Polacy najchętniej królów swoich zwykli naśladować".

23 stycznia 1574 roku Henryk przekroczył granicę Polski koło Międzyrzecza. To, co zobaczył, oczarowało go po prostu, zapewnia Graziani. Eskorta niemiecka została po swojej stronie. Składała się z trzech tysięcy jeźdźców o monotonnym wyglądzie. Ciemno ubrani, brodaci, siedzieli na spaśnych, karych przeważnie wierzchowcach.

Broń też mieli mniej więcej
jednolitą - proste miecze,
strzelby i młotki żelazne. A
naprzeciwko - "Rozmaite ubiory:
ci w narodowym stroju, inni w
węgierskim, tatarskim, wielu w
włoskim, niektórzy w francuskim.
Podobnaż różnica i w zbroi.
Jedni z łukami, strzałami i
zakrzywioną szablą, ci z
kopijami i tarczami, inni w
pancerzach i hełmach. Niewielu
ciężkozbrojnych, lecz wszyscy
lekko i zwinnie koniem toczący.
Niekórzy mieli głowy ogolone,
inni z obstrzyżonymi, u wielu
włosy długie, u tych broda
długa, u tamtych ogolona prócz
wąsów. Sama różność w ubiorach,
niebieskie, zielone, szkarłatne
szaty, drogie futra, jedwabiem i
złotem świejące, dziwnie
zachwycały oczy patrzących.
Henryk spojrzawszy na te tysiące
hufców, zachwycony odgłosem trąb
i kotłów, ochoczymi całego
mnóstwa krzykami, zawołał

radośnie: dziś dopiero widzę się
prawdziwym królem!"

Obserwatorzy sarmaccy byli o
wiele bardziej powściągliwi.
Stwierdzili, owszem, iż gęste
hufy rycerstwa na dzielnych
koniach toczyły się "jak gdyby
wały morskie", ale zauważyli
również rzeczy mniej dla
Francuzów przyjemne. 4 lutego
stanął król pod Poznaniem.
"Dzień cały wśród najtęższego
mrozu zeszedł na przywitaniach i
odpowiedziach. Henryk
przyzwyczajony do łagodnych
niebios, do życia miętkiego,
wiele naówczas ucierpiał, tym
bardziej że w letnich sukniach
wybrawszy się z Francji, choć
się okrył futrem i tych włosy
szronem pokryte nie zdawały się
go zagrzewać".

Nieszczęście narodowe w
postaci zamięłowania do długich

przemówień trapiło Polskę już wtedy.

Pojawiały się coraz to nowe i wspanialsze orszaki, coraz to inni mówcy wygłaszali oracje. "Osłupieli na ten widok Francuzi i podziwieniem, a równie może i mrozem przejęci, na wpół żywi, jedni na wozach, drudzy na koniach, na mułach, na osłach, inni na koniec piechotą, dużo zszargani przywlekli się do Poznania. Niektórzy z tych Gallów pięknej byli i silnej urody. Wszystkich natychmiast jedzeniem, ciepłym mieszkaniem i wszystkimi opatrzono wygodami".

Z Poznania Henryk I wysłał rozkaz dokonania pogrzebu poprzednika na tronie.

Testament Zygmunta Augusta zawierał zlecenie, aby przy pochówku "żadne zgoła świata tego mizernego pompy i wystrojenia nie były". Nikt się tymi słowami nie przejął. Uznano je za to, co oznaczały w rzeczywistości. Za zwyczajny ozdobnik. Monarsze wypadapło tak napisać, sługom należało robić swoje. Można by cytować setki

nazwisk dworzan, zatrudnionych podczas uroczystości, określając funkcję każdego z nich. Wiemy, w jakiej kolejności posuwało się trzydzieści banderii państwowych. Rząd ich zamykały dwie najważniejsze - chorągiew Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Polskiej. Każdy szczegół skomplikowanego ceremoniału był zawczasu przewidziany, całość wyreżyserowana nader starannie.

Przedtem już sprowadzona do Warszawy trumna z ciałem Zygmunta augusta jedenaście dni wędrowała teraz przez Polskę do Krakowa. Ani razu nie wprowadzono katafalku na noc pod dach. Zostawał pod gołym niebem, wśród światła, wszystkim

widoczny, otoczony honorowymi strażami. W Krakowie - nie licząc już mnogich setek dworzan i dostojników - poprzedzało zwłoki tysiąc dwieście osób z ludu, a każdy z tego tłumu niósł zapaloną gromnicę. Nazajutrz po właściwym pogrzebie w Kaplicy Zygmuntowskiej pochód odwiedzał kościoły stolicy.

Anna grała główną rolę w uroczystościach. Szła tuż za katafalkiem, prowadzona przez posłów Francji oraz cesarza. Zapisano, że roztaczała przepych. Było przy niej sześć tysięcy jazdy nadwornej. Jak pogodzić te wspaniałości z rozwodzonymi w listach biadaniami na niedostatek, ubóstwo, na nędzę prawie?

Przybywszy na Wawel, Henryk I ucałował najpierw w katedrze grób św. Stanisława, a zaraz potem - na zamku - dłoń Infantki. Świadczył damie takie uprzejmości, do jakich tylko Francuz może być zdolny. Odwiedzał królową często, co prawda nie dłużej niż na kwadrans za każdym razem, lecz podczas rozmowy bez przerwy trzymał ją za rękę, patrzył w oczy. Porozumiewać się mogli bezpośrednio. Dzięki matce,

Medyceuszce, Henryk umiał coś niecoś po włosku. Był to jedyny język obcy, jaki znał. Kardynał Hozjusz pisał z Rzymu do Anny zalecając jej zabrać się do francuskiego, przyszłego zaś małżonka nauczać po polsku.

Złudzenia nie trwały długo. Właściwie już de Rambouillet zaczął po cichu zwracać Polakom uwagę na niedorzeczność pomysłu tak niedobranego małżeństwa. Wiek Anny zamykał przed dynastią przyszłość, inne kandydatki oznaczały rozległe możliwości polityczne. Wchodziła w grę

osoba elektorówny saskiej, a prócz niej księżniczki Nawarry, siostry późniejszego Henryka IV, króla Francji. Mówiło się nawet o ewentualności odzyskania przez Polskę Śląska, a to w drodze wzmocnienia obozu protestanckiego w Rzeszy, z zasady wrogiego Habsburgom.

Wszystko to tworzyło politykę papieską. Ślub Henryka z prawowierną Anną przekreślałby nadzieje różnowierców.

Ale kiedy Infantka za pośrednictwem dworzan zwróciła się do nuncjusza o poparcie jej sprawy, ten odpowiedział całkiem logicznie, że "tu brak dwu rzeczy, które są celem świętego tego sakramentu, a mianowicie nadziei potomstwa i hamulca przeciwko grzechowi".

W kwietniu rozwiął się ostatek wątpliwości, Infantka osiadła na koszu. Chwilowa przychylność senatorów dla niej przeminęła. Większość ich nigdy nie stała naprawdę po jej stronie, projekt ożenienia z nią elekta był tylko posunięciem taktycznym, zręcznym bardzo, bo obliczonym na nastroje uczestniczącej w głosowaniu szlachty.

Wytworzyła się sytuacja przykra, wręcz kompromitująca ostatnią w kraju latorośl Jagiellonów. Jedno już tylko utrzymywało ją na powierzchni, kazało się z nią liczyć - jej

bogactwo. Toteż Anna walczy o spadek po matce i bracie w sposób równie zajadły, jak upokarzający. Musi szukać poparcia u Henryka, własnego niedoszłego męża. Król grzecznie słucha wysłańców, obiecuje, mało co robi. Nie chce zrażać senatorów, którym okazuje bezgraniczną hojność.

Znajdujący się na progu dopiero swej późniejszej kariery

Jan Zamoyski uzyskał wtedy nadanie samego Knyszyna. Zajął go siłą, nie bez krwi rozlewu. Inni panowie też kładli ręce na dziedzicznych posiadłościach Jagiellonki. Chcąc pozbyć się kłopotu, zaczęli nawet żądać jej wyjazdu z Krakowa gdzieś na prowincję. Nie zgadzali się już na powrót Infantki do Warszawy. Powtórzyły się więc przykrości sprzed kilkunastu miesięcy, lecz w bez porównania gorszym wydaniu. Wtedy chciano odsunąć na ubocze moralną spadkobierczynię władzy tradycyjnej, obawiając się czegoś w rodzaju zamachu stanu. Teraz chodziło o pozbycie się natrętnej starej panny.

A prowincja biadała, że Henryk nie ożenił się z Anną, co zdaniem wielu ze szlachty rozwiązałoby trudności. Ogół rozumował w sposób uproszczony i naiwny, lecz pragnął rzeczy zawsze pożądanej - stabilizacji.

Zastanawiała wtedy ludzi szalona hojność nowego króla. Obdarzał swych przybocznych Francuzów, lecz równie, lub jeszcze bardziej szczodrobliwie - Polaków. Wkrótce opróżnił skarb, porozdawał królewskocyzny. Przyglądając się temu poseł Wenecji nie żywił wątpliwości, że Henryk kupuje sobie przychylność poddanych, aby móc w przyszłości zatrzymać obydwie korony - francuską i polską.

Z Karolem IX było źle. Pluł krwią, zapadł w melancholię.

Nie można go w żaden sposób zaliczać do dusz czułych na ludzkie lub czyjekolwiek cierpienia. Król Francji był sadystą w całym tego słowa znaczeniu. Podczas polowań nie lubił używać broni palnej, bo niezabijanie kordelasem lub

oszczepem sprawiało mu przyjemność. Znajdował rozkosz w traktowaniu przechodniów koniem, w asystowaniu przy egzekucjach. Ale Noc św. Bartłomieja podcięła jego siły. Nadużycie uciechy nie wyszło Karolowi na dobre. Był chorym człowiekiem, szalone napięcie nerwów jeszcze bardziej pogorszyło stan jego zdrowia.

27 października 1572 roku królowa francji, Elżbieta, powiła... córkę. Wieczorem uroczysty bankiet uczcił fakt jej narodzin oraz radosne wydarzenie publicznego stracenia dwóch wybitnych protestantów. Karol IX znalazł dość energii, by się ich śmierci przyglądać. Podszedł nawet do samych szubienic, z bliska popatrzył na trupy.

W grudniu monarchini protestanckiej Anglii, Elżbieta I, zgodziła się zostać matka chrzestną królowej francuskiej.

W Krakowie Henryk zabawił Polaków, wyprawiał festyny, zabiegał o popularność. Już w dwa dni po koronacji uczestniczył wraz z Anną w szumnym weselu Andrzeja Zborowskiego, który ożenił się z wdową po kniaziu Zbaraskim. Infantka mogła do woli podziwiać wesoło pląsającego króla. Wiemy na pewno, że widok ten zgorszył nuncjusza, ale czy wszystkich Polaków także? Bo dwóch biskupów krajowych również ruszyło wtedy w tany. Kiedy się ociepliło, zaczął Henryk urządzać zabawy pod gołym niebem. Grzeczności nie uchybiał i Annę na nie zapraszał.

Relacje o poczynaniach Francuza w Polsce należy

traktować ostrożnie, bo z reguły zabarwia je uczucie rozgoryczenia, jakie pozostawiły jego krótkie rządy. Coś niecoś

na pewno musiało zaskoczyć Sarmatów, skoro i Paryż ze zdumieniem patrzył na zamiłowanie Walezjusza do przebierania się w stroje niewieście, na otaczających go "pieszczoszków", wachanie perfum. Naszych sąsiadów ze wschodu Henryk zdecydowanie raził. "Posłowie tatarscy i moskiewscy - opowiada Świętosław Orzelski - bez żadnej uczciwości przyjęci, zaproszeni od Łaskiego na obiad, upiwszy się z nim rzekli głośno, że Henryk nie tylko do berła niezdatny, ale nawet i do tronu, gdyż miał cienkie nóżki i cały zdawał się słaby".

W Krakowie "król noce bezsennie trawiąc w dzień najwięcej spoczywał, wyuzdany we wszystkie rozwiązłości, nie tylko Francuzki wszetecznicze do pięknego ogrodu blisko Zwierzyńca sprowadzał, lecz nadto i włoskim ohydny nałogom nie przepuścił".

Nie warto wybielać obyczajów Walezjusza. Należy jednak pamiętać, że - jak twierdzi Filip Erlanger - okazał się on później jednym z największych królów Francji.

Jakiś jego dworzanin pozwolił sobie raz podobno odepchnąć Walentego Dembińskiego od drzwi komnaty monarszej. Stary kanclerz uareagował jak przystało, grzmotnął chama pięścią. Przykry incydent, jeśli wiadomość o nim prawdziwa. Ależ nie takie rzeczy przecie decydują o ocenie francuskiego rozdziału naszej historii, urwanego na samym początku.

31 maja 1574 roku zmarł Karol IX. niepokojąca nowina rychło dotarła do Krakowa. Postarał się o to między innymi i cesarz Maksymilian II, a list jego

stanowił jednocześnie paszport dyplomatyczny, upoważniający okaziciela do przejazdu przez Rzeszę Niemiecką w kierunku zachodnim. Henryk ogłosił, że ruszy do Paryża we wrześniu i wysłał dworzan, by poczynili odpowiednie przygotowania. W rzeczywistości mieli oni zawczasu porozstawiać wierzchowce.

Zdaniem posła weneckiego Hieronima Lippomano, Henryk różnił się od ogółu Francuzów, którzy "zazwyczaj nie szczczędzą wyrazów i radzi mówią naprzód, co mają zrobić". Jeszcze przed zgonem Karola IX Jan Krassowski - ów bystry karzeł, co to pierwszy badał grunt w Polsce - w oczy zarzucił królowi zamiar opuszczenia kraju. Henryk go wyśmiał. Teraz francuzi ze dworu nie mogli ukryć niepokoju. Polacy wiedzieli już o bezkrólewiu we Francji. Odwołano wszelkie zabawy i przyjęcia. Ambasador paryski przyszedł pożegnać Wenecjanina motywując wyjazd tym, że z chwilą zgonu suzerena misja dyplomatyczna ustaje. Ze zdenerwowania trudno mu było mówić. Lękał się widać o króla.

Henryk uszedł z Krakowa nocą z 18 na 19 czerwca. Spędził więc w Polsce niespełna pięć miesięcy.

Wiadomość o ucieczce rozeszła się bardzo szybko. Uzbrowieni mieszczanie wylegli na ulice, od pochodni zrobiło się jasno jak w dzień. Bez niczyjzego rozkazu zaczęto brać w areszt pozostałych w mieście Francuzów. Ale wojewoda krakowski zaraz przywrócił porządek. Kazał uwolnić cudzoziemców i zwrócić im zatrzymane mienie. Ulokował ich na Wawelu, który otoczył strażami. Inny senator natychmiast odwiedził wszystkich posłów zagranicznych, zapewniając o zupełnym bezpieczeństwie.

Rano pojawiła się pogłoska o

ujęciu zbiega. Potem druga, że Henryk powraca, bo Francję opanowali hugonoci i kogo innego powołali na tron. Dopiero po kilku dniach nadeszła pewna wiadomość o tym, że król przejechał przez Wiedeń po drodze do Włoch, skąd skręci do swej właściwej ojczyzny.

Teraz wzbudzony lud krakowski jał się komentarzy historiozoficznych. Od początku wszystko stało pod złą wróżbą - stwierdzono poniewczasie. W nocy prymas Uchański okrzyknął nowego władcę, Henryk w nocy przybył spod Rochelle do Paryża, w nocy przyjechał do Krakowa, no i w nocy uszedł. "Zgoła cała ta sprawa odbyła się w ciemnościach nocnych".

Ale kto od początku poprzestawał na czysto ziemskich przewidywaniach, ten dobrze zrobił oddając kreskę Henrykowi de Valois księciu d'Anjou. Wcale nie potrzebujemy się wstydzić, żeśmy w naszej historii usiłowali otworzyć rozdział francuski. Rachuba była dobra. Łatwo to stwierdzimy, jeżeli przestaniemy nareszcie rozpamiętywać w kółko jedno i to samo, czyli przesadne obietnice biskupa de Montluc. Dojdziemy może nawet do wniosku, że na ucieczce Henryka więcej straciła Francja niż Polska.

Julian Bartoszewicz pisał o projektach protestanckich książąt niemieckich, którzy zamierzali oddać koronę cewarską Henrykowi. Znacznie bliższa prawdy jest teza Filipa Erlangera. Według niego niektórzy elektorowie naprawdę myśleli o pozbawieniu Habsburgów tytułu cesarskiego, by go ofiarować królowi nie Polski wcale, lecz Francji. (Panujący cesarz, warto przypomnieć dla lepszej plastyczności obrazu, miał przed sobą jeszcze tylko

dwa lata życia i władzy, czego
oczywiście nikt przewidywać nie

mógł. Nie było za to tajne, że
Maksymilian II należy do
pokolenia ojca Walezjuszy,
dobiała pięćdziesiątki.)
Namiestnik Niderlandów zaczął
upatrywać w Karolu IX kandydata
na protektora swego kraju,
walczącego o wolność przeciwko
Habsburgom hiszpańskim. Plany
tego rodzaju rozsnuły się
szeroko, od kiedy udało się
domowi Francji wprowadzić
swojego na tron polski, to
znaczy ująć cesarza w kleszcze.

Gdyby dynastia Walezjuszy
utrzymała się na Wawelu, w
historii nie tylko Polski, lecz
całej Europy mógłby się być
rozpocząć rozdział francuski.
Nic by pewnie kontynent na tym
nie stracił.

Człowiek występujący w naszej
historii jako Henryk I, a we
francuskiej jako Trzeci, dożył
roku 1589, kiedy zginął od noża
królobójcy. To by mu w
Rzeczypospolitej na pewno nie
groziło. Jeszcze przed
przybyciem do Polski złożył
dowody talentu wodza, potem
odznaczył się jako polityk
bardzo zręczny. Powinno nas
specjalnie zainteresować, że
Henryk III potrafił w sposób
bezwzględny rozprawiać się z
wichrzącymi magnatami. Kazał
wyprawić na tamten świat księcia
de Guise, przywódcę partii
katolickiej, sięgającej po złoto
i pomoc Hiszpanii. Widząc w tym
ratunek dla państwa, uczynił
spadkobiercą swej władzy Henryka
Burbona, późniejszego Henryka
IV, na razie protestanta. On to
zrobił, współautor Nocą św.
Bartłomieja.

Kiedy w Polsce konał Zygmunt
August, królowa Francji była w
ciąży. Powszechnie wyglądano

następcy tronu. Los zesłał
córkę, a w kilkanaście miesięcy
później sprzątnął ojca, Karola,
nieoczekiwanie czyniąc jego
młodszego brata dziedzicem
korony, seniorem rodu.

Karol IX zmatrł licząc sobie
lat dwadzieścia cztery. Nie
tylko ludzie, ich plany i
rachuby istnieją na świecie.
bytują również na nim zarazki
gruźlicy.

Prawy chłop

Jedna króciutka noc czerwcową
wyrwała Jagiellonkę z poniżenia
i śmieszności, wyniosła ją na
sam szczyt kariery osobistej.
Bohaterka dramatu nie wywarła
oczywiście żadnego wpływu na
mechanizm wydarzeń. Tragedia
dogasającego rodu Walezjuszów
sprostowała pomyłkę starej
panny, która uwierzyła w afekt
młodzieniaszka. Wybawienie
przyszło z tej samej strony, co
i poprzedni podstęp.

Zbolała, rozgoryczona pani
natychmiast odczuła, że powraca
do pełnych praw Infantki.

Kiedy kasztelan Jan Tęczyński
dosiadł konia i ruszył w pogoń
za królem, podkanclerzy koronny,
ksiądz Piotr Wolski, postanowił
zrewidować apartamenty Henryka.
Wyważono drzwi. Na stole leżało
kilka listów. Były zaadresowane
do senatu i stanu rycerskiego,
do poszczególnych magnatów
polskich i litewskich, a jeden
do samego podkanclerzego.
Przeczytano owe pisma, lecz nie
tu, gdzie je znaleziono, w
konnatach zbiega. Gromada panów
i szlachty ruszyła do izby Anny.
Tam dopiero złamano pieczęcie.

Henryk uspokajał poddanych,
tłumaczył się, zapowiadał rychły
powrót. Wcale to smutnej
postaci rzeczy nie zmieniało.

Niespełna dwa lata minęło od
chwili zgonu Zygmunta Augusta,
zaledwie cztery miesiące od jego
pogrzebu i oto rozpoczęło się w
Rzeczypospolitej drugie
bezkrólewie. Spadło ludziom na
głowy w sposób o wiele bardziej
nagły niż tamto poprzednie.
Okrzyk Jakuba Uchańskiego
"habemus regem!" przebrzmiał

szybko. Rozjeżdżająca się z pola
elekcyjnego szlachta ani
przypuszczała, że rychło
przyjdzie jej powrócić pod
Warszawę. A żaden z panów braci
powrotu tego nie pragnął. Obrał
był właśnie młodego króla i
szykował się dokonać dni swoich
pod jego miłościwym berłem.

Przed czterdziestu dokładnie
laty rozeszła się po Stambule
wieść, że w Polsce obaj ostatni
Jagiellonowie - Zygmunt Stary i
Zygmunt August - razem zeszli ze
świata. Soliman Wspaniały
uwierzył i natychmiast skierował
do szlachty Rzeczypospolitej
następujące wezwanie: obierzcie
królem jednego spośród siebie,
rozkazałem paszy pogranicznemu,
aby w razie potrzeby
niezwłocznie szedł z wojskiem
wam na pomoc.

Jak widzimy, pohaniec gotów
był swego czasu podeprzeć Polskę
w chwili kryzysu. Nie bardzo to
pasuje do teorii o naszej misji
dziejowej, polegającej na walce
z półksiężycem.

Pogłoska okazała się fałszywa,
obaj Jagiellonowie żyli, ale
udzielona przez Turczyńską radę
była znakomita, zbawienna.
Posiadała jeden tylko mankament.
Nie nadawała się do
ureczywistnienia w praktyce.

Warto się pokrótce zastanowić
nad pewnym zjawiskiem, które
jaskrawo odróżnia nasze dzieje
od historii krajów sąsiednich.
Tron cesarski był elekcyjny,

lecz powoływano nań samych
Niemców. Dynastia saska ustąpiła
miejsca salickiej, ta jednemu
von Supplimburgowi, a potem
Hohenstaufom, Luksemburgom, aż
na dobre wzięli górę
Habsburgowie. Szwecja po
zerwaniu unii kalmarskiej oddała
władzę swojemu człowiekowi. Gdy
zabrakło w Moskwie Rurykowiczów,
wziął czapkę Monomacha Borys
Godunow, potem Szujski i
wreszcie Michał Romanow. Nawet w
pogmatwanych dziejach Czech i

Węgier znać wyraźnie tendencję
do przyozdabiania koroną
rodaków: Jerzy z Podiebradu,
Maciej Korwin, rody Zapolów i
Batorych. Rzeczpospolita aż do
drugiej połowy XVII wieku ciągle
usiłuje przyswoić sobie dynastie
obcej krwi.

Istnieje anegdota o
zwiedzającym piekło turyście,
który przy każdym kotle ze smołą
oglądał diabła z widłami,
spychającego z powrotem dusze
uciekierów we wrzącą topiel.
Przy jednej tylko kadzi
brakowało dozorczy. Nad jej
krawędzią stale ukazywały się i
zaraz nikły głowy niedoszłych
zbiegów. "Tutaj siedzą wyłącznie
Polacy - wyjaśnił
czart_przewodnik. - Pilnować nie
potrzeba, bo każdego szczęśliwca
rodacy sami za nogi na powrót
ściągną".

Sens moralny anegdoty
wyjaśniać się zdaje interesujący
nas problem. Tak, ale tylko z
pozoru.

W kadzi jagiellońskiej, która
wbrew oczywistej prawdzie
upieramy się nazywać imieniem
samej tylko Polski, siedzieli
obok siebie i na równych prawach
wcale nie jedni Polacy. Na tym
właśnie polega rozwiązanie
zagadki. Publicystyka XVI
stulecia zdawała sobie z tego

sprawę zupełnie jasno, o czym się już wspominało w drugim rozdziale tej książki.

Zauważmy, że kiedy Polska zrastała się po okresie rozbitcia dzielnicowego (mowa o dawnej Polsce, średniowiecznej, tej w wąskich granicach), nie mogło się to inaczej dokonać niż pod berłem jednego z Piastów. Zjednoczenie pod władzą Przemyślidów czeskich nie udało się. Po zgonie Ludwika Węgierskiego Wielkopolska murem stała za Ziemowitem IV, Piastem z Mazowsza. W Polsce rdzennej istniała zatem ta sama tendencja, która tak wyraźnie

występowała u jej sąsiadów.

Po wygaśnięciu Jagiellonów kandydatura "Piasta", czyli jednego z rodaków, została ośmieszona, celowo zresztą a perfidnie. Wzięła natomiast górę myśl o potrzebie ożenienia elekta z obcych stron z ostatnią przedstawicielką wygasłej dynastii własnej, z panną na progu klimakterium.

Pominawszy zjawiska natury czysto regionalnej oraz "mniejszościowej", stwierdzić należy, iż Rzeczpospolita zamieszkiwały trzy narody główne - Polacy, Litwini i Rusini. Ten z nich, który był dostarczył Wawelowi nowego pana, siłą rzeczy wyziałby górę nad innymi. Zasada równości narodów spajała to państwo. Oto dlaczego rada Solimana Wspaniałego była dobra jedynie w teorii. Stworzenie organizmu iwelonarodowego spiętrzało trudności, jakich nie znały monarchie jednorodne lub powstałe z podboju, uznające więc zasadę dominowania jednych nad drugimi.

W jakiś czas po opisywanej tu chwili Horacjusz Spannocchi, sekretarz nuncjatury, zaczął się

zastanawiać, kogo ze swych
własnych obywateli mogłaby
Rzeczpospolita osadzić na
tronie. Ułożył więc listę
"Piastów". Pierwsze na niej
miejsce zajął książę Konstanty
Ostrogski, tuż za nim szedł syn
jego, Janusz. Za ojcem
przemawiało to, że był
najbogatszym i najmożniejszym
panem w kraju, powszechnie
szanowanym za rozum i dobroć. Na
zawadzie stały jego narodowość i
wyznanie. Jako prawosławnego
Rusina niezbyt by go sobie
życzyła zarówno Polska właściwa,
jak Litwa. Janusz Ostrogski,
katolik gorliwy, "miły, ludzki,
uprzejmy, biegły w wielu
językach, ma niezmierną miłość u
szlachty". Ale za życia ojca -
"herszta schizmatyków" -

Rzeczpospolita go nie wybierze.
(Z której to tezy Spanocchiego
zdaje się wynikać wniosek, że
wiara bardziej przeszkadzała niż
narodowość; rozumowanie chyba
słuszne, bo Janusz pomimo
ruskiego pochodzenia został - za
życia ojca - kasztelanem
krakowskim, najwyższym
dostojnikiem świeckim w Polsce.)
Po Ostrogskich wymienia Włoch
dwóch ich rodaków - Szymona i
Aleksandra książąt Słuckich -
potem trzech Radziwiłłów i
dopiero zabiera się do
wyliczenia Polaków rdzennych.

Prawda o ówczesnej
Rzeczypospolitej zupełnie nie
pasuje do mniemań szerzonych
przez nacjonalizmy rozmaitych
maści. Polskie panowanie nie
stanowiło treści dziejów tego
państwa. Jego szlachta do
jedności narodowej wcale się
nie poczuwała. Tym mniej lud.

Biorąc pod uwagę względy
natury czysto życiowej, to
znaczy pamiętając o szalonych
ambicjach rodowych i plemiennych

oraz o większej z reguły skłonności Korony do kompromisu, trzeba uznać, że najbardziej realnie wyglądałby zamiar powołania na tron któregoś z magnatów litewskich. Jeśli "Piast" zatem, to z rodu Lizdejki. Znad Wilii, a nie znad Wisły. Tylko taki wybór utrwaląby unię.

Rozważywszy wszelkie pro i contra orzeił Spannocchi, że najwięcej szans miałby kandydat pod względem narodowym nawet obcy, lecz mający w żyłach krew jagiellońską.

Mistyczne niemal przywiązanie szlachty do własnej dynastii było faktem. Hasło wierności wobec krwi jagiellońskiej zawierało poza tym zasadę nadającą się do przyjęcia przez wszystkich, nie naruszającą wytworzonej równowagi. Jagiellonowie byli twórcami unii, przez dwa wieki panowali

wielu narodom państwa. Teoretyczna chociażby kontynuacja ich rządów nie mogła nikogo poniżyć, urazić niczyich uczuć narodowych.

Uwagi te były niezbędne, bo zaraz przyjdzie do omawiania czasów, w których głośno się stało w kraju o kandydaturze "Piasta". Popierający go obóz okazał się najliczniejszy na polu elekcyjnym.

Nie trwajmy tylko - przez litość! - w zastarzałych błędach i nie bierzmy części za całość. Obóz ów składał się wyłącznie ze szlachty koronnej, czyli z rodowitych Polaków, do których ze względów czysto praktycznych przyłączyło się rycerstwo z Rusi Czerwonej. Litwa słuchać o żadnym "Piaście" nie chciała. Zapoznamy się zresztą wkrótce z wielce oryginalnym rezultatem sukcesu "piastowskich"

adherentów.

Gdy tylko zabrakło w Polsce króla, znany nam już poseł wenecki Hieronim Lippomano obrócił oczy na Infantkę. Odmłodził ją w swej relacji o jedenaście wiosen. Królowa - napisał - "mająca teraz lat około czterdziestu, ale tak świeża i czerstwa, że gdyby wyszła za męża, mogłaby jeszcze spodziewać się potomstwa". We wszystkich stronnictwach, na jakie kraj się dzieli, "niektórzy rozsądni ludzie" popierają projekt ukoronowania Anny. Potem, bez pośpiechu, monarchini znalazłyby sobie małżonka, oczywiście za radą i zgodą sejmu. Dawniej Jagiellonka liczyła na Henryka, teraz znowu podobno myśli o arcyksięciu Erneście. Wielu chętnie by się na pewno ubiegało o jej rękę nie tylko ze względu na koronę, "lecz jedynie w celu odziedziczenia jej ogromnych skarbów i dochodów".

W tym ostatnim względzie pozycja Anny miała się wkrótce

jeszcze bardziej wzmocnić. 28 maja 1575 roku zmarła w Niemczech Zofia Jagiellonka. Księżna brunszwicka zeszła ze świata jako bezpotomna wdowa, a poprzednio odznaczała się gospodarnością, dbałością o grosz, skąpstwem nawet i chciwością. Cały swój wielki majątek osobisty pozostawiła siostrze, która po upływie kilku lat weszła w jego rzeczywiste posiadanie.

Na razie, to znaczy w roku 1574, Infantka ani myślała tracić czas w Krakowie, w stolicy, która coraz bardziej schodziła na margines. Ruszyła więc z całym swym dworem do Warszawy, gdzie we wrześniu miał się odbyć zjazd senatorów i

szlachty. Niedługo przedtem musiała się bronić przed pomysłem zesłania na prowincję, teraz nikogo o nic nie pytając wracała w samo centrum życia politycznego. I nie było jej nudno na zamku książąt mazowieckich. Odwiedzali ją swoi i obcy, następczali się z propozycjami, sławili Jagiellonów.

Drugie bezkrólewie nie upływało tak spokojnie, jak pierwsze. Za długo już trwało prowizorium, podniecone silnymi przeżyciami temperamety zagrały żywiej. Zdarzały się zajazdy, gwałty, morderstwa. W listopadzie zebrała się na zamku szlachta mazowiecka, rozjątrzona poczynaniami kasztelana z Wizny, Andrzeja Iłowskiego, którego socjuszem był Michał Woroniecki, małżonek Barbary z domu Giżów, faworyty zmarłego króla. (Ożenek ten przysporzył Woronieckiemu korzyści, lecz i kłopotów, bo izba poselska, do której został wybrany, nie uznała jego mandatu za ważny. Zażądano dowodu, że Giżanka w chwili ślubu była dziewicą!) Andrzej Iłowski tak długo warcholił, aż doczekał się w

roku 1582 wyroku śmierci. Na razie jego samowola i gwałty podzieliły szlachtę mazowiecką na dwa wrogie obozy. Zebranie na zamku warszawskim omal nie przetworzyło się w bitwę. Rozżarta brać powyrywała z pochew szable. Do rąbaniny nie doszło, bo biskup Wojciech Starożrebski energicznie wyprosił zwaśnionych z domu Infantki. Od tej pory sejmiki mazowieckie odbywały się zawsze w kościele Św. Marcina przy ulicy Pivnej.

W służbie dyplomatycznej katolickiego cesarza

Maksymiliana II znowu się podówczas znajdował Andrzej Dudycz, eks_arcybiskup, obecnie człowiek żonaty, dietny i zaciekły protestant. Jego osobiste zdolności przeważały szalę i Wiedeń wyrzekł się skrupułów natury ideologicznej. Wysłannicy austriaccy docierali na zamek, osoba arcyksięcia Ernesta znowu wchodziła w rachubę. Nie wykluczano nawet myśli o stworzeniu faktu dokonanego, czyli o potajemnych zaślubinach, chociażby per procura. Odpowiedzi Anny bywały mocno skromne i jak najbardziej polityczne a zręczne. "Wszakżem waszmościom pierwej nie obierała króla", o coście mnie posadzali, więc i teraz "wolałabym śmierć niż tego więcej". Los swój osobisty pokornie składała Jagiellonka w ręce Boga.

Królewna nie godziła się na rolę pionka, sama prowadziła grę. Ze strony Francji spotkał ją był poprzednio ciężki zawód, afront nawet, teraz ona ani myślała palić mosty za Henrykiem, który też nie zamierzał ich zrywać. Waleczysz korony polskiej bynajm niej się nie wyrzekał. Katarzyna Medycejska zwała wiarołomcami właśnie Polaków, którzy ośmielają się myśleć o wyborze nowego władcy. W tych

okolicznościach nie należało uważać karty francuskiej za beznadziejnie przegraną. Małżeństwo z Jagiellonką mogło być zaliczane do czynników ułatwiających Henrykowi sztukę utrzymania dwu koron na jednej i tej samej głowie. Infantka wyraźnie manifestowała dobrą wolę. Opowiedziała się za wyrozumiałym potraktowaniem pozostałych w Polsce rodaków zbiega.

Litwa, która podczas układów elekcyjnych postawiła ożenek z Anną jako niezbędną warunek, teraz wcale się nie śpieszyła ze stwierdzeniem, że nastąpiło nowe bezkrólestwo. Rząd dusz - oraz wszelki inny - opanowali w Wielkim Księstwie magnaci. Radziwiłłowie i Chodkiewicz mogli czekać na monarchę. Im się do ponownej elekcji nie paliło, podobnie jak wielmożnym z Prus Królewskich. Całkiem inaczej patrzyła na to Korona. Jej swoista demokracja szlachecka ani rusz nie mogła się obejść bez króla, co z pozoru tylko wygląda na paradoks. Ustrój skomplikowany, szanujący wolność obywateli, wymaga ładu, stabilizacji prawnej. Z długotrwałym prowizorium godzą się tylko porządki prymitywne.

Zjazd warszawski wyznaczył Henrykowi dzień 12 maja 1575 roku jako ostateczny termin i zwołał na ten sam miesiąc sejm do Stężyicy.

Zanim wymienione daty nadeszły, Infantka rozstała się na zawsze z marzeniem o rękę Francuza. 15 lutego Henryk ukoronowany został w Reims, nazajutrz poślubił księżniczkę lotaryńską, piękną Luizę. Osobista porażka Anny nie oznaczała wcale ostatecznego bankructwa stronnictwa francuskiego w Polsce. zwolennicy Walezjusza długo jeszcze opierali się namowom, trwali przy wyborze raz

dokonanym. To nieźle chyba dowodzi, że podczas pierwszej elekcji brano pod uwagę nie tylko pieniądze i obietnice Montluca. Miały wagę względy bardzo rzeczowe.

Plan zarządzania Rzeczpospolitą przez namiestnika od początku był

niedorzecznością, nie nadawał się do wykonania. Na krótko pojawił się pomysł przekazania korony polskiej młodszemu bratu Henryka, Franciszkowi d'Alencon, który oprócz berła Jagiellonów otrzymałby również Annę za żonę. Później przyszedł Henrykowi do głowy zamiar kierowania Polską rękami pośrednika. Zostałby nim Alfons książę Ferrary, mąż czterdziestoletni, bardzo bogaty i silnie związany z Francją. I jemu również proponował Walezjusz ślub z Infantką. Miłośnicy zapowiedzi wróżebnych nie przeoczyli, że Alfons miał w herbie orła białego.

Przepowiednie jakoś się wtedy nie sprawdzały. Stanowczo pośpieszyli się ci, którzy w roku poprzednim, szykując chorągwie na koronację Henryka, haftowali na piersiach orła polskiego tarczę z liliami Walezjuszy. Tęcza Franków bladła w Rzeczypospolitej, szły w górę znaki Habsburgów.

Wkrótce zabrakło po prostu na widnokręgu kandydata, który mógłby poważnie wejść w drogę przedstawicielowi domu cesarskiego. Wielu koroniarzy uparcie spoglądało w stronę Kremla, ale magnaci litewscy słuchać nawet nie chcieli o Iwanie czy synu jego, Teodorze. Namawiali za to arcyksięcia Ernesta, aby drogą przez Prusy wkroczył zbrojnie na Litwę i stworzył fakt dokonany, przyjmując w Wilnie mitrę wielkoksiażęcą. Polska to uzna, zapewniali, nie zechce naruszać unii.

Rzym sprzyjał Wiedniowi. Stopniowo przeszedł na jego stronę episkopat i duchowieństwo niższe, to samo uczynił cały prawie senat koronny. Litwa

murem stała za Habsburgami.
"Ktokolwiek rozumem albo
światłością rodu się odznacza,
ktokolwiek pragnie się wynieść,
całe nieomal duchowieństwo, to
wszystko nasi" - czytał cesarz w
liście nadesłanym mu z Polski
przez jednego ze stronników
Austrii.

Jednakże nie wszyscy, którzy
"pragnęli się wynieść" w górę,
tak już bez zastrzeżeń liczyli
na wiedeński atut. Chwalebna
przezorność wykazywała Anna
Jagierllonka.

"Infantka i księciu Ferrary, i
Rożemberkowi sprzyjać będzie
otwarcie, bo gwałtownie pragnie
małżeństwa: niczym innym
zatrzymać jej przychylności nie
można" - pisał Dudycz do
Maksymiliana II. Jednakże -
pouczał - "nie taka głupia, żeby
na słowach tylko poprzestawać,
żeby chciała się dłużej karmić
próżną nadzieją".

Bystry dyplomata odgadywał nad
wyraz trafnie. W ostatnich
miesiącach życia Zofii Anna
donosiła siostrze, że bardzo
teraz uważa, bo się sparzyła
przy poprzedniej próbie i boi
się, "aby na koszu nie ostała
jako pierwszej".

Tym razem nie można było
liczyć, że Infantka znowu
spraktykuje Mazowszan, złudzona
słownym przyrzeczeniem. Wolała
Habsburga niż kogo innego, ale
żądała zobowiązania wyraźnego,
na piśmie. Tymczasem tego
właśnie nie mógł Dudycz wybłagać
w Wiedniu. Maksymilian II, z
natury ostrożny kunktator, w tej
sprawie zachowywał umiar
najdalej posunięty. Arcyksiążę
Ernest był od Anny młodszy o lat
równo trzydzieści. Po cóż się
spieszyć i "wysyłać na ofiarę
niewinnego baranka?" - mawiał,

oczywiście w tajemnicy, jeden z

biskupów polskich. Tym większa powściągliwość musiał więc przejawiać rodzic kandydata na oblubieńca. Maksymilian przystawał na to małżeństwo tylko w takim razie, jeśliby się ono miało okazać jedyną drogą na Wawel.

Infantka słusznie nie dowierzała Dudyczowi, on postępował równie roztropnie nie ufając jej. "Wydaje się, że (Anna) na dwóch stołkach chce siedzieć" - napisał. Uroczo brzmią te słowa w oryginale listu, czyli po łacinie: "...ut videtur duobus sellis vult sedere".

Dudycz dobrze porachował - stołków było dwa. Ale jeden z nich uznać należy za pomieszczenie zbiorowe i usadawić na nim wszystkich dotychczasowych kandydatów zza granicy. Drugi był na razie nie zajęty, lecz istniał.

Zaraz po ucieczce Henryka wśród średniej i drobnej szlachty koronnej z ogromną siłą przejawiał się prąd polityczny, zmierzający do osadzenia na tronie "Piasta", czyli rodaka. Wygaśnięcie dynastii i sprawiony przez Francuza zawód były to wielkie wstrząsy moralne. Tłum herbowy poczuł, że trzeba liczyć na siebie samego, cudów z nieba i obcych dobrodziejstw nie wyglądać. W Polsce rdzennej doszła zatem do głosu tendencja powszechna. Ta sama, która w Szwecji wyniosła do władzy Wazów, w Moskwie Romanowów, na Węgrzech Zapolyów i Batorych. Szlachta polska zachowała się w sposób w państwie narodowym normalny. Główna trudność polegała na tym, iż Rzeczpospolita stanowiła organizm wielonarodowy i wypróbowane gdzie indziej metody dla niej się nie nadawały. Jesienią 1575 roku biskup Piotr Myszkowski oświadczył podczas

debaty wyborczej, że o żadnym "Piaście" mowy być nie może, bo niepodobna wywyższać jednej prowincji kosztem pozostałych. Miał słuszość. Kto powołał do życia Rzeczpospolitą Obojga (a raczej Wielu) Narodów, ten musiał podporządkowywać się faktom... przez siebie samego dokonany.

Obóz "piastowski" był zwarty, liczył dziesiątki tysięcy głów i szabel, miał tęgich przywódców. Brakowało mu kandydata do tronu. Szeregowy szlachcic na monarchę się nie nadawał. Arystokracja koronna, że się już o litewskiej nie wspomni, programowi "piastowskiemu" wcale nie hołdowała. Wybrańcy szlacheccy, wojewodowie Jan Kostka i Andrzej Tęczyński, w gruncie rzeczy nie życzyli sobie własnego sukcesu. Trybun ziemiaństwa, Jan Zamoyski, dopiero wyrastał. Był podówczas zaledwie starostą bełskim.

Różne względy, wcale nie tylko ujemne, wpływały na postawę magnatów. Grały rolę pieniądze habsburskie, niechęć do gminu herbowego oraz sympatia dla cesarza, w którego ziemiach istniała hierarchia uprzywilejowanych i szarak nie mógł się ogłaszać za równego wojewodzie. Lecz ponadto - senat koronny lepiej niż brać powiatowa znał nastroje wielmożnych z Litwy i Prus. Wiedział o formalnym sprzyśnięciu dwudziestu sześciu przedstawicieli największych rodów litewskich, którzy dali sobie słowo stać przy Erneście i nie pozwolić na narzucenie władcy przez Koronę. I o tym, że Konstanty Ostrogski samodzielnie pertraktuje z cesarzem, prosi go o wskazówki postępowania. Wybór "Piasta" mógłby wbić klin między Polskę i Litwę, podważyć unię. Nie darmo ostrzegał przed nim

właśnie Piotr Myszkowski, który

w służbie państwowej wiek życia strawił.

Wśród średniej i drobnej szlachty, z której przede wszystkim składał się obóz "piastowski", najwięcej było przywiązania do Jagierllonów. Infantce nie mogło to być tajne. Oględność wobec ponęt habsburskich była więc tym bardziej wskazana, że nie należało sobie zrażać własnych sympatyków. Wkrótce miał być wzniesiony pod Stężycą okrzyk: "Aż do gardł naszych nie chcemy Niemca!". Stał się on bojowym i naprawdę szczerze wyznawanym hasłem "piastowców".

Przez długie dziesięciolecia biernie asystowała Anna działaniom ojca, matki i brata. Musiała dobrze znać najmądrzejszą z wytycznych jagiellońskiej polityki zagranicznej. Polegała ona na strzeżeniu pokoju od strony Turcji. Wezyr Sokołul, jeszcze za życia Zygmunta Augusta zamyślający o Francuzie na Wawelu, nazywał Polskę pierwszym z państw chrześcijańskich, które zawarło przyjaźń z padyszachem. Niechęć do wojny z sułtanem, lęk nawet przed nią zaliczały się do kanonów myślenia zwolenników "Piasta". Popieranie Habsburgów równało się w oczach szlachty prowokowaniu Turcji. O tym Infantka musiała jak najdokładniej wiedzieć. Jeśli się nie kwapiła z udzieleniem dudyczowi wiążącej odpowiedzi, to z przyczyn głęboko przemyślanych. Dążąc do osobistego wyniesienia, nie mogła ślepo lecieć na ściany.

Owszem, brała Anna pod uwagę Ernesta, Ferdynanda, Alfonsa, lecz na tym nie poprzestawała. Rachowała się również z grą sił

w kraju, który - jak świadczą fakty - znała i pojmowała dobrze. Dokonała nie lada sztuki pływania na wielu prądach. Pilnie zważała, by przedwcześnie

nie powierzyć swych losów jednemu z nich i znowu nie osiąść na mieliźnie. Przecież we wszystkich bez wyjątku partiach znajdowali się jej stronnicy.

W maju, podczas zjazdu w Stężyicy, zaraz po posłach cudzoziemskich stanął przed zebranymi Jan Koniecki oficjalny wysłannik Anny, ochmistrz jej dworu. Królowa występowała jako samodzielny czynnik polityczny, aczkolwiek żadne prawo nie nadawało jej tej rangi. Wysłuchano ochmistrza, który sławił zasługę ukończenia mostu warszawskiego, żalił się na zaniedbanie, w jakie popadła Kaplica Zygmuntońska, kryjąca prochy dwóch ostatnich Jagiellonów. Urzędnicy krakowscy sami nie dbając o zabytek przeszkadzali pono Annie w uświetnieniu go. Przedłożył również Koniecki tradycyjne już skargi swej mocodawczyni na ubóstwo i zbyt szczupłe dochody.

Nie całkiem legalna uchwała nadała wkrótce Annie prawo do wpływów podatkowych z Podlasia, jak długie i szerokie. Poprzedniej jesieni przyznano jej trzy starostwa - warszawskie, łomżyńskie i wiskie. Rzeczpospolita nieźle jednak dbała o ostatnią latorośl swej dynastii.

Zjazd stężycki uznał prawo Henryka do korony polskiej za wygasłe, ale nowego króla nie obrał. Poseł francuski pisał wtedy do Paryża: "Dnie były bardzo niebezpieczne, tak dalece, że widocznym cudem Boga nie uczyniono wyboru w osobie cesarza, mającego za sobą silne

stronnictwo".

To stronnictwo nazbyt już bezceremonialnie zademonstrowało siłę i właśnie dlatego zmarnowało sposobność. Magnaci ściągnęli pod Stężycę na czele uzbrojonych po zęby oddziałów najemnego żołnierstwa. Szlachta stawiała się niezbyt licznie, ale

rzecz działa się wszak w Polsce (w województwie lubelskim, niedaleko od ujścia Wieprza do Wisły). Groźba przemocy osiągnęła skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Słabsi wzięli na kiel.

Senatorowie rozmyślnie trwonili czas, czekając, aż uboższa brać zje przywiezione zapasy, opróżni kieski i będzie zmuszona rozjechać się. Wobec czego cała szlachta dokonała secesji, zatoczyła na ustroniu osobny obóz, w końcu postanowiła przerwać obrady i powrócić do domów.

Zanim do tego doszło, debaty i spory trwały przez kilka tygodni i trzeba przypomnieć parę fragmentów.

Zjawił się w Stężycy poseł moskiewski. Poprzednio zaniepokojeni juego podróża magnaci litewscy zamyślali o radykalnym sposobie zapobieżenia znoszeniu się Kremla z koroniarzami. Marszałek Wielkiego Księstwa doradzał wojewodzie wileńskiemu struć posła po cichu i rozgłosić, że zapił się na śmierć. Nie doszło do tego i bojarzyn cały i zdrów, w otoczeniu licznej poczty wkroczył do "szopy" senatu. Okazało się, że był właściwie gońcem dyplomatycznym i nie przywiózł żadnych konkretnych propozycji Groźnego. Ale posłuchajmy, co naoczny świadek prawi o tym przesłuchaniu: "W czasie poselstwa tego, to można

było uważać, iż takie panowało milczenie jak nigdy jeszcze, lub ścisk tak był wielki, iż skupione mnóstwo bardziej do muru niż do tłumu żyjących podobne było".

Pewnej nocy ręce szlacheckie wkopały przed gmachem obrad senatu wysoki krzyż, dźwigający dwa napisy. Pierwszy z nich głosił: "Kto cesarza mianuje, ten śmierć sobie gotuje". Drugi brzmiał: "By był Fiodor Jak

Jagiello, dobrze by nam z nim było".

Z łatwo zrozumiałych względów, lecz całkiem niesłusznie, historiografia nasza półgębkiem traktuje kwestię kandydowania carów Moskwy na tron Polski. W XV wieku szlachta koronna nie przeczuwała nawet wytworzonych później urazów. Wielu członkom stronnictwa "piastowskiego" wcale nie obca była czysto polityczna sympatia do Rurykowiczów. Pamiętano o dodatnich skutkach unii z Litwą. Istniała wśród Polaków gotowość do ponowienia próby. Zabrakło czynnika niezbędnego - zgody, a zwłaszcza szczerości po drugiej stronie.

Rzecz wydaje się nie do wiary, ale raport Andrzeja Dudycza zawiera szczegóły. Krzyża z napisami nikt tknąć nie chciał, a może nie śmiał. Wreszcie biskup Myszkowski własnoręcznie go z ziemi "wyrwał i wyrzucił".

Początek elekcji wyznaczono na dzień 7 listopada 1575 roku. Niektórzy przynajmniej senatorowie łudzili się nadzieją, że spóźniona pora powstrzyma szlachtę od masowego przybycia. Rachuby zawiodły, rycerstwo stawilo się bardzo licznie. Rozruszało się na dobre pod względem politycznym, pragnęło samo stanowić o swym

losie.

Zgodnie z otrzymanym
poleceniem starosta stężycki
Bartosz Zieliński rozebrał
"szopę" na części składowe,
załadował je na statki i
skierował do Warszawy. Ale
posucha, o której się wspominało
na początku książki,
przeszkodziła. Wisła tak opadła,
że niemal wszędzie można było
przebyć ją w bród. Wobec tego
przyszło ustawić pod Wola namiot
dość wielki, by mógł się w nim
zmieścić cały senat oraz
przedstawiciele województw.
Robota od początku kulała,

rozpięte na palach płótno
pękało. Z pomocą pośpieszyła
Infantka. Jej ludzie sprostali
zadaniu, z pięciu pomniejszych
namiotów zmajstrowali jeden
wielki. Środek - gwoli dobrej
wróżby - stanowił namiot, pod
którym półtora roku wcześniej
obrano Henryka. Nie wiadomo, czy
zachowano w mocy obowiązujący
wtedy przepis, że do centralnego
słupa nie wolno, dla
bezpieczeństwa, podchodzić
bliżej niż na kilkanaście kroków.

Infantka odznaczała się
zadziwiająco skłonnością do
zdobywania popularności poprzez
wyczyny techniczne. Przed
pierwszą wolną elekcją
wykończyła most warszawski,
teraz pomogła przygotować główny
gmach obrad. Kryjąca Kaplicę
Zygmuntowską piękna łuska złota
ułożona została z jej rozkazu.
Most jagielloński woda zabrała,
ale zabezpieczająca go ongi
wieża stoi po dziś dzień i
słusznie nosi imię swej
twórczyni. Nakazywane przez Annę
prace miały to do siebie, że
zwracały uwagę ludzką i
zyskiwały uznanie. Były
imponujące oraz po gospodarsku
użyteczne. Bo i nowe pokrycie

Kaplicy nie tylko zachwycało
oczy, lecz zapobiegało
zaciekaniu wody deszczowej.
Dawny dach, przestrzelony
podczas jakiejś czczonej salwami
uroczystości, dostatecznie nie
chronił już wnętrza. Anna była
nieodrodną córką Bony, zawołanej
gospodyni.

Na polu pod Wola pierwsza, i
to nader licznie, stawiła się
szlachta ziem ruskich, co
zaskoczyło wszystkich.
Spodziewano się raczej, że nikt
prawie stamtąd nie przybędzie.
We wrześniu straszny najazd
tatarski spustoszył Ruś
Czerwoną. Poszczególne zagony
ordy dotarły podobno aż pod
Rzeszów. Zamiast pozostać po
klęsce w domu i odbudować

spalone dwory, ziemiaństwo
tamtejsze pośpieszyło pod
Warszawę. Najazd zaliczał się do
pośrednich wprowadzie, lecz
arcydokliwych bodźców
wyborczych. Świat muzułmański
pokazał, co potrafi, sułtan zaś
zawczasu ostrzegał, że powołanie
na Wawel Habsburga oznacza
wojnę. Pod Warszawą zanosilo się
na polityczną batalię o
bezpieczeństwo kresów
południowo_wschodnich.

- Zgodzę się na cesarza -
replikował jeden ze szlachciców
przeciwnikowi - ale się wpierw
zamieńmy majątkościami. Bierz
waszmość moje dobra pod
Sanokiem, a ja wezmę twoje w
Wielkopolsce.

I jeszcze jeden najświeższej
daty ewenement wojenny ważył na
polu elekcyjnym, aczkolwiek
przytrafił się dość daleko. 10
lipca księżę siedmiogrodzki
Stefan Batory de Somlyo odniósł
pod Zamkiem św. Pawła nad rzeką
Maros walne zwycięstwo. Rozbił w
puch pułki swego współzawodnika
- i późniejszego przyjaciela -

Kaspra Bekiesza. Stanał w glorii doskonałego wodza, a dokonawszy konfiskaty wielu majątków miał do rozporządzenia znaczną ilość gotówki. Kazał też strącić kilka głów magnackich, co nie wszystkich jednak w Polsce musiało mierzić, skoro niektórzy ztwolennicy Iwana Groźnego liczyli na jego znany talent rozprawiania się z wielmożnymi.

W roku poprzednim Andrzej Dudycz szydził niemiłosiernie z nieśmiałych zresztą pomysłów obwołania Madziara królem Polski: "Śmieszne jest to ich przedsięwzięcie i na nic się nie przyda, chybyby Bóg chciał dziwowisko pokazać i naród ten już zupełnie zatracić". I tym razem kandydatura Batorego stała słabo, nikt go specjalnie nie reklamował. Prawda, zalecał go Polakom sułtan, lecz dopiero na trzecim miejscu - po "Piaście" i

Szwedzie. Protekcja ze strony Stambułu była cennym walorem, godność lennika tureckiego szczególnie mocno kłopotliwym.

Tak więc na początku elekcji dość cicho było o Batorym, za to głośno o Annie Jagiellonce. Sławił ją bardzo poseł szwedzki, Andrzej Lorichs, Francuz z pochodzenia. Wierny swemu marzeniu Jan III zgłaszał się bowiem do korony polskiej. Kazał swemu ambasadorowi wynosić pod niebiosą cały ród jagoelloński, przedstawiać królewicza Zygmunta jako nie tyle Wazę, co Jagiellończyka. Monarcha ze Sztokholmu niezbyt jednak zręcznie sobie poczynał. Inni kandydaci obiecywali Rzeczypospolitej rozmaite zyski, on przyrzekał jedynie zrzec się należności swej małżonki, Katarzyny. Z dwóch głównych prowincji państwa szczególnie Litwa niechętnie odnosiła się do

Szweda, z którym miała na pieńku o Inflanty. Wielkie Księstwo niezłomnie trzymało się własnej recepty elekcyjnej: wynieść na tron arcyksięcia Ernesta ożenionego z Infantką.

Tymczasem w polskim odłamie stronnictwa austriackiego zaczęli brać górę zwolennicy samego cesarza, Maksymiliana II. Prymas Jakub Uchański zdecydowanie opowiadał się za nim. Otwierało to przed Anną perspektywy dosyć kręte. Miała oddać rękę Ernestowi, który na razie nie zostanie królem. Otrzyma koronę polską, lecz dopiero po elekcji, od ojca. Przewidywano bowiem abdykację Maksymiliana na rzecz syna.

W czasie składania wotów senatorskich kasztelan śremski Jakub Rokossowski herbu Glaubicz oświadczył, że jego zdaniem jedynym prawdziwym, godnym korony "Piastem" jest Anna Jagiellonka. Rokossowski stał po stronie Austrii. Jego wystąpienie było zręczną próbą

wyrwania z rąk przeciwników ich programowego sztandaru. Owszem - mógłby powiedzieć - zgadzamy się na "Piasta", ale w spódnicy; wyniesiemy go na tron i skojarzymy z Habsburgiem.

Mijały tygodnie, nastał już grudzień, a do zakończenia sporów było daleko i coraz dalej. Druga elekcja odbywała się w atmosferze o wiele groźniejszej niż pierwsza. Skłócone obozy raz za razem stawały pod bronią, starcie groziło w każdej chwili. Sztab główny cezarianów, czyli adherentów Austrii, mieścił się w warszawskim domu Giżanki, gdzie kwaterował prymas. Odwrotnie niż w Stężycy, przewaga liczby, oręża i siły fizycznej były po stronie

szlachty.

Cezarianie przypomnieli sobie i postanowili powtórzyć manewr, zastosowany przez ich przeciwników w maju, nad Wieprzem. Ustąpili z pola obrad pod Wola i zatoczyli własny obóz na skraju właściwej Warszawy na Nowym Mieście, w pobliżu stajen królewskich. Wyzyskując chwilę nieobecności posłów szlacheckich, którzy pojechali przedstawić panom braciom poglądy senatorów, arcybiskup Uchański okrzyknął cesarza Maksymiliana II królem. Stało się to 12 grudnia, późnym wieczorem.

Należało usankcjonować akt powołania nowego monarchy. Prymas, "zbrodni tej sprawca", ruszył do katedry Św. Jana. Tam wraz z biskupem Piotrem Myszkowskim, w otoczeniu nielicznego grona osób, zaintonował Te Deum.

Słabo to wypadło, w przyciszonych głosach śpiewających brzmiało przerażenie. Na Woli obozowały dziesiątki tysięcy uzbrojonej szlachty, z żelaznym uporem powtarzającej swoje: "Aż do

gardł naszych nie chcemy Niemca!" Kiedy prymas obwoływał imię Maksymiliana, niejaki Marcin Twarowski miał podobno zawołać, podnosząc do twarzy rusznicę: "Powściągnij, niegodny starcze, głos twój, czy uważasz, ile zbrodniczym czynem twoim gotujesz nieszczęść ojczyźnie!" Wolno wątpić o dosłownej wierności relacji pamiętnikarza, może Twarowski odezwał się mniej górnolotnym stylem. Ale groźba była realna. Arcybiskup miał się o tym nazajutrz dokładnie przekonać.

Drżącym głosem śpiewającym hymn w pustawej katedrze

przysłuchiwała się ze stall
Infantka. Cezarianie mieli ją w
ręku. Wojska ich obsadzały
Warszawę, przy bramach zamku
stanęły oddziały piechoty. Obóz
na Nowym Mieście cały był
"napełniony strzelbą i
działami". Dowodził Jakub
Secygniowski, wojownik wsławiony.

Wydaje się, że owego wieczoru
Anna uznała zwycięstwo
cezarianów za ostateczne. Ta
sama opinia omal zresztą nie
przeważała wśród zaskoczonej i
zrozpaczonej szlachty. "Takeśmy
byli boleśni, jakoby nas poganie
już wiązać mieli" - wyznaje
Andrzej Lubieniecki, uczestnik
tych wydarzeń. Ziemiaństwo bez
mocarstwowych złudzeń witało
perspektywę zatargów z sułtanem.
Miało jednak na szczęście
przywódców, którzy wcale nie
uznali sprawy za przegraną.
Pierwszy wystąpił w tym duchu
Stanisław Górka, "mały ciałem,
ale potężny duchem, nieulekły
obrońca swobód ojczystych" (a w
przyszłości jeden z najtęższych
w kraju warchołów). Niski,
garbaty, obrotny i dowcipny,
bogaty jak mało kto w Polsce,
należał Górka do tych magnatów,
którzy trzymali z "piastowcami".
Teraz wezwał rycerstwo do
pozostania na miejscu i dalszego
działania. Posłuchano go, dzięki

czemu zmarniała dokonana przez
Jakuba Uchańskiego próba zamachu
stanu. Prymasowi udało się
zaskoczyć kraj, lecz tylko na
jeden wieczór.

13 grudnia Jan Zamoyski,
przemawiający w imieniu
województwa bełskiego i
wszystkich ziem ruskich, uznał
za "Piasta" Annę Jagiellonkę i
zalecił ją do korony. Na fali
powszechnego wzburzenia wnioski
przeplływały gładko. Infantka nie
mogłaby rządzić sama, upatrzono

więc na opiekujów Kostkę i Tęczyńskiego, wojewodów. Nie mogła nadal trwać w stanie panieńskim...

Niepodobna przysięgać, kto pierwszy podniósł głos za Stefanem Batorym. Julian Bartoszewicz utrzymuje, że uczynił to Stanisław Szafraniec. Mowa pana z Pieskowej Skały była kunsztowna. Orator stopniował efekty, podniecał ciekawość słuchaczy, kazał im czekać na decydujący akcent. Długo nie wymieniał nazwiska. "Bo acz nas wielu było, cośmy wiedzieli, gdzie mierzy - opowiada Lubieniecki - ale było też wielu takich, co się tego nie domyślili, bo tak mały był u nas przez wszystek czas owej elekcji kandydat Batory".

Mówca zdradził nareszcie tajemnicę i na polu rozległy się głosy: "Dobry, dobry, przestaniemy na nim." Wtedy Szafraniec palnął o ziemię czapką i krzyknął na całe gardło: "Umilknijcie w swych aklamacjach, jakimi Rzeczpospolite giną! Puścić per vota, niechaj libere in libera electione każdy zdanie swe powie!"

Szlachta koronna nie potrzebowała się wstydzić swej kultury parlamentarnej.

Najgłośniejsze okrzyki zamaskowałyby tylko opozycję. Nie wszyscy tak już od razu zapłonęli entuzjazmem dla

Batorego. Szczególnie obstawali przy swoim piastowscy zwolennicy cara Moskwy. Zaczęło się charakterystyczne dla dawnej Polski "ucieranie", czyli nakłanianie kontradecentów do zmiany zdania i przychylenia się na stronę większości. Zamiar się powiódł, "iż to byli ludzie cnotliwi i dobro ojczyzny

wspólnie miłujący".

Zastrzeżono, że Batory ma poślubić Annę i wstąpić na tron jako jej małżonek. Potem dodano jedno więcej, bardzo trzeźwe i potrzebne wyjaśnienie: gdyby Infantka zmarła wcześniej od męża, Stefan nie utraci korony. Kto patrzył w przyszłość oczyma racjonalisty, ten musiał żądać umieszczenia takiego artykułu na liście warunków umowy. Znany z dobrego zdrowia książę Siedmiogrodu był równo o dziesięć lat młodszy od wiecznie chorującej Jagiellonki. Urodził się 27 września 1533 roku.

Wybrany przebywał daleko, wybrana blisko. Do niej więc najpierw, bo jeszcze tego samego dnia, dotarli posłowie szlachty. Cezarianie nie uważali widać swych przeciwników krajowych za wrogów w pełnym tego słowa znaczeniu, skoro wysłannicy bez przeszkód dostali się na zamek.

Infantka przyjęła ich w sposób majestatyczny, jak przystało na członkinię dynastii. Sama nie przemawiała. Uczynił to w jej imieniu i przez nią ułożonymi słowami biskup Starożrebski:

"Wiecie waszmościowie, że świętej pamięci Król Jego Mość, brat mój, wyznaczył mi testamentem senatorów opiekunów, nic bez ich rady czynić nie wolno. Chciejcie więc do dnia jutrzejszego poczekać na odpowiedź moją".

Infantka nadal zachowywała się powściągliwie. Maksymilian był już okrzyknięty królem, Batorego jeszcze to nie spotkało. Warszawę i sam zamek trzymali

cezarianie. A ponadto - poczucie godności własnej zabraniało okazywania entuzjazmu. Tylekroć zwodzona i poniżana niewiasta kazała teraz własnym zwolennikom... czekać. Zgoda na

polu elekcyjnym nie pozbawiała wcale znaczenia rozkazów nie żyjącego króla. Siostra dbała o autorytet zmarłego brata, o samą zasadę monarchii. Chciała męża i korony, aby rządzić. Nie życzyła sobie roli osoby łaskawie obdarowanej.

Tegoż wieczoru zdarzył się wypadek, który na pewno dał Annie sporo do myślenia. Ktoś nie znany strzelił z samopału do prymasa Uchańskiego, idącego z zamku do swej kwatery w domu Giżanki. Zamachowiec nie zamierzał straszyć, chciał zabić. Kula świsnęła arcybiskupowi tuż przy głowie. "Nie znaleziono złoczyńcy ani też go bardzo szukano".

Pani nie zdradzała przedwcześnie swych intencji, jej dwór mniej się krępował i okazywał jawną niechęć obsadzającym zamek cezarianom. Pewna starsza matrona z otoczenia Infantki, dostrzegłszy przez okno Secygniowskiego, doradziła mu niezbyt uprzejmie, aby przestał się chować pod babskimi spódnicami i zamiast szykować broń na rodaków, wyciągnął w pole przeciwko Tatarom. "Secygniowski srogim marsem spojrział na niewiastę, lecz nic jej odpowiedzieć nie śmiał".

14 grudnia posłowie szlachty przybyli po słowo Infantki. Przyjął ich wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł, oświadczając, "iż dziwno mu bardzo, że stan rycerski chce im wydrzeć z rąk władzę, którą przez śp. króla powierzona meli nad Infantką, że do nich tylko należało obierać jej męża".

Nie powstrzymało to zebranej pod Wolą szlachty od

ostatecznych decyzji. Marszałek izby poselskiej Mikołaj

Siennicki zwrócił się do niej z trzykrotnie powtórzonym zapytaniem, czy chce mieć panem dotychczasowego księcia Siedmiogrodu, a usłyszawszy trzykrotny okrzyk zgody, wygłosił słowa:

"Ogłaszam wam Stefana Batorego królem polskim, wielkim księciem litewskim, ruskim, pruskim, mazowieckim etc., pod warunkiem, że się złączy małżeństwem z Infantką Anną!"

Wyboru Stefana I nie obwieścił więc prymas ani żaden z biskupów. Dokonał tego protestant, jeden z najwybitniejszych, a może w ogóle najlepszy przywódca izby poselskiej sejmów walnych Korony Polskiej z czasów Zygmunta Augusta. Nazwisko Mikołaja Siennickiego wpisane jest do najświetniejszego rozdziału dziejów naszego parlamentaryzmu.

Wieczorem doniesiono szlachcie, że Mikołaj Radziwiłł szorstko powiedział Annie:

"Nie pójdziesz Wasza Królewska Mość za nikogo innego za męża, jak za arcyksiążęcia Ernesta, zwłaszcza że już cesarz Maksymilian, ojciec jego, jest królem naszym".

Odpowiedź Infantki utrzymana była w dotychczasowym stylu:

"I mnie, i całą Rzeczpospolitą woli Najwyższego oddaję".

Okrzyknięcie królem na polu elekcyjnym nie wystarczało, należało jeszcze dopełnić dalszej ceremonii. 18 grudnia marszałek wiekli koronny Andrzej Opaliński obwołał Maksymiliana na zamku. Tegoż dnia marszałek nadworny Andrzej Zebrzydowski uczynił to samo z imionami Anny i Stefana. Wybrał jednak miejsce o wiele lepiej nadające się na trybunę. Obwoływał na Rynku Warszawskim.

Opalińskiemu w chwili uroczystego aktu zabrakło przy

boku kolegi. Zgodnie z prawem, jednocześnie powinien był wystąpić w imieniu Litwy jej marszałek wielki. Ale piastujący tę godność Jan Chodkiewicz, hrabia na Szklowie i Myszy, zawiódł. Wyjechał z Warszawy nie opowiadając się nikomu. A przecież to on właśnie 12 grudnia dodawał Uchańskiemu odwagi i zachęcał go do decydującego wystąpienia. Teraz prymas, rozczarowany i wściekły, głośno opowiadał, ile pieniędzy otrzymał Chodkiewicz od Maksymiliana i pomawiał go o chęć przejścia na żołąd Batorego.

Postępek marszałka litewskiego miał duże znaczenie. Dotychczas Wielkie Księstwo solidarnie stało za Maksymilianem, nikt z jego obywateli nie opowiedział się za Batorym. Obecnie w zwartym froncie powstawał wyłom. Chodkiewicz jeszcze wprawdzie nie przeszedł na stronę Węgra, ale uchylił się od dalszego popierania Niemca.

Energia i spójność stronnictwa dawnych "piastowców", a teraz już batorian, zaskoczyły wszystkich. Ich przeciwnicy zaczęli się po prostu wycofywać, uchodzić z pola. Co się tyczy Chodkiewicza, to Wincenty Zakrzewski nie wątpi, że na uczynek jego oddziaływała postawa Infantki, która przestawała się wahać.

Anna długo wzdrygała się dopuścić przed swe oblicze posłów cesarskich. Wreszcie ustąpiła, przyjęła list Maksymiliana. Jej uprzejma, lecz powściągliwa odpowiedź, nosząca datę 19 grudnia, nie zawierała ani wzmianki o wybraniu cesarza na tron polski, ani też powinszowań z tego tytułu. Wrogom Batorego, z którymi ciągle miała wszak okazję debatować w obsadzonym przez nich zamku, wprost mawiała: "Któż może mi odradzać przyjęcie tego, co szlachta nie prosiła

dobrowolnie mi ofiarowuje, skoro przecież dostojni potentaci i wielcy monarchowie ubiegają się o koronę?" Wreszcie zdobyła się na całkowitą szczerłość, oświadczając, że woli być królową niż królewiczową. Za cesarza wyjść przecież nie mogła. Maksymilian był żonaty. Jeszcze w grudniu doniesiono mu do Wiednia, że Infantka daje batorianom pieniądze na zbrojenia.

Zgodnie z powziętym podczas elekcji postanowieniem, 18 stycznia 1576 roku ściągnięto pod Jędrzejów pospolite ruszenie. Tym razem była to już nie tylko demonstracja energii, ale i siły. Zbrojne oddziały wypełniły klasztor Cystersów, miasteczko oraz wioski w promieniu pięciu mil. Stanisław Górka - wraz ze Stanisławem Cikowskim powołany na wodza - zadziwił wszystkich jakością wystawionych własnym sumptem oddziałów. Przyprowadził stu ciężkich kopijników, stu pięćdziesięciu lżej, lecz również znakomicie uzbrojonych pancernych, setkę dobrej piechoty oraz sześć dział. Już wcześniej, bo zaraz po wyborze Stefana, Stanisław Szafraniec i Andrzej Firlej pozastawiali własne majątkości, by zyskać pieniądze w każdym działaniu potrzebne. Wystąpieniom batorian nie sposób odmówić zdecydowania i woli zwycięstwa.

Strona przeciwna nie kapitulowała, poprzestawała jednak przeważnie na gadaniu i protestach papierowych. Prymas Uchański piorunował w Łosiczu, rozsyłał rozmaite uniwersały. Poselstwo Maksymiliana przybyło w pobliże Jędrzejowa i roztasowało się w Sobkowie, w zamku, którego ruiny dostrzeże

dziś każdy pasażer pociągu
krakowskiego, spojrzawszy z
mostu w dół Nidy. Przewodniczył
legacji Wilhelm z Rożemberku, ów

sympatyczny Czech, który w
sposób dla siebie samego
nieoczekiwany i podczas
pierwszej i drugiej elekcji
znalazł się wśród kandydatów do
korony polskiej.

Wymowniejsze od manifestu
Maksymiliana było pismo,
przywiezione do Jędrzejowa przez
Hieronima Filipkowskiego. Młody
ten szlachcic dokonał wyczynu
godnego uwagi. W przeciągu
miesiąca zdążył dotrzeć konno do
Siedmiogrodu, zobaczyć się z
jego władcą i na czas powrócić.
Udało mu się szczęśliwie przebyć
połacie Węgier podległe
cesarzowi i nie wpaść w ręce
beskidników. Przywiózł list
Stefana Batorego:

"Im mniej spodziewaliśmy się
zaszczytu, który nas spotkał,
tym większą wdzięczność czujemy
dla was, Prześwietne Stany, za
ten dowód szacunku, któryście mi
(za natchnieniem Boga samego) w
obronieniu mię królem waszym
okazali. Bądźcie pewni, iż
wszystkie siły, fortunę, zdrowie
i życie moje na to poświęcę, by
to świetne królestwo wasze w
chwale i zgodnie z prawami
sprawować. Nie taję wam, że
miałem już poselstwa i od
cesarza Jego Mości, i od księdza
Arcybiskupa (to jest od
Uchańskiego). Chętnie ja prawa
mego Jego cesarskiej Mości
odstąpię, jeżeli wy się
zgodzicie obronę królestwa
waszego jemu powierzyć.
Tymczasem w uspokojeniu
królestwa tego zdrowie
upatrując chrześcijaństwa
całego, jużesmy pisali do Porty,
do wojewody wołoskiego i do
chana Tatarów, by szanowali

granice królestwa waszego. Skoro tylko posłowie wasi do nas przybędą, nie omieszkamy pośród was stanać..."

Batory nigdy nie taił, że powołanie na tron polski uważa za wielki zaszczyt. Szczerłość postawy równoważyła mizериę jego

poprzedniego stanowiska.

Pospolite ruszenie prosto spod Jędrzejowa pociągnęło na Kraków, odległy - według ówczesnej rachuby - o dziewięć mil zaledwie. Sam rozum dyktował zajęcie stolicy manu militari, a to dla zabezpieczenia jej przed knowaniami cezarianów, które już się były zaznaczyły. Idący przodem Wielkopolanie przemaszerowali tylko przez Kraków nie szukając w nim kwater. Mieli rozkaz stanać w Mogile.

Przedtem jeszcze pojechało do Warszawy specjalne poselstwo, aby zaprosić Infantkę na Wawel.

28 lutego 1576 roku Anna "z królewskim prawie orszakiem do Krakowa przybyła". Siedziała w przepysznej kolebce o poszóstnym zaprzęgu. Wyjechało jej na spotkanie trzy tysiące konnicy, senatorowie, najwyżsi notable Korony. Zajęła na Wawelu te komnaty, w których mieszkał Henryk I. Taki wybór wcale nie wygląda na przypadkowy. Jagiellonka znowu czekała, lecz w jakże zmienionej roli. Teraz przybysz mógł wstąpić na tron z nią razem - lub wcale.

Opowiedziane w tym rozdziale wypadki układają się w sposób dziwaczny, Batory prezentuje się niczym typowy deus ex machina. Nikt prawie o nim nie słyszał, obcy dyplomaci szydzili zeń, i oto w przeciągu kilku godzin całe pole elekcyjne dochodzi do zgody i wiwatuje na cześć nie znanego Madziara. Pozostawmy

więc na chwilę Infantkę w spokoju i zajmijmy się kwestią nieoczekiwanej kariery jej przyszłego męża.

Hieronim Lippomano zapisał dobrze przed elekcją, że "wojewoda siedmiogrodzki... pozostaje w dobrych stosunkach z Polakami... jest przez nich kochany". Wielu, zwłaszcza w Małopolsce, zna go jako katolika "równie dobrego do rady, jak do

oręża". Państwo mogłoby się po nim spodziewać licznych korzyści, między innymi pokoju od strony Turcji. Jeżeli dojdzie więc do elekcji, niektórzy Polacy gotowi wysunąć jego kandydaturę.

Henryk uciekł, do elekcji, wysunięcia Batorego i jego wyboru rzeczywiście doszło. Wenecja przysłała do Krakowa naprawdę inteligentnego posła.

Andrzej Dudycz, który dawniej tak niemiłosiernie z Batorego kpił, już w sierpniu 1575 roku zaczął się nim po prostu niepokoić. Również nuncjusz dawał mu wielkie szanse. Jako wysłannik Siedmiogrodzianina zjawił się w Polsce Jerzy Blandrata, człowiek dobrze tu znany i popularny, dawny lekarz Bony oraz Izabeli Jagiellonki. Jego ariańskie wyznanie zjednywało mu umysły protestantów. Raz za razem dostawał Blandrata od swego pana znaczne sumy, co wywierało wpływ na sympatie pewnych magnatów. Pozyskany został ród Zborowskich, którzy liczyli, że przy mało znanym królu, poprzednio mizernym książątku, sami będą rządzić. Szafraniec i Górka znacznie wcześniej niż w dniu 13 grudnia przeszli na stronę Batorego czy pomyśleli o nim.

Czarniawy Węgier, o nosie "kęs

zakrzywionym, z jakim pospolicie
Atyllę malują", wcale nie
wyskoczył niczym czarcik z
pudełka.

A swoją drogą w perypetiach
życiowych Stefana są rzeczy
dopuszczalne tylko w literaturze
faktu lub w baśni.

Batory! Sam dźwięk tego
nazwiska kojarzy się z myślą o
Litwie, jej stolicy i kresach
północno_wschodnich, o wojnach z
carem Moskwy. Uniwersytet
wileński, którego studenci
nosili na czapkach tarczę z
trzema kłami wilczymi, czyli z

herbem Węgra, Psków, Wielkie
Łuki, Połock...

Nikt z Litwinów za Batorym nie
głosował, obrali go sami
koroniarze. Nie dały mu swych
kresek i Prusy Królewskie, a
przecież pierwszym jego
przedsięwzięciem była próba
przywiedzenia Gdańska do
uległości. Podczas elekcji,
która powołała Francuza,
posłowie Stefana zalecali
Polakom swego władcę lub...
Iwana Groźnego.

Batory kazał ściąć banitę i
warchoła Samuela Zborowskiego,
wszyscy to wiedzą i zapisują
królowi na plus. Pierwszym
magnatem polskim, który wszedł w
osobistą i przyjazną styczność z
księciem Siedmiogrodu, był
Samuel Zborowski. Wgnany z
Polski za zabójstwo Andrzeja
Wapowskiego podążył na dwór
Stefana, który go przyjął
gościnnie. Od Samuela wiodły
nici do pozostałej czwórki braci
Zborowskich, ich protekcja
dopomogła we wspinaczce po
stopniach tronu.

A cóż myśleć o głosujących na
Batorego, o potężnym
stronnictwie szlacheckim, które
skupiło się pod sztandarem
narodowym, "piastowskim",

poważnie myślało o Moskwicinie,
trochę o Czechu z Rożemberku,
ostatecznie zaś obrało Węgra?
Należy je ocenić w sposób
zdecydowanie dodatni.

W jednej z prowincji
Rzeczypospolitej, to znaczy w
Polsce właściwej, pod wpływem
przeżytych wstrząsów nastąpiła
konsolidacja średniego
ziemiaństwa i pomniejszej
szlachty. Nie nadające się do
ureczywistnienia hasło
powołania na tron rodaka
odegrało rolę formuły
politycznej, umożliwiającej
skupienie sił. Sprawą zasadniczą
była gotowość do solidarnego
działania oraz skłonność do
zgody wewnątrz własnego obozu.

"Piastowcy" wiedzieli, że trzeba
zagrozić drogę Habsburgom,
zapobiec zerwaniu z Turcją,
zapewnić państwu dalszy byt
niezależny, przedłużyć niejako
epokę jagiellońską. Reszta była
do uzgodnienia, które
rzeczywiście nastąpiło.

Znamienne, że konsolidacja
ogarnęła ziemian tych
województw, które najdłużej żyły
we wspólnej budowli. Pod
sztandarem narodowym skupiła się
Polska... Kazimierza Wielkiego.
Litwa oraz Prusy Królewskie do
ruchu nie przystąpiły,
aczkolwiek przywódcami w tej
ostatnio wymienionej prowincji
byli Polacy tak "rasowo"
rdzenni, jak ród Działyńskich.
Razem z Krakowianami i
Wielkopolanami szła za to Ruś
Czerwona. Raz jeszcze się
potwierdziło, że nie "rasa"
żadna, lecz państwo stwarza
naród. Najdawniej zjednoczone
dzielnice królestwa popisały się
największą zwartością i
patriotyzmem.

Samorzutnie i zdecydowanie
wysunęła się w monarchii naprzód

ta jej prowincja, której mieszkańcy reprezentowali najwyższy poziom dojrzałości politycznej i kultury. Wolno przypuszczać, że w państwie jednorodnym narodowo, mającym szczuplejsze granice i mniej zadań do rozwiązania, tego rodzaju konsolidacja wiele by osiągnęła, stworzyć by mogła mocny fundament przyszłości. A cóż zrobiła dla wielonarodowej Rzeczypospolitej? Dała jej najlepszego z królów elekcyjnych.

Przebywająca na Wawelu Infantka formalnie rzecz biorąc była już mężatką. 6 lutego Stefan zaprzysiął u siebie w Maggyes przedłożone mu warunki i wziął ślub zastępczy z polską królową. Nalegano, by i ona uczyniła to samo w Krakowie. Poseł węgierski posiadał mandat

upoważniający go do wystąpienia przed ołtarzem. Nie doszło jednak do tego. Anna ani jej doradcy nie kwapili się do ceremonii per procura, bądź co bądź wiążącej. Batory miał do przebycia ładny szmat drogi, na której czyhały rozmaite niebezpieczeństwa, chociażby w postaci zasadzek austriackich. Cesarz wcale nie rezygnował. Wkrótce ukazał się jego uniwersał o przyjęciu korony polskiej oraz o decyzji połączenia Ernesta z Anną. Infantka postanowiła widać czekać do ostatniej chwili, nie związywać ręki stulą przedwcześnie.

28 marca Stefan stanął na ziemi Rzeczypospolitej, w Śniatyniu. Graniczny Prut przekraczał nie będąc już lennikiem tureckim. Działął zdecydowanie, spalił za sobą mosty. Zrzekł się księstwa siedmiogrodzkiego, które wziął

po nim brat, Krzysztof Batory.

W Śniatyniu czekało oficjalne poselstwo koronne. Z wyjątkiem jednej osoby, wszyscy jego członkowie byli protestantami. Czekał również na Stefana wysłaniec biskupa Stanisława Karnkowskiego, Jan Dymitr Solikowski. Podczas tajnego posłuchania udzielił najpierw przybyszowi wszechstronnych informacji o stanie kraju, a zyskawszy zaufanie przystąpił do sprawy, która go w te odległe strony przyprowadziła. "Dowiodł mu - pisze Solikowski o własnej argumentacji - że katolicka wiara jest utwierdzeniem polskiego królestwa, że katolicy mężczyźni, a osobliwie duchowieństwo, są pierwszą i najznakomitszą częścią Rzeczypospolitej, głową senatu, duszą króla, pochodnią i duchem żywotnym, że tedy należy wyznawać wiarę prawdziwą i szczerze sobie poczynąć z Bogiem..."

Dwa lata wcześniej Graziani w podobny sposób pouczył zdążającego do Polski Walezjusza. Postarano się, by i Batoremu nie zabrakło przestróg na samym wstępie. Tym razem przemawiał jednak nie Włoch, lecz Polak (rodem z Oświęcimia). Kontrreformacja czyniła w Rzeczypospolitej szybkie postępy. Przecież i prymas Uchański, niedawno odszczepieniec prawie, już głosił gotowość do śmierci za Kościół.

W Siedmiogrodzie panował protestantyzm, zwłaszcza wśród możnych. Batory był katolikiem, ale doznawał jakichś przeszkód w praktykowaniu, skoro sam powiedział Solikowskiemu, że tylko "pod pozorem polowania często wybiegając do pewnego

starego mnicha odbywał spowiedź i uczęszczał do sakramentu ołtarza". Dziwne, że ów pustelnik zaniedbał go gruntowniej oświecić, wskutek czego Batory "jako żołnierz, znał tylko przedniejsze zasady wiary katolickiej".

Nazajutrz po rozmowie z Solikowskim Stefan na klęczkach wysłuchał mszy polowej, bo kościoła nie było jeszcze w Śniatyniu. Na ten widok otoczenie polskie orzekło: "Oto księży wdarli się w posiadanie króla". Przyszłość miała dowieść, że sporo było przesady w tym mniemaniu.

22 kwietnia, w poniedziałek wielkanocny, nowy władca zjechał do Krakowa. Z Mogiły wyruszył o świtaniu, na Wawel dostał się tuż przed zachodem słońca. Oracje powitalne i inne ceremonie zajęły cały dzień.

Batory miał na sobie pasowy żupan obszyty sobolami, siedział na koniu "rzadkiej dzielności". Przed nim prowadzono dwa równie ogniste rumaki, za nim szła przybrana na fioletowo piesza gwardia

przyboczna, składająca się z Węgrów, Polaków i Kozaków. Każdy żołnierz niósł długą rusznicę, krzywą szablę oraz siekierkę, służącą do rzutu. "Wiek wszystkich młody, wzrost ogromny".

Podobała się Polakom postać ich wybrańca, "zwięzła, urodziwa, czerstwa; twarz przystojna i rycerska", siła i zdrowie widoczne "w ręku i wszystkich członkach". Batory nie umiał ani słowa po polsku, za to łaciną władał znakomicie.

Na Wawelu najpierw skierował się do katedry, potem powitał swą przyszłą żonę w jej komnatach. Anna czekała nań w

otoczeniu całego dworu, świadka wszystkich dotychczasowych zawodów i poniżeń Jagiellonki.

Wieczerali narzeczeni osobno, każde u siebie.

Upłynął jeszcze cały tydzień, zanim się skojarzyli. Czas ten nie przysporzył Annie przyjemności. Docierało chyba do jej uszu, że pewni Polacy namawiają wprost elekta, by poszukał sobie młodszej połowicy. Zbijał ich wywody biskup Stanisław Karnkowski, który pierwszy z episkopatu przeszedł na stronę Węgra. Lepiej - mówił - znieść "niedogodność z wieku małżonki, niż królowej ze znakomitego rodu Jagiellonów miała by się stać jaka krzywda", a opinię tę podzielali niektórzy senatorowie.

Ludzie wahali się pomiędzy koniecznością polityczną a przyrodniczą. Ta ostatnia czyniła z zamierzonego stadła przedsięwzięcie jałowe i śmieszne. Konieczność polityczna rysowała się w sposób bardzo wyrazisty. Nie mógł przecież obcy parweniusz łamać głównego warunku elekcji, i to przed koronacją. Na uroczystość tę, jak się wkrótce miało okazać, przybyło trzydziestu ośmiu zaledwie senatorów. A było ich

razem w państwie stu czterdziestu. Nie zjawił się ani jeden dostojnik z Litwy. 10 kwietnia cesarz Maksymilian urządził w wiedeńskim kościele Augustianów szumną uroczystość. Wystąpił w koronie i z insygniami, zaprzysiągł pacta conventa. Odczytano po polsku potwierdzenie elekcji, heroldowie ogłosili to po całym Wiedniu, a gońcy ponieśli wiadomość do Francji, Hiszpanii, Włoch, do książąt Rzeszy Niemieckiej. Jeśliby doszło do

wystąpienia zbrojnego, mógł Maksymilian liczyć na pomoc Iwana Groźnego. Objąwszy władzę w Rzeczypospolitej zapłaciłby mu kosztem Litwy.

Jakieś prohabsbutrskie sugestie docierały i do Infantki, skoro nuncjusz Wincenty Laureo, przekonany i zażarty stronnik cesarza, użalał się na jej opór, który przypisywał wpływom złych ludzi.

Moc krwi napsuła Annie uchwała powzięta na odbytym niedawno zjeździe jędrzejowskim.

Postanowiono, że królowa winna przed koronacją zrzec się na rzecz państwa całego spadku po Zygmuncie Auguście.

Rzeczpospolita miała wejść w posiadanie skarbów tykocińskich, majątności ziemskich, praw do księstw włoskich. Na Wawelu dzień w dzień trwały targi - zajadłe, uparte, przerywane wybuchami płaczu kobiety o dostatki osobiste równie troskliwej, jak większość ludzi ówczesnych. Stała wreszcie ugoda wcale dla Jagiellonki nie krzywdząca. Przypadły jej w dożywotnie użytkowanie wszystkie ruchomości z Tykocina, z wyjątkiem sprzętu wojennego, ponadto oprawa na Mazowszu równa sumom, które otrzymywała ongi Bona, i doraźnie sześćdziesiąt tysięcy złotych do rozdania pomiędzy osoby zasłużone, czyli - w praktyce - politycznych

stronników Anny. Rzeczpospolita brała inne dobra Zygmunta Augusta oraz... jego długi.

1 maja 1576 roku odbyły się najpierw zaślubiny. Uroczystość nosiła charakter skromny. Widownią jej była przerobiona na kaplicę komnata, która dotychczas służyła pannie młodej za jadalnię. Z okien otwierał się widok na katedrę i miasto.

Zaraz potem nastąpił akt koronacji. Przysporzył on znacznych trudności mistrzowi ceremonii, bo nikt w całym państwie nie wiedział, jaki protokół zastosować. Poprzednia koronacja pary monarszej w Polsce odbyła się przed dwustu czterdziestu i trzema laty. Od czasu namaszczenia Kazimierza Wielkiego i Aldony żaden nasz król nie brał korony w towarzystwie małżonki. Nie przytrafiło się to ani jednemu spośród siedmiu Jagiellonów.

Długich namysłów wymagał również wybór celebransa. Prymas był głową wrogiego obozu. Zastanawiano się nawet, czy nie odjąć Uchańskiemu tytułu arcybiskupa - składając w ten sposób dowód dużej swobody myślenia, lecz i zamętu pojęć, bo pozbawić go tej godności mógł tylko papież. Arcybiskupstwo lwowskie było młodą stolicą, liczyło sobie zaledwie dwa wieki z okładem. Biskup krakowski, jako udzielny książę, nie nadawał się. Postanowiono wreszcie, że ceremonii dopełni biskup kujawski, będący hierarchą kościelnym z Wielkopolski. Uprawnienia moralne prastolecznej dzielnicy kraju zostały uszanowane, tradycja nie doznała krzywdy.

Prawy chłop (c.d.)

Przybrana w biały atłas Anna stała w prezbiterium katedry, czekając, aż biskup Stanisław Karnkowski namaści jej małżonka i włoży mu koronę. W tej uroczystej chwili weszli do kościoła członkowie komisji, redagującej układ o zrzeczeniu się spadku po Zygmuncie Augusty. Pracowali dotychczas tak pilnie, że nie mogli asystować przy ślubie królowej. Teraz - nie zwlekając i na nic

nie bacząc, przedłożyli jej dokument. Anna miała go podpisać natychmiast, tu w prezbiterium, koniecznie przed ukoronowaniem. W ostatniej godzinie piastowania tytułu Infantki, tuż przed wymarzonym tryumfem, Jagiellonka znowu zalała się łzami. Płacząc wzięła podane pióro i podpisała cyrograf. Sama była sobie winna. Za długo się poprzednio upierała.

Żadna ze stron nie popadła, jak widzimy, w lekkomyślną euforię. Rozpowszechnione wyobrażenia o szlacheckim sposobie traktowania spraw doczesnych bywają dość odległe od prawdy.

W nakazanym przez ceremoniał momencie marszałek nadworny obrócił się twarzą do nawy i po trzykroć zapytał, czy wszyscy pragną, by korona polska spoczęła na skroniach Stefana. Odpowiedziały najpierw chóralne okrzyki: "Chcemy! Fiat! Niech żyje!", a potem pojedynczy głos: "Nie chcemy! Nie pozwalamy! Nie wszyscy!".

Ktoś chwycił krzykacza za ramiona, wymykając mu i zowiąc zdrajcą. Zaraz jednak przywrócono spokój. Mąciicielem okazał się książę Massalski, specjalnie po to przysłany przez Litwinów, aby założyć protest w imieniu Wielkiego Księstwa, nieobecnego zarówno podczas elekcji, jak i koronacji Stefana Batorego.

Kiedy przyszła kolej na Annę, zapytania nie były potrzebne. Namaszczenie męża automatycznie otwierało drogę żonie. Marszałek obwieścił więc nawie:

"Niech wiedzą wszyscy, że królowa będzie ukoronowana!"

W koronie, z berłem i jabłkiem monarszym zasiadła Jagiellonka na tronie pośrodku katedry - obok Stefana I.

Po ukończeniu nabożeństwa w tłumie przed katedrą odezwały się żwawe okrzyki:

"Wychodź, kto cesarczyk! Będa ścinać, ćwiartować!"

Tradycyjna uroczystość pokładzin odbyła się nazajutrz, 2 maja. Była znacznie bardziej pompatyczna od tamtej, co oddawała Bonę Zygmuntowi Staremu. W komnacie sypialnej wygłaszano mowy do króla i w jego imieniu, wojewoda Piotr Zborowski składał mandat opieki w ręce małżonka. Wreszcie Stefan został sam na sam z Anną "i dzieląc z nią łożę, dokonał ślubowanego małżeństwa".

Zgodnie z obyczajem, nazajutrz otrzymała królowa dary. Były okazałe: "manille, zawieszenie na szyję i piersi z najdroższych, nie mających ceny diamentów i pereł, przy nich szczerozłota taca, cała napełniona dużymi sztukami złota portugalskiego, z których każda dziesięć czerwonych złotych ważyła".

Po Krakowie opowiadano, że gdy składano królestwu powinszowania poślubne, któryś z obecnych szlachciców mruknął wcale głośno: "Zródź, babo, dziecko, a babie sto lat..."

Konieczność polityczną urzeczywistniono kosztem przyrodniczej. Istniała pełna świadomość położenia, złudzeń brakowało.

Osobiste apartamenty pary królewskiej urządzone w sposób świadczący o dyskrecji. Tylko mały pokój rozdzielał

sypialnie. Stefan spędził u żony dwie czy trzy noce, po czym bezceremonialnie oświadczył jej, że może go odwiedzać, ilekroć zechce. Najbliższego wieczoru Anna poszła i czekała na męża przez pięć godzin, nazajutrz

przez siedem - nadaremnie.
Powróciła do siebie rozżalona,
udręczona moralnie. Rano dostała
gorączki, kazała sobie krew
puszczać. Król odwiedził chora,
lecz dopiero "na usilne
perswazje pewnych oddanych jej
panów".

Stefan I zdobył sobie u
współczesnych opinię człowieka
pozbawionego pociągu do
małżeństwa, a bodajże w ogóle
nie zabadto czulego na wdzięki
niewieście. Ale pasują do niego
również słowa, które w
przyszłości Talleyrand głośno
powiedział o Napoleonie: "Jaka
szkoda, że tak wielki człowiek
jest równie źle wychowany".

Węgier był gburowaty,
odznaczał się szczególnego typu
swobodą towarzyską. Zasiadając w
pełnej radzie senatu potrafił
raptem ściągnąć but i pozostać
"w spodniej ciźmie podartej i
zniszczonej, ku zdumieniu i
drwinie tych panów". Łatwo sobie
wyobrazić miny senatorów
koronnych, których dworskość i
ogłada zadziwiały zarówno
Francuzów, jak Włochów.

Szczegóły o pożyciu małżeńskim
Stefana I oraz o jego butach
pochodzą z szyfrowanych
fragmentów raportu, który biskup
Wincenty Laureo 5 czerwca 1576
roku wysłał ze Skierniewic do
Rzymu. Nuncjusz uważał, że każda
informacja może się przydać w
polityce, zwłaszcza zaś
dotycząca nieporozumień w
rodzinie królewskiej i pomiędzy
nowym panem a poddanymi. Pisał
po włosku. Bardzo gruby tom jego
rozszyfrowanych depeesz został w
Polsce wydany w języku oryginału
i nie doczekał się
przekładu. Cytowane tu urywki

przetłumaczyła Barbara
Sieroszevska.

Tajemnice sypialni królewskiej

zdradził nuncjuszowi kanonik Gasparo, "oddany dworzanin Infantki". Laureo nadal z premedytacją używał przebrzmiałego tytułu. Stefan też nie był dla niego królem, lecz księciem Siedmiogrodu, a w tekście szyfrowanym nieraz po prostu Transylwańczykiem - "il Transsilvano".

Księciem siedmiogrodzkim zwała również Stefana delegacja litewska, która 3 maja pojawiła się w Krakowie. Pięcioosobowemu zespołowi przewodniczył Jan Hlebowicz, kasztelan miński. Wytoczył on rozmaite zarzuty, dotyczące rzekomego pomijania głosu Litwy przy elekcji. Odpowiedziano, że Wielkie Księstwo o wszystkim w porę zostało uwiadomione i mogło działać bez przeszkód na równi z Koroną. Znacznie od tego wszystkiego ciekawsze są akcenty zawarte w liście, który Hlebowicz wysłał do Jana Chodkiewicza już 8 maja.

"O pani Annie nic dobrego sperandum: widzę jako chłopą dopadła, gębę nosi wysoko a hardo, ale widzę po samym, że go rządzić nie będzie, bo prawy chłop i by nie trwoga, widzi mi się, żeby sobą nie dał hardo chybać".

Był to najwcześniejszy hołd złożony przez Litwę jej bohaterowi, podarowanemu przez Polskę.

Co się tyczy "chybania" oraz "trwogi", to zdaje się, że Hlebowicz uległ łudzającym pozorom. Nowy król musiał postępować oględnie. Nic nie powiedział, kiedy raz pewnego wszedł do komnaty wojewoda bełski, wziął Stefana pod rękę i odprowadził na bok, głośno polecając obecnym, aby zamknęli drzwi i nikogo nie wpuszczali, bo on teraz będzie rozmawiać z

monarchą.

"Siedmiogrodzianin - pisał nuncjusz - okazuje się tak swojski w stosunkach z tutejszymi panami, że zaczynają go lekceważyć, zwłaszcza że w stroju nie przejawia pompy ani zdobności i niechętnie widzi tych, którzy to czynią. Jego pożywienie jest prawdziwie żołnierskie - wołowina, czosnek, cebula - a pije z umiarkowaniem. (Z umiarkowaniem bardzo względnym, dodajmy. Po zgonie króla w piwnicach zamku grodzieńskiego naliczono pięćdziesiąt i jedną beczkę wina. Zbytne zamięłowanie do tego napoju skróciło Stefanowi życie. - Przypisek mój P. J.) Taka wstrzeźliwość jest nader wskazana w Polsce, gdzie większość panów zużywa całe swe dochody na odzież, jedzenie i napitki; że jednak naród za poprzednich królów przywykł do innego zgoła obyczaju, niechętnie teraz widzi taką odmianę i gardzi nią; byłoby zatem lepiej, żeby księżę pofolgował nieco swoim zasadom, zbliżając się do upodobań narodu, i dopiero gdy zdobędzie władzę i zaufanie popróbował po trochu zaszcześcić w nim dobre obyczaje".

Zabiegi mające na celu rzeczywiste objęcie władzy zaczęły się natychmiast. Najpierw doznali rozczarowania niektórzy z tych, co dopomogli Stefanowi do osiągnięcia tronu. Nowy król nie okazał łaski stronnictwu dworskiemu, czyli ludziom królowej. Wynika to jasno z tego samego listu nuncjusza, pisanego - trzeba przypomnieć - w miesiąc zaledwie po koronacji.

"Pani Infantka jest wielce niezadowolona, nie ma bowiem tej władzy, jaką się mieć spodziewała, po wtóre pożycie małżeńskie nie daje jej zadowolenia, a wreszcie

dworzanie zmarłego króla nic nie
zdołali uzyskać; stąd też liczba
malkontentów jest tak wielka, że
gdyby tylko cesarz zechciał, to
teraz, zanim partia przeciwna
rozwinie działanie, miałby wielu
stronników i mógłby bez
wielkiego trudu królestwem
zawładnąć; tymczasem jednakże
aparatus nie jest gotów, a władza
nowego króla wzrasta i niebawem
stronnictwo nasze będzie musiało
się poddać albo cierpieć
prześladowanie. Nie omieszkałem
ostrzec o tym wszystkich
ambasadorów cesarza.

Rzeczona pani tym bardziej
jest niezadowolona, że przebywa
w Krakowie, gdzie Zborowscy,
rządzący nie tylko tym miastem,
ale i królem, są jej jawnie
przeciwni, tak że mało co
zdołała od męża uzyskać dla
swoich; spośród wielu innych
afrontów spotkał ją i ten, że
kiedy po balu mąż podawszy jej
prawe ramię odprowadzał ją na
pokoje, marszałek Zborowski ujął
króla za lewą rękę i odciągnął
od niej, mówiąc, że tak się nie
godzi i że powinna kroczyć za
mężem.

Nieszczęsna królowa chodzi
blada i zgnębiona i zapada na
zdrowiu ze zmartwienia,
zwłaszcza że mąż, nie będąc ani
nawykły, ani z natury (jak
powiadają) skłonny do
małżeńskiego jarzma, poczyną
sobie z nią jak prosty żołnierz,
nie jak książę".

Przygnębienie zdradzała pewnie
Anna tylko wobec swych
domowników, którzy byli
informatorami nuncjusza.
Litwinom potrafiła przecież
pokazać harde oblicze. Biskup
Laureo przesadził zresztą w
ocenie postępków Zborowskiego.
Polska tradycja rzeczywiście
nakazywała królowi iść zawsze
przodem i samotnie. Własna matka

Anny przez długie lata chadzała
za plecami Zygmunta Starego, co
jej w zagarnięciu władzy wcale

nie przeszkodziło. Jeden ze
skandynawskich historyków
precyzyjnie określił, na czym
polegała istota zaskoczenia i
rozzarowania Jagiellonki:
Pomogła wydobyć z cienia nicość,
która okazała się geniuszem.

Z charakterem Stefana I mieli
się wkrótce zapoznać i
Zborowscy, odsunięci na bok w
sposób bezwzględny.

"Próby" Michała de Montaigne
zawierają wymowną opinię autora
o Stefanie: "Ten, którego Polacy
obrali swym królem, był naprawdę
jednym z największych władców
naszego wieku".

Węgier posiadał pewien talent,
przytrafiający się na świecie
bez porównania rzadziej od
zdolności administracyjnych i
przywódczych. Ten sam, którym
się tak bardzo odznaczał słabo
poza tym przez naturę obdarzony
Aleksander Jagiellończyk. Umiał
wyszukiwać ludzi wybitnych,
przyciągać ich do siebie i
czynić swymi przyjaciółmi. Można
jak najśluszniej wytykać Janowi
Zamoyskiemu jego chciwość,
wyzyskiwanie poddanych,
demagogiczne skłonności i temu
podobne grzechy ciężkie. Ale nie
ulega wątpliwości, że był on
największym polskim mężem stanu
owej doby. Do opozycji, jak
wiadomo, nie został zepchnięty.
Należeli do niej podówczas sami
warchołowie.

Po cóż pozostawać na
szczytach, rozprawiać tylko o
Janie Zamoyskim czy Stanisławie
Żółkiewskim? Sebastian Petrycy
napisał o Stefanie I: "Ludzie i
poddane swoje znał, gdy o którym
się wywiedział znacznym w
postępkach człowieka, choć go
nie widział, pamiętał go, do

regestrzyku swego wpisal".
OczywiŹcie nie tylko dla
przyjemnoŹci posiadania wykazu
osb wyroŹniajacych się. MoŹemy
ufać, Źe regestrzyk monarszy
prowadzony był starannie. oto
zdanie księdzka Tomasza Płazy,

proboszcza od św. Floriana w
Krakowie: "Król nigdy nie
próżnuje, albo pisze, albo
czyta, albo listy przegląda".
Gdy mu wręczono dzieło Marcina
Kromera "Polonia", zaczął je
studiować ledwie skończywszy
obiad.

Królowa zaraz niemal po ślubie
odczuła talent męŹowski, o
którym mowa. Stefan zabrał z jej
dworu i sobie przydzielił
Andrzeja Patrycego Nideckiego.

JuŹ we wrześniu 1572 roku Anna
postarała się o zaliczenie tej
zbnakomitoŹci pomiędzay swych
stałych pomocników. Dobrze było
mieć na usługi wybitny umysł i
pióro. Nidecki znał stosunki
włoskie, był pomocny w
nieustajacych staraniach o
spadek po Bonie. Teraz, z
rozkazu nowego pana, miał się
zająć czymś zgoła innym. "Ja nie
tyle tryunfuję - pisał świetny
filolog do Marcina Kromera - jak
raczej w tryumfie jakby jeniec
jestem prowadzony". Działo się
to w lipcu 1576 roku. Zaraz w
następnym ukazały się
wydrukowane w Malborku zapiski o
buncie Gdańska. Formalnie
autorem ich był Nidecki, ale de
facto broszura zawierała pogląd
nie tylko skontrolowany, ale
wprost wyznaczony przez króla,
którego osoba stała w relacji na
pierwszym planie.

Stefan I utrzymywał coś w
rodzaju biura prasowego. Nawet
podczas wojen, w obozach, stale
przy nim funkcjonowała drukarnia
polowa, kierowana przez
Walentego Łypczyńskiego.

Monarcha niezmiernie dbał o
urabianie opinii publicznej w
duchu swej polityki i zamierzeń,
stale się troszczył o
przedstawianie ogółowi
oficjalnej wersji wydarzeń. Był
wprost wyczulony na
historiografię. Zabiegał o
otwarcie archiwów watykańskich
dla dziejopisarzy z Polski i
Węgier, zachęcał ludzi do

poświęcania się studiom nad
przeszłością, kazał sporządzać
mapy. Troska królewska o
znajomość historii przejawiała
się jednak niekiedy w sposób
niezbyt zasługujący na uznanie.
W lutym 1580 roku ukazał się w
Warszawie dekret głoszący, że
wszystko, co tylko dotyczy
przeszłości państwa lub spraw
współczesnych, jest niezmiernie
ważne i wobec tego "bez naszej
wiedzy i przyzwolenia" nie wolno
niczego drukować ani
rozpowszechniać... pod karą
śmierci. Zakaz odnosił się
również do wszelkiego rodzaju
obrazów tudzież rysunków.

Król nie rozstawał się z
dziełami Cezara, chciwie
czytywał innych dziemopisarzy.
Godność ojca duchownego cenzury
prewencyjnej w Polsce mniej mu
się chwali.

Cenne utwory Reinholda
Heidensteina miałyby
niewątpliwie jeszcze większą
wartość, gdyby w chwili ich
narodzin nie było nad nimi
kontroli. Stefan sam je
"rewidował i poprawiał", jak się
wyraził Jan Zamoyski. Marginesy
rękopisów pstrzyły się
własnoręcznymi uwagami króla.

Trudno nie wspomnieć, bo żał
za wielki, iż Andrzej Patrycy
Nidecki również napisał z kilku
ksiąg się składającą historię
swoich czasów. Nigdy nie
ogłoszona drukiem spoczywała w

archiwum uniwersytetu, który Stefan I założył w Wilnie, i zaginęła bez śladu, gdy cesarz rosyjski Mikołaj I zamknął tą uczelnię, a zbiory jej rozproszył.

W 1584 roku ukazała się w Krakowie rozprawa zaprzeczająca bóstwu Chrystusa. Napisał ją Niemiec, Chrystian Franken. Akademia Jagiellońska zawrzała oburzeniem, rozpętała się gwałtowna polemika. Autor wolał zniknąć z widowni, uszedł z Polski. Dostał się do więzienia

drukarski, Aleksy Rodecki. Niedługo cierpiał w ciemnicy. Na prośbę Stanisława Taszyckiego król kazał go uwolnić.

Stefan cenzurował wszystko, co się wiązało z polityką (pojmowaną przezeń aż nadto szeroko, czemu nie warto przeczyć). Do filozofii i wiary niczyjej się nie wtrącał. Głoszona w Śniatyniu opinia, że książęta zagarnęli go w posiadanie, grzeszyła przesadą.

Król zabrał małżonkę Nideckiego w lipcu, czyli w dwa miesiące po koronacji. Panowanie Stefana od początku cechował rozmach i konsekwencja w dążeniu do wytyczonych celów. Całkiem tak, jakby nowa władza była już zupełnie ustabilizowana i nic jej z zewnątrz nie zagrażało. A przecież cesarz wcale się Wawelu nie wyrzekł. Nuncjusz nie uznawał wybrańca szlachty i tak sobie wytyczał szlaki w Polsce, by się z nim nie spotykać. Dlatego właśnie usunął się z Warszawy do Skierniewic, skąd słał do Rzymu swe arcyenne raporty.

Pojechało do Niemiec poselstwo mające załagodzić sprawę i skłonić Maksymiliana do wyrzeczenia się roszczeń. Niewiele wskórało, a na

wyjezdnym ktoś je ostrzegł, by się miało na baczności. Polacy zwrócili się więc do cesarza o "kartę przejścia". Otrzymali wyniosłą odpowiedź, że na terenie całej Rzeszy nic im nie grozi. O trzy mile od Ratyzbony posłowie wysiedli ze statku, którym podróżowali po Dunaju, i udali się do wsi Vatter na nocleg. Tutaj napadł ich tłum wieśniaków wzburzonych pogłoską, że wędrowcy są Turkami nasłanymi przez Batorego dla zgładzenia cesarza. Żaden z Polaków nie umiał po niemiecku, Niemcy nie władali innymi językami poza własnym. Ale nawet gdyby było inaczej, posłowie

przesiedzieliby pewnie w Linzu pod kluczem te same cztery miesiące. Wszystko było z góry nakazane, nie można o tym wątpić. Uwolniono naszych dyplomatów dopiero 29 października. Władza Stefana I była już wtedy na dobre ustabilizowana.

12 października 1576 roku zmarł cesarz Maksymilian II, z łaski prymasa Jakuba Uchańskiego noszący tytuł króla Polski. Tym razem los uśmiechnął się do Rzeczypospolitej. Sprzątnął pretendenta do jej korony, pozbawił Iwana Groźnego sojusznika.

Zaczęła się teraz bohaterska epopeja rządów króla Stefana oraz smętne pasmo rozczarowań i trwóg królowej Anny.

Niepomna krakowskich upokorzeń próbowała Jagiellonka zdziałać coś w Warszawie, w mieście, "gdzie dawniej przebywała wśród ciągłej melancholii". Urządzała bankiety i bale, obmyślała mężowi miłe niespodzianki. Cóż stąd? Węgier był człowiekiem z szorstkiej gliny ulepionym. 17 sierpnia wyjechał z Warszawy i

cały schyłek 1576 roku spędził w Prusach, zajęty polityką i wojną. Miłował ponad inne jeden tylko gatunek rozrywki, ten akurat, do którego schorowana połowica wcale się nie nadawała. Polował namiętnie. Wśród niebogatego spadku po nim znalazło się w przyszłości "oszczepów łowczych sześć", w piwnicy rogi łosie i jelenie, a ponadto "nogi rysie w pudle par dwadzieścia osiem od dwudziestu ośmiu rysiów".

17 kwietnia król zjawił się w Warszawie. 1 maja już go nie było. Nawet pierwszej rocznicy ślubu małżonkowie nie spędzili razem. Rok następny cały niemal upłynął w rozłące.

Zdenerwowana Anna ostro raz powiedziała pewnemu szlachcicowi, który ruszając w

podróż przyszedł pożegnać panią: "Wy poddani nauczyliście się tego jeżdżenia od swego króla". W rzeczywistości mogło być tylko odwrotnie. Ziemiaństwo polskie szeroko słynęło z zamiłowania do wędrówek - jeśli nie za granicę, to przynajmniej do kumów w sąsiednim powiecie. Samotność dobrze musiała dopiec królowej, jeśli zaczynała odwracać kota ogonem, winić małżonka za nawyki, które sama od dzieciństwa wokół oglądała. Historyczna irytacja żony bywa zazwyczaj słabym magnesem dla męża.

Tymi czasy nastał w Polsce nowy nuncjusz, Andrzej Caligari. To, co napisał 29 stycznia 1579 roku, tchnie naiwnym optymizmem człowieka słabo jeszcze zorientowanego: "My tutaj teraz bardzo swobodnie czas przepędzamy. Król i królowa kochają się, jedzą, śpią i komunikują często razem ku wielkiej wszystkich radości.

Królowa jest tak świeża i dobrze na zdrowiu, że nie uważałbym za cud, gdyby miała zajść w ciążę".

3 lutego Stefan wyjechał z Warszawy. Wkrótce dał znać żonie, że ze względu na przygotowania do wyprawy moskiewskiej całe lato będzie musiał spędzić na Litwie. Goniec zjawił się wieczorem, w chwili wyjątkowo niedobrej. Zamek jarzył się od świateł, muzykanci czekali w pogotowiu. Królowa urządziła bal dworski.

Przeczytawszy list, kazała natychmiast pogasić świece, uprzątnąć instrumenty, "i z wielkim gniewem ustąpiła na swoje komnaty".

Nuncjusz Caligari pozbył się złudzeń, uznał rozłam za nieodwołalny. Przyboczny lekarz Anny powiedział mu poufnie, że u pani od trzech już lat nie występuje pewien objaw kobiecy. Ciążna mogłaby się więc przytrafić wyłącznie cudem.

W tym samym 1579 roku Stefan po raz pierwszy odwiedził Grodno, które stało się od tej pory jego prywatną stolicą.

Na wysokich, niezwykle malowniczych urwiskach prawego brzegu Niemna wznosiły się dwa zespoły budowli monarszych. W miejscu, które zajął później Zamek Nowy, tragicznie wślawniony "ostatnim sejmem Rzeczypospolitej", stał podówczas kompleks gmachów zwany Domus Regia. Tuż za głębokim, prostopadłym do Niemna wąwozem widniał Zamek Stary, którego fragmenty pamiętały wielkiego księcia Witolda, fundamenty zaś wspierały się na zapomnianych od wieków ruinach prastarej, rurykowiczowskiej jeszcze cerkwi.

Stefan upodobał sobie Zamek Stary, zaczął go przebudowywać. Przybyli do Grodna sławni

architekci włoscy, Scoto z Parmy i Antonius de Greto. Otaczające miasto ze wszystkich stron lasy stanowiły znakomity teren do polowań, ale biskup Paweł Piasecki otwarcie napisał w kronice, że "król najczęściej przemieszkował w Grodnie pod pozorem sposobniejszego do łowów miejsca, a w rzeczy samej unikając niemiłego sobie z królową Anną, małżonką swoją, pożycia".

Nie wiadomo, czy znalazł sobie w Grodnie stałą pocieszycielkę, czy też była to tylko przygoda. Dość, że miał syna.

Nieprawdy królewicz zwał się później Knebowski, a według innej wersji nieocenionej "Liber chamorum" - Kniaziowski. Miał w Grodnie posiadłość. Za Zygmunta III uczestniczył w wojnie moskiewskiej z poczem dwunastu konnych i spod Kremla przywiózł sobie towarzyszkę. Walerian Nekanda Trepka odmawiał mu oczywiście prawa do klejnotu szlacheckiego.

To już drugi wielki król polski, który nie mając następcy

miał jednak syna. Po Kazimierzu Stefan.

Opuszczona monarchini umilała sobie czas w sposób dość niekiedy wystawny i kunsztowny. W maju 1579 roku na przykład zaprosiła nuncjusza do swej podwarszawskiej rezydencji, czyli do Ujazdowa. Jechała w powozie zaprzężonym w osiem koni. Caligari poprzestał na poszóstnym zaprzęgu. Pojazdy dworskie otaczała kawalkada siedemdziesięciu jeźdźców. W pięknym ogrodzie, wśród klombów utrzymanych na włoski ład, rozpoczął się główny punkt programu - grzybobranie. Po trawnikach gęsto rozsiane były rydze i borowiki z cukru.

Wyszukiwanie ich nie przeszkodziło uprawianej przez cały ten miesiąc grze w zielone. Nie zakładano się jednak o żadne specjalne fanty, kara była z góry oznaczona. Kto z dworek lub dworzan nie miał przy sobie listka, temu ochmistrz lał wodę "pod koszulę". Wieczorem zakończyła wycieczkę nieodzowna uczta.

Rozrywki na krótkie tylko chwile mogły oderwać Annę od trosk i złych myśli. Zaczęto w kraju mówić o wyjściu z niemożliwej pod względem dynastycznym sytuacji. Zwłaszcza Jan Zamoyski oraz biskupi Karnkowski i Myszkowski uchodzili za zdecydowanych zwolenników rozwodu. Nuncjusz trwożył się tym bardziej, że nękała go niepewność co do postawy synodu prowincjonalnego. Hierarchowie krajowi mogli przecież ogłosić małżeństwo za rozwiązane, nie oglądając się na Rzym. Wszystko to było królowej wiadome. Docierały do jej uszu pogłoski, Andrzej Patrycy Nidecki wprost ostrzegał o niebezpieczeństwie.

Plany rozwodowe utknęły na nieoczekiwanej przeszkodzie. 13 maja 1580 roku Andrzej Caligari

pisał do Rzymu o zasadniczej rozmowie między małżonkami. Stefan "zaklął się uroczyście, że prędzej by życie poświęcił, niż na rozwód przyzwolił".

Wolno i należy mu ufać. Jan Hlebowicz słusznie przeczuł w królu prawego chłopa. Nie mógł uczciwy człowiek robić świństwa kobiecie, której zawdzięczał jedyną szansę dokonania w życiu czegoś wielkiego.

Królowa nie uwierzyła niestety w dobrą wolę męża. Stale wietrząc wokół siebie intrygi, sama się w nie wdawała. Znosiła

się z wrogami Stefana. Z prymasem Uchańskim, dopóki żył, oraz z osobą z dawna sobie znaną a obrzydliwą, ze Stanisławem Sędziwojem Czarnkowskim.

Faktem jest, że król sprowadził od medyka elektora brandenburskiego jakiś tajemniczy balsam, "który stargane siły krzepi i od trucizny chroni". Stało się to mniej więcej w tym czasie, w którym nuncjusz donosił papieżowi o braku zaufania pomiędzy małżonkami. Według Caligariego Stefan obawiał się zamachu trucicielskiego ze strony żony, o której mawiano, że odziedziczyła po matce sztukę zadawania jadu.

Sam nuncjusz przypisywał Jagiellonce wielką dumę oraz świętość, lecz taką, co "kształtuje sumienia według własnych pragnień i namiętności".

Węgier nie przyjął pomysłów rozwodowych, podsuwanych mu przez niektórych Polaków. Przesadnie nikt ich zresztą nie forsował, bo po ludzku rzeczy sądząc istniały inne jeszcze widoki. Otoczenie podziwiała spartańskie obyczaje oraz niespożyte siły pana, który podczas wypraw wojennych sypiał pod szałasami na posłaniach z drobno posiekanych gałązek, jadł byle co, zwykłych pieńków używał za stołki. A połowica chorowała

ciągle. Do dawnych cierpień newralgicznych przyłączyły się sercowe. Lekarze znowu zaczęli się lękać o wzrok pacjentki, trapionej nieustannymi bulami oczu.

Na pewno nie brakowało święcie przekonanych, że Stefan przeżyje Annę. Byłoby jednak nieostrożnością zaręczać, że zaliczał się do nich i sam król. Miał on zagadkowe zamiłowanie do

spisywania testamentów. Podczas swych rządów w Polsce sporządził ich trzy.

Stan zdrowia Jagiellonki pogarszała jej dewocja. Słaba niewiasta za wcześnie zrywała się i biegła do kościoła, za długo tam przesiadywała. Postępowała w sposób, o którym z uznaniem, lecz może i nie bez ironii mówił Piotr Skarga w kazaniu nad jej trumną: "sama kapłanom, zwłaszcza warszawskim, za biskupa i wizytatora stała". Królowa osobiście nadzorowała porządek nabożeństw, wtrącała się do wewnętrznych spraw stanu duchownego.

Zawsze była nabożna, teraz popadła w klerykalizm. Jakiś wpływ na tę jej akcentowaną prawowierność wywarły pewnie i obawy przed rozwodem. Dogmaty i prawa katolickie stały po jej stronie. Kościół ją asekurował, tym pilniej garnęła się pod jego skrzydła. Widząc raz, że kaznodzieja wzruszył Stefana, stwierdziła z satysfakcją: "Dawno król polski na kazaniu płakał".

Przyjmując w Ujazdowie nowego nuncjusza, Alberta Bolognetti, najpierw poszczyciła się arrasami Zygmunta Augusta, potem zaprowadziła gościa do ogrodu. Nie omieszkała zwrócić jego uwagi, że wszystkie rośliny, kiedykolwiek podarowane przez heretyków, zwiędły, katolicka zaś flora rozwija się przepięknie.

Tego rodzaju wynużeń nie

słyszano na dworze npolskim w ogóle nigdy, a nie tylko od dawna. Królowa zdecydowanie odstępowała od tradycji jagiellońskiej, którą tak chwalebnie reprezentował jej brat. Płynęła z niedobrym prądem. W tym samym mniej więcej

czasie, w którym Albert Bolognetti wachał pod Warszawą prawowierne zioła, na rynku wileńskim płonęły książki. Nowy biskup tamtejszy, Jerzy Radziwiłł, zaraz po ingresie "począł czynić rząd". Kazał palić publicznie wydawnictwa heretyckie, wydrukowane przez nieboszczyka własnego ojca, Mikołaja Czarnego.

Minęło już kilkanaście lat od zamknięcia ostatniej sesji soboru trydenckiego, kontrreformacja szła do natarcia na szerokim froncie, zdobywała coraz to nowe pozycje. Byłoby naiwnością przypisywać jej sukcesy wyłącznie przychylniej postawie Kościoła wobec interesów stanowych szlachty. Prawosławie oraz wszystkie wyznania protestanckie, z wyjątkiem arianizmu, także bez zastrzeżeń i niedomówień sprzyjały posiadaczom. Tak zwana reakcja katolicka miała sztab w Rzymie, uprawiała mistrzowską strategię i taktykę. Jedną z głównych wytycznych akcji nakazywała zdobywać wpływy na dworach panujących.

W początkach XVII wieku anonimowy publicysta polski, będący katolikiem, tak pisał o postępowaniu jezuitów: "Naprzód starają się z wielką pilnością, aby się do dworów panięcych jako najbardziej włudzić i do nich przystęp mieć. Bo to jest gniazdo jezuitów własne, z którego potem na myśliwstwo wylatują. I wolałby jezuita nie wiem jaką sromotę podjąć, niż od dwora ekskludowan być. Tu nogę postawiwszy i postawkę nastroiwszy, zaraz się rządu

ujmują tak, że co żywo do nich po rozum chodzi, a nawet i biskupów samych pedagogami zostali... Bo państwa naprzód w

moc swoją, jako w pazury jakie,
ujmują i nimi, jako chcą,
kierują".

Królowa dewotka była skarbem
dla strategów kontrreformacji.
Jej główny pionier w Polsce,
Stanisław Hozjusz, zaliczał się
do starych znajomych, nawet do
przyjaciół Jagiellonki.

Nie chodziło zresztą o same
tylko głowy koronowane. Równie
ważne było zdobywanie ludzi z
ich otoczenia. Andrzej Patrycy
Nidecki uległ naciskom już
wtedy, gdy należał do dworu
Anny. Przez całe dziesięciolecie
opierał się ten indyferentny w
gruncie rzeczy ksiądz humanista
namowom Hozjusza. Aż nareszcie w
roku 1576 ukazało się w Kolonii
jego dzieło apologetyczne
"Paralella Ecclesiae Catholicae
cum Hereticorum Synagogis".
Napisana w Krakowie przedmowa
nosi datę 1 kwietnia. Autor
bawił wówczas w stolicy wraz ze
swą panią, czekał na jej
koronację i wesele.
Kontrreformacja zaczynała brać w
swą służbę ludzi z dworu
polskiego.

21 listopada 1579 roku Stefan
I przyjechał do Warszawy
opromieniony świeżą chwałą
zdobywcy Połocka. Jan
Kochanowski uczcił bohatera
wierszem, Nidecki zaś witał go
przemową łacińską. Twierdził, że
król przewyższył herosów
starożytności, gdyż walczył "ze
zwierzem w postaci ludzkiej
ukrytym", a nie ze zwykłymi
zwierzętami jak tamci. Straszne
okrucieństwo Iwana Groźnego
czyniło zeń bowiem "monstrum i
dziwoląg przyrody". Wyraziwszy
wdzięczność za pokonanie wroga
zewnątrznego, wezwał Nidecki
monarchę do równie twardej
rozprawy z nieprzyjacielem
wewnętrznym, to znaczy z

herezją. Mówił o świętym obowiązkowi obrony katolicyzmu "w państwie naszym, a mianowicie w tej stolicy, przytułku naszym, a przede wszystkim siedzibie Najdostojniejszej Małżonki, Królowej Naszej".

Kazimierz Morawski, autor książki o Nideckim, przypisuje ton i treść tej mowy wpływom Anny, zagniewanej na szkoły oraz nabożeństwa innowiercze w Warszawie. Jagiellonka miała się w przyszłości chwalić, że u niej na Mazowszu nie ma odszczepieństwa, który to stan rzeczy uważała za ideał. Nie była jednak w tej mierze wyrazicielką przekonań wszystkich swych poddanych. W odpowiedzi na mowę otrzymał Nidecki list zbiorowy pełen podobno obelg. Oburzenie było tak wielkie, że zajadłemu oratorowi grożono śmiercią. Książę Andrzej Patrycy sparzył się dotkliwie i nauczył ostrożności. Kiedy król znowu pojawił się w Warszawie w roli zwycięzcy i pojechał saniami pod katedrę Św. Jana, w powitalnym przemówieniu Nideckiego zabrakło apeli inkwizycyjnych. Społeczeństwo broniło najlepszych zdobywców epoki Jagiellonów, od których ostatnia przedstawicielka dynastii odstępowała aż nazbyt pochopnie.

Szczęściem, Węgier na tronie nie pożądał laurów dyktatora sumień. Zdobywał się na tolerancję nawet wtedy, gdy różnowiercy upierali się przy rzeczach oczywiście niesłusznych.

13 lutego 1582 roku ukazała się bulla Grzegorza XIII o wprowadzeniu nowego kalendarza. Wkrótce potem wybuchły w Rydze rozruchy przeciwko reformie. Torturowano i tracono jej zwolenników. Zdarzyły się niepokoje i w Wilnie. We Lwowie arcybiskup Solikowski zastosował przemoc. W Wigilię Bożego

Narodzenia 1583 roku kazał siłą pozamykać cerkwie, w których świętowano według starego stylu, i porozpędzać wiernych. Żołnierzstwo dopuściło się przy okazji gwałtów, a skarga pokrzywdzonych trafiła do króla. "Kalendarz nowy wprowadzony jest dla porządku cywilnego Rzeczypospolitej, nie zaś dla ścieśnienia wolności wyznań" - orzekł Stefan i zabronił jakichkolwiek prześladowań.

Katolicy też nie mogli narzekać na jego niechęć. Jadąc w czerwcu 1580 roku ze swego Grodna do Kowna i Wilna wizytował król po drodze kościoły, żadnego nie pomijając. Sprawdzał ich stan i obsadę z taką pilnością, "jak gdyby był archidiakonem" - dziwił się obecny wtedy przy nim Piotr Skarga. Ku zmartwieniu monarchy w jednych tylko Stokliszkach wszystko okazało się w porządku, księża nauczali lud w jego własnym języku, to znaczy po litewsku. Inne parafie pozbawiła kleru reformacja, popierana dotychczas przez Radziwiłłów. Warto przypomnieć, że Stokliszki, gdzie wszystko było jak potrzeba, należały do Augustyna Rotunda Mileskiego, wójta Wilna, wielkiego litewskiego patrioty z Wielunia rodem. To nie Lachowie wcale degradowali i krzywdzili mowę litewską. Zawiniła całkowita dla niej obojętność ze strony rdzennej arystokracji litewskiej.

Lubił król swoje Grodno, jeździł po kraju, podczas wypraw wojennych oglądał i takie strony, które nigdy do Rzeczypospolitej nie należały. Jako zdobywca wszedł do Wielkich Łuków, oblegał Psków. Wolno przypuszczać, że szałas obozowe w tych chłodnych ziemiach były mu miłsze od wygodnego zamku w Warszawie, gdzie nigdy nie

oczekiwało go nic osobiście
miłego. Zjawiwszy się tam na

przykład w sierpniu 1582 roku
odwiedził najpierw katedrę, a
zaraz potem - jak obowiązek
nakazywał - "szedł do królowej,
która chorowała, na łożu ją
zastał, kąsek posiedziawszy
odszedł".

Odchodził chętnie - w
znaczeniu zarówno dosłownym, jak
przenośnym. Węzeł małżeński nie
uległ zerwaniu, rozłam nastąpił.

Anna nie miała wpływu na
politykę męża, co bynajmniej nie
znaczy, że nie uprawiała
własnej. Intrygi, konszachty z
Uchańskim czy Czarnkowskim nie
wyczerpywały treści jej
poczynań. Królowa snuła plany
kunsztowne, na dość daleką metę
obliczone, a oparte na tym
czynniku, który ją samą najpierw
uczynił Infantką, potem zaś
wyniósł na tron.

3 maja 1576 roku, czyli w dwa
dni po koronacji Stefana I,
napisany został w Warszawie
dokument tak dziwny, że gdyby
się nie dochował, trudno byłoby
uwierzyć w jego realną
egzystencję. Był to raport
nuncjusza Wincentego Laureo,
który przedstawiał swym
przełożonym pomysł reżyserii
następnego, to znaczy
pobatoriańskiego rozdziału
politycznej historii Polski.
Między wierszami pisma odczytać
można radę potraktowania rządów
Węgra jako krótkotrwałego
incydentu, który nie powinien
przeszkodzić od dawna snutym i w
odległą przyszłość sięgającym
zamiarom zapewnienia Wawelu
Habsburgom.

Laureo przypominał, że w
Szwecji żyje królewna Anna,-
córka Jana III i Katarzyny
Jagiellonki, a więc odrośl
wygasłej dynastii. Należy więc

zaręczyć szwedzką panienkę z
synem cesarza, arcyksięciem
Maciejem, i zawczasu szykować tę
parę na tron polski. Zabiegów i
starań trzeba będzie dokonać co
niemiara - skłonić sejm do

zgody, Stefana I do dania
obietnicy pozostania w stanie
bezzennym na wypadek zgonu
małżonki i tak dalej. Madziara
specjalnie do hymenu nie
ciągnie, uda się więc może wymóc
na nim przyrzeczenie wytrwania w
dożywotnim wdowieństwie.
Kłopotów dużo, ale i czasu nie
brakuje. Nowe panowanie ledwie
się zaczęło w Polsce, jej
królowa żyje, Anna szwedzka
liczy sobie osiem wiosen,
arcyksiążę Maciej dziewiętnaście.

Nuncjusz albo nie znał metryki
Batorego, albo umyślnie
upiększył swe pomysły,
przypisując mu wiek "podeszły".
W chwili pisania raportu Stefan
miał czterdzieści trzy lata.
Pomimo to kombinacja posiadała
cechę realizmu.

Rachuba na Annę szwedzką,
wydaną w przyszłości za
Habsburga, stała się jednym z
dwu atutów chowanych w rękawie
przez Annę Jagiellonkę. Królowa
zdobyła się bowiem na koncepcję
bogatszą od nuncjuszowej. Biorąc
pod uwagę osobę siostrzenicy,
nie zapomniała i o siostrzeńcu,
królewiczu Zygmuncie,
Jagiellończyku po kadzieli.
Niewiasta starsza od męża o lat
dziesięć zawczasu szykowała
elementy rozgrywki, która miała
nastąpić po jego zgonie.
Zmieniała warianty pomysłów,
pilnie obserwując i nie mniej
skrętnie obrachowując
powodzenia lub trudności
małżonka. Gdy zwycięstwa w
wojnach moskiewskich odniesione
opromieniły Stefana sławą i
zyskały mu serca szlachty, Anna

zaczęła rozmyślać o wydaniu siostrzenicy za któregoś z młodszych Batorówch. Nowa dynastia utrwaliłaby się w ten sposób na Wawelu, lecz skojarzona z tradycją starej. Plan ten został zaniechany wskutek pewnego tragicznego wydarzenia, zaszłego w Krakowie na wiosnę 1584 roku.

Od siedmiu bitych lat siedziała królowa w Warszawie i nie odwiedzała starej stolicy. Pod Wawelem pojawiła się nawet pogłoska o zgonie pani, inni plotkowali, że w przeczuciu bliskiej śmierci wyprawiła do Szwecji wszystkie swe skarby. Najmłodsza z córek Zygmunta Starego panowała wszak dalej w Sztokholmie, doznając licznych utrapień jako katoliczka na tronie protestanckim. Rzym ze wszystkich sił podtrzymywał na duchu Katarzynę, bo zamiary odzyskania Szwecji dla Kościoła wcale nie zostały zarzucone.

4 czerwca 1583 roku Anna przybyła nareszcie do Krakowa. Wjechała tam "dosyć ochędoźnie", jak zapisano, to znaczy otoczona wspaniałym pocztem. Nie miała jednak radości w sercu. Czekał ją niemiły obowiązek asystowania przy ponownym ślubie Jana Zamoyskiego. Królowa nie kochała kanclerza, podejrzanego o namawianie króla do rozwodu, nie czuła również sympatii dla oblubienicy. Była nią "rózanousta" Gryzelda Batorówna, bratanica Stefana, córka księcia Siedmiogrodu Krzysztofa - protestantka. Biskupi niechętnym okiem patrzyli na taki ożenek pierwszego po samym monarsze człowieka w państwie, Anna solidaryzowała się z nimi.

Ślub odbył się 12 czerwca w katedrze wawelskiej, wesele to jeden więcej popis magnackiego

przepychu, lecz także i
pomysłowości. Ciągnęły przez
Rynek krakowski figury
alegoryczne - Fortuna i
Nieszczęście, Chronos i Saturn -
kroczył słoń, dźwigający na
grzbiecie wieżę, z której biły w
niebo rozmaite "sztuki
puszkarskie". Diana "okazywała
rozkosze swe królowi...
wielorybowie dwa ciągnęli muszlę
morską, którym u oczu a z ust
woda pryskała perfumowana na
ludzi, czyniąc sobie przestronno

od wielkości ludzi..."
Podziwiano ustawione na wozach
miniatury odjętych Iwanowi
Groźnemu twierdz - Połocka,
Wielkich Łuków, Sokoła Wieliża...

Oboje królestwo przyglądali
się temu wszystkiemu, przez
tydzień cały uczestniczyli w
festynach. Gdy tylko skończyło
się szumne weselisko, Stefan
uskoczył do Niepołomic - na
łowy. Nie pokazywał się stamtąd
i tłumaczył, że brak mu
pieniędzy na wystawne życie w
stolicy.

Węgier był oszczędny,
niektórzy zarzucali mu nawet
skąpstwo. Groszem rzucać
rzeczywiście nie lubił, lecz
potrafił być hojny. Nie zawsze
jednak od razu wynagradzał za
zasługi. Wolał niekiedy poczekać z
okazaniem łaski, ale nie
zapominał nigdy. Rzemieślnik
pilnie pracował przy oblężeniu
Gdańska, murował kunsztowne
blokhauzy. Po jakimś czasie
król dał mu plac przy ulicy
Sławkowskiej w Krakowie - buduj
teraz sobie kamienicę!

Temu twardemu człowiekowi
nieobca była delikatna
powściągliwość.
Siedmiogrodzianin karierę
zrobił, do klanu nowobogackich
się nie zapisał.

We wrześniu Stefan ruszył na

Litwę, Anna pozostała w Krakowie. Kończyła właśnie sześćdziesiąty rok życia i zaczęła sobie przygotowywać grobowiec na Wawelu. Poza tym odwiedzała kościoły, dokonywała licznych dzieł miłosierdzia, nudziła się i narzekała na wiecznie podróżującego męża.

Tutaj w Krakowie, samotna i zajęta szykowaniem własnej mogiły, otrzymała wiadomość o śmierci siostry. Katarzyna Jagiellonka zmarła w Sztokholmie 16 września 1583 roku.

Niedługo przed wyjazdem przestąpiła Anna progi Akademii, uczyniła to jednak z inicjatywy

senatu uczelni, a nie z własnej. Stefan I założył uniwersytet w Wilnie, Zamoyski uczynił to samo w Zamościu, królowa aż dotychczas niezbyt się interesowała szkolnictwem wyższym. Jak się już wspominało, profesorowie spotkali ją przed kościołem jej patronki, zaprosili do pobliskiego Collegium, pokazali bibliotekę i urządzili małe przyjęcie. Na tym się skończyła obfita w skutki wizytacja. Akademia na dobre zapisała się w pamięci pani i doznawała od tej pory jej opieki. Monarchini wspierała uczelnię groszem, darami, wśród których były nie tylko łańcuchy rektorskie, lecz i książki ze sławnych a bezcennych zbiorów Zygmunta Augusta.

Można przypuszczać, że ówczesny właśnie pobyt Anny w Krakowie upamiętniają dwa do dziś zachowane na Wawelu wielce oryginalne zabytki. Są to pięknie haftowane obramowania obrusów ołtarzowych. Wśród zmieniających się motywów zdobniczych - scen Męki Pańskiej, fantastycznych roślin i zwierząt - widnieją orły

polskie, noszące na piersiach
literę "S" oraz "A". Jagiellonka
była miłośniczką sztuki
hafciarskiej. Przyjęła do swego
dworu mistrza Sebalda Linka,
który służył poprzednio igłą
Zygmuntowi Augustowi. Była
wierną prastarej tradycji
polskiej, bo najdawniejsze u nas
zabytki haftu pochodzą ze
schyłku XI wieku. Zostały
niedawno wydobyte z bezimiennych
grobow opackich w kościele
tynieckim.

Dziwne kontrasty cechowały
mecenat Anny Jagiellonki.
Zamiłowanie do subtelnej sztuki
zdobienia materii nicią nie
hamowało pociągu do
monumentalnych dokonań. Gdy w
Krakowie plotkowano o jej
zgonie, królowa nadzorowała w

Warszawie budowę baszty bramnej
przy swym słynnym moście. By go
zabezpieczyć od ognia, zburzono
na sąsiadującym nabrzeżu
wszystkie budowle, płacąc
właścicielom pełne
odszkodowanie. Zaraz potem
wyrastać zaczęła potężna wieża o
sklepionej bramie, nad którą
czerniały strzelnice.
Upamiętniająca koniec dzieła
tablica ze spiżu nosi taki napis
łaciński:

"Aby mostu stałego zaczętego
wspaniałym nakładem i cudną
sztuką przez Zygmunta Augusta,
króla, brata, a po jego śmierci
przez nią podobną robotą
dokończonego nie ogarnął kiedyś
pożar od źle strzeżonych w
sąsiedztwie domów
przedmieszczańskich i
ogarnionego nie obrócił
niespodzianie w perzynę, Anna
Jagiellonka, królowa polska,
wielkich królów małżonka,
siostra, córka, kazała obwarować
to przedmurze
najbezpieczniejszym ogrodzeniem

ceglanym wyprowadzonym od fundamentu".

Baszta została całkowicie ukończona w roku 1582. Z tej samej daty pochodzi piękny modlitewnik Anny, którego haftowaną oprawę zdobia orły herbowe. Nie same tylko choroby i złe humory opóźniały, jak widać, wyjazd królowej do Krakowa. Ukończywszy w Warszawie jedno murowanie zajęła się Jagiellonka na Wawelu innym. Zarówno baszta i tablica na niej, jak grobowiec i hafty z tamtych lat miały rzadkie w naszym kraju szczęście. Przetrwały.

Anna wyjechała z Krakowa u schyłku maja 1584 roku. Nie jest ważne, gdzie spędziła dzień 26 tego miesiąca, chwilę, w której niewprawny hajduk ściał pod Lubranką Samuela Zborowskiego, wraz z głową odrabując mu podobno kawał pleców. Ogarnięty zgrozą kat

rzucił bowiem miecz na ziemię i uciekł w drugi koniec Wawelu.

Zborowski był zabójcą, banitą, warchołem, a właściwie i zdrajcą. Zasłużył na karę główną. Ale cała jego sprawa przeprowadzona została w sposób obrażający poczucie prawne społeczeństwa. Odpowiedzialny za to był przede wszystkim Zamoyski, który jako rdzenny Polak powinien był wiedzieć, czego w tym kraju nie wolno. Zapytany listownie król odpowiedział podobno kanclerzowi: "Zabij wściekłego psa, a kasać nie będzie". Właśnie tego rodzaju wyroków tradycja polska stanowczo zabraniała. Opinia mogła zresztą zapytać Stefana: a czemużeś, Wasza Królewska Mość, tego wściekłego psa przez lat osiem powagą własną osłaniał?

Samuel Zborowski zabił

Andrzeja Wapowskiego w roku 1574, został skazany na banicję i uszedł do księcia Siedmiogrodu, Stefana Batorego. W dwa lata później z nim razem, już jako z królem Stefanem I, powrócił do Polski. Według prawa banita pojawiający się w kraju podlegał karze śmierci. Samuel pojawiał się nawet na dworze, uczestniczył w wojnie moskiewskiej, korzystał z protekcji i usług Zamoyskiego. Kiedy konflikt pomiędzy Zborowskimi a kanclerzem rozpalił się, wraz z bratem Krzysztofem rzeczywiście wdał się w zdradzieckie knowania. Uwięziono go i ścięto za stare przestępstwo, na które przez tyle lat monarcha przymykał oczy. Nowego procesu nie wytoczono.

Za panowania Stefana I dał gardło magnat litewski Hrehory Ościk, któremu dowiedziono zdrady. Wyrok sprawił duże wrażenie, lecz nie wywołał burzy. Śmiercią również ukarany został kasztelan, a więc

senator, Andrzej Iłowski, za to, że urządził zasadzkę w okolicach Wąsoszy, zabił, a zwłoki zamordowanego spalił na stosie. Skazanie odbyło się w malowniczy, prawem przepisany sposób. W izbie sejmowej Stefan orzekł degradację i ścięcie, a marszałek wielki koronny Andrzej Opaliński kazał Iłowskiemu "iść za piec i powiedział mu, że kasztelaniję król z niego zdejmuję". O tym wszystkim ludzie rychło zapomnieli, ponieważ wyrok był słuszny i wydany zgodnie z procedurą. Ze sprawą Zborowskiego stało się zupełnie inaczej. Szlachta polska zarzucała Iwanowi Groźnemu, Habsburgom i Walezjuszom, że w państwach ich wolno tracić ludzi

bez prawa, z samego tylko rozkazu władzy. Oburzała się na Jana Zygmunta Zapolyę, który w Siedmiogrodzie czynił to samo.

Egzekucja Samuela miała przebieg koszmarny. Banita zastrzegł, że trzykrotnie zawoła "Jezus!" i dopiero wtedy kat ma rąbać. Już za pierwszym okrzykiem oprawca przelakł się śmiertelnie i uciekł. Głos skazańca zabrzmiał podobno straszliwie.

Jednakże to nie scena spod Lubranki wzburzyła opinię i ułatwiła Zborowskiemu agitację, która na długo odjęła krajowi spokój. Nawet zdobywca Połocka nie mógł ryzykować samowoli w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości. Taka już była ta Rzeczpospolita Obojga Narodów.

Królowa Anna natychmiast zorientowała się w skutkach politycznych rozpoczynającego się konfliktu. Skreśliła młodych Batorych ze swych matrymonialno_dynastycznych planów, znowu zwracając oczy na Wiedeń. Nie poszła jednak za pomysłem nuncjusza Wincentego Laureo i nie uczyniła swym protegowanym arcyksięcia Macieja ani też Ernesta, którego sama

zamierzała ongi poślubić. Wyczuła czy też obrachowała, że najwięcej szans mieć będzie ich brat, arcyksiążę Maksymilian, i jego upatrzyła na kandydata do ręki Anny szwedzkiej tudzież tronu polskiego. Potrafiła wmówić w Habsburgów, że Sztokholm wie o kombinacji i godzi się na nią, co absolutnie nie odpowiadało prawdzie. Za pośrednika służyła Jagiellonce osobistość całkiem nieoficjalna, niejaki Mandel czy też Manolin, Żyd, swobodnie podróżujący po świecie pod pozorem handlu. Nuncjusz apostolski z Wiednia

zaświadczył, że zabiegi te rozpoczęły się w roku 1584, czyli akurat we wczesnej dobie kryzysu wewnętrznego w Polsce, który obniżył autorytet samego Stefana, nie mówiąc już o jego krewnych. Królowa umiała chwytać wiatr w żagle. Oczywiście ani na chwilę nie zapomniała o siostrzeńcu Zygmuncie. Swatanie jego siostry, odbywające się bez wiedzy i zgody rodzica, to była zaledwie połowa asekuracji. Drugą stanowił umiłowany - z oddalą - "Zysio".

Istnieje pogląd, że Anna zabezpieczała tymi zabiegami swoją osobistą pozycję. Pragnęła - na wypadek wdowieństwa - pozostać blisko tronu jako ciotka monarchy lub monarchini. Za nic na świecie nie chciała znowu odejść w cień. Liczyła, że władza, od której tak stanowczo odsunął ją mąż, tym razem już się jej nie wymknie. I Zygmunt, i Maksymilian byli ludźmi Rzeczypospolitej obcymi, pozbawionymi doświadczenia i znajomości stosunków. Wiedza polityczna oraz talenty leciwej damy uzupełniałyby te braki, majątek osobisty przydałby się jako narzędzie działania.

Logiczne to, lecz tylko do pewnych granic. Przeciwno streszczonemu powyżej pogładowi

wytoczyć można dwa argumenty - negatywny natury teoretycznej i pozytywny, czyli namacalny.

Królowa na pewno pragnęła władzy, ale nie posiadała żadnej gwarancji przeżycia męża. Powinna była raczej przewidywać, że to on zostanie wdowcem. Byłoby dziwne, gdyby gmach kunsztownych zabiegów wspierał się tylko na watlutkim fundamencie nielogicznej nadziei. Anna nie przypominała

brata, który wierzył pomyślnym wróżbom i mało zważał na świat rzeczywisty.

Argument pozytywny każdy z nas może obejrzeć, a nawet dotknąć go. Jest nim kilkakrotnie już wspomniany sarkofag na Wawelu.

Pół wieku przeszło przeżyła Anna na królewskim ustroniu, zanim osiągnęła cel marzeń - poczuła na ręce węzeł stuły, a ciężar korony na skroniach. Powinna więc była upamiętnić swój tryumf tam, gdzie go odniosła, wzniesć w katedrze kaplicę grobową dla siebie i męża, jako pary suwerennych monarchów. Zamiast postawić pomnik własnemu panowaniu, kazała umieścić swój sarkofag w cieniu nagrobków ojca i brata. Wolała poślednie miejsce w Kaplicy Jagiellońskiej od czołowego w Batoriańskiej.

Pomimo ślubu Anna pozostała Jagiellonką. Teraz zapowiadała pośmiertny rozwód, postanawiała powrócić do panieńskiego nazwiska oficjalnie i już na zawsze. Wobec historii symbolicznie zrywała węzeł małżeński. Sama czyniła to, czego tak bardzo lękała się za życia. Chciała być razem ze swym rodem, leżeć przy obu Zygmuntach.

Pragnęła korony polskiej dla jednego z dzieci króla szwecji, ponieważ w żyłach ich płynęła krew Zygmuinta Starego. Wydała je wszak na świat jego córka, Katarzyna z domu Jagiellonów.

Anna przygotowywała grobowiec

tylko dla siebie, sądziła więc, że mąż zdąży jeszcze zatroszczyć się o miejsce własnego spoczynku. Nie była zatem pewna, że przeżyje Stefana. Zabezpieczała się, stwarzała fakt dokonany, aby jemu nie pozostawić decyzji, której mogła się obawiać. Trzeba przyznać, że

w dość oryginalny sposób
wywdzięczała się
Transylwańczykowi za jego
rycerskość. A może brzydziła się
myślą, że prochom Jagiellonki
przyjdzie sąsiadować z trumną
jakiejś następczyni, drugiej
żony Stefana I?

Nie da się utrzymać tezy, że
dynastyczne kombinacje królowej
zmierzały jedynie do jej
osobistych korzyści. Anna
służyła swemu rodowi. W
wierności tej wcale nie była
samotna, o czym doskonale
wiedziała. Większość szlachty
podzielała jej uczucia.

Jakoś na początku 1584 roku
król oświadczył prowincjałowi
jezuitów, ojcu Campano, że i po
zgonie nie chciałby się
rozstawać z Grodnem, "bo mu to
miejsce i do czasowego
mieszkania, i do wiecznego
spoczynku najmilsze". Może
zareagował tak na decyzję żony,
która już poprzedniej jesieni
zapowiedziała separację
pośmiertną, może rzeczywiście aż
do tego stopnia polubił miasto
nad Niemnem, gdzie wzrastał jego
syn. Na razie dał dlpiero
pieniądze na budowę kościoła
jezuitów, przyszłej fary, w
którym zamierzał spocząć.

Od jesieni 1585 roku Stefan
nie opuszczał prawie Grodna.
Doczekał się tutaj
pomyślniejszych dla siebie
chwil, zaczął się gotować do
wielkich czynów, mających
uwieńczyć jego panowanie.

Sprawa Zborowskich, która tyle
krwi napsuła monarsze i jego
poddanym, już się zaczęła
przesilać. Stronnictwo braci

świętego Samuela nadal było
potężne, mogło jątrzyć i
wichrzyć, ale na sejmikach
szlacheckich wyraźnie inny duch
powiał, umysły herbowych znowu

zaczęły sprzyjać Stefanowi. Najbliższy sejm zapowiadał się pomyślnie.

18 marca 1584 roku zmarł Iwan Groźny. Syn jego i następca, car Teodor - zwany czasem w Moskwie Fiodor Biezumnyj - interesował się przede wszystkim skomplikowaną sztuką bicia w dzwony cerkiewne. Na wschodzie nastawała zupełnie wyjątkowa koniunktura. W Rzymie papież Grzegorz XIII robił, co mógł, by usuwać przeszkody z drogi króla Polski. Upatrywał w tym sens i cel swego pontyfikatu. Nareszcie znalazł człowieka, o którym tak długo daremnie śnili poprzednicy na Stolicy Piotrowej. Wodza wymarzonej wyprawy wszystkich chrześcijan przeciwko Turkom!

Stefan I zgadzał się na przyjęcie buławy, ale rozpocząć chciał od pójścia na Moskwę i zdobycia jej tronu. Potem dopiero, połączonymi siłami Rzeczypospolitej i Kremla, zamierzał uderzyć na sułtana, wyzwolić Węgry. Papież winien był dać pieniądze, ponieść wszystkie koszty, cesarz zaś i arcyksiążęta wspierać wyprawę. Plan ten wzbudził w Grzegorzu XIII entuzjazm.

12 marca 1585 roku, po krótkiej chorobie z przeziębienia, twórca nowego kalendarza zmarł. Planów wojny wschodniej nie zaniechano. Antoni Possevino pozyskał dla nich następcę Grzegorza, Sykstusa V.

Possevino nie cieszył się sympatią naszych dziejopisarzy. Uważano, iż obrotny ten jezuita pozbawił Rzeczpospolitą owoców odniesionych zwycięstw, niepotrzebnie doprowadził do rozejmu pod Pskowem. Badaczka fińska, p. Liisi Karttunen, nie

podziela tych poglądów. Jej

zdaniem Possevino nie tylko Polski nie oszukał, lecz wręcz przeciwnie - sam został wywiedziony w pole. Oczarowując Rzym mirażem wyprawy na padyszacha, Stefan I chciał dwu konkretnych rzeczy - pieniędzy na zaciąg wojska i spokoju od strony cesarza. Jeżeli nawet rzeczywiście myślał o Turcji, to odsuwał rozprawę z nią w odległą przyszłość. Na razie zamierzał uderzyć na samą Moskwę i z nią się ostatecznie porachować.

W lutym 1586 roku, podczas polowania w Puszczy Niepołomickiej, załamał się nagle lód pod saniami królewskimi. Groza śmierci demaskuje człowieka. Stefan krzyknął na dworzan, aby nikt nie śmiał iść mu z pomocą, narażać życia. Sam dopełził do brzegu, nurzając się w lodowatej wodzie.

Później stale przebywał w Grodnie, skąd czynił nieustanne wypadki łowieckie. Nie odstraszyły go wyjątkowo silne mrozy, które w 1586 roku ścisnęły już 25 listopada. Rad lekarzy przybocznych Stefan nie słuchał. Polował codziennie, marznąc nieraz tak, że musiał wprost ożywiać przy ogniu skostniałe ciało. 2 grudnia wybrał się do lasu pod Kundzinem na całe dwa dni. Powrócił niezdrów, trapiiony atakami duszności. W niedzielę - 7 grudnia - znowu zlekceważył ostrzeżenie medyka i zamiast wysłuchać nabożeństwa w kaplicy zamkowej, pojechał konno do fary Witoldowej. Po południu poczuł się źle, kazał dworzanom wyjść z komnaty i zasiadł do pisania testamentu. Niedługo pracował, bo przeszkodziła zadyszka i ból głowy. Wieczorem wypił dwa kielichy starego wina, zagryzł kawałkiem chleba i położył się do łóżka.

Zasnąć nie mógł. Wstał i

samotny, ze świecą w dłoni,
poszedł do sąsiadującego z
sypialnią małego alkierzyka,
gdzie okna były otwarte. Chciał
się ochłodzić, zaczerpnąć tchu.
Wracając stracił przytomność i
upadł. Na łoskot przybiegł
dworzanin, podniósł króla, który
zaraz odzyskał zmysły, lecz nie
mógł sobie przypomnieć, "jakim
by to się stało sposobem". Pewne
było tylko, że zwałił się na
ławę, o którą głęboko zranił
kolano i zakrwawił twarz. Do
łóża powrócił o własnych siłach.

Skaleczenia opatrzone białkiem
kurzym "z trochę mirry".
Diagnoza lekarza wypadła
pocieszająco. "Przypadek ten -
orzekł mistrz Simmonius - stał
się z zawrotu między ocuceniem a
snem tudzież z zawiania
wiatru". Tym razem Stefan
posłuchał rady, pozostał w łóżku
i nie przyjmował nikogo.
Zabronił też rozgłaszania
nocnego wypadku.

Dwaj medycy przyboczni,
Buccella i Simmonius, nie mogli
się pogodzić ani co do diagnozy,
ani w sprawie kuracji. Spierali
się między innymi o wino,
którego pacjent ciągle i
skutecznie żądał.

We wtorek 9 grudnia, po
wieczery i zmianie opatrunków,
Simmonius zapragnął pocieszyć
pana:

"Bądź Wasza Królewska MOść
dobrej myśli, nie ma żadnego
niebezpieczeństwa".

"Wiem dobrze, że nic nie ma" -
niecierpliwie odparł król, "lecz
natychmiast wyrzuciwszy nogi z
łóża słupem oczy podniósł do
góry, zaczął zgrzytać zębami".

Obaj lekarze oraz dworzanin
Franciszek Wesselenyi rzucili
się do cucenia. Pryskali na
twarz wodą, targali za włosy,
nos i palce. Nagle Stefan
otworzył oczy i popatrzył na
nich ze zdziwieniem.

"Dla Boga, co czynicie?" -

zapytał, oddychając ciężko i

głęboko.

Nadal nie było między fachowcami jednomyślności. Trapiące króla drgawki jeden z nich przypisywał astmie, drugi epilepsji. "Zgodzili się jednak na dekokt z hyzopu, jako nie mogący szkodzić w żadnej chorobie. Przydano kilka kropel ekstraktu siarczanego, postawiono cztery pijawki na plecach, dwie na krzyżu, te do ośmiu uncji krwi wyciągnęły, przydano nieco kamienia Bezoar i kopyta łośniowego, te król zawsze chętnie zażywał".

Ciągle obowiązywała tajemnica i obecni w Grodnie senatorowie nie domyślali się, jak jest źle, aczkolwiek o zasłabnięciu monarchy wiedzieli, 10 grudnia odwiedził go biskup przemyski, Wojciech Baranowski, nazajutrz kasztelan wileński Ostafi Wołłowicz wraz z podkanclerzym Lwem Sapiehą. Stefan trzymał się twardo, dfostojnicy opuścili go w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze.

12 grudnia wieczorem król znowu kazał dać sobie wina. Dręczyło go straszne pragnienie. Na pociechy medyka odpowiedział:

"Oddałem się już w ręce Boga, przygotowany jestem do śmierci, nie trwoży mię ona, jeżeli nie mówię, to dlatego, że mi cięży głowa i chciałbym usnąć". Ale rychłej katastrofy jeszcze się nie spodziewał. Postanowił nazajutrz dopiero przystąpić do spowiedzi i przyjąć Ostatni Sakrament.

W sąsiedniej izbie wezwani na gwałt senatorowie czynili dworzanom wymówki za ukrywanie prawdy. Tamci tłumaczyli się zakazem i nadal nie chcieli wpuścić przybyłych do sypialni, gdzie rozpoczął się już akt

ostatni. Jeden po drugim
następowały "paroksyzmy",
których chory nie przetrzymał.

Zalany łzami Franciszek
Wesselenyi "wyszedł do senatorów

i przywiódł ich do umarłego już
króla".

W chwili zgonu Stefan I liczył
sobie pięćdziesiąt trzy lata.
Opisy jego choroby są obszerne,
bo Simmonius i Buccella długo
debatowali i ogłaszali nawet
brozury, lecz mętne. Protokół
dokonanej zaraz po śmierci
sekcji zwłok zawiera na przykład
takie zdanie: "Nerki
nadzwyczajne, jako wołowe; co
dziwna, bo w człowieku nerki są
jak w skopie". Zrozumiałe więc,
że oparte na takich danych
orzeczenia lekarzy XX wieku nie
mogły wypaść jednoznacznie.
Tadeusz Jankowski - młody,
zdolny, tragicznie zmarły
podczas ostatniej wojny historyk
- podał te diagnozy w swym
studium o ostatnich chwilach
króla. Stefan umarł albo na
uremię, albo na miażdżycę tętnic
nerkowych, mózgowych i
wieńcowych serca.

Nie był wcale takim
Herkulesem, za jakiego uchodził.
Umiał tylko naprawdę po męsku
znosić cierpienia i taić je
przed ludźmi. Już u siebie w
Siedmiogrodzie miewał zapaści,
dotkliwy atak zdarzył się w
Mogile, na kilka dni przed
koronacją. Stale dokuczała
królowi jakaś ciekąca rana czy
wysiłek na nodze.

Dziwne zamięłowanie Stefana do
spisywania testamentów staje się
zrozumiałe. On dobrze znał stan
własnego zdrowia. Nieświadomie
stosował jednak prawdziwą
antykurację, wystawiając się na
chłody i pijąc wino.

Pogłoski o otruciu króla
pozbawione są sensu i podstaw.

Wiadomość o zgonie Stefana I dotarła do Rzymu 6 stycznia 1587 roku, wieczorem. W cztery dni później Sykstus V w pełnym konsystorzu opowiedział kardynałom o planach zmarłego, złożył im hołd i wyraził nadzieję ich przetrwania. Wdowie posłał Różę Złotą, odznaczenie

papieskie, którego historia pamięta może wiek VIII, a co najmniej X. Anna przyjęła Różę w katedrze warszawskiej i natychmiast ją temuż kościołowi ofiarowała.

W Polsce żołnierze Stefana wdzięczni mu za to, że "wlepił mężne serca ludziom rycerskim", zapragnęli zbudować ze składek "kaplicę taką, jaka by godna była na wieczną pamiątkę ciała tak zacnego monarchy". Zaczęły napływać grosze nawet od "chudych pacholków".

Kaplica Stefana I rzeczywiście stanęła na Wawelu. Ozdobiła ją, a może i wzniosła Anna Jagiellonka, która nie zmieniła jednak poprzedniego postanowienia i nie przygotowała sobie grobowca obok sarkofagu męża. Nadal wolała miejsce przy obu Zygmuntach.

Istniał w Rzeczypospolitej pewien bardzo oryginalny i nie mniej wymowny zwyczaj. Kosztem publicznym chowano tych tylko monarchów, których szlachta uznawała za szczególnie zasłużonych dla kraju. Pogrzeby pozostałych opłacali spadkobiercy z prywatnej szkatuły rodu.

Stefana I pochowano kosztem publicznym.

Tron dla siostrzeńca

"Śmierć Stefana tak nagła wszystkich przeraziła" - napisał Reinhold Heidenstein, tym razem

zupełnie samodzielnie.
Królewskiego cenzora właśnie
zabrakło.

W przeciągu czternastu lat
trzecie bezkrólewie, po raz
trzeci konieczność elekcji. To
się dopiero nazywa mieć
szczęście! I jakże tu rozprawiać
o historii, pomijając wydarzenia
nie tylko że niepowtarzalne, ale
najprościej w świecie
nieobliczalne? Nikt w
Rzeczypospolitej nie zarażał Karola

IX gruźlicą ani nie rujnował
nerek króla Stefana. Kraj musiał
za to ponieść skutki polityczne
przedwczesnych zgonów tych dwóch
ludzi. NIE zmieniły one metod
uprawy roli czy wytapiania
żelaza. Dyktowały jednak zmiany
kierownictwa państwowego,
zmuszały naród do brnięcia przez
kryzysy.

Podczas pierwszej elekcji, jak
się już pisało, zdumiewała
cudzoziemców powściągliwość od
stóp do głów uzbrojonej
szlachty. Podczas trzeciej - jak
się zaraz przekonamy - padały
trupy, a kulawy nuncjusz wdrapał
się na wieżę katedry Św. Jana,
by napaść oczy widowiskiem
walnej bitwy, na którą się nagle
zanosło pod Wola. Częste
presylenia i brak stabilizacji
wpływały na obyczaje, na ich
stopniowe dziczenie. Drugie
bezkrólewie przyniosło próbę
zamachu stanu, trzecie ją
powtórzyło, lecz tym razem
sprawcy nie cofnęli się przed
wywołaniem wojny domowej. W
pozornym chaosie, który ogarnął
kraj po zgonie ostatniego z
Jagiellonów, nie było nuty
groźnej. Pojawiła się z czasem i
brzmiała coraz mocniej. Wtedy
podrożał nagle sprzęt wojenny,
bo szlachta zbroiła się
przeciwko wrogom zewnętrznym.
Wśród powtarzających się

kryzysów musiało dojść do odkrycia, że oręż posłużyć może nie tylko do obrony granic.

W 1576 roku wybrano dobrego władcę - na lat dziesięć. Gdybyż przynajmniej na piętnaście! Bezkrólewie po Stefanie przypadło w chwili złej. Znakomity wódz nie zdążył sława nowych zwycięstw zagłuszyć wrzasków klanu Zborowskich. Nonszalancja wobec prawa zemściła się i to nie tylko na rządzących jednostkach, które zawiniły, ale na państwie.

Ani Zborowscy, ani nikt w Rzeczypospolitej nie spodziewał się

zgonu monarchy. Bezkrólewie zaskoczyło wszystkich - z wyjątkiem wdowy. Ona również niczego nie przeczuwała, od dawna za to wiedziała, czego się trzymać. Natychmiast sięgnęła po oba starannie i od lat przygotowywane atuty jagiellońskie.

Całkiem inaczej rzecz się miała ze współzawodnikiem i partnerem Anny, czyli rodem Habsburgów. Tym razem większość szans znalazła się niewątpliwie po ich stronie. 6 kwietnia 1587 roku nuncjusz apostolski w Polsce otrzymał z Rzymu szyfrowaną depezę, nakazującą stanowczo popierać dom cesarski. Pismo to odwoływało jednocześnie z Warszawy Antoniego Possevina - "za wszelką cenę". Sławny jezuita był bowiem stronnikiem królewicza szwedzkiego Zygmunta. Nie żywił złudzeń co do zdolności swego dawnego wychowanka, spodziewał się tylko jego rękami urzeczywistnić dalekosiężne plany papieżstwa. Rzym inaczej rozstrzygnął i nie musiał zachęcać swego nuncjusza do posłuchu. Hannibal z Kapui całą duszą stał po stronie Austrii, wkładał serce w robotę.

Nie brakowało mu poparcia
rozmaitych potęg. Filip II
nadesłał z Hiszpanii do Pragi
sumę stu tysięcy dukatów,
przeznaczoną na przekupywanie
Polaków. Papież, biskupi,
nuncjusze oraz katoliccy
Habsburgowie liczyli w
Rzeczypospolitej przede wszystkim na
heretyków Zborowskich tudzież na
Stanisława Górkę, który też był
innowiercą.

Świetnym dla Austrii
koniunkturą towarzyszył jednak
objaw mniej pomyślny - brak
zgody co do osoby kandydata.
Współzawodniczyli o naszą koronę
czterej arcyksiężęta - Ernest,
Ferdynand, Maciej i Maksymilian.
Każdy z nich miał w Polsce
adherentów, ciągnął w swoją

stronę i skutecznie osłabiał
obóz familijny. Umysł cesarza
Rudolfa II zwracał się
najchętniej ku wiedzy
tajemnej, słabo podówczas
odgraniczonej od ścisłej.
Astrologia przeplatała się wszak
z astronomią, alchemia z chemią,
medycyna z czarnoksięstwem.
Zajęty ich zagadkami Rudolf nie
powściągnął ambicji skłóconych
braci.

W trzy tygodnie po zgonie
Stefana I nuncjusz z Wiednia tak
oto rozprawiał o nastrojach w
Polsce: "Co do królowej wdowy
powiadają niektórzy, że gdyby
znalazł się kandydat, którego
mogłaby poślubić - zważywszy, że
liczy około pięćdziesięciu lat,
jest zdrowa i dobrej kompleksji
- i który byłby obdarzony
zaletami, jakich od króla
wymagać należy, kochający ją
kraj skłoniłby się może do jego
wyboru... Inni jednakowoż
powiadają, że kraj skłaniałby
się raczej do wyboru jej samej,
aby zachować większą swobodę
rządzenia, a zwłaszcza gwoli

przywrócenia owych przywilejów,
naruszonych jakoby to przez
zmarłego króla Stefana".

Stałe pomyłki co do wieku Anny
pachną czarami. W rzeczywistości
rozpoczęła już ona
sześćdziesiąty czwarty rok życia
i za mądra była, by marzyć o
mężu czy samotnym królowaniu.
Dziwny raport Filipa Segi
dowodzi tylko, jak wielkim
autorytetem była nadal w
Rzeczypospolitej stara Jagiellonka.

Anna należała do osób, u
których wiek nierychło osłabia
zdolności. Największą w swym
życiu i najtrudniejszą batalię
rozegrała późno, już prawie o
zachodzie.

Wkrótce po zgonie męża odbyła
potajemną naradę z jego
śmiertelnymi wrogami, ze
Zborowskimi oraz z ich
socjuszami. Umówiono się
popierać arcyksięcia

Maksymiliana, który winien
poślubić Annę Szwedzką,
wzmacniając w ten sposób swą
pozycję tradycjami Jagiellonów.
Nie zapomniano również o
królewiczu Zygmuncie, upatrując
dlań żonę w osobie jednej z
córek arcyksięcia Karola.

Zborowscy nie wiedzieli
jednak, że ich koronna
kontrahentka już wcześniej i na
własną rękę dokonała ważnego
posunięcia. Po cichu pchnęła do
Szwecji Inflantczyka, Lamberta
Wradera. Miał on zachęcić dwór
Sztokholmski do energicznych
zabiegów o tron polski dla
Zygmunta.

W lutym 1587 roku pośpiesznie
przybył do Wiednia zausznik
królowej i jej wypróbowany
goniec, Mandel. Przywiózł
Maksymilianowi portret Anny
Szwedzkiej, zapewniając, że
dostarczono go świeżo ze
Sztokholmu dla doręczenia

arcyksięciu. Była to fikcja. W tym czasie Anna Jagiellonka nie tylko nie miała zgody ze strony króla Szwecji, lecz nie posiadała żadnych, najmniejszych nawet wiadomości o tym, co on myśli i zamierza.

Ryzykowna kombinacja opierała się na rozsądnym rachunku. Gdyby Maksymilian osiągnął tron, Jan III na pewno nie obraziłby się za podrabianie jego weksli, oddałby córkę Habsburgowi, królowi Polski. W tym czasie szanse arcyksięcia wyglądały dobrze. Moskwa przyrzekła mu swe poparcie, był ponadto jeden ze współzawodników. Ferdynand postanowił bowiem wycofać swą kandydaturę.

Ale trzech Habsburgów rywalizujących o jedną koronę to też było stanowczo za dużo. Kłótnia w rodzinie osłabiała skutki tak nawet kunsztownych zabiegów, jak pogłoski o zaburzeniach w Szwecji, buncie młodszego brata królewskiego,

Karola Sudermańskiego, oraz o uwięzieniu królewicza Zygmunta. Pojawiły się te wieści naturalnie najpierw w Wiedniu, skąd przenikały na północ, do Krakowa i Warszawy, gdzie zatrwożyły Jagiellonkę. Upiększano je w dodatku opowiadaniem o chorobie umysłowej następcy tronu szwedzkiego. Ludzie nie zapomnieli jeszcze wtedy niesamowitej postaci Eryka XIV, wiedzieli, że i ojciec Zygmunta, Jan III, zachowuje się czasem w sposób niezbyt przytomny, ulega napadom szalonego gniewu, a słuchać lubi tylko i wyłącznie własnego głosu. Plotki były dobrze obliczone. Trafiały na przygotowany grunt i chwytały.

Anna natychmiast wysłała za

morze Walentego Wągligowskiego, któremu kazała wywiedzieć się prawdy i jeśli będzie pomyślna, zaproponować Janowi III pomoc ze strony szwagierki.

Oficjalnym posłem Rzeczypospolitej do Szwecji był Paweł Uchański. Wyjechał on z Polski po pierwszym gońcu Anny, Wraderze, a grubo przed Wągligowskim, także wioząc zachęty oraz obietnice poparcia. Jan III nie raczył nawet donieść stanom szwedzkim o jego misji. Korona polska nie kusiła już rodu Wazów. Zarówno ojciec, jak syn wykazali daleko posuniętą obojętność. Jan III bardzo długo marzył o tronie Zygmunta Augusta, lecz od kilku lat śnić o nim przestał.

Znaczny wpływ na to wywarł zgon Katarzyny Jagiellonki. Rozwiały się rojenia o spadku po Bonie, a pieniądze były Janowi III pilnie potrzebne. Stałe przekopywanie ogrodów pałacowych w Sztokholmie nie przynosiło pożądaných rezultatów, utrzymanie dworu kosztowało jedną trzecią dochodów państwa, co roku deficyt był olbrzymi, przekraczał połowę wpływów. Król

szwedzki znany był z tego, że nie płacił należności nie tylko dworzanom, lecz nawet ambasadorom, a upominającym się groził więzieniem. Zniewagi i obelgi figurowały zawsze na porządku dziennym. Zresztą i dyskusje na tematy polityczne polegały zazwyczaj na tym, że król lżył każdego, kto głosił opinię odrębną od monarszej.

W roku 1583 przedstawiciel Szwecji w Rzeczypospolitej otrzymał ciekawy memoriał od grona magnatów polskich. Henry Biaudet powiada, że oryginał tego dokumentu zachował się w archiwum sztokholmskim. Autorzy

tłumaczyli adresatom
bezsensowność dążeń do korony
polskiej dla Zygmunta. Przez
sześć miesięcy w roku Bałtyk nie
nadaje się do żeglugi, jedyna
droga z jednego kraju do
drugiego wiedzie wówczas przez
Inflanty. W tych warunkach
władca dwu państw nie będzie
miał możliwości rządzenia,
autorytet korony osłabnie w
Szwecji.

Arystokracja skandynawska
dążyła jednak do tego właśnie,
przed czym wcale rozsądnie
przestrzegała Polska. Tamtejszym
magnatom zależało na wypchnięciu
Zygmunta, czyli własnego
następcy tronu, za morze.
Nadwątliliby to władzę
królewską i otworzyło piękne
perspektywy przed możnymi.

Zmierzch nadziei na spadek po
Bonie grał rolę

znaczna, lecz nie jedyną.
Ścierały się w Szwecji dwie
tendencje polityczne. Pierwsza,
reprezentowana długo przez
króla, a nadal przez
arystokrację, zmierzała do
korony polskiej i w związku z
tym do zbliżenia z państwami
katolickimi. Przedstawicielem
drugiej, znacznie bardziej
popularnej, był Karol
Sudermański, zwolennik sojuszu z
obozem protestanckim. Nie można

wątpić, że jego program lepiej
pasował do państwowych interesów
Szwecji.

Arystokracja zyskała ważny
punkt, kiedy w lutym 1585 roku
udało się jej ożenić króla z
szesnastoletnią Gunilą Bjelke,
potomkinią rodu magnackiego.
Kazano dziewczynie wyrzec się
młodego narzeczonego i wydano ją
za wdowca. Stronnictwo
przeciwne zapisało na swe konto
dokonane w roku następnym
zaręczyny królewicza Zygmunta z

księżniczką Holsztynu Krystyną,
kuzynką króla Danii,
osobistością wprost sztandarowo
protestancką.

Bezkrólewie po Stefanie I
przypadło akurat wtedy, kiedy
Jan III już się właściwie
wyrzekł marzeń o Wawelu i mógł
dać szczerą waraz swym
sentymentom wobec Polaków,
których zawsze nie znosił.
Zabiegi Anny Jagiellonki trafiły
na wyjątkowo złą koniunkturę.
Nie zraziło to stanowczej damy.

Wysłany przez nią Lambert
Wrader zjawił się w Sztokholmie
w końcu stycznia 1587 roku.
Królewicz Zygmunt oświadczył mu
po prostu, że korony polskiej
nie przyjmie, wspomniał o
zaręczynach z Krystyną. Jan III
zapowiedział ponadto, że w razie
obrony syna królem nie wypuści
go z kraju.

Już się mówiło o Pawle
Uchańskim, oficjalnym pośle
Rzeczypospolitej. Jan w ogóle nie
powiedział stanom szwedzkim o
jego misji.

Walenty Wągligowski, kolejny
wysłannik Anny, przybył do
Szwecji u schyłku lutego, a już
1 marca Jan wyprawił go z
powrotem, zaopatrzonego w list.

Trudności komunikacyjne, które
dziś niełatwo sobie nawet
wyobrazić, zmuszały ludzi do tym
większych wysiłków i trzymały
ich nerwy w ciągłym napięciu.
Wysyłało się gońca i przez całe
miesiące czekało na jego powrót

lub najmniejszą wiadomość. Anna
musiała czuć się w Warszawie
niczym na rozpalonych węglach.
Kraj nie spał, stronnictwa
działały - i jak jeszcze! -
termin elekcji się zbliżał.

Wrader, który wyjechał w
grudniu, powrócił dopiero 12
kwietnia wieczorem, ponieważ
jakieś niefortunne okoliczności

przedłużyły podróż nawet ponad ówczesną normę. Przywiózł odmowę i doniósł ponadto, że Anna Wazówna jest już zaręczona z królewiczem duńskim. Sfatygowany Inflanctczyk nie odpoczął w Warszawie, nie pozwoliła na to jego pani. Z jej rozkazu musiał natychmiast znowu jechać do Szwecji. List, który wiózł, był dziwnym dokumentem. Jagiellonka nie przejęła się otrzymaną rekuzą, formułowała konkretne warunki, od których przyjęcia zależał wybór Zygmunta na tron. Żądała zapowiedzi unii dwóch państw, przysłania ambasadorów oraz obietnicy, że Estonia przypadnie Rzeczypospolitej.

Ledwie Wrader wyjechał, 17 kwietnia zjawił się w Warszawie Wągligowski z listem. Anna popadła w taki entuzjizm, że zaraz kazała sporządzić liczne kopie i postarała się, by jak najrychlej otrzymały je dwory europejskie, papież, senatorowie Rzeczypospolitej. Zarówno w Polsce, jak na Litwie wrażenie było bardzo złe. Król szwedzki przemawiał w sposób wyniosły, jeśli nie obraźliwy. Nie prosił o koronę dla syna, łaskawie zgadzał się ją przyjąć, podkreślając dziedziczne prawo Zygmunta jako Jagiellończyka po kądzieli.

Pomimo wszystko - nie mają może racji ci wszyscy, którzy rozgłoszenie tego listu uznają za pomyłkę Anny. Stara królowa nie popełniła błędu w sztuce. Jan III zapowiadał przysłanie ambasadorów i to było najważniejsze, mogli bowiem nimi

zostać tylko członkowie arystokratycznych rodów szwedzkich. Dotycząca tej sprawy decyzja króla była ich zwycięstwem, na pewno świadomie wywalczonym. Anna chciała pewnie

przy pieczętować i utrwalić
własny sukces, rozgłaszając go.

Trzy siły torowały Zygmuntowi
drogę do tronu wawelskiego oraz
- w dalszej przyszłości - do
wyniosłego miejsca na kapitulu
warszawskiej kolumny. Ciotka
szturmowała Sztokholm listami, a
pewnie i szantażowała, magnaci
szwedzcy parli królewicza za
morze, a wielotysięczne tłumy
szlachty polskiej na kredyt
darzyły syna Katarzyny
Jagiellonki zaufaniem.

Tajna narada stronników Anny
postanowiła wysłać do Szwecji
Marcina Leśniowolskiego,
kasztelana podlaskiego. Miał on
skłonić Jana do poparcia
kandydatury syna demonstracją
zbrojną. Dokonałoby jej w
Estonii wojsko szwedzkie,
dowodzone przez samego Zygmunta.

Jan III znalazł się w nie lada
opałach, z dwu stron wywierano
nań nacisk twardy, a stały.
Polska szwagierka przedkładała
coraz dalej posunięte wnioski,
miejscowa arystokracja wymuszała
coraz nowe ustępstwa.

Odprawiwszy Leśniowolskiego,
Anna jak gdyby przypomniała
sobie o jeszcze jednej ważnej
sprawie. Pchnęła za kasztelanem
specjalnego gońca, który miał go
dopędzić i przekazać polecenie
protegowania arcyksięcia
Maksymiliana do ręki Anny
Wazówny. Jagiellonka nie
wypuszczała z dłoni karty
habsburskiej.

13 maja ambasadorowie Szwecji
wyruszyli wreszcie do Polski.
Eryk Sparre i Eryk Brahe
zaliczali się do najwyższej
arystokracji, byli nawet jej
przywódcami. Otrzymali od swego
króla ostro brzmiącą instrukcję.
Winni byli przede wszystkim

żądać pieniędzy, należnych
nieboszczce Katarzynie, a

dopiero potem rozmawiać o kandydaturze. Jan III głosił, że ewentualny wybór jego syna stanowiłby właściwie wypłatę długu wdzięczności, który Rzeczpospolita zaciągnęła wobec dynastii Jagiellonów. Poczucie honoru nakazuje Polakom i Litwinom powołać Zygmunta na tron.

Instrukcja instrukcją. Najistotniejszy okazał się fakt przybycia do Warszawy kontrahentów. Anna Jagiellonka miała odtąd z kim rozmawiać bezpośrednio.

Czas był po temu najwyższy, jeśli się nadal zamierzało obstawiać dwa konie. Naprawdę, nerwy starszej pani zasługują na podziw. Misterne kombinacje snuły się wtedy, kiedy wszystko wokół zaczynało kipieć, jakże już daleko była pierwsza elekcja, podczas której propaganda obcych ambasadorów oraz brak delikatności ze strony Austriaków dostarczały największych sensacji! Teraz powszechność przeżywała inne zmartwienia niż nieoczekiwany powrót Infantki z Piaseczna do Warszawy.

W lutym - podczas konwokacji - zgromadzony na murach lud patrzył przerażony na prawy brzeg Wisły, gdzie szykowałą się batalia. Poseł bełski Stanisław Żółkiewski - późniejszy hetman - odchodził z Warszawy zrażony bezowocnością obrad. Za nim runęły przez most jagielloński oddziały Zborowskich. Żółkiewski natychmiast sprawił szyk bojowy. Wozy zatoczyły kolisko, zbrojni stanęli za ich osłoną. Marsowy widok ustudził zapały, krew się nie polała.

Nieco wcześniej Marcin Leśniowolski - o którym wiemy, że posłował z ramienia Anny - omal nie trafił na cmentarz zamiast do Szwecji. W izbie

senatu sługa Zborowskich
wymierzył doń rusznicę i tylko
czekał skinienia swych panów.
Kasztelan popisał się odwagą,
mowy nie przerwał, a zamachowca
ktoś powstrzymał. Gorzej się
przytrafiło Stanisławowi
Żółkiewskiemu, przyszłemu
zwycięzcy spod Kłuszyna. Z siłą
ciśnięty czekan minął go o włos.

Stronnictwo Zborowskich
szalało. Skupił się w nim sam
kwiat warcholstwa krajowego.
Stanisław Górka, który ongi tak
dzielnie występował za Batorym,
przy nim dobry znajomy Anny
Jagiellonki, Stanisław Sędziwój
Czarnkowski, stary już i
zupełnie ślepy, lecz wściekle
zajadły. Za Stefana odjęto mu
starostwo płockie i urząd
referendarza, odmówiono godności
duchownej, której się gwałtownie
domagał, będąc człowiekiem
świeckim.

Obóz Zborowskich dyszał zemstą
za "krzywdy", jakich ludzie jego
doznali od niemalowanego króla.
Stefan nie żył. Nienawiść
zwracała się przeciwko
Zamoyskiemu... nie do tego
jednak stopnia, by go nie miano
namawiać do przejścia na stronę
Habsburgów. Zborowscy służyli
domowi Austrii, brali jego
pieniądze.

Początek elekcji wyznaczono na
30 czerwca - akurat na tę porę
roku, w której najtrudniej o
żywność dla masowego zjazdu i
kiedy każdy ziemianin ma głowę
zaprzątniętą raczej zbliżającymi
się zniwami niż polityką. O to
właśnie chodziło, aby szeregowa
szlachta albo została w domu,
albo musiała wcześniej opuścić
pole elekcyjne, wkraczający zaś
do kraju obcy żołnierz zastał
stodoły już pełne. Zborowscy
najmowali wojsko za cesarskie
jurgielty. Zamoyszczyicy mniej
mieli środków, bo król Stefan
niewiele po sobie zostawił. Anna
Jagiellonka wydawała sporo, lecz
przede wszystkim na jednanie

stronników Zygmunta.

Tym razem Antoni Maria
Graziani już by się nie mógł
rozczułać nad wrodzoną
poczciwością Polaków,
nieskłonnych do wojny domowej.
Stała się ona wręcz
nieunikniona. Stosunki
wewnętrzne w Rzeczypospolitej
upodobniły się wskutek tego do
powszechnie panujących na
kontynencie.

Był rok 1587. Za kilkanaście
miesięcy, a mianowicie 23
grudnia roku następnego, odbyła
się we Francji "tragedia w
Blois". Henryk III - eks_król
polski - kazał zabić księcia de
Guise, wodza partii katolickiej,
oraz jego brata, kardynała. Przy
zwłokach Gwizjusza znaleziono
list do Filipa II, zawierający
następujące słowa: "Dla
sfinansowania wojny domowej we
Francji potrzeba siedmiuset
tysięcy liwrów miesięcznie".
Wypłacać je miał naturalnie
Madryt, a dokonane w Blois
morderstwo było dedynym niestety
środkiem zapobieżenia złu.

Podczas samej elekcji do
wybuchu jeszcze nie doszło,
aczkolwiek "w rozerwanej na trzy
części Rzeczypospolitej wszystko nad
przepaścią zguby zawisło" - jak
się wyraził Paweł Piasecki.
Zborowscy, potężni najemnym
żołnierzem, stali bliżej
Warszawy i Woli. Opodal Powązek,
zwanym wtedy Gajem, Zamoyski
zatoczył obóz warowny, mianowany
przez przeciwników Radą Czarną,
bo kanclerz, jego dwór i pułki
nosili żałobę po królu Stefanie.
Litwa rozbiła namioty całkiem
osobno, początkowo aż za Wisłą.
Przywódcy jej oświadczyli
oficjalnie, że czekają na zgodę
wśród koroniarzy. W
rzeczywistości chodziło o celowe
zwłóczenie, by wymusić na

Polakach koncesje na rzecz
Wielkiego Księstwa.

Rzeczpospolita rozerwała się
więc naprawdę na trzy części.

Wahających się, na razie
neutralnych, też było wielu, bo
wbrew oczekiwaniom i rachubom
zwały pod Warszawę
nieprzejrzane tłumy szlacheckie.

Jan Zamoyski ocalał,
przeznaczona dla niego kula
śmiertelnie trafiła młodego
Wacława Wąsowicza. Przy samym
prymasie padł kanonik
inowrocławski Brzeziński, również
zastrzelony. W takich warunkach
obradował senat Rzeczypospolitej.

Pewnego dnia lipcowego, kiedy
w "szopie" spokojnie i rzeczowo
przemawiał stronnik kanclerza,
podskarbi wielki koronny Jan
Dulski, z pola doleciał tętent
koni i odgłos marszu piechoty.
Siły Zborowskich wystąpiły w
szyku bojowym, gotowe do
uderzenia. Natychmiast ustawiły
się naprzeciwko czarne roty
Zamoyskiego, pułki Konstantego
Ostrogskiego, Andrzeja
Opalińskiego i Stanisława
Szafranca. Zamiar zaskoczenia
przeciwników zawiódł
Zborowskich, szło do regularnej
bitwy.

Mieszczanie zatrzasnęli bramy
Warszawy i sami stanęli pod
bronią. Obawiali się, że
ktokolwiek zwycięży, ten ruszy
rabować miasto. Otoczony
jezuitami nuncjusz Hannibal z
Kapui, pasterz Neapolu, "acz
kulawy wstąpił na wierzchołek
wysokiej wieży świętojańskiej,
aby stamtąd spodziewanej bitwie
mógł się przypatrzeć. Był on
pierwszą wszystkich niezgód
podżogą i stronnictwa
heretyckiego Górki i Zborowskich
głową". - bez osłonek rąbie w
swej kronice biskup Paweł
Piasecki.

Między liniami wojsk wrogich
uwijał się konno wzywając do
zgody stary, siwobrody prymas
Stanisław Karnkowski. Wystąpił
też, jako pośrednik, biskup
Wawrzyniec Goślicki, znakomity
pisarz polityczny. Z nim razem
działał Stanisław Szafraniec,

protestant.

Nikt nie rozpoczynał ognia,
lecz nikt także nie chciał
pierwszy ustąpić, by nie dać
przeciwnikowi sposobności do
niespodziewanego ataku. Dopiero
w ciemnościach pułki zaczęły
ściągać z pola. Hannibal z Kapui
zeszedł z wieży, pełen
rozczarowania.

Wskutek kryzysów politycznych
zdziczały w Polsce obyczaje, ale
nie tak całkiem jeszcze. Próba
gwałtu stanowczo nie opłaciła
się Zborowskim. Tysiące
niezdecydowanej dotychczas
szlachty Obojga Narodów zaczęły
przechodzić do kanclerza. Jego
stronę wziął i sam prymas.

Mieszkał on u bernardynów przy
Krakowskim Przedmieściu. Pewnej
nocy przybiła do skarpy wiślanej
pod klasztorem duża łódź,
obsadzona żołnierzami.
Arcybiskup miał być porwany i
odstawiony do obozu Zborowskich.
Kanclerz zwęszył jednak w porę,
co się święci. Starosta
sandomierski Stanisław
Pękosławski "zbrojnym ludem
opasawszy klasztor z wielką
uczciwością wywiózł zeń prymasa
i w Zamku Królewskim wygodnie
umieścił".

Stale przebywała tam Anna
Jagiellonka. Królowa z bliska
patrzyła na burzliwe perypetie
na moście, na Krakowskim
Przedmieściu i pod Wola,
przeżywała wraz z Warszawą
zmiennie nastroje i ani na
chwilę nie zaniedbywała swej
skomplikowanej gry. Miała pod

ręką posłów szwedzkich, którzy
otrzymali od naciskanego przez
ludzi i okoliczności Jana
pozwolenie uczynienia
Rzeczypospolitej mglistej obietnicy
co do Estonii. W tym czasie król
szwedzki pragnął już korony dla
syna. Przeląkł się podsuniętej
mu myśli, że jeśli koronę tę
otrzyma przypadkiem car, z
elekcji może się wyłonić sojusz
austriacko_moskiewsko_polski,

którego koszty poniesie Szwecja.

Zarówno Anna, jak obaj
ambasadorowie pokrywali
dyskretnym milczeniem kwestię
zaręczyn Zygmunta. Imię Krystyny
holsztyńskiej nie było w
Warszawie wspomniane. Raz tylko
odezwał się o niej nuncjusz i
zaraz także zamilkł.
Protektorowi Habsburgów
niezręcznie chyba było
rozgłaszać sprawy sztokholmskie.
Arcyksiążęta Maciej i
Maksymilian ślali każdy od
siebie posłóws za morze,
zabiegając o rękę Anny
szwedzkiej.

18 sierpnia wieczorem Jan
Zamoyski zjawił się na zamku.
Chciał ostatecznego porozumienia
z Jagiellonką.

Aż dotychczas kanclerz wahał
się, nie przemawiał w sposób
wyraźny za żadnym z kandydatów.
Współcześni twierdzili, że
pragnął zobaczyć na tronie
polskim cara Moskwy lub -
siebie. Wielki mąż stanu mógł
istotnie zdawać sobie sprawę, że
najlepszym wybrańcem narodu
byłby on sam. Czekał podobno,
aż ktoś inny wystąpi z tym
wnioskiem. Ale w istniejących
warunkach było to niemożliwe.
Oprócz wspomnianych już
przeszkód natury narodowościowej
fatalną zawadę stanowił zatarg
ze Zborowskimi.

Strona austriacka obiecywała go

załagodzić, ciągnąc kanclerza ku sobie. Zamoyski zwłóczył z odpowiedzią, usiłował wygrać na czasie, pogłębić rozdzźwięki między arcyksiężętami.

Ze Zborowskimi pojednałby się chętnie, na Habsburga zgodzić się nie mógł. Uczuciem, które go od nich dzieliło, była trwoga o przyszłość. Bo doraźnej walki orężnej kanclerz się nie bał, czego miał wkrótce dowieść. Warto posłuchać, jak przed półtora wiekiem opowiedział o tych nastrojach Julian Ursyn Niemcewicz, streszczający tylko

wywody współczesnego Zamoyskiemu Pawła Piaseckiego:

"Tkwiły w umyśle w młodości jeszcze powzięte, z tylu innymi dzielone naówczas przeciw domowi Rakuskiemu wrażenia. Podejrzany był Polakom samo imię Germanów, jako wrodzoną pałających nienawiścią przeciwko narodom słowiańskim. Oni to rozległe aż do rzeki Elby krainy, Pomorze, niegdyś dziedzictwa Słowianów, posiadli, obyczaję swoje wprowadzili, mowę nawet ojczystą wykorzeń usiłowali. Przez nich świeżo nabyte wolne królestwo czeskie w dziedziczne panowanie i brzydkie obrócone poddaństwo. Oni to za ledwie postawili stopę na wolną ziemię węgierską, wydarli jej prawo obierania królów swoich i berło to własnym rodowi swemu uczynili, słowem mowę, obyczaję, prawa, imię nawet szczupłej austriackiej krainy potężnym i ludnym królestwom usiłowali nadać".

Zupełnie określone tradycje rozumowania politycznego nie zatraciły się w Koronie Polskiej. Przytoczone rozważania sumują wszak pokłosie piastowskich jeszcze doświadczeń.

Zamoyski przyszedł więc na

zamek 18 sierpnia
wieczorem. Chciał rozmawiać z
Anną o sprawach całkiem
konkretnych. Zapytał, na jakie
wsparcie pieniężne można liczyć
ze strony Jagiellonki. Obóz
austriacki brał subsydia
cesarskie i hiszpańskie, stać go
było na utrzymywanie wojska.
Jego przeciwnicy czerpali z
własnych zasobów, znużona
długotrwałą elekcją szlachta
coraz tęskniej oglądała się w
stronę swych domostw. A należało
wszak przewidywać, że niemilego
Habsburgom wybrańca przyjdzie
bronić orężem.

Królowa odpowiedziała
kanclerzowi spokojnie, że wydała
już sto tysięcy złotych i niczym

więcej służyć nie może.
Obecnych przy rozmowie posłów
szwedzkich nie warto było nawet
naciskać. Oni sami dopiero co
bezsukutecznie usiłowali
zaciągnąć u Gdańszczan małą
pożyczkę, bo nie mieli z czego
żyć.

Anna znowu popisywała się tą
samą ostrożnością, której tak
piękne dowody złożyła podczas
elekcji Stefana. Posunęła się
bardzo daleko w popieraniu
siostrzeńca, angażować się bez
reszty nie chciała. Rzucanie
wszystkich zasobów na jedną ze
stron wydawało się jej pewnie
lekkomyślnością.

Kanclerz wrócił pod swój
namiot, ale spać nie poszedł.
Strawił całą noc na samotnych
deliberacjach. Godzinę przed
świtaniem nieoczekiwanie zjawił
się prymas.

"I czegoż - zapytał - wśród
powszechnych prawie życzeń sam
się dłużej ociągasz? Ja gotów
jestem do ogłoszenia nowego
króla".

Zamoyski przestał
hamletyzować, bo chwila była

naprawdę jedyna. Należało korzystać ze zdecydowania interrexa, człowieka, któremu prawo dawało moc ogłaszania i namaszczenia monarchy. Nie tak dawno przecie Karnkowski porzucił obóz Zborowskich. Należało dbać, aby tam powrócić nie zdążył.

Tegoż dnia 19 sierpnia królewicz szwedzki został Zygmuntem III.

Jak się wypadało spodziewać, socjusze Habsburgów nie dali za wygraną. 22 sierpnia poseł cesarza pośpiesznie kreślił w Warszawie list do arcyksięcia Maksymiliana. W oryginalnym tym piśmie zasługuje na uwagę nie tylko treść, lecz i ton:

"I tak dziś o godzinie ósmej na powszechnym zebraniu Najjaśniejszy Pan zostałeś obrany według wszelkich

formalności królem polskim i wielkim xięciem litewskim i mianowany przez biskupa kijowskiego (Jakuba Woronieckiego) z największą wszystkich radością. A lubo przeszłej środy stronnicy kanclerza z tym niestałym a zmiennym arcybiskupem gnieźnieńskim (Stanisławem Karnkowskim) wybrali o godzinie pierwszej młodzieniaszka szwedzkiego na usilne prośby królowej, nie powinienes, Wasza Królewska Mość, tym się troszczyć, lecz bez żadnej zwłoki przybyć do królestwa i do Krakowa, ale nie bez wojska".

Autor listu, biskup z Ołomuńca Stanisław Pawłowski, był Polakiem i liczył się do przedniejszych dyplomatów owej doby. Zjawił się w Polsce jako poseł cesarski, a pismo swe wysłał przez rodzzonego brata, Wacława.

Ksiądz biskup koloryzował

naturalnie, ale radził mądrze. Elekcji Maksymiliana dokonano całkiem nieformalnie, w obecności pięciu zaledwie senatorów i niezbyt licznej szlachty. Jakubowi Woronieckiemu, który był dopiero nominantem, bo nie dokonał jeszcze ingresu do Kijowa, nie przysługiwały żadne prawa. Ale pozór się stał, wszystko zależało teraz od szybkości działania i siły fizycznej.

Tak więc w sierpniu 1587 roku dwukrotnie śpiewano w Warszawie Te Deum, w dwu kościołach stojących w pobliżu przyszłej kolumny króla Zygmunta. Na jego cześć w tej świątyni, do której pomnik obraca się tyłem - w katedrze Św. Jana. Na cześć Maksymiliana od frontu - u bernardynów.

Już 19 sierpnia wieczorem Eryk Sparre i Eryk Brahe podpisali i zaprzysięgli przedłożone im warunki, zdecydowanie przekraczając instrukcje,

naruszając nawet interesy państwowe Szwecji. Jan III pozwolił na danie Polakom mglistej obietnicy co do Estonii, ale nie myślał tego dotrzymywać. Jego ambasadorowie Estonię przyrzekli. Anna Jagiellonka poręczyła to Rzeczypospolitej całym swym majątkiem.

Królowa rzuciła kości, popierała teraz siostrzeńca ze wszystkich sił. W decydującej chwili wypuściła niejako naprzód kanclerza i prymasa, pozostawiła im ryzyko. Kiedy go dokonali, ruszyła w sukurs. Wykazała zdecydowanie oraz energię, od których wszystko teraz zawisło.

W jeszcze wyższym stopniu dowiódł tych cnót Zamoyski. Długo rozważał on wszelkie pro i contra, lecz potem działał z

uporem tak jednostajnym, że zwolennicy teorii o przemożnej roli charakterów narodowych powinni chyba skreślić go z listy Polaków i wpisać między Anglików.

Okoliczności nie zaliczały się do pomyślnych. Gotów i chętny do akcji Maksymilian był tuż, w kraju graniczącym z Polską, ociągający się Zygmunt za morzem.

Marcin Leśniowski znowu pojechał do Szwecji oznajmić o dokonanym wyborze. Na wieść o warunkach Jan III wpadł w furję, odrzucił je zdecydowanie i zapowiedział, że nie puści syna do Polski. Na tak twarde dictum kasztelan chciał już pakować manatki i ładować się na okręt. Szczęściem zdażył w porę przybyć Eryk Sparre, któremu udało się ułagodzić szalejącego monarchę. Pod naciskiem otoczenia Jan III jeszcze raz ustąpił. Zgodził się na wyjazd Zygmunta, zabronił mu jednak schodzić z pokładu i wstępować na ziemię Rzeczypospolitej, zanim jej senat nie unieważni punktu paktów dotyczących Estonii. Razem z Zygmuntem kazał jechać

do Polski jego siostrze, królowie Annie. W razie czego można by więc było wykręcić kota ogonem i upozorować wyprawę chęcią odwiedzenia przez młodych zamieszkałej w Warszawie starej ciotki.

Cieszyła się ona tymczasem doniesieniami, że Maksymilian guzdrze się i niczego nie przedsięwzięmie bez porady Filipa II, przebywającego w Eskurialu pod Madrytem. Złudzenia rozwiął pewien list wysłany z Krakowa. Arcyksiążę i jego wojsko wkroczyli do Polski.

Krzysztof Zborowski przemocą zajął Wiślicę, gdzie miał się wkrótce odbyć zjazd szlachty,

brat jego - Andrzej - pochwycił w Stopnicy kasztelana sandomierskiego Stanisława Tarnowskiego. Kraj oburzał się na gwałty, a nuncjusza Hannibala z Kapui radowały dowody energii jego politycznych przyjaciół.

Flota dwudziestu okrętów zakotwiczyła o pół mili od Gdańska. Zygmunt zapowiedział, że pierwszego posłuchania udzieli Polakom na szwedzkim pokładzie, na którym powiewała bandera admirała Flemminga. Wkroczyła jednak siła wyższa w postaci sztormu. Statki musiały zawinąć do portu. Obrany przez Polaków król zażądał teraz glejtu bezpieczeństwa od rady miasta Gdańska, a nie od czekających na pana posłów Rzeczypospolitej.

7 października przed wielkim ołtarzem kościoła w Oliwie zastępujący nieobecnego marszałka Jan Dulski, podskarbi, ogłosił Zygmunta królem. Warunek odnoszący się do Estonii zaklajstrowano. Nie miało się jej żądać za życia Jana III. W cztery doby później powtórzono ceremonię w gdańskim kościele Dominikanów. Aż do 18 października bawił nowy monarcha nad Motławą, zanim przez Malbork i Toruń ruszył w kierunku

Piotrkowa. Na dwa dni przed wyjazdem z Gdańska otrzymał list od ojca. Jan III nakazywał synowi natychmiastowy powrót do Szwecji.

Inaczej, zupełnie inaczej działało się wszystko przed jedenastu laty ze Stefanem Batorym. Węgier sam sobie zamknął powrót do Siedmiogrodu, stanąwszy w Śniatyniu żadnego listu żelaznego od nikogo nie żądał, szedł do władzy zdecydowany działać, otwarcie i szczerze. Szwed ledwie się

ruszał, od razu zniechęcony i obojętny. Odmienne okoliczności wyboru każdego z nich zjawisk tych bynajmniej nie wyjaśniają. Kolejno występowali na polskiej scenie dwaj ludzie najzupełniej, wręcz kontrastowo różni - krew i limfa. Nawet porywcza gburowatość Stefana okazała się lepsza od zimnej uprzejmości Zygmunta.

Szwedzkie rodzeństwo spotkało się z ciotką w Piotrkowie. Chwila nie sprzyjała serdecznościom, uwagę wszystkich pochłaniała tocząca się w kraju wojna. Niektórzy kronikarze twierdzili, że Anny starszej w ogóle w Piotrkowie nie było.

Od południa nadciągnął silny oddział żołnierzy Maksymiliana, Niemców i Polaków. Dowodzący nimi książe Lichtenstein i Stanisław Diabeł_ Stadnicki zamierzali pochwytać Zygmunta. Na razie wzięli Przedbórz, rozbijając jego załogę, pomordowali jeńców. W Piotrkowie ujęto człowieka, który wyznał, że otrzymał rozkaz podpalenia miasta. Jakby dla powiększenia grozy naprawdę wybuchł w nim pożar, ale wzniecony przypadkiem. Przez dwie noce orszak Zygmunta stał pod bronią, sam król nie zdejmował zbroi.

Szlachty było przy nim sporo, lecz nie kwapiącej się do czynu. Wyznawała ona widać poglądy podsędka wieluńskiego, który

podczas niedawnego sejmiku opowiedział zebrany przypowiestkę o pewnym ziemianinie, który woził ze sobą wszędzie pięknie przystrojonego sługę, a znalazłszy się w opałach towarzyskich wołał: "Janie, wszakżeś w kaftanie, bij się!" A na to Jan: "Panie, nęć kaftan, bij się sam". - "Takeć też to teraz - konkludował

podśudek - gdy panom duszno,
dopiero nam szlachcie bić się
każą, sami się zwadziwszy".

Po szarpaninie i przesileniach
przyszła apatia. Herbowi
przystawali na podatki, sami się
do oręża nie rwali. Został przy
królu oddział ochotników i
wojsko zaciężne, co z
nmilitarnego punktu widzenia
było stanowczo lepiej.

Lichtenstein i Stadnicki
zawrócili ku Krakowowi,
obawiając się, że Zamoyski zmoże
osłabionego Maksymiliana.
Zygmunt pociągnął ku Warszawie,
każąc szerzyć wieści, że wraca
do Szwecji. W Rawie pożegnał
obie Anny, sam raptownie
skręcając w stronę stolicy. Pod
Nowym Miastem przekroczył
Pilicę, pod Korczynem Wisłę, by
się nią odgradzić od wojsk
arcyksięcia. "Podczas tej
przeprawy dognali go dwaj gońcy.
Jeden donosił, że Zamoyski
obronił Kraków i pod samymi jego
murami ciężko pobił Habsburga.
Drugi przywiózł list ze Szwecji.
Jan III ponownie i stanowczo
nakazywał synowi natychmiastowy
powrót.

Otoczenie szwedzkie miało
wtedy namawiać Zygmunta, by
jednak wkroczył do Krakowa,
ukoronował się, abdykował i
wyjechał do domu. Według innej
wersji król odpisał ojcu, że nie
odstąpi Polsce ani piędzi ziemi
inflanckiej, wyda siostrę za
arcyksięcia Ernesta, odda mu
koronę i zaraz potem wyniesie
się z Rzeczypospolitej.

Apatia szlachty dobrze

pasowała do oziębłości jej
wybrańca. Dusze poddanych nie
zapłonęły miłością, bo i w sercu
pana zabrakło ognia na podpałkę.

8 grudnia Zygmunt uroczyście
wjechał do stolicy, która
zdążyła przyozdobić się pięknie,

aczkolwiek dopiero co była polem bitwy, osmalila się od strony Garbarów. Na powitalne przemówienie biskupa Goślickiego odpowiedział po polsku, czym wzbudził zachwył ciżby. Nazajutrz wycedził parę słów na kwiecistą mowę Zamoyskiego. Urażony kanclerz przysunął się do Marcina Leśniowolskiego, wielokrotnego posła, znawcy spraw szwedzkich.

"Jakie żeście nam nieme diabłę przywieźli?" - zapytał.

Najwybitniejszy człowiek w Polsce od razu dostał szturchańca, lecz wcale nie zaraz posterował ku opozycji. Król musiał jeszcze długo a usilnie pracować, aby to osiągnąć. W kilka tygodni po opisanym powitaniu Zamoyski na głowę poraził Maksymiliana pod Byczyną, wziął go do niewoli i ostatecznie zapewnił tron Zygmuntovi.

28 grudnia sędziwy arcybiskup Stanisław Karnkowski dokonał drugiej za swego życia koronacji. Na następną musiała Rzeczpospolita czekać aż do roku 1632, czyli lat czterdzieści pięć. Zaczynało się jedno z najdłuższych panowań w naszych dziejach. Poprzednie - Stefana I - zaliczało się do najkrótszych. Trwało lat dziesięć i dowiodło, czego mógł w Rzeczypospolitej i z nią razem dokonać władca z prawdziwego zdarzenia.

Zakończyło się więc starcie polityczne, które kilkakroć już wspomniany Henryk Biaudet tak charakteryzuje:

"Wstąpienie Zygmunta Wazy na tron Jagiellonów to jedno z najbardziej niezwykłych wydarzeń historii nowożytnej. Było ono

wynikiem homeryckiego pojedynku dwu sił tak nieproporcjonalnych, że wszelka możliwość starcia

między nimi wydawała się z góry
wykluczona. Z jednej strony
najpotężniejszy w Europie ród
monarszy, Habsburgowie,
podtrzymywany przez wszystkie
moce katolicyzmu, równie dobrze
przez papieża jak przez Filipa
II, wspierany przez wszystkich
książąt cesarstwa,
rozporządzający siłami i
środkami prawie
nieograniczonymi. A z drugiej
strony kobieta, samotna kobieta
- Anna Jagiellonka; stara i
schorowana,
sześćdziesięcioczworoletnia
władczyni, nie mająca przy sobie
nikogo; odwrotnie nawet - mająca
przeciw sobie i tych także, na
których korzyść działała".

Przesada z tą samotnością
starej królowej. Anna miała przy
sobie tłum szlachty, Polaków, o
których ten sam badacz nie
zawahał się napisać, że byli
"entich~es de Jagellons" -
opętani Jagiellonami.

Ostatnia z wygasłej dynastii
marzyła o jej trwaniu. Tego
samego serdecznie pragnęła
większość herbowych. Działając
z ogromnym talentem i uporem
Anna wywalczyła kandydata do
korony. Zapewnił mu ją oręż
polski, zwycięski pod Krakowem i
Byczyną. Habsburg został odparty
od wawelu, na który wstąpił
potomek Jagiellonów.

Rzeczpospolita pozostała sobą,
nie utraciła własnego oblicza.
Obywatele jej osiągnęli to,
czego sobie najbardziej życzyli.

"Tu na tym miejscu żywot od
Pana Boga matka Waszej
Królewskiej Mości wzięła - mówił
do Zygmunta przed bramą
Floriańską biskup Goślicki - tu
nam też owoc żywota jej, Waszą
Królewską Mość, Pan Bóg oto
przywrócić raczył. Nie straciła
nic Polska z Jagiełłowego
plemienia za morze je daleko

wysławszy, owszem, wygrała, iż za białą płec męskiej dostała."

Na jednej z bram tryumfalnych, które zdobiły wtedy Kraków, widniał orzeł biały łtrzymający w szponach snop - herb Wazów. Czwartym to już raz chorągiew państwowa wzbogacała się o nowy znak. Gościła przecie godła Andegawenów węgierskich, Olgierdowiczów, Walezjuszy. W tym także wyrażała się tradycja, której naród wyrzekać się nie zamierzał.

"Przyjechać tu raczyłeś swój między swe: gościem tu nie jesteś" - mówił jeszcze Wawrzyniec Goślicki, którego głośny w Europie traktat polityczny konfiskowano w Anglii, ponieważ autor twierdził, że monarcha także powinien podlegać kontroli i ponosić odpowiedzialność za swe rządy. Tradycje Rzeczypospolitej były piękne, lecz niełatwe.

Zygmunt niestety wcale się nie okazał swoim między swymi. Trudno nawet wyobrazić sobie człowieka bardziej obcego Polsce, Rzeczypospolitej, jej obyczajowi.

Anna zobaczyła się ponownie z siostrzeńcem w maju 1588 roku, kiedy w towarzystwie jego siostry przybyła do Krakowa na pogrzeb Stefana I. Młody król wyjechał konno na spotkanie ciotki, powiedział kilka grzecznych słów i zamierzał ruszać przodem ku miastu. Uraziło to starszą panią, która nieco inaczej wyobrażała sobie własną rolę za rządów krewniaka. Z jej polecenia jeden z obecnych księży dyskretnie zaprotestował. Zygmunt uległ, wyświadczył "uczciwość", jadąc przy kolasce. Potem - "wziawszy pod rękę do kościoła prowadził".

Zwłoki Stefana I złożono na Wawelu w kaplicy, o której jedni ze współczesnych twierdzili, że stanęła kosztem publicznym, inni zaś widzieli w niej fundację

Anny. W sześć lat później, tym razem na pewno z polecenia wdowy, mistrz Santi Gucci - od dawna w Polsce osiadły rzeźbiarz i architekt - wykonał nagrobek. Dekoracyjnie, z rozmachem potraktowane dzieło wiernie odtwarza rysy twarzy zmarłego. W efektownej pozie ułożona postać o wiele mniej zachwyca. Panował wówczas nowy styl zwany manieryzmem, spokój takiej Kaplicy Zygmuntońskiej należał już do wspomnień i zabytków.

W niepowrotną przeszłość odchodził także niestety umiar w sprawach wiary, któremu jeszcze Stefan I był wierny.

Anna bawiła w Krakowie, kiedy w lipcu przekroczył granicę legat Hipolit Aldobrandini. Pierwszy nocleg na ziemi polskiej wypadł w Oświęcimiu i wcale kardynała nie olśnił. W brudnej izbie przyszło eminencji dzielić miejsce z kilkunastu osobami, z prosiętami tudzież z drobiem. Za to późniejsza wspaniałość przyjęcia była zupełnie wyjątkowa. Dziesięć chorągwi piechoty kolejno dawało ognia, zachwycała groźnym wyglądem husaria królewska, poczty magnackie liczyły kilka tysięcy ludzi. Zygmunt jechał po lewicy kardynała, niosący laskę marszałek nadworny po lewicy krzyża legackiego.

Przeciwnicy Habsburgów, zeszłoroczni zwycięzcy spod Krakowa i Buczyny, "wściekali się ze złości, ponieważ Aldobrandini przybył, aby doprowadzić do układu między Zygmuntem III a rodem cesarskim. Gońcy kardynała swobodnie wędrowali do Wiednia oraz do Krasnegostawu, gdzie Jan Zamoyski świadczył arcyksięciu Maksymilianowi wielkie honory, ale go nadal więził. Przeplatane ucztami

konferencje monarchy z
Aldobrandinim nosiły charakter
tajny.

Dopiero we wrześniu przyszło
rozstanie. Król musiał ruszać do
Warszawy, legat pozostawał
jeszcze w Krakowie. Wkrótce miał
się udać do Będzina, Olkusza
oraz Bytomia i długo
uczestniczyć w rokowaniach.

Wyprawiwszy orszak na trakt
sandomierski, Zygmunt III
pojechał konno pod pałac
Tęczyńskich, gdzie Aldobrandini
mieszkał. Kardynał zeszedł aż na
najniższy stopień ze schodów, po
rozmowie tamże go odprowadził.
Pożegnał Zygmunta serdecznie,
lecz nie odchodził. "Chciał go
widzieć na koniu i patrzył za
nim, póki mógł go okiem
osiągnąć".

Przyszły papież Klemens VIII
krzepił serce widokiem herosa
kontrreformacji.

Zadowolony był nie tylko ze
świątecznego przyjęcia i skłonności
monarchy do zgody z
Habsburgami. Wiedział
niewątpliwie, że za tydzień
przed przybyciem legacji Zygmunt
wysłał z Krakowa do wojewody
wileńskiego list, w którym
ostrzegał, że heretycy nowe
"kollegia i instrukcje" nad
Wilią "promować chcą" i
stanowczo tego zabronił. Aby zaś
wojewoda nie uległ czasem
zestarzałej w Rzeczypospolitej
grzesznej pobłażliwości, gorliwy
panujący zawiadomił o swym
rozkazie kardynała Jerzego
Radziwiłła, tego samego, co
palił książki na rynku wileńskim.

Tymczasem obie Anny - stara
Jagiellonka i młoda Wazówna -
czekały w powozie za bramą
miejską, na trakcie. Król
postanowił opuścić wraz z nimi
miasto, w którym grasowała
epidemia. W Sandomierzu, dokąd

się udało grono rodzinne, także "marło". Przyszło więc ciągnąć przez Lublin do Warszawy, "gdzie się i tam zaraz dwór królewski zapowietrzył". Ostatecznie Zygmunt znalazł sobie przytułek w Piotrkowie, obie damy w

Radomiu.

Nie rozstawały się, co zasługuje na uwagę. Jagiellonka nieraz złożyła dowody aż przesadnej prawowierności katolickiej, Wazówna była przekonaną protestantką. Pomimo to ciotka nie oddalała od siebie siostrzenicy. Wręcz przeciwnie! Kiedy wkrótce kler zapragnął odprawić do Szwecji żarliwą protektorkę propagandy innowierczej, nasza dewotka stanowczo się temu opierała i opóźniła wyjazd imienniczki o całe miesiące. Zaraz potem zaczęła się starać o jej powrót i postawiła na swoim.

Ile w tym zasługi polskich tradycji, nie uznających dyskryminacji, a ile zimnej rachuby politycznej? W pierwszych Jagiellonka wzrosła, do tej drugiej rzeczy miała wybitny talent.

Ciotka zawiodła się na siostrzeńcu, wcale się nie zanosilo na niewieście rządu w jego imieniu. Zygmunt był skryty, samowolny i niebywale uparty. W tych warunkach osoba siostrzenicy stanowiła atut. Nie wiadomo, czy prawdziwa jest wersja, że już przed koronacją Zygmunt zamyślał o odstąpieniu berła arcyksięciu Ernestowi. Nie wdając się w rozważania na temat słuszności przysłowia o dymie i ogniu, powiedziec wypadnie, że ta właśnie, w tajemnicy knuta, kombinacja miała wkrótce rozjatrzyć Rzeczpospolitą, spowodować burzę na sejmie.

Koronacja Zygmunta III wcale

nie położyła kresu zamysłom
dynastycznym. Arcyksiążę Ernest
był kawalerem, królowa szwedzka
miała w żyłach krew
jagiellońską. Boczenie się na
Annę młodszą nie świadczyłoby o
przezorności. Należało przyswoić
ją niejako, zawczasu brać w
kuratelę.

Właśnie w 1588 roku przytrafił
się wypadek, który musiał żywo

zaniepokoić szwedzki ród
królewski i co najmniej
zainteresować ostatnią
przedstawicielkę Jagiellonów.
Zniknął nagle z Polski niejaki
Gustaw Eriksson Waza.

* * *

Postać tę dobrze znają
historycy zawodowi, ale poza
nimi - zdaje się, że nie ma o
Gustawie nawet "głuchej wieści
między ludem" polskim. Żył,
umarł i w niepamięci pogrzebion.
Zmartwychwstanie w Dolinie
Jozafata.

Nie czekając na ów termin,
przypuszczalnie dosyć odległy,
spróbuję przedstawić tu Gustawa,
czerpiąc wiadomości z
poświęconego mu studium pióra
Henryka Biaudet. Wymagać to
będzie nawrotów do wydarzeń już
wspominanych, ale zaryzykować
warto. Losy Erikssona były
niezwykłe, a jego przygody w
Rzeczypospolitej po prostu nie
pasują do potocznych wyobrażeń o
naszej historii. No i wizerunek
bohaterki tej książki wzbogaci
się o parę nowych szczegółów.

Gustaw był synem Eryka XIV i
Karin Maansdatter, kochanki,
później żony nieszczęśliwego
króla Szwecji. Włodzimierz
Dworzaczek, autor fundamentalnej
"Genealogii", rozstrzygnął
sporną kwestię daty jego
urodzin. Gustaw przyszedł na
świat 28 stycznia 1568 roku, a
więc na kilka miesięcy przed

ślubem rodziców. Został jednak uznany za dziecko legalne i ogłoszony następcą tronu. Wkrótce potem wraz z ojcem i matką znalazł się pod strażą. Na tron wstąpił Jan III, królową Szwecji została Katarzyna Jagiellonka.

Uwięzionym nie wiodło się początkowo nazbyt źle, nie rozłączono ich, traktowano dosyć po ludzku. Zaczęło się to zmieniać od czasu wykrycia spisku, który uknuł Karol de Mornay, kuzyn Walezjuszy, wierny

sługa obalonego monarchy. Jan III miał zostać zamordowany przez własnych najemników, górali szkockich, a to podczas dorocznej uroczystości, której głównym punktem bywał zawsze tradycyjny taniec wojenny. Zdradził znowę inny Francuz w służbie szwedzkiej, awanturniczy i zdolny Pontus de la Gardie. 4 września 1574 roku Karol de Mornay został stracony.

Mniej więcej w tym czasie mały Gustaw pojawił się w Polsce.

Legendy szwedzkie opowiadają o jego losach rzeczy bardzo romantyczne. Stryj kazał go zgładzić, a obarczony tym zadaniem dworzanin już był wpakował dziecko do worka z kamieniami, lecz nie zdążył wrzucić go do rzeki.

Przeszkodził jakiś szlachcic, który nie wiadomo skąd i po co wziął się na odludziu. Ocalonego chłopaka cichaczem wysłano do Polski, oddano na wychowanie jezuitom.

Inne podanie powiada, że Gustawa wywieziono za morze, aby go tam zgubić. Płacz porzuconego w lesie mazurskim dziecka usłyszeli przypadkiem dwaj jezuici z Braniewa, którzy zabrali je do siebie.

Ciągle jezuici!

Chłopiec miał kształcić się w ich kolegium, a środków na jego utrzymanie dostarczała podobno pozostała w Szwecji starsza siostra, Sygryda. Dawała też pieniądze litościwa Katarzyna Jagiellonka. Kiedy pomocy zbrakło, Gustaw zarabiał na życie jako służący.

W rzeczywistości przywiózł go do Polski - na Mazowsze, a nie do Prus - Wawrzyniec Rylski. Był to jeden z tych dworzan Katarzyny, którzy z nią razem wyjechali do Szwecji, dzielili złe i dobre losy. Rylski stale używany był jako wysłannik czy kurier, często wędrował z jednej strony Bałtyku na drugą. To on

przywiózł do Sztokholmu wiadomość o zgonie Zygmunta Augusta, on pośredniczył w wymianie czułych listów pomiędzy Anną Jagiellonką a jej małym jeszcze siostrzeńcem. "Dziękuję za upominki, któreś Wasza Królewska MOść raczyła nam posłać przez Wawrzyńca Rylskiego..." - pisał w kwietniu 1573 roku siedmioletni Zygmunt.

W roku następnym Rylski nagle przestał się kręcić po świecie, osiadł w swych dobrach na Mazowszu. Zostało mu powierzone wychowanie Gustawa, którego on sam ze Szwecji przywiózł. Nie kazano chłopca zabijać. Miał tylko wyrastać na człowieka pośledniego stanu, być kształcony tak, aby nigdy się w nim nie ocknęła "regia, wirtus" - męstwo królewskie. Sutanna księża oznaczała szczyt kariery, o jakiej wolno mu było marzyć.

Wawrzyniec Rylski okazał się uzdolnionym pedagogiem. Syna protestanckiej pary monarszej przerobił na zdecydowanego katolika. W przyszłości ci tylko mogli się dogadać po szwedzku z królewiczem Szwecji, którzy

biegle znali język polski.

Przerabiając osobowość Gustawa Erikssona, uprzątano Janowi III zawadę z drogi. W Szwecji mnożyły się sprzysiężenia, stale zagrażał przewrót legimistyczny. Obalonego Eryka XIV zgładziła miska zatrutej grochówki. Syn króla miał się zatracić w pospólstwie mazowieckim.

Anna Jagiellonka była w tym czasie sojuszniczką Jana III. Nie zależało jej na degradacji jego spadkobiercy a własnego siostrzeńca. Dla dobra Zygmunta należało unieszkodliwić Gustawa. W drodze łaski pozwolić mu żyć, ale odmienionemu na zawsze. Zabrać mu język ojczysty, wiarę, poczucie narodowe, a także świadomość pochodzenia od monarchów.

Szkołą miało mu się stać Mazowsze, domena Infantki. Ani wątpić, że Anna patronowała przedsięwzięciu, podjęła się kurateli nad edukacją królewicza. Wawrzyniec Rylski był jej sługą wiernym i oddanym, o czym świadczą listy z tej właśnie doby.

Jagiellonka nie zamierzała czynić z Gustawa "człowieka śmiechu". Pragnęła tylko z nie naruszonej powłoki cielesnej wyjąć duszę i zastąpić ją inną, dogodniejszą pod względem politycznym.

W roku 1578 - a może w następnym - chłopiec uciekł od Rylskiego. Podobno dowiedział się jakoś o własnym pochodzeniu i pod wpływem tej wieści zbiegł. Eryk XIV już wtedy nie żył, a o tragicznym jego zgonie było głośno w Rzeczypospolitej.

Gustaw sam opowiadał później, że nie ma takiego kąta w Polsce, którego by nie wytarł o żebrany chlebie. Unikał zasadzek,

ukrywał się po lasach i na moczarach. Zarabiał jako chłopak stajenny, służywał u magnatów. Nareszcie ktoś go rozpoznał i zetknął z ambasadorem szwedzkim Andrzejem Lorichsem, tym samym, który tak niefortunnie występował podczas niedawnej elekcji Stefana Batorego.

Właściwie trudno rozstrzygnąć, czy Lorichs był nadal ambasadorem. Jego pan już od kilku lat nie płacił mu pensji, co wedle ówczesnych pojęć unieważniało przysięgę wierności. Lorichs był Francuzem, a nie Szwedem, talent, wiedzę i własną osobę po prostu wynajmował za pieniądze. Nawiazując styczność z Gustawem nie myślał o oddaniu przysługi Janowi III. Obiecał odwiedzić królewicza do Moskwy, w zamian za co Iwan Groźny miał popłacić wszystkie długi obrotnego dyplomaty. Pretendent do korony szwedzkiej w ręku takiego cara!

- szerokie zaiste widoki.

Dwór sztokholmski musiał być niemile zaskoczony, a tym bardziej że jak się zdaje, Anna Jagiellonka doniosła mu uprzednio o zgonie Gustawa. Nie upilnowała go na Mazowszu, trzeba było jakoś się wykręcić. A może naprawdę przypuszczała, że gdzieś zmarł, zaginął, kark skręcił. Nie wiadomo, od jakich i czyich zasadzek krył się zbieg po lasach.

Pertraktacje Lorichsa z Groźnym odbyły się na jesieni 1581 roku i nie doprowadziły do zamierzonego skutku. Nie tylko car mógł popłacić długi ambadorskie. Gustaw pozostał w Polsce i zaczął wyraźnie awansować. Studiował w Braniewie oraz w Wilnie. Ojcowie jezuici rzeczywiście pojawili się więc na jego ścieżce życiowej, ale

sami nie wiedzieli, kogo kształcą. Królewicz zachowywał incognito. Ukończywszy studia, które dały mu między innymi i dobrą znajomość języka włoskiego, wylądował... na Zaporozżu. Niezbyt sobie upodobał pobyt wśród Kozaków, ale w jakiejś ich wyprawie na Turków uczestniczył.

Henry Biaudet uważa ów pobyt na Niżu za coś w rodzaju zwykłego dopełnienia edukacji szlachcica polskiego. Teza do udowodnienia trudna. Wśród Zaporozzczów nigdy nie brakowało naszych herbowych, ale nie należało to przecież do programu ich kształcenia, który przewidywał raczej podróż na Zachód lub pobyt na dworze pańskim.

Na to wygląda, że Gustawa ktoś posłał na Zaporozże, aby go pokazać Kozakom. Bo jeśli by w przyszłości dojść miało do jakiegokolwiek działania na jego rzecz, to gdzież by wypadało szukać ochotników? Na Niżu przede wszystkim. Rzeczpospolita dzielił od Szwecji Bałtyk,

Kozacy byli niezrównanymi marynarzami. Ich czajki radziły sobie z okrętami bojowymi samego sułtana. Mądrze było zawczasu przyzwyczaić królewicza do mołojców, jeszcze rozumniej - ich do niego.

Pewnie tak było, że losami Gustawa znowu kierował w tym czasie ktoś przezorny, wysoko postawiony a potężny. Anna Jagiellonka, "ta Katarzyna Medycejska Wschodu Europy".

W Rzeczypospolitej panował wtedy Stefan I. Stosunki ze Szwecją psuły się, dochodziło do ostrych zatargów o zamki inflanckie, które Pontus de la Gardie chwytał za plecami walczących z Moskwą wojsk. A

królowa snuła rozległe plany co
do przyszłych losów obojga
dzieci pana Szwecji.

Samo życie skorygowało dawne
pomysły. Teraz już nie należało
zatracać osobowości Gustawa, bo
wygodnie było trzymać go w
zapasie jako narzędzie szantażu.
W zapasie i w tajemnicy. Nadal
nie zdradzało się ogółowi, kim
jest wychowanek Akademii
Wileńskiej, ochotnik na
Zaporożu. Anna nie zamierzała
wszak odbierać Janowi tronu.
Chciała tylko mieć sposób
wymuszania uległości.

Incognito pękło, kiedy Jan III
dostał w swe mściwe ręce
Lorichsa. W sierpniu 1584 roku
agent króla, niejaki Mikołaj
Rascius, wyszedł, że
ex_ambasador przebywa w Gdańsku,
na przedmieściu zwanym
Scotlandia. Dzielnica ta
cieszyła się prawem azylu.
Zadanie Rasciusa należało do
ryzykownych, należało więc
unikać dodatkowego skandalu w
postaci łamania wyjątkowego
przywileju. Zaczajono się więc w
jakiejś uliczce, oddzielającej
miasto właściwe od owego
przedmieścia. W Wisłoujściu
czekał okręt, który natychmiast
podniósł żagle, gdy tylko

porwany znalazł się pod pokładem.

Skazany na śmierć Lorichs
zginął w przerażających
męczarniach. Rascius otrzymał
duże wynagrodzenie pieniężne
oraz tytuł patrycjusza.

O knowaniach Lorichsa i jego
porozumieniu z carem (a może i z
kimś innym także) doniósł Janowi
Pontus de la Gardie, który
specjalizował się widać w tego
rodzaju robocie. Przed laty
zdradził był Karola de Mornay.

Skandal w Gdańsku, pogwałcenie
terytorium Rzeczypospolitej,
okropna kaźń Lorichsa, to

wszystko stało się głośne.
Gustaw Eriksson zrzucił
bezużyteczną już maskę, powrócił
do nazwiska. Ogłoszenie faktu
jego pobytu w Polsce mogło być
zresztą odpowiedzią na bezczelne
poczynania Rasciusa i czymś
jeszcze ponadto. Katarzyna
Jagiellonka nie żyła, stosunki
polsko_szwedzkie uległy
gwałtownemu pogorszeniu.
Pretendent do korony Wazów
wychodzi z ukrycia - to już po
prostu groźba!

Przywrócony do nazwiska i
tytułu Gustaw pojechał wkrótce
do Padwy, gdzie poświęcił się
temu, co go najbardziej
pociągało - studiom w dziedzinie
wiedzy tajemnej i ścisłej.
Osiągnął taką biegłość w
medycynie oraz alchemii, że
zaczęto go nazywać drugim
Paracelsusem. Podczas
bezkrólewia po Stefanie I do
Polski przezornie nie powrócił.
Anna Jagiellonka dążyła wszak do
porozumienia z Janem III.
Człowiek, który mógł za nie
drogo zapłacić, winien był
uważać. Lecz kiedy Zygmunt III
zasiadł na tronie
Rzeczypospolitej, Eriksson
dobrowolnie zjawił się przed
obliczem kuzyna.

Legenda szwedzka opowiada, że
przybył do Krakowa jako żebrak.
Stojącego w tłumie rozpoznała
siostra, Sygryda, która należała

do orszaku Anny Wazówny.

Piękne to, ale nieprawdziwe.
Przed przyjazdem do Krakowa
Gustaw bawił w Ołomuńcu, widział
się z biskupem Stanisławem
Pawłowskim i o wszystko na pewno
wypytał. O tej jego wizycie na
Morawach dowiedziano się zresztą
rychło w Sztokholmie.

Ale Sygryda Wazówna
rzeczywiście była w Polsce, przy
boku krewniaczki, niewiasty

dobrej i ludziom życzliwej. I w tym również legenda zgadza się z prawdziwą historią, że Zygmunt III przyjął Gustawa przychylnie i żadnej krzywdy wyrządzać mu nie zamierzał.

Całkiem inaczej zachował się Jan III, zaraz o wszystkim zawiadomiony. Zabronił Gustawowi korespondencji z matką, która żyła gdzieś w Finlandii całkiem na uboczu. Do Zygmunta zaś napisał, że nie radzi "pozwalać rosnać skrzydłom takiego ptaszka".

Eriksson uznał, że dobre czasy skończyły się. Latem 1588 roku zniknął z Polski.

Niepodobna odgadnąć, czy ustępujący z Krakowa przed zarzą król Zygmunt i obie Anny wiedzieli, gdzie się podział. Dopiero w październiku doniesiono Rzymowi, że wypłynął w Pradze, przy boku Rudolfa II. Błagał go o jedno tylko - o azyl. Cesarz rad powitał mistrza tajemnych umiejętności, którymi sam interesował się nade wszystko.

Do ucieczki skłonili pewnie Gustawa skupieni w Pradze magnaci polscy, dochowujący wierności arcyksięciu Maksymilianowi. Rachowali, że postrachem poparcia pretendenta uda się może zmusić króla Szwecji do zabrania syna z Polski. W pomysłach tych mniej było fantazji, niż się z pozoru wydaje. Jan III miał się czego lękać, niepokojące wieści dochodziły go z całej europy.

W rozmaitych państwach mnożyły się spiski, mające na celu przewrót pałacowy w Szwecji. W ten czy w inny sposób interesowały się nimi osoby koronowane - sam król Francji Henryk III - książęta, kondotierzy niemieccy,

inkwizycja. Przedkładane tym personom i czynnikom projekty miały pewną zastanawiającą cechę wspólną. Zawsze proponowano najęcie znacznej armii za gotówkę. Nikt nie prosił o wsparcie pieniężne, wrogowie Jana III sami obiecywali płacić bręczącą monetą. Wchodziły w grę sumy ogromne, setki tysięcy sztuków złotych, a nici zamierzonych czy też wiązanych sprzysiężeń nieodmiennie zbiegały się w rękę Jana Allard, który był niegdyś zarządcą ogrodów pałacowych w Sztokholmie, sługą Eryka XIV. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Francuz naprawdę wykopał skarby swego pana i przemycił je na kontynent. Jan III daremnie ludzi trudził, każąc im ciągle ryć ziemię i szukać.

Groza zamachu stanu tłumaczy może jego dziwne zachowanie się po wyborze Zygmunta, owe raz wraz ponawiane rozkazy powrotu do Szwecji. Szantażyści mieli wszak nie lada środki w rękę. Mogli wprost mówić: zabieraj syna z Polski albo poprzemy Gustawa. Podobnie i poprzednia ustępliwość Jana wobec uporczywych nalegań Jagiellonki mogła po części chociaż wynikać z lęku. Nawet jeśli Anna niczego nie mówiła swym wysłannikom o Gustawie, Jan wiedział, co powiedzieć, a nawet uczynić by mogła.

Do żadnego przewrotu nie doszło. Wkrótce Eriksson napisał do Filipa II list, zawierający tylko prośbę o udzielenie schronienia w Hiszpanii. Przyłożona do pisma pieczęć

wyjaśnia zagadkę. Widniał na niej Snop Wazów - lecz ze skaza bastardów.

Zgodnie z przyjętym w Europie

zwyczajem, dzieci z nieprawego łoża używały klejnotu rodzica w jakiś sposób odmienionego. Przekreślonego na przykład albo z przepołowionym wizerunkiem. Herb Mięszaniec, którym się pieczętowali synowie Kazimierza Wielkiego, miał po jednej stronie tarczy połowę orła piastowskiego, po drugiej dwie białe róże.

Gustaw chciał uchodzić za nieprawego syna króla Eryka i sam osobiście nigdy po koronę szwedzką sięgać nie zamierzał. Inni knowali na jego rachunek, on się do tego nie mieszał. Z premedytacją podkreślał fakt własnych przedślubnych narodzin, aby zyskać pretekst odczepienia się od polityki.

Oto dlaczego nie doszło do przewrotu pałacowego w Sztokholmie, pomimo pomyślnych po temu koniunktur oraz niemałych środków materialnych. Kandydat na króla królem być nie chciał. Niezbyt z natury lotny Zygmunt III doznał widać jasnovidzenia, gdy z miejsca odgadł w kuzynie polityczne zero.

Dalsze losy Gustawa nie należały jednak do spokojnych. On sam nie żywił żadnych ambicji władczych, za to inni ciągle widzieli w nim narzędzie gry.

Przez czas krótki siedział Eriksson pod kluczem w twierdzy Brunau. Potem powrócił do Polski. Jego śmiertelny wróg, Jan III, już nie żył, a zarządzający Szwecją Karol Sudermański wykazał więcej liberalizmu czy też pewności siebie. Pozwolił wygnańcowi przybyć do Estonii i zobaczyć się z matką. Następne lata spędził Gustaw w Prusach Królewskich, mieszkał wtedy i w Toruniu. Środki utrzymania czerpał z jakichś dóbr

kościelnych, które za protekcją
Zygmunta III nadał mu papież.
Oficjalna polityka
Rzeczypospolitej, kraju
uginającego się pod ciężarem
własnych problemów, żywo
interesowała się kwestią
przywrócenia Szwecji Kościołowi.
Istniał projekt mianowania
Gustawa arcybiskupem Uppsali.
Wątpić należy, czy sam
zainteresowany pragnął infuly.
Jakoby to raz jeszcze udało mu
się pojechać do Włoch, gdzie
został uczniem czy też
współpracownikiem Galileusza.

Finał Gustawowy godzin był
całości życiorysu. Królewicz
szwedzki zmarł na wygnaniu w
Kaszynie.

Nie wiadomo na pewno, jakimi
drogami zawędrował do Wielkiego
Księstwa Moskiewskiego. Podobno
odszukał go gdzieś,
przymierającego głodem,
wszechwładny na Kremlu Borys
Godunow, który po zgonie cara
Teodora sam włożył czapkę
Monomacha. Wznowione zostały
dawne pomysły Iwana Groźnego,
te, za które Andrzej Lorichs
zapłacił straszną śmiercią.
Teraz uwieńczyło je częściowe
powodzenie i "pretendent" do
korony szwedzkiej znalazł się w
Moskwie. Na razie dano mu "na
kormlenie" Kaługę oraz jakieś
trzy inne grody. Po wstąpieniu
na tron Borys przyrzekł
Erikssonowi rękę własnej
pierworodnej, Kseni.

Intelektualista i cygan znowu
zadrwił z polityków. Moskwa ze
zgorszeniem patrzyła na obyczaje
Gustawa, który wolał jakąś
Niemkę pośledniego stanu od
samej carówny. Przywłókł tę
swoją lubą skądś ze świata i w
żaden sposób nie chciał się z
nią rozstać. Nie wyrzekał się i
przyjaciół z Gdańska rodem...
Gawędy i śpiewy plebejskich
kompanów koily stargane nerwy
królewicza wbrew woli.

Biograf jego słusznie chyba

twierdzi, że Gustaw wiele odziedziczył po ojcu, do którego korony nie tęsknił. Niespokojne usposobienie, zamiłowanie do włóczęgi, dziwne ataki pokory ustępujące czasami miejsca porywom gniewu - to wszystko przypomina Eryka XIV. Nietuzinkowe zainteresowania też wspomnieć warto. Dobroć, życzliwość dla ludzi prostych wziął pewnie królewicz po matce, Karin Maansdatter.

Skończył, jak się już wspomniało, na wygnaniu. Nie udało się go przeinaczyć, zmusić do odegrania roli, której nie pragnął. Okazał się nieużyteczny, więc brutalnie odsunięto go na bok, tym razem już na zawsze.

Data zgonu zasługuje na wzmiankę. Gustaw zmarł 22 lutego 1607 roku. Kilka miesięcy wcześniej zginął w Moskwie pierwszy Samozwaniec, zanosilo się na wystąpienie drugiego. Świeżo owdowiała wojewodzianka polska miała wkrótce "rozpoznać" w opryszku cudownie ocalałego męża, po awanturniku dużego formatu wpuścić do łóżka cuchnącego koniokrada.

Co myślał o aferze Dymitra królewicz szwedzki, zapierający się następstwa tronu? Jakimi oczyma patrzył na opętanych żądzą władzy człowiek, który miał na usługi środki materialne, poparcie potęg, nawet prawo monarsze, lecz wyżej od korony cenił alchemię i towarzysztwo gdańskich wagabundów? Miejmy nadzieję, że z filozoficzną ironią i nie bez pogardy.

Gustaw Eriksson Waza zalicza się do postaci zupełnie wyjątkowych in hanc lacrimarum valle. Człowiek wolny od żądzy władzy pojawia się tak rzadko, że innym trudno po prostu uwierzyć w istnienie podobnego

dziwa. Streszczony życiorys
poucza, do jakich to prowadzi

czasem nieporozumień. Stronnicy
Gustawa, dawni słudzy Eryka XIV,
wrogowie Jana III, liczyli na
pokrzywdzonego i sponiewieranego
nawet królewicza jak na Zawiszę.
Byli pewni, że pragnie odwetu i
panowania. Zawiedli się
żałośnie. Oczekiwali współpracy,
spotkał ich sabotaż. Nie wszyscy
ludzie pasują do schematów.

* * *

Gustaw zniknął z Polski wtedy,
gdy Zygmunt III i legat
Aldobrandini czulili się do
siebie w Krakowie. Anna
Jagiellonka musiała o jego
ucieczce wiedzieć i miała dość
czasu na rozmyślanie o
człowieku, któremu chciała
kiedyś odmienić duszę, ani
przeczuwając, że to całkiem
niepotrzebne.

Stara królowa na dobre już
schodziła w cień. Trzykrotnie
wydobywały ją z niego trzy
kolejne polskie elekcje, lecz po
dokonaniu każdej z nich kończyła
się wielka rola Jagiellonki.
Może błysnęłaby talentem
władczyni, gdyby trafiała na
innych ludzi. Ale - jak
powiedziano - wydobyta przez nią
na wierzch nicość węgierska
okazała się geniuszem, nicość
szwedzka - człowiekiem niebywale
upartym. A ten pierwszy, czyli
Francuz, też był nie z takich,
co się dają za nos wodzić.

Nawet w dobie Renesansu trzeba
było okoliczności zupełnie
specjalnych, aby kobieta mogła
ująć ster rządów. Ot chociażby
tylekroć tu wspomiana Katarzyna
Medycejska. Od dawna była już
królową Francji, ukończyła
trzydziesty ósmy rok życia, a
nikt ani nawet przypuszczał, co
z niej jeszcze wyrośnie. Dopiero
13 sierpnia 1557 roku wybiła

wielka godzina Włoszki.
Hiszpanie roznieśli w puch armie
francuskie, wzięli do niewoli
wodzów, droga do Paryża stanęła
przed nimi naprawdę otworem.
Sytuację uratowała Katarzyna.

Ona - postać w polityce świeża,
nieskompromitowana - skłoniła
mieszczan stolicy do
sfinansowania nowego zaciągu
wojsk. Wzruszyła sławetnych,
gorzko wraz z nimi płakała na
ratuszu nad niedolą ojczyzny.
Raz wysunąwszy się naprzód, już
nie zeszła z czołowej pozycji.
Ale cóż - męża miała okrutnego
wprawdzie, lecz pozbawionego
zdolności, potem obracała
małoletnimi synami.

A przed owym wielkim dniem
wcale nie było pewne, czy
którego pięknego poranka nie
powędruje na dożywocie do
klasztoru. Zupełnie przyćmiewała
królową wszechwładna kochanka
Henryka II, Diana de Poitiers,
piękna, ambitna i chciwa, zawsze
przystrojona w czerń wdowa. Nie
można zresztą odmawiać tej damie
troski o ród monarszy. Od czasu
do czasu faworyta przypominała
swemu koronnemu przyjacielowi o
konieczności spędzenia nocy w
łóżu małżonki. Prawdopodobnie
dlatego tylko przyszło na świat
ostatnie pokolenie Walezjuszy,
co - jak wiemy - nie pozostało
bez wpływu na nasze losy.

Diana przeżyła wiernego
amanta, od którego była starsza
o lat równo dwadzieścia.
Marzenia Anny Jagiellonki o
młodzieniaszkach były owszem
śmieszne, lecz w miarę. Różnie
się zdarzało w historii. Jednym
się dobrze wiodło, innym gorzej.
Pytanie "dlaczego?" jest w danym
wypadku zupełnie pozbawione
sensu.

Anna, Diana i Katarzyna żyły w
tej samej dobie dziejów.

Wcale nie chcę twierdzić, że
gdyby Anna rządziła, państwu
szczęściłoby się lepiej. Była
nieprzeciętnie uzdolniona,
umiała sięgać myślą w
przyszłość, ale, jak inni
członkowie tej dynastii,
uprawiała swoisty patriotyzm
rodowy. Muszę powtórzyć tezę, że
kraj przyrósł sercem do

Jagiellonów, lecz pełnej
wzajemności się nie doczekał.
Anna trzykrotnie - przy
wszystkich trzech elekcjach -
wyzyskała antyhabsburskie
nastroje szlachty, sama jednak
tego sentymentu nie podzielała.
A oznaczał on przecie wolę
utrzymania pełnej niezawisłości.

Gdyby należała do historii
innego kraju, wzniesiono by jej
z tuzin pomników za to tylko, że
jej ręka wprowadziła na tron
Batorego.

O rządzeniu marzyła
nadaremnie. Siostrzeniec ani
myślał dzielić się władzą z
ciotką. W tych warunkach
umysłowość na wskroś polityczna
nie miała żadnego pola do
popisu. Pozostawały Annie hafty,
dzieła miłosierdzia, troska o
własny dwór wdowi tudzież o
należyty porządek nabożeństw.

Dojrzewały jednak owoce
pewnych inicjatyw, przez nią
samą poprzednio powziętych, a
mianowicie poswatań rodu Wazów
z Habsburgami. W roku 1586
królowa wystąpiła z pomysłem
ożenienia Zygmunta z najstarszą
córką arcyksięcia Karola
Styryjskiego, Anną. Pośrednikiem
był wtedy znany nam już Mandel,
a chodziło o polityczne
unieszkodliwienie Habsburgów,
którzy może przestaliby bruździć
Zygmuntowi, wydawszy za niego
jedną ze swoich. Upłynęły trzy
lata i projekt odżył. Wkrótce
zaczął go stanowczo popierać

papież i wszystkie moce
katolicyzmu w Europie, z
wyjątkiem katolickiej przecież w
większości szlachty polskiej.
Przychylny początkowo
Austriaczce Jan Zamoyski zaczął
się gwałtownie opierać, odkąd
doszedł do przekonania, że
zamiar tego małżeństwa wiąże się
ściśle, a nawet splata w całość
z tajemnymi knowaniami, mającymi
na celu odstąpienie Wawelu
arcyksięciu Ernestowi.

Wyraźnie tworzyły się wtedy w

Europie dwa wrogie obozy -
katolicki i protestancki.
Dotychczasowa narzeczona
Zygmunta, Krystyna holsztyńska,
pochodziła z tego samego
matecznika innowierstwa, była
kuzynką króla Danii. Nie dajmy
się tylko zanadto ludzić tym
ideologicznym parawanom. Obóz
katolicki w praktyce pozostawał
pod hegemonią Habsburgów, jego
zwycięstwo oznaczałoby ich
panowanie na kontynencie.

Spory i pertraktacje trwały
długo, sam Zygmunt niezbyt się
kwapił do zrywania zaręczyn. On
się zresztą zawsze długo
namyślał, a zmieniać powziętych
postanowień z reguły nie lubił.
Klamka zapadła w roku 1592.
Odprawione w Wiedniu zaślubiny
zastępcze do pewnego stopnia
przypominały czasy Zygmunta
Augusta. Wtedy osobę królewską
reprezentował Mikołaj Radziwiłł
Czarny, teraz Albert Radziwiłł,
marszałek wielki litewski.
Ceremonii właściwej dopełnił w
katedrze wawelskiej kardynał
Jerzy Radziwiłł, występujący
jako legat papieski.

W kraju szlachta protestowała
namiętnie, urządziła zjazdy w
Lublinie oraz Jędrzejowie. To
ostatnie zebranie postanowiło
nawet nie wpuszczać Austriaczki
w granice Rzeczypospolitej.

Uchwała zapadła jednak akurat wtedy, kiedy na Wawelu odbywała się koronacja przybyłej. Malkontenci głośno mówili, że boją się małżeństwa "po parysku", to znaczy rzezi innowierców. Poprzedniej jesieni zdarzyły się pogromy heretyków w Krakowie i w Wilnie, a król nie reagował jak należało.

Zygmunt III ożenił się 31 maja 1592 roku. Dotychczasowa naręczona nie kazała mu długo czekać na rewanż. 27 sierpnia oddała rękę jego rodzonemu stryjowi, Karolowi Sudermańskiemu, starszemu od niej o dwadzieścia trzy lata.

Pewni dziejopisarze dopatrują się w jej postępowaniu wyraźnych znamion zemsty osobistej. Krystyna stała się istną podżoga przeciw polskiej polityki męża, który w niedalekiej przyszłości zdetronizował siostrzeńca w Szwecji i sam został jej władcą, jako Karol IX.

Niezbyt wiele dokazał on przeciwko Rzeczypospolitej, przegrał mocno pod Kircholmem i ledwie uciekł przed swym pogromcą, Janem Karolem Chodkiewiczem. Ale 19 grudnia 1594 roku urodził się Krystynie i Karolowi syn, Gustaw Adolf, największy wojownik, jakiego kiedykolwiek wydała Europa. Jego pierwszym szczeblem do sławy był tytuł człowieka, "który strzaskał prawe skrzydło orła polskiego". Stanisław Koniecpolski pobił go wprawdzie pod Trzcianą, ale to wcale nie równoważył utraty wszystkich portów bałtyckich, z wyjątkiem Gdańska i Pucka. Potem Gustaw Adolf wylądował z wojskiem w Pianoujściu, uczynił swą bazą operacyjną Szczeciun, dostał od katolickiej Francji subsydia w kwocie miliona liwrów rocznie

(oraz pięćdziesiąt tysięcy florenów miesięcznie od protestanckiej Holandii) i rozpoczął krótką, lecz wspaniałą epopeję zwycięstw w Niemczech. Gromił armie katolickich Habsburgów.

Jeśli królowa Krystyna naprawdę pragnęła zemsty nad niewiernym narzeczonym, to prośby jej zostały wysłuchane. Wyprzedziła syna w zaświaty tylko o siedem lat, największych jego tryumfów nie doczekała, ale wystarczyło chyba i tego, czym napasła słuch i oczy. Nie lada łupy zaczęły wszak płynąć z Rzeczypospolitej na drugą stronę Bałtyku. Krystyna zmarła 8 grudnia 1625 roku. Niedługo przedtem syn jej zajął Birzę, gdzie wziął siedemdziesiąt

spiżowych dział
Radziwiłłowskich.

Oderwanie Zygmunta od Krystyny stanowczo nie opłaciło się Polsce i Litwie. Anna Jagiellonka nie miała szczęśliwej ręki jako swatka. Nie miał jej i papież.

Stwierdzić należy same fakty i na tym poprzestać. Sprawa stanowczo przekracza bowiem granice odpowiedzialności ludzkiej. Nikt nie mógł przewidzieć, kim obdarzy świat łono księżniczki holsztyńskiej, zapłodnione przez podstarzałego Szweda. Zastanawiając się nad czynnikami, które wywierają wpływ na dzieje, z uroczą beztrąską pomijamy niespodzianki przychodzące ze strony biologii i genetyki. Wolimy czasem rozprawiać od razu o oddziaływaniu kosmosu.

Trzymając się zakresu rzeczy podległych rozumowaniu ludzkiemu, powiedzieć wypadnie, że nic by Rzeczpospolita na tym nie straciła, gdyby jej monarchinią

została protestantka. Raz już przecie była nią prawosławna. Fanatyzm jest czynnikiem na pewno zbyt szkodliwym.

Szlachta polska nie ucieszyła się z królowej Austriaczki. Była ona wzorową żoną i matką, osobą przykładnych obyczajów i niemałego wykształcenia. Oprócz języka ojczystego oraz polskiego, który opanowała, znała jeszcze jako tako łacinę, włoski i hiszpański. Sporo było pewnie przesady w narzekaniach, "że po ożenieniu królewskim oddalono Polaków ze dworu a pozostałym królowa Jej Mość taką okazywała wzdarcę, że od żadnego Polaka najmniejszej usługi przyjąć nie chciała, że do komnat swych żadnej z matron polskich, lecz samym tylko Niemkom dozwalała przystępu". Ale jest faktem historycznie stwierdzonym, iż od czasu tego ożenku dwór utracił narodowy, a

raczej krajowy charakter. Anna Austriaczka otaczała się Niemcami, sprowadziła do Polski osławioną Urszulę Ginger, szarą eminencję Zygmunta III.

Dawne oblicze zachował dwór Anny Jagiellonki. W jej domu wszystko trwało po dawnemu, ale długo to trwać nie mogło. Wdowa kończyła lat siedemdziesiąt.

Doznała dotkliwej przykrości na ślubie siostrzeńca, kiedy przyszło ustąpić pierwszego miejsca dziewiętnastoletniej Austriaczce. Dbałość o dobra doczesne została usatysfakcjonowana, gdy sejm wyznaczając odprawę dla młodej królowej zatwierdził wszystkie domeny starej, także i te, które spadły na nią po mężu.

Obradował ów sejm w Warszawie i w przenośnym tylko słowa znaczeniu był świadkiem narodzin pierwszej córki Zygmunta III.

Polska nie uznawała zwyczaju francuskiego, który wymagał, aby królowa rodziła publicznie i to nie przy dworzanach tylko, ale przy wszystkich, co zdołali się wtłoczyć do komnaty położnicy. Królowa Anna Maria przyszła na świat 23 maja 1593 roku. Do chrztu trzymała ją babka, Jagiellonka.

Niedługo później - 3 sierpnia - znowu musiała wziąć wnuczkę na ręce. Działo się to na wybrzeżu Wisły, gdzie czekały "nawy ozdobnie przygotowane". Oboje królestwo opuszczali Polskę, udając się do Szwecji. Jan III nie żył już od roku blisko, prawem dziedziczenia korona jego przypadała Zygmuntovi. Długo trwało, zanim sejm zgodził się na wyjazd monarszy, wzięwszy "najświętsze zaręczenia" powrotu najdalej za rok. I takie obietnice nie wystarczyły jednak stanom. Annie Jagiellonce przyszło wystąpić w roli powierniczki Obojga Narodów. Nawy odbiły od brzegu uwożąc Zygmunta III i Austriaczkę.

Ciotka ich pozostała na lądzie warszawskim, trzymając na ręku paromiesięczne dziecko. Rzeczpospolita zatrzymywała Annę Marię jako żywą gwarancję lojalności jej rodziców. Powierzyła niemowlę opiece starej Jagiellonki, którą uważała za swojego człowieka.

Scena rodzinnego rozstania posiada wymowę tragiczną. Tego jeszcze w dziejach Polski ani Rzeczypospolitej nie było. Córeczka władcy zakładniczką u poddanych!

Zygmunt przybył do Polski wyposażony w skarb wielkiej ceny. Jako Jagiellończyk po kądzieli rozporządzał gotowym kapitałem zaufania. Głównym bodaj osiągnięciem jego rządów

był straszny w skutkach tegoż
zaufania kryzys.

Cóż tu się dziwić szlachcie,
że nie wypuściła za granicę
całej rodziny królewskiej,
zatrzymała w Warszawie dziecko?
Dopiero co państwo huczało
echami "sejmu inkwizycyjnego",
który wbrew swej podejrzanej
nazwie nie rozpatrywał
nieprawości heretyckich, lecz
roztrząsał sumienie własnemu
królowi, oskarżonemu o tajne
znoszenia z Habsburgami. Izba
miała dowody na piśmie, że
Zygmunt dąży do oddania korony
polskiej Ernestowi. Pięknie
przysłużył się arcyksięciu jego
rodzony brat, Maksymilian,
dobrze jeszcze pamiętający
przeżyty zawód, Byczynę i
niewolę w Krasnymstawie. To on
zdradził Polakom spiski ich
króla. Stronnicy Zygmunta w
nikczemny sposób usiłowali
ratować jego dobre imię.
Rozgłaszano, że podpis na
kompromitującym dokumencie był
dziełem "pisarka jednego w
kancelaryi", który nauczył się
do złudzenia naśladować rękę
pańską. Obwiniony poszedł do
więzienia w Malborku, był
"katowany mękami", ale do

niczego się nie przyznał.

Jest zupełnie obojętne, na
jakich warunkach układał się
Zygmunt z Habsburgami, czy
usiłował teoretycznie
zabezpieczyć obowiązujące w
Rzeczypospolitej prawa. Władca
spiskował z zagranicą przeciwko
własnym poddanym, to jedno jest
ważne. Będąc królem
konstytucyjnym, działał
potajemnie, i to dla osiągnięcia
celów sprzecznych z otwarcie
głoszoną wolą większości
obywateli.

Zaufanie pomiędzy rządzonymi a
rządzącymi jest czynnikiem

niezbędnym. Jeśli go brakuje,
niczego dobrego osiągnąć nie
można. Nie sposób oddychać
atmosferą, w której nie ma tlenu.

Za Zygmunta III beznadziejnie
wykoleiła się opozycja
szlachecka, która przez cały
wiek XVI trzymała się w karchach,
szanowała prawo, popierała
słuszny program naprawy
Rzeczypospolitej i tolerancji
religijnej. Inaczej być nie
mogło, skoro za dwóch ostatnich
Jagiellonów prawdziwych władza
odpychała od siebie takich
ludzi, jak Jan Łaski czy Mikołaj
Siennicki, a za pierwszego
Jagiellończyka po kadzieli,
takich jak Jan Zamoyski.

Niedługo przed sejmem
inkwizycyjnym jeden z posłów
przemawiał do Zygmunta w
obecności pełnej rady senatu:

"Nie jest to rzeczą nową ani w
Rzeczypospolitej niesłychaną,
Miłościwy Królu a Panie nasz, że
gdy obywatele co szkodliwego w
Majestacie postrzegą, przychodzą
i przekładają to królowi.
Przodkowie nasi wolnym głosem
upominali królów swoich, ilekroć
postrzegli, że się gwałt jaki
swobodom ich stawa". Poseł nie
zaczął teraz mówić o
przywilejach stanowych, wywodził
dalej tak: "Wielka trwoga padła
na ludzi z przyczyny potajemnych
Waszej Królewskiej Mości z

postronnymi dworami układów i
rozgłoszeń o oddaleniu się jego
do Szwecji. Trwożą nas te
związki małżeńskie, które Wasza
Królewska MOŚĆ z domem Rakuskim
zawierasz, lękamy się, by z nich
nieszczęśliwość jaka na
Rzeczpospolitą nie przyszła...
Aż nadto liczne widzimy
przykłady, że ani miłość
braterska, ani nawet małżeńskie
związki sporów o koronę pojednać
i kończyć nie mogą".

Kto rządził obywatelami rozumującymi takimi kategoriami, temu nie wolno było uprawiać polityki w zamkniętych na klucz gabinetach, do których dostęp mają przede wszystkim cudzoziemcy. Władza powinna szanować umysłowy i moralny dorobek narodu, a nie pomiatać nim.

Szlachta nie odstąpiła Zygmunta, wytrwale wspierała jego zabiegi o tron szwedzki. W dziesięć przeszło lat później kasztelan poznański Jan Ostroróg, prawnik głośnego pisarza, z niezrównaną dobitnością a skutecznie zachęcał współobywateli do wierności względem monarchy: "Pana za łeb wodzą, a czeladź milczy, ja bym takiego parobka nie trzymał".

Rzeczpospolita nie zawiodła i nie zdradziła Zygmunta. To jego bezprawne, samowolne i krętackie postępowanie zmusiło poddanych do żądania upokarzających króla gwarancji.

Rola powierniczki Obojga Narodów była ostatnią czynnością polityczną Anny Jagiellonki.

Oboje królestwo dotarli do Szwecji i po długich sporach 19 lutego 1594 roku przyjęli w Uppsali korony. Zygmunt dał sobie wyperswadować pierwotny zamiar i przestał żądać, aby ceremonii w kraju protestanckim dokonał duchowny katolicki, sam nuncjusz Germanik Malaspina, którego ze sobą przywiózł.

Biskup Łubieński, uczestnik tej wyprawy, zapewnia, że tylko męstwo nie cofającego się przed grubym ryzykiem otoczenia polskiego ocaliło monarchę od niewoli, a może i od śmierci. Zaskoczony tym Karol Sudermański poradzić miał roztropnie swoim sojusznikom:

"Siedźcie cicho, dopóki król nie wyjedzie". W dwa lata później zepchnął bratanka z tronu.

Ciekawe zjawisko - w Polsce Zygmunt otaczał się Niemcami i Szwedami, im ufał, w Szwecji faworyzował Polaków. Nie tylko przyroda zabrania działać wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy.

Burzliwe przeżycia źle pewnie oddziaływały na ciężą Annę Austriaczki. Urodzona w kwietniu druga z kolei córka, Katarzyna, nie przeżyła nawet miesiąca. 9 maja 1595 roku losy pocieszyły Zygmunta synem. Ustrój Rzeczypospolitej nie uznawał godności następcy tronu, ale królewicz był nim de facto od dnia swych narodzin, a po zgonie ojca stał się bohaterem najspokojniejszej ze wszystkich naszych wolnych elekcji. Pomimo tylu nieporozumień narodu z Zygmuntem, nowa dynastia wstąpiła w moralne uprawnienia wygasłej, zaczęła korzystać z dobrodziejstw monarchicznego tradycjonalizmu poddanych.

Przyszły Władysław IV urodził się w Łobzowie, rezydencji królewskiej pamiętającej dnie Kazimierza Wielkiego. Zamek tamtejszy zaczął przebudowywać król Stefan, dokończyła dzieła wdowa po nim. Anna Jagiellonka została matką chrzestną wnuka i to było jej ostatnie wystąpienie w dziejach własnego rodu i kraju.

Spokojnie i cicho umarła w zamku warszawskim 9 września 1596 roku. Przygotowywała się do zgonu tak starannie, że - jak zaświadczył Piotr Skarga - u schyłku żywota zawsze kazała

wkładać sobie pod łóżko całe wyposażenie grobowe - obleczenie pośmiertne, gromnicę...

Obecny przy zgonie ciotki Zygmunt III natychmiast polecił

wybić komnaty zamkowe kirem,
wyniosły katafalk okryć
olbrzymim całunem, przyozdobić
go malowanymi na jedwabiu
herbami nieboszczki. Sam też
przywdział żałobę. Stanowił ją
kusy strój czarny z białą kryzą.
Głowę króla przykrył wysoki
kapelusz czarny, jakiego w
podobnych okolicznościach zawsze
używali książęta niemieccy.

Współcześni ze smutkiem
pożegnali Annę. "Zeszła ze
świata w wieku, w którym śmierć
za wczesną już nie jest, ale
mimo to powszechny żal po sobie
zostawiła; była to bowiem bardzo
zacna niewiasta i ostatnia
gałązka Jagiellońskiego rodu" -
napisał Reinhold Heidenstein,
który zrósz się wprawdzie z
Polską, ale był Niemcem, i
dlatego mniej zwrócił uwagi na
to, o czym od razu pomyśleli i
zagadali krajowcy. Że ze
śmiercią starej królowej
przeszedł w Rzeczypospolitej
istnieć dwór monarszy o
charakterze rodzimym.

Zygmunt III przeniósł się na
stałe do Warszawy. Krakowski
rozdział historii polskiej
został bezpowrotnie zamknięty.
Był to naszych dziejów rozdział
najświecniejszy.

Pochowano Annę zgodnie z jej
wola, to znaczy w Kaplicy
Zygmuntowskiej na Wawelu, z dala
od męża. Jedno tylko poniekąd
połączyło pośmiertnie
rozdzielonych małżonków.
Nagrobek dla Jagiellonki jeszcze
za jej życia wyrzeźbił ten sam
artysta, który przyozdobił
sarkofag Stefana I. Nie ma w tym
jednak symboliki, bo Santi Gucci
był rzeźbiarzem nadwornym.

Jeszcze o modlitewnikach
i innych zabytkach

We wspomnianym na początku modlitewniku Zygmunta Starego, oprócz urodzinowych oraz pogrzebowych notatek, widnieje jeden jedyny podpis. Złożył go król Zygmunt III, który dostał od ciotki nie tylko ową książkę, lecz i koronę polską.

Modlitewnik Zygmunta Starego znajduje się w Muzeum Brytyjskim. Trafił do Anglii drogą pokojową - Stuartowie odziedziczyli go po Sobieskich. Podobna księga królowej Bony, wykonana przez tegoż samego Stanisława Samostrzelnika, stanowi własność Oxfordu. Mistrz, którego dzieła służyły parze panującej, mógł być pewien zamówienia ze strony kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego. Jego modlitewnik też się zachował. Jest w Mediolanie.

Zagranica ma dziwnie dużo polskich zabytków ruchomych. Jeśli chodzi o najcenniejsze, kto wie, czy nie więcej niż sama Polska. A nie wszystkie one wędrowały w świat drogą spadków i darowizn. Muzea szwedzkie przechowują zrabowany księgozbiór Mikołaja Kopernika, wiele innych cenneści, wśród nich szablę, którą Gustaw Adolf wydarł pod Trzcianą husarzowi polskiemu, z trudem ratując życie. Nie umiem powiedzieć, co się stało z Różą Złotą króla Aleksandra. Musiała być pewnie nie lada arcydziełem sztuki jubilerskiej, bo obdarzył nią Jagiellończyka sam Juliusz II, protektor Michała Anioła i innych wielkich artystów. Aż do roku 1702 była w skarbcu katedry wawelskiej. Wpadła w ręce Szwedów. Kolumna Zygmunta III szczęśliwie pozostała w Warszawie, bo Piotr I nie znalazł sposobu przewiezienia jej do Petersburga.

Szkic niniejszy opowiadał o czasach, w których proces rozpraszania bądź niszczenia

dorobku Obojga Narodów jeszcze
się nie rozpoczął, gdyż był
dopiero mimo woli przygotowywany.

Warszawa 1963_#1964